

P. 9786 / Chm. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/117-8/118 1957

1357

P. 9786



• *«La Culture»* • *Revue mensuelle* •

W. SUKIENNICKI :

O LENINIE

St. KOŚCIAŁKOWSKI :

**SPOSTRZEŻENIA
I UWAGI KRYTYCZNE**

T. NOWAKOWSKI :

« MERKWÜRDIG »

A. SANDAUER :

BEZ TARYFY ULGOWEJ

SPIS RZECZY

Jerzy Horzelski :	<i>O przekornej ewolucji</i>	3
Paweł Hostowiec :	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i>	17
Wiktor Sukiennicki :	<i>O Leninie</i>	25
Stanisław Kościalkowski :	<i>Spostrzeżenia i uwagi krytyczne</i> ..	45
Artur Sandauer :	<i>Bez taryfy ulgowej</i>	71



Czesław Miłosz :	<i>Rodzinna Europa</i>	87
------------------	------------------------------	----



Ludwik Buyno :	<i>Tartak dzieciństwa</i>	116
" "	<i>Wężem</i>	117
" "	<i>Le barde se moque de soi-même</i> ..	118
Zdzisław Marek :	<i>Portret człowieka</i>	118

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	<i>Polska leży między Rosją a Ameryką</i> ..	119
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	126

K R A J

Adam Uziembło :	<i>Szwecja a Polska</i>	131
-----------------	-------------------------------	-----

SPRAWY I TROSKI

Tadeusz Nowakowski :	<i>„Merkwürdig”</i>	135
----------------------	---------------------------	-----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Felicjan Sławoj Składkowski :	<i>Wspomnienia z okresu majowego</i> (dokończenie)	143
-------------------------------	---	-----

KRONIKA KULTURALNA

Czesław Miłosz :	<i>Po śmierci Staffa</i>	174
Józef H. Retinger :	<i>Z notatek o Conradzie</i>	175
Krytyk i Zastępca :	<i>Refleksje teatralne</i>	178

K S I A Ż K I

Jan Brzękowski :	<i>Poezja prosta</i>	182
Florian Śmieja :	<i>Nowe przekłady z hiszpańskiego</i>	194
Marian Pankowski :	<i>Wolny od lzy</i>	211
Maria Czapska :	<i>Historia Joela Branda</i>	213
A. S. :	<i>Czerwony organista</i>	217



J. Mackiewicz (dwa listy), A. Vincenz, J. Hoffman, St. Klepacz, J. Pomian, R. Walewicz, St. Korboński, M. Józwiak :	<i>Listy do Redakcji</i>	223
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień - Juillet-Août 1957

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA BIBLIOTEKĘ NARODOWĄ

Władysław Żeleński, Paryż	1.000 fr.
F. Drabczyk, Toronto, Ontario (Kanada)	1.050 "
W. Sikorski, Stanleyville (Kongo Belg.)	1.380 "
Tomasz Janta-Półczyński, Bruksela (Belgia)	15.000 "
J. Kempka, Monachium (Niemcy)	1.000 "
M.K. Dziewanowski, Cambridge, Mass. (USA)	1.750 "
M.B. Lepecki, Belo Horizonte (Brazylia)	5.000 "
Piotr Wandycz, New York (USA)	4.200 "
Jan Bondyr, Londyn	1.000 "
Tadeusz Likiernik, Paryż	1.000 "
F. Burdecki, Swakopmund (Afryka Poł.-Wsch.) na Bibliotekę Uniwersytecką w Poznaniu	4.000 "

DZIĘKUJEMY

Bieżący zeszyt „Kultury” jest, jak zwykle, podwójny (lipiec-sierpień 1957). Zeszyt następny ukaże się 1 września rb.

DALSZE WPLATY NA DOM „KULTURY”

Dr S.N. Korzeniowski, Lostand, Ill. (USA) ponownie	1.400 fr.
M.K. Dziewanowski, Cambridge, Mass. (USA) ponownie ..	350 "
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada), ponownie	750 "
Frank Reszel, White Dog Falls, Ont. (Kanada)	1.500 "

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France

O przekornej ewolucji

Utopia należy do działu literatury pięknej, który odznacza się nie tylko tradycją artystyczną szacownej starożytności, ale również ogromnym wigorem żywotności literackiej. Utopię można wywodzić od Platona i Plutarcha, ale pierwszą par excellence utopię napisał Anglik, Sir Thomas More, filozof, pisarz, statysta, przyjaciel kardynałów, królów i humanistów, przewodniczący (speaker) parlamentu, kanclerz Anglii, a wreszcie męczennik za wiarę, stracony przez swego byłego przyjaciela Henryka VIII — błogosławiony a wreszcie święty Kościoła Katolickiego — autor utworu pt. „De Optimo Reipublicae Statu deque Nova Insula UTOPIA”, wydanego w Louvain w 1516 roku szybko przetłumaczonego na większość języków europejskich, naśladowanego i sławionego. W języku angielskim „Utopia” drukowana była niezliczoną ilość razy. W bieżącym stuleciu było już sześć wydań, z czego ostatnie w roku 1952. (Nazwa Utopia jest greckim neologizmem znaczącym „nigdzie”).

Od czasów dzieła More'a, z którego tytułu cały ten rodzaj literacki otrzymał swą nazwę, utopia jest prawdziwie charakterystyczną cechą literatury angielskiej. W następnym zaraz po Morusie pokoleniu John Barclay napisał „Argenis”, a Sir Francis Bacon — „The New Atlantis” i odtąd, z każdym stuleciem liczba utopii rośnie, aż po współczesne nam pokolenia autorów: Shaw (*Back to Methusalem*), Wells (tuzin tytułów), R. Graves (*Seven Days in New Crete*), J. Hilton (*Lost Horizon*), G. Orwell (*Animal Farm* oraz „1984”) aby wymienić tylko najgłośniejsze pozycje.

Wśród utopii angielskich znajduje się sporo utworów, które stały się dziełami klasycznymi literatury nie tylko angielskiej, ale światowej. Do takich należy na przykład Swifta *Gulliver Travels* czy Defoe *Robinson Crusoe*. Do utopii, choć w dramatycznej formie, należy *Burza* Shakespeare'a i, niebawem tu popularności *Peter Pan* Sir James Barrie.

Nawiasem można by dodać, że bez wielkiego naciągania angielska powieść detektywna dałaby się określić jako dość bliska kuzynka klasycznej utopii. I to nie tylko dlatego że jeden z twórców opowieści detektywnej Sir Arthur Conan Doyle był również autorem utopii (*Lost World*).



P.9786 chr. Arch.

Nowoczesną odmianą tego rodzaju zdaje się być, rozrastający się obecnie gwałtownie w świecie anglosaskim (ale nie tylko tu) gatunek beletrystyczny znany jako SF (*science fiction*).

Wcale poczesne miejsce wśród paruset (!) ważniejszych dzieł angielskiej utopii należy do, mało dotychczas poza światem anglosaskim znanego, utworu Samuela Butlera — *Erewhon*.

Utopia Butlera, poza cechą poetyckiej fantazji, ironizującej wiktoriańską Anglię, zawiera dwa, szczególnie ostre i trujące żądla: jedno skierowane przeciwko duchowieństwu anglikańskiemu, drugie — przeciwko teorii ewolucji. To ostatnie w formie, którą można by nazwać „traktat przeciw automacji”.

Butler pochodzący z rodziny „kastowej” duchownych anglikańskich i przeznaczony do tegoż samego zawodu, zbuntował się i uciekł aż do Nowej Zelandii. Tu na hodowli owiec i handlu wełną dorobił się majątku zapewniającego mu niezależność finansową. Wtedy powrócił do Londynu i tu wiódł żywot „gentlemana-artysty”. Malował, pisał kompozycje muzyczne, zajmował się krytyką architektury, podróżował po Włoszech i Szwajcarii. Pisał raczej od niechcenia. Pierwszy jego utwór większego formatu *Erewhon*, napisany został jako powiązanie, uzupełnienie i rozszerzenie kilku opowiadań drukowanych poprzednio. Wykończona w roku 1871 powieść ta została kolejno odrzucona przez wszystkich wydawców angielskich. Butler wydrukował więc książkę własnym nakładem i, niespodziewanie, uzyskała ona ogromne powodzenie. Teraz wydawcy zaczęli się o nią dobijać. Przedrukowywana wielokrotnie pozostała ona jedyną z wielu książek autora, która przyniosła mu naprawdę jakiś dochód materialny. Cieszy się ona powodzeniem do dziś i nowe wydania tej powieści drukowane były jeszcze w latach 1935, 1937, 1954, 1955.

Erewhon (*) jest nazwą kraju, do którego autor, opowiadający w pierwszej osobie dostaje się przypadkiem, poszukując nowych terenów pasterskich poza łańcuchem niedostępnych gór. Przypadek również sprawia że jest on tam potraktowany dość gościnnie i, po wyuczeniu się języka miejscowego, dopuszczony do udziału w życiu publicznym. Życie to oparte jest na dziwacznych zasadach w wielu dziedzinach stanowiących przeciwieństwo naszych zasad. Na przykład zachorowanie traktowane jest w *Erewhon* jak przestępstwo sądzone i karane więzieniem. Toteż chorób jest niewiele, a i te nieliczne są wstydliwie ukrywane. Natomiast czyny takie jak kradzież, oszustwo, rabunek itp. uważane są za nieszczęśliwe cierpienia i poddawane kuracji przez specjalistów, którzy jako lekarstwa stosują, posty, biczowania i rodzaj psychoterapii będącej proroczym obrazem psychoanalizy.

Jedną z zasad w *Erewhon* jest surowy zakaz używania jakichkolwiek maszyn i mechanizmów. Zakaz ten został wprowadzony przed laty w kraju dość już wówczas zmechanizowanym, uzasadniony logicznie i oparty na zasadach naukowych ujętych w formie dzieła filozoficznego. Z dziełem tym autor powieści zaznajomił się szczegółowo, gdy zwiedzał główny ośrodek naukowy kraju — uniwersytet złożony z grupy kolegów (zjadliwa karykatura Oxfordu i Cambridge) zwany „Colleges of Unreason”. Do powieści jest włączone rzekome streszczenie tego dzieła filozoficznego z licznymi cytatami. Dwa rozdziały *Erewhon* (23 i 24) które zawierają całość satyry na mechanizację podajemy poniżej w przekładzie polskim.

(*) Jest to odwrotnie czytane słowo *nowhere* — „nigdzie” a więc po prostu „utopia”.

Samuel Butler

KSIEGA MACHIN

Pisarz ten rozpoczyna tak: „Istniała epoka kiedy ziemia była pod każdym względem całkowicie pozbawiona życia, tak zwierzęcego jak roślinnego i kiedy, zgodnie z opinią naszych najznakomitszych filozofów, stanowiła po prostu rozpaloną okrągłą bryłę ze stygnącą powoli skorupą. Gdyby więc jakaś istota ludzka istniała wtedy, gdy ziemia znajdowała się w takim stanie, i gdyby istota owa mogła oglądać ją jak gdyby jakiś inny świat, który jej nie tyczy, oraz gdyby równocześnie istota ta była całkowicie nieświadoma nauk fizycznych, to czyż nie uznałaby ona za całkowicie niemożliwe, aby stworzenia obdarzone czymkolwiek podobnym do świadomości mogły rozwinąć się z tych jawnych żużli, które właśnie ogląda? Czyż nie przeczyłaby ta istota, że świadomość, choćby potencjalna, może się tam zawiązać? A jednak z biegiem czasu świadomość się pojawiła. Czyż zatem nie jest możliwe, że nawet i dziś wytwarzać się mogą nowe kanały dla świadomości, choć teraz jeszcze nie potrafimy wykryć ich śladów?”

Dalej: „Świadomość jako coś, zbliżonego do dzisiejszego znaczenia terminu, była kiedyś zjawiskiem nowym, zjawiskiem — zgodnie z tym co możemy wiedzieć — późniejszym nawet niż indywidualny ośrodek działania i system rozrodczy (który przecież obserwować możemy u roślin, jawnie pozbawionych świadomości). Czemuż zatem nie mogłaby zaistnieć nowa postać umysłu, która byłaby tak różna od wszystkich, obecnie znanych, jak umysłowość zwierzęca różna jest od roślinnej?”

Byłoby absurdem usiłować opisać taką postać umysłu (czy jakkolwiek inaczej mogłaby ona być nazwaną), albowiem musi ona być czymś tak obcym dla człowieka, że jego doznania nie mogą mu być pomocne w ogarnięciu jej natury. Niewątpliwie jednak, jeżeli zastanowimy się nad wielopostaciowością zjawisk życia i świadomości, już rozwinętych, to byłoby przedwczesne twierdzić, że inne postacie rozwinąć się już nie mogą i że życie zwierzęce jest szczytem wszystkiego. Była epoka kiedy ogień był szczytem wszystkiego, inna, kiedy była nim woda i skały”.

Rozwijając ten temat na przestrzeni szeregu stron, autor przechodzi do pytania, czy oznaki zbliżania się takiej nowej postaci życia mogą być obecnie dostrzeżone, czy możemy zaobserwować jakieś formujące się ośrodki, które mogłyby w odległej przyszłości zostać zaadoptowane przez taką postać życia, inaczej, czy pra-komórki takiego rodzaju życia mogą być obecnie wykryte na ziemi. W toku swych rozważań, autor odpowiada na to pytanie twierdząco i wskazuje na wyższe mechanizmy.

„Nie jesteśmy zabezpieczeni” — powiada on, by zacytować jego własne słowa — „przed ostatecznym rozwinieniem się świa-

domości mechanicznej, jakkolwiek obecne mechanizmy nie ujawniają jeszcze świadomości. Małż też posiada nie wiele świadomości. Zastanówmy się nad niestłuchanym rozwojem jakiej maszyny osiągnęły na przestrzeni ostatnich paruset lat i zauważmy jak powoli doskonałą się światy zwierzęcy i roślinny. Wyżej uorganizowane mechanizmy są tworam i nawet nie dnia wczorajszego, lecz, można by powiedzieć, ostatnich pięciu minut, w porównaniu do okresów ubiegłych. Przyjmijmy dla uproszczenia rozumowania, że istoty świadome istnieją od jakichś dwudziestu milionów lat: zauważmy jakież to postępy uczyniły mechanizmy w ciągu ostatniego tysiąca! A czyż świat nie może istnieć jeszcze następnych dwudziestu milionów lat? Jeżeli tak to czymże w końcu mogą się stać mechanizmy? Czyż nie jest zatem bezpieczniejszym zniszczyć zło w zarodku i zabronić im dalszego postępu?

Któż może oświadczyć, że maszyna parowa nie posiada pewnego rodzaju świadomości? Gdzież to świadomość się zaczyna i gdzie się kończy? Jak wyznaczyć linię graniczną? Kto może wyznaczać jakąkolwiek linię graniczną? Czyż nie jest wszystko splecione ze wszystkim innym? Czyż maszyna nie jest powiązana z życiem zwierzęcym na nieskończenie wiele sposobów? Skorupka jajka kurzego jest zrobiona z delikatnej białej substancji i jest w takim samym stopniu urządzeniem mechanicznym, jak kieliszek do jajka. Skorupka jest urządzeniem do trzymania jajka, tak samo jak kieliszek do jajka jest urządzeniem do trzymania skorupki: oba urządzenia są postaciami tej samej funkcjonalności. Kura buduje skorupkę w swym wnętrzu, ale jest to zwyczajna ceramika. Buduje ona gniazdo na zewnątrz siebie, bo tak jest jej wygodnie, ale gniazdo nie jest bardziej mechanicznym urządzeniem niż skorupka jajka. 'Maszyna' to nie jest nic innego jak 'urządzenie mechaniczne'.

W dalszym ciągu, wracając do świadomości i starając się wysledzić jej najwcześniejsze objawy, pisarz kontynuuje:

„Istnieje rodzaj rośliny, która zjada organiczne pożywienie przy pomocy swych kwiatów. Gdy mucha siądzie na kwiat, to płatki zatrząskują się ponad nią i zatrzymują owad, póki roślina nie wchłonie go w swój organizm. Ale płatki nie zamkną się nad niczym, co nie jest dla rośliny jadalne: kropla deszczu, czy okruh patyka nie zwróca ich uwagi. Zdumiewające jest, że tak nieświadoma rzecz może mieć tak bystrą spostrzegawczość, gdy chodzi o jej interes. Jeżeli to jest nieświadomość, to jakim jest sens świadomości?

Czyż mamy powiedzieć, że roślina nie wie co czyni tylko dlatego, że nie ma ona oczu albo uszu albo mózgu? Jeżeli powiemy że działa ona automatycznie i tylko automatycznie, to czyż nie będziemy zmuszeni uznać, że mnóstwo innych i pozornie zupełnie celowych działań jest równie automatycznych? Jeżeli nam się wydaje, że roślina zabija i zjada muchę automatycznie,

to czyż roślinie nie może się wydawać, że człowiek automatycznie zabija i je owce? Można by jednak powiedzieć, że roślina jest pozbawiona rozumu, bowiem rozwój rośliny jest wzrostem nie-dobrowolnym. Jeżeli dana jest ziemia, powietrze i odpowiednia temperatura, to roślina musi rosnąć: jest ona jak zegar, który raz nakręcony iść będzie póki go się nie zastawi, albo póki się sprężyna nie wykręci. Jest to jakby wiatr dmący w żagle okrętu — okręt musi się poruszać póki wiatr dmi. Ale czyż zdrowy chłopiec może nie rosnąć, jeżeli ma dobre pożywienie, napoje i odzież? Czyż cokolwiek może się nie poruszać póki jest nakręcone, lub poruszać się, gdy się wykręci? Czyż nie istnieje we wszystkim proces nakręcania?

Nawet kartofel w ciemnej piwnicy ma w sobie pewien spryt, którym się znakomicie posługuje. Wie on doskonale czego mu potrzeba i jak to zdobyć. Widzi światło sączące się przez okienko piwnicy i wysyła smukłe pędy wprost ku niemu. Będą one pełznąć wzdłuż klepiska i wspinać się po ścianie aż do okna. Jeżeli będzie gdzieś po drodze nieco ziemi, to kartofel znajdzie ją i użyje do swych celów. Jaką zmyślnością może on kierować swe korzenie gdy jest wsadzony w ziemię, to jest sprawa dla nas nie znana, ale możemy sobie wyobrazić, że powiada on: tu sobie umieszczę bulwę i tam sobie umieszczę bulwę a będę wysysać cokolwiek pożytecznego znajdę na całym moim terenie. Tęgo sąsiada przerosną a tamtego podryję; najwłaściwszą możliwość to będzie granica moich poczyną. Mnie przemoże ten, co jest mocniejszy i lepiej usytuowany, a ja przemożę tego co jest słabszy.

Kartofel mówi to wszystko przez swe czyny, a to jest najlepsza z oracji. Czymże jest świadomość, jeżeli to nie jest świadomością? Trudno jest wczuć się w afekty kartofla, tak samo jak ostrzygi. Żadna z tych istot nie krzyczy gdy ją gotują lub otwierają, a właśnie krzyk jest tym co przemawia do nas mocniej niż cokolwiek innego, ponieważ my sami tyle hałasu czynimy dokoła naszych cierpień. Skoro zaś te istoty nie dokuczają nam wypowiedaniem swego bólu, przeto uważamy je za nieczułe. W stosunku do ludzkości są one takie, ale ludzkość to nie wszystko.

Gdyby ktoś nastawał, że działanie kartofla jest tylko chemiczne i mechaniczne, oraz że jest ono wynikiem chemicznego i mechanicznego wpływu światła i ciepła, to zdaje się iż odpowiedź znalazłaby się w zbadaniu czy wszelkie wrażenia nie są chemiczne i mechaniczne w swej istocie? Czy owe sprawy, które wydają się nam jak najściślej duchowe są czymkolwiek innym niż naruszeniem równowagi w nieobliczalnym szeregu dźwigni, poczynając od tych, co są zbyt drobne dla ujawnienia przez mikroskop, a kończąc na ludzkim ramieniu i tych urządzeniach z których czyni ono użytek? Czyż nie zachodzi molekularne działanie myśli, z której można by wyprowadzić dynamiczną teorię namietności? Czyż, mówiąc ściślej, nie należałoby zapytywać raczej z jakiego rodzaju dźwigni człowiek jest zbudowany, niż jaki jest jego temperament? Jak są te dźwignie zrównoważone? Jak wiele

woli takiego-to-a-takiego potrzeba aby przeważyć dźwignie i skłonić je do wykonania takiej-to-a-takiej czynności?"

W dalszym ciągu pisarz oznajmia iż przewiduje możliwość, że w przyszłości zbadanie jednego włosa za pomocą potężnego mikroskopu pozwoli określić czy jego właściciel może być obrażany bezkarnie. Dalej tok myśli staje się coraz bardziej niejasny, tak że zmuszony byłem zrezygnować z prób tłumaczenia, jak również z postępowania za biegiem myśli. Przechodząc do następnego działu, który mogłem wyrozumieć, zauważyłem że autor zmienił wątek.

„Albo” — pisał on „znaczna liczba czynności które nazywano czysto mechanicznymi i nieświadomymi musi być uznana za posiadającą więcej elementów świadomości, niż to dotychczas przypuszczano (a w tym wypadku pierwiastki świadomości będą się zawierać w wielu czynnościach wyższych mechanizmów) — albo też (przyjmując teorię ewolucji, ale równocześnie negując istnienie świadomości w czynnościach roślin i kryształów) rasa ludzka pochodzić musi od istot, które wcale nie mają świadomości. W tym jednak wypadku nie jest a priori nieprawdopodobne aby świadome (i bardziej niż świadome) mechanizmy nie mogły pochodzić od tych jakie obecnie istnieją, z wyjątkiem tej wątpliwości, którą sugerować się zdaje pozorne nieistnienie w świecie mechanizmów czekokolwiek w rodzaju systemu rozmnażania. To nieistnienie, jednakże, jest tylko pozorne, jak to właśnie poniżej wykażę.

Nie chciałbym być zrozumiany źle i posądzony że jestem w strachu przed jakąś z istniejących obecnie maszyn. Prawdopodobnie nie ma jeszcze maszyny, która byłaby czymś więcej niż prototypem przyszłego świata mechanizmów. Obecnie maszyny tak się mają do przyszłych, jak pierwotne płazy do człowieka. Największe z nich zapewne znacznie zmniejszą swe wymiary. Niektóre z niższych kręgowców osiągały rozmiary znacznie większe, niż te, które zostały przekazane ich, wyżej uorganizowanym, żyjącym potomkom. Podobnie, zmniejszanie się wymiarów maszyn często towarzyszy ich rozwojowi i postępowi.

Weźmy na przykład zegarek. Zbadajmy jego piękną budowę, zauważmy inteligentne współdziałanie drobnych części z których jest on złożony. Przecież ten drobny twór jest wydzielony z niezdarnych zegarów, jakie go poprzedzały. To nie jest objaw degeneracji. Może nadejść dzień, kiedy zegary, które, oczywista, obecnie nie zmniejszają swych wymiarów, zostaną wyparte z użycia przez powszechne stosowanie zegarków ręcznych i w tym wypadku zostaną tak samo wytrzebione jak ichtiozaury, podczas gdy zegarki, które od lat ujawniają tendencje raczej do redukowania swych wymiarów, niż odwrotnie, pozostaną jedyną istniejącą odmianą wygasłej rasy.

Wracając jednak do tematu, powtarzam iż nie lękam się żadnej z istniejących maszyn. To czego się obawiam, to nie-

słuchanej szybkości z jaką mechanizmy stają się czymś zgoła różnym od tego, czym są obecnie. Żaden z rodzajów stworzeń w żadnej z ubiegłych epok nie posiadał tak gwałtownego postępu rozwojowego. Czyż nie należałoby postępu tego bacznie obserwować i kontrolować póki jeszcze może on być kontrolowany? I czyż nie byłoby w tym celu konieczne niszczyć bardziej rozwinięte typy mechanizmów, obecnie używanych, aczkolwiek można by przyznać, że same przez się są one nieszkodliwe?

Dotychczas, odbierają one wrażenie za pośrednictwem zmysłów człowieka: jedna z jadących maszyn woła do drugiej krzykliwym głosem ostrzeżenia i ta druga natychmiast cofa się, ale głos pierwszej maszyny działa na drugą za pośrednictwem uszu kierowcy. Gdyby nie kierowca, to wołany pozostałby głuchy na zew wołającego. Były jednak czasy, kiedy musiało się wydawać wysoce nieprawdopodobne, aby maszyny mogły się nauczyć ujawniania swych życzeń przy pomocy dźwięków, chociażby za pośrednictwem uszu ludzkich. Czyż nie możemy sobie więc wyobrazić, że nadejdzie chwila kiedy te uszy nie będą już więcej potrzebne i słuch zostanie wytworzony przez subtelność konstrukcji mechanizmu? Kiedy ich mowa zostanie rozwinięta od stadium zwierzęcego ryku do języka tak skomplikowanego jak nasz własny?

Możliwe jest, że w tej epoce nasze dzieci będą się uczyć rachunku różniczkowego, tak jak dziś się uczą mówić — od swych matek i piastunek, albo że będą mówić językiem hipotetycznym i rozwiązywać zadania na regułę trzech natychmiast po urodzeniu. Jest to możliwe, ale nie jest prawdopodobne. Nie możemy liczyć na taki rozwój intelektualnych i fizycznych zdolności człowieka, który by zdolny był zrównoważyć znacznie większy rozwój, jaki wydaje się być przeznaczeniem maszyn. Niektórzy mogliby sądzić, że moralny wpływ człowieka wystarczy aby rządzić maszynami, ale ja nie uważam aby bezpiecznie było zbyt wiele ufności pokładać w poczuciu moralnym jakiegokolwiek maszyny.

A poza tym, czyż wspaniałość maszyn nie może polegać na ich istocie raczej niż na przesadzanej roli daru języka? „Milczenie — powiedział jeden z pisarzy — jest cnotą, która czyni nas miłymi naszym bliźnim”.

Nasuwać się tu jeszcze inne zagadnienia. Czymże jest oko, jak nie maszyną, która służy do patrzenia małej istocie, siedzącej z tyłu, w mózgu człowieka? Umarłe oko jest niemal tak samo dobre jak żywe, przynajmniej przez pewien czas po śmierci człowieka. To nie oko nie może widzieć, ale ten ktoś, niespokojny, który nie może już przez nie patrzeć. Czy to oczy człowieka, czy też wielko-widzowe maszyny ujawniły nam istnienie światów poza światami aż w nieskończoność? Co pozwoliło człowiekowi zaznajomić się z krajobrazem księżycy, płamami słońca, czy geografią planet? Jest on w tych rzeczach zdany na łaskę widzącej maszyny i pozostaje bezsilny, póki nie włączy jej do swej własnej osobowości, nie uczyni częścią siebie samego. Albo

jeszcze, czy to oko, czy też drobno-widzowa maszyna ukazała nam istnienie nieskończenie małych organizmów, których nieprzeczuwane roje kłębią się dokoła nas?

Albo weźmy przeceniane zdolności liczenia. Czyż nie istnieją maszyny, które mogą wszelkie rodzaje rachunków wykonywać szybciej i dokładniej niż my? Jakież dyplomowany hipotetysta z któregoś z naszych Kolegów Antyrozumu może porównać się z którąś z tych maszyn w jej specjalności? W istocie, gdziekolwiek potrzebna jest dokładność, człowiek natychmiast biegnie do maszyny, jako znacznie użyteczniejszej niż on sam. Nasze maszyny rachunkowe nigdy nie opuszczają cyfry, nasze tkalnie — ścięgu; maszyna jest żwawa i czynna, gdy człowiek łatwo się nuży, jest ona bystra i uważna, gdy człowiek jest roztrągnięty i tępy; dla człowieka konieczny jest sen, ona nie potrzebuje spać, zawsze na stanowisku, zawsze gotowa do pracy z werwą nigdy nie słabnącą, z cierpliwością nigdy nie wyczerpaną. Jej moc jest większa niż połączona siła setek ludzi, a szybsza nad lot ptaka; może ona ryc pod ziemią i przekraczać największe rzeki. Gdy to już jest w łozinie, cóż będzie gdy wyrośnie ona w drzewo?

Kto zdoła stwierdzić, że człowiek rzeczywiście widzi lub słyszy? Jest on takim ulem i rojem pasożytów iż można się zastanawiać czy ciało nie jest bardziej ich, niż jego własnością; czy jest on czymś więcej niż po prostu jakimś rodzajem mrowiska. A czy człowiek sam nie może stać się czymś w rodzaju pasożyta maszyny? Serdecznie przywiązaną, maszynowo-taskotaną mszycą?

Niektórzy twierdzą że krew nasza składa się z niezliczonych żywych tworów, które wędrują tam i z powrotem wzdłuż dróg i zaułków naszego ciała, jak ludzie po ulicach miasta. Kiedy z dużego wzniesienia spoglądamy w dół na tłumne ulice, to czyż można nie myśleć o ciałkach krwi, wędrujących poprzez żyły i odżywiających serce grodu? Nie będziemy tu wspominać o ściekach lub ukrytych nerwach, które służą do komunikowania wrażeń z jednej części korpusu miasta do innej; ani też o zięjących paszczekach stacji kolejowych, poprzez które cyrkulacja wnika wprost do serca, które przyjmuje linie arteryjne i oddaje żyłne wraz z wieczystym pulsem tłumy. A sen miasta, czyż nie jest jak żywy! Wraz z jego zmianami cyrkulacji”.

Tu pisarz znów staje się beznadziejnie zawikłany, tak że zmuszony jestem opuścić szereg stron. Dalej pisze:

„Można by odpowiedzieć, że choć nawet maszyny mogłyby słyszeć i mówić jak nikt inny, to będą zawsze czynić to dla naszego, a nie własnego pożytku; że człowiek będzie rządzącym duchem a maszyna — sługą. Że gdy tylko maszyna przestanie wykonywać usługi których człowiek od niej oczekuje, to zostanie przeznaczona na złom. Że maszyny po prostu znajdują się w takim samym stosunku do człowieka jak niższe zwierzęta:

maszyna parowa, sama przez się, jest tylko bardziej ekonomicznym rodzajem konia. Zatem zamiast znajdować się w pozycji umożliwiającej im rozwój do formy życia wyższej niż ludzkie, maszyny zawdzięczają swe istnienie i rozwój zdolnościom zaspokajania potrzeb ludzkich, a przeto muszą tak teraz jak i w przyszłości pozostać poddanymi człowiekowi. Bardzo to wszystko piękne, ale sługa niepostrzeżenie przesuwając się może na pozycję mistrza. Doszliśmy już nawet i teraz do takiego stanu, że człowiek skazany jest na straszne cierpienia jeżeli przestanie dogadzać maszynom. Gdyby wszystkie urządzenia mechaniczne w jednej chwili uległy zniszczeniu, tak że ani nóż żaden, ani nawet strzęp odzieży, ani cokolwiek innego pozostałoby człowiekowi prócz jego nagiego ciała z którym się urodził, oraz gdyby wszelka wiedza praw mechanicznych została mu odjęta, tak że nie mógłby on więcej sporządzać maszyn i gdyby wszystkie mechanicznie przyrządzone pożywienie przepadło, tak, że ludzkość pozostałaby jak gdyby nago na pustynnej wyspie, to niewątpliwie musielibyśmy zginąć marnie do sześciu tygodni. Kilka żalosnych jednostek mogłoby wegetować dłużej, ale nawet i ci w ciągu roku lub dwóch spadliby do poziomu gorszego niż małpy. Własną swą duszę człowiek zawdzięcza maszynom: jest to rzecz wytworzona mechanicznie. Myśli on tak jak myśli i czuje tak jak czuje przez wpływ jaki na nim wycisnęły maszyny. Ich egzystencja jest tak samo sine qua non jego istnienia, jak na odwrót. Fakt ten uniemożliwia nam wysunięcie postulatu zniszczenia maszyn kompletnie, ale jasno udowodnia, że powinniśmy zniszczyć wszystkie, bez których możemy się jakoś obyć, aby nie zostać styranizowanymi doszczętnie.

Prawda, że z niskiego, materialistycznego punktu widzenia, może się zdawać iż najlepiej powodzi się tym, którzy stosują maszyny wszędzie, gdzie ich użycie przynosić może zysk; ale to jest podstęp maszyn — służą one aby móc rządzić. Nie żywią one urazy do człowieka za niszczenie całych ich ras, jeżeli tylko na to miejsce tworzy on lepsze ich odmiany, przeciwnie, szczerze go nagradzają za przyspieszanie ich rozwoju. Zemstę ściągają tylko ich zaniedbywanie, albo używanie maszyn tandetnych, albo opuszczanie się w wysiłkach tworzenia nowych mechanizmów, albo zużywanie ich bez zastępowania nowymi, a przecież to są właśnie działania, które powinniśmy podjąć i to podjąć szybko. Choć bowiem nasz bunt przeciw ich embrionalnej władzy spowoduje niezliczone dla nas przywacie, to do czegożby sprawy nie doszły gdyby bunt ten opóźniać?

Żerując na poniżającej ludzkiej skłonności do stawiania interesów materialnych ponad duchowymi, doprowadziły one człowieka zdradziecko do dostarczania im tego elementu walki, bez którego żadna rasa nie może się rozwijać. Niższe stworzenia rozwijają się ponieważ walczą jedne z drugimi: słabsze giną a silniejsze rozmnażają się i przekazują swą siłę dalszym pokoleniom. Maszyny, jako same przez się niezdolne do walki, użyły człowieka aby prowadził walkę dla nich. Dopóki wypełnia on to

zadanie odpowiednio — wszystko jest dobrze, a przynajmniej tak się mu wydaje, lecz z chwilą gdy opuści się on w gorliwości wysiłków dla postępu mechanizmów, gorliwości popierania sprawnych a niszczenia gorszych — zostanie zepchnięty w wyścigu konkurencji, a to znaczy że poniesie kary w najrozmaitszej postaci, a może nawet umrze.

Tak więc nawet już dziś maszyny służą jedynie pod tym warunkiem, że będą obsługiwane i to zgodnie z ich wymaganiami. Z chwilą gdy ich wymagania są zaniedbywane, natychmiast narowia się i albo druzgoczą siebie same i wszystkich których potrafią dosięgnąć, albo też grubiańsko odmawiają wszelkiej pracy. Iluż ludzi w obecnej chwili żyje w stanie prawdziwego uwiązania przy maszynach? Iluż całe swe życie od kołyski do grobu spędza na obsłudze maszyn we dnie i w nocy? Czyż nie jest jasne, że maszyny zagarniają władzę nad nami, gdy zastanowią się nad stale rosnącą liczbą tych, co przywiązani są do maszyn jako ich niewolnicy, oraz tych, co dusze swe poświęcają dla postępu królestwa maszyn?

Maszyna parowa musi być karmiona i trawi ona swe pożywienie ogniem, tak samo jak człowiek spożywa swój pokarm; podtrzymuje ona proces utleniania powietrzem, tak samo jak człowiek; ma ona rytmiczny puls i krążenie, tak samo jak człowiek. Można uznać, że z tych dwóch, ciało człowieka jest bardziej wszechstronne, ale ciało człowieka jest rzeczą starszą. Dajcie maszynie parowej choćby połowę tego czasu jaki miała rasa ludzka, dajcie jej również trwanie naszego zaślepienia, a czegoż nie zdoła ona niezadługo dopiąć?

Są naturalnie w maszynie parowej pewne funkcje, które pozostaną niezmienione po dziesiątkach tysięcy lat — w rzeczy samej, które mogą przetrwać, nawet gdy użycie pary zostanie zastąpione czymś innym; tłok i cylinder, suwak, koło rozpędowe, oraz inne detale maszyny będą zapewne trwałe, podobnie jak widzimy że człowiek jak i liczne niższe zwierzęta mają takie same sposoby jedzenia, picia czy spania. Mają one serca, bijące jak nasze, arterie i żyły, oczy, uszy i nosy, nawet wdychają we śnie, płaczą i ziewają, wruszają się swymi dziećmi, czują przyjemność i ból, nadzieję, gniew, lęk, wstyd; mają pamięć i przeżycia; wiedzą, że jeśli zdarzą się im pewne rzeczy to umrą i boją się śmierci tak samo jak my. Komunikują one swe myśli jedne drugim, a niektóre z rozważają ze sobą współdziałają. Podobieństwa tego rodzaju są nieskończenie liczne, a przypominam je dlatego, że niektórzy mogliby powiedzieć iż skoro nie zdaje się aby maszyna parowa mogła mieć swe główne szczegóły znacznie zmienione to jest nieprawdopodobne aby w przyszłości uległa ona znacznym modyfikacjom. To byłoby zbyt dobre aby było prawdziwe: będzie ona modyfikowana i dostosowywana do niezliczonych rodzajów potrzeb, tak samo jak człowiek modyfikował się aż przeszedł w zręczności zwierzęta.

A tymczasem, palacz jest prawie tak samo kucharzem dla swej maszyny parowej, jak nasi kucharze dla nas. Weźmy pod

uwagę również węglarzy i górników i kupców węgla i pociągów węglowych i ludzi którzy je obsługują, okręty, które transportują węgiel — cóż to za armię służby te maszyny zatrudniają! Czyż nie więcej jest osób zajętych obsługiwaniem maszyn, niż obsługiwaniem ludzi? Czyż nie my sami tworzymy sobie zastępców w zwierchnictwie nad światem, codziennie pomnażając urodę i subtelność ich budowy, codziennie zwiększając ich zręczność i dodając coraz więcej a więcej owej samoczynnej, samoregulacyjnej władzy, która będzie lepsza niż jakikolwiek intelekt?

Jakże nową rzeczą dla maszyny jest w ogóle pokarm. Plug, rydel czy wóz muszą odżywiać się poprzez żołądek człowieka; pokarm który dostarcza im energii musi spalać się we wnętrzu człowieka lub konia. Człowiek musi spożywać chleb i mięso, bo nie mógłby kopać: chleb i mięso są tym paliwem, które porusza rydlem. Jeżeli plug ciągną konie, to moc dostarcza trawa lub obrok, które spalane w żołądku zwierzęcia dostarczają energię; bez tego paliwa praca ustanie, tak samo jak maszyna parowa zatrzyma się, gdy jej ognisko wygaśnie.

Pewien uczony wykazał, że żadne zwierzę nie może stworzyć energii mechanicznej, lecz że cała praca wykonana przez zwierzę w ciągu jego życia, oraz ciepło które zeń wypromieniuje, wraz ciepłem, które byłoby uzyskane przez spalanie materiałów palnych utraconych przez nie w ciągu życia, oraz przez spalanie ciała po śmierci zsumowane równałoby się dokładnie tej ilości ciepła, jaką można by otrzymać przez spalanie całej żywności zużytej w ciągu życia zwierzęcia. Nie wiem jak on do tego doszedł, ale jest to człowiek nauki. Jakże możemy zatem odmawiać przyszej vitalności maszynom, które w dzisiejszym, dziecinnym swym stadium są na usługach stworzeń, niezdolnych same przez się do wytwarzania energii mechanicznej?

Głównym jednak punktem, na który należy zwrócić uwagę, jako na punkt zatrważający jest to, że podczas gdy poprzednio zwierzęta były wyłącznymi żołądkami maszyn, to obecnie istnieje wiele maszyn, które posiadają własne żołądki i samodzielnie konsumują pożywienie. Jest to olbrzymi krok w kierunku osiągnięcia jeżeli nie żywotności, to jednak czegoś tak zbliżonego do żywotności, że nie różniącego się więcej od naszego własnego życia, niż zwierzęta różnią się od roślin. A chociaż człowiek, pod pewnymi względami pozostałby wyższym stworzeniem, to czyż nie jest to całkowicie zgodne z obyczajami natury, pozostawiającej w pewnych względach wyższość zwierzętom, które na ogół dawno już zostały przewyższone w rozwoju? Czyż nie pozwoliła ona mrówce i pszczołom utrzymać wyższość nad człowiekiem w organizacji społeczeństw i urządzeń komunalnych, ptakom — w szybowaniu w powietrzu, rybom — w pływaniu, koniom — w sile i tężości, a psu — w samopożywieniu?

Niektórzy z tych, co dyskutowali ze mną o tych sprawach, utrzymywali, że maszyny nigdy nie zdołają rozwinąć się w żywotne, lub quasi-żywotne istoty, bowiem nie posiadają one systemu rozmnażania, ani też nie jest prawdopodobne aby go kiedyś



zdobyły. Jeżeli ma to znaczyć, że maszyny nie mogą się kojarzyć i że nie jest możliwe abyśmy kiedyś ujrżeli płodny związek dwóch maszyn parowych, z młodymi igrającymi przy wrotach parowozowni, jakkolwiek mogłoby to być upragnione — to najchętniej to potwierdzam. Ale argument ten nie jest bardzo głęboki. Nikt nie spodziewa się aby wszystkie cechy dziś istniejących systemów zostały dokładnie powtórzone w nowym rodzaju życia. System rozrodczy zwierząt różni się gruntownie od takiego systemu roślin, ale oba są systemami rozrodczymi. Czyżby natura wyczerpała wszystkie możliwości w tej dziedzinie?

Przecież jeżeli maszyna zdolna jest systematycznie reprodukcować inną maszynę, to możemy powiedzieć, że ma ona system rozrodczy. Czymże jest system rozrodczy, jeżeli nie systemem reprodukcji? A jakże niewiele jest maszyn, które nie byłyby systematycznie reprodukowane przez inne maszyny. Oczywiście, to człowiek jest tym, który je do tego skłania. Tak. Ale czy nie jest owad tym czynnikiem, który wiele roślin czyni reproduktywnymi i czyż całe rodziny roślin nie wygasłyby całkowicie, gdyby ich zapładnianie nie było dokonywane przez różne czynniki całkowicie im obce? Czyż ktokolwiek może mówić że koniczyna czerwona nie posiada systemu rozrodczego ponieważ szerszeń (i tylko szerszeń) musi skłaniać ją i pomagać aby mogła się ona rozmnażać? Nikt. Szerszeń jest współczynnikiem systemu rozrodczego koniczyny. Każdy z nas samych rozwinął się z małych żyjątek, których istota była całkowicie różna od naszej i które postępowały po swojemu nie myśląc i nie licząc się z tym, co my możemy o tym sądzić. Te małe stworzonka są współczynnikami naszego własnego systemu rozrodczego, czemuż zatem my sami nie moglibyśmy być współczynnikami takiegoż systemu maszyn?

Ale maszyny, które rozmnażają mechanizmy nie rozmnażają maszyn swego własnego rodzaju. Naparstek może być zrobiony przez maszynę, ale nigdy nie będzie zrobiony i nigdy nie zrobi naparstka. Tu również, jeżeli zwrócimy się do natury, to znajdziemy obfite przykłady analogii, które pouczają nas że system rozmnażania może być w pełni rozwinięty, a mimo to istota reprodukowana nie będzie tego samego rodzaju co reprodukcująca. Bardzo niewiele stworzeń reprodukuje stworzenia swego rodzaju: reprodukcją one zazwyczaj coś, co potencjalnie posiada zdolność stania się tym, czym byli jego rodzice. Tak więc motyl składa jajko, które to jajko może stać się gąsienicą, która to gąsienica może się stać poczwarką, która to poczwarka może się stać motylem. A choć chętnie przyznaję, że o maszynach nie można powiedzieć aby miały one obecnie coś więcej niż załączek systemu rozmnażania, to jednak czyż nie widzieliśmy iż dopiero ostatnio uzyskały one załączki ust i żołądka? I czyż nie może nastąpić jakiś zwrot w kierunku rzeczywistego rozmnażania, równie decydujący jak ten, który niedawno zjawiał się w kierunku rzeczywistego odżywiania?

Możliwe, że system ten gdy się rozwinie, to w wielu wy-

padkach pozostanie czynnością delegowaną. Płodne mogą być tylko pewne klasy maszyn, podczas gdy inne będą wykonywać inne funkcje w świecie mechanicznym, podobnie do znacznej większości mrówek i pszczoł, które nie mają nic do czynienia z kontynuowaniem swych gatunków, a jedynie zbierają pożywienie bez jakiegokolwiek myśli o rozmnażaniu. Nie można spodziewać się aby analogia była doskonała czy nawet prawie doskonała, ale czyż nie mamy dość istniejących obecnie analogicznych przykładów aby nas wprawić w poważne zaniepokojenie o przyszłość i uczynić naszym obowiązkiem zahamowanie zła, póki to jeszcze da się uczynić? Maszyny, w pewnych granicach, mogą rozmnażać maszyny jakiegokolwiek klasy, niezależnie od istniejących w nich różnic. Najprawdopodobniej każda klasa maszyn będzie mieć swe specjalne mechaniczne rozplodowce, a wyższe mechanizmy mogą zawiązać swe istnienie większej liczbie rodziców niż tylko dwoje.

Jesteśmy w błędzie uważając skomplikowany mechanizm za jednostkę indywidualną; w istocie jest to gród albo społeczność, której każdy członek był spłodzony wedle swego rodzaju. Patrzymy na maszynę jako na całość, nazywamy ją jakimś imieniem i przez to indywidualizujemy. Spoglądając na nasze własne członki, rozumiemy że ich kombinacja tworzy indywidualność, która wywodzi się z jednostkowego systemu rozmnażania — stąd przyjmujemy założenie iż nie może istnieć inny rodzaj rozmnażania niż wywodzący się z jednostkowego systemu, ale założenie to nie jest naukowe i sam fakt, że żadna maszyna parowa nie była nigdy całkowicie zrobiona przez inną, czy dwie inne tego samego rodzaju nie wystarcza, abyśmy utrzymywali, że maszyna parowa nie posiada systemu rozrodczego. W rzeczywistości każda część maszyny parowej rozmnażana jest przez jej specjalne rozplodowce, których zadaniem jest rozmnażać te części i te jedynie, podczas kiedy kombinowanie tych części w całość stanowi odrębny dział mechanicznego systemu rozmnażania, który dziś jest tak bardzo skomplikowany, że trudno go dostrzec w całości.

Skomplikowany dziś, ale o ileż prostszy i bardziej zrozumiały zorganizowany stać się on może w ciągu następnych stu tysięcy lat? Lub może dwudziestu tysięcy? Albowiem człowiek wierzy dziś że w jego interesie leży ten rozwój; poświęca on nie obliczalną ilość pracy, czasu i myśli na to aby umożliwić rozmnażanie się maszyn w coraz lepszej i doskonalszej postaci. Już teraz udało mu się osiągnąć wiele z tego, co niegdyś wydawało się nieosiągalne, a nie ma bodaj granic dla skutków nagromadzających się ulepszeń, jeżeli umożliwi się im przechodzenie z pokolenia na pokolenie. Zawsze musimy pamiętać, że ciało człowieka jest tym czym jest dzięki kształtującemu działaniu przypadków i zmian nagromadzonych w ciągu wielu milionów lat, choć ta jego organizacja nigdy nie rozwijała się z szybkością, która choćby w przybliżeniu przypominać może szybkość z jaką rozwijają się maszyny. To jest właśnie cechą najbardziej alarmu-

jącą i to tłumaczy moje, tak częste powracanie do tego punktu".

Tu następowała bardzo długa i nieprzetłumaczalna dygresja na temat różnych ras i rodzin istniejących wówczas maszyn. Pisarz starał się usadzić swą teorię, wskazując istnienie podobieństw pomiędzy wieloma typami mechanizmów o zasadniczo różnym charakterze, co służyło mu do ujawnienia ich pochodzenia od wspólnych przodków. Podzielił on maszyny na rodziny, podrodziny, rodzaje, gatunki, podgatunki i tak dalej. Udowodnił on istnienie ogniw pośrednich pomiędzy rodzajami maszyn, które zdawały się nie mieć nic ze sobą wspólnego, oraz wykazał że istniało dużo więcej podobnych form przejściowych, które obecnie wyginęły. Wskazał on na istnienie tendencji do atawizmu, oraz na obecność organów szczątkowych, istniejących w wielu mechanizmach, które nierozwinięte i całkowicie bezużyteczne, służą przecież aby wykazać pochodzenie od przodka, dla którego organa te były rzeczywiście użytkowe.

Tę część traktatu, która zresztą była znacznie dłuższa niż przytoczone wyżej fragmenty, zostawiłem sobie do tłumaczenia przy późniejszej okazji. Niestety, opuściłem Erewhon zanim miałem możliwość powrócić do tego zadania, a choć z narażeniem życia udało mi się ocalić swe tłumaczenie i inne dokumenty, to jednak zmuszony byłem poświęcić oryginał pracy. Serce mi krwawiło gdy to czyniłem, ale przez to zyskałem dziesięć minut bezcennego czasu, bez którego oboje, Arowhena i ja musieliśmy niezawodnie zginąć.

(Z oryginału przełożył i wstępem opatrzył J. HORZELSKI)



POMOC DO POLSKI LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Katalog 100 popularnych paczek
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)
na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze
wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

— 121, Earls Court Road, London. S.W.5.

Telefon: FREmantle 7888/9

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

MOJŻESZ I ARON

Napisana przed ćwierć wiekiem opera Schönberga „Mojżesz i Aron” została po raz pierwszy wystawiona na scenie 6 czerwca 1957, staraniem zuryskiego teatru miejskiego, w ramach dorocznego festiwalu międzynarodowego towarzystwa nowej muzyki.

Libretto, pióra kompozytora, jest rodzajem dramatycznego trialogu na temat religijno-filozoficzny, między Mojżeszem, Aronem i wieloosobowym ludem Izraela. Trzeba wrócić pamięcią daleko wstecz, do czasów baroku, aby znaleźć podobny temat przedstawiony w formie opery. Zarówno libretto jak muzyka „Mojżesza i Arona” zrywają z blisko stuletnią tradycją opery narodowej o motywach zaczerpniętych z folkloru.

W ogromnej większości granych dziś oper libretto zajmuje miejsce podrzędne; słów jego nie słychać; słuchaczom wystarcza ogólna znajomość intrygi wiążącej poszczególne sceny. Inna rzecz gdy chodzi o temat filozoficzny. W „Mojżeszu i Aronie” tekst ten jest nadto komentarzem autorskim, ukazującym w szerokiej perspektywie główne aspekty muzyki schönbergowskiej: jej intelektualizm, hermetyzm, zimny ogień jej atonalności i magię liczb systemu dwunastotonowego.

Libretto idzie z gruba za opowieścią biblijną, nadaje jej wszakże pewien szczególny sens, wiążący ją z wewnętrznymi zagadnieniami twórczości Schönberga. Akcja rozpoczyna się powołaniem Mojżesza:

MOJŻESZ:

*Jedyny, wieczny, wszechobecny,
Niewidzialny, niewyobrażalny Boże!*

GŁOS:

*Zdejm buty, dość już chodziłeś;
Stoisz na poświęconej ziemi;
Obwieszczaj prawdę!...*

MOJŻESZ:

*Język mój jest nieudolny:
Mogę myśleć tylko, lecz nie mówić.*

GŁOS:

*Oświęcę Arona, aby był twymi ustami.
Będziesz mówił przez niego,
Jak ja przez ciebie.*

Schönberg wierzył również w swe powołanie. „Jestem tylko tubą do głoszenia pewnej idei”, oświadczył dziennikarzom lądując w Ameryce w 1933. O tekście do „Mojżesza i Arona” pisał do Albana Berga: „Zarówno moja myśl główna jak i myśli uboczne, wypowiedziane wprost lub przez aluzję, są tak związane z moją osobą, że uważam za wykluczone, aby Strindberg mógł napisać coś chociażby zewnętrznie podobnego”. Nie omylimy się więc wiążąc reminiscencje biblijne libretta z problematyką artystyczną autora.

Już w pierwszym spotkaniu Mojżesza z Aronem zaznacza się przeciwstawność obu postaci:

MOJŻESZ:

*Lud, wybrany aby wiedzieć niewidzialne
I myśleć to, czego sobie nie można wyobrazić.*

ARON:

*Czy lud wybrany przez Jedyne może kochać to,
Czego nie może sobie wyobrazić?*

W następnej scenie obaj prorocy stoją przed zgromadzonym ludem, pełnym obaw i wątpliwości.

CHÓR KOBIET:

Nowy Bóg — nowe ofiary.

MĘŻCZYŻNA:

Czy nowy Bóg jest aby silniejszy od faraona?

CHÓR:

Nowy Bóg również nam nie pomoże.

Między ludem i Mojżeszem stoi oderwany, niedostępny dla wyobraźni charakter jego Boga:

CHÓR:

*Modlić się? Do kogo? Gdzie on jest?
Nie widzimy go. Gdzie on jest?
Czy wygląda łagodnie czy srogo?
Czy mamy go kochać czy bać się?*

ARON:

*Zamknijcie oczy! Zatkajcie uszy!
Tylko tak możecie go widzieć i słyszeć.
Nikt z żyjących nie widzi go i nie słyszy inaczej.*

CHÓR:

*Nigdy nie można go widzieć?
Jest zawsze niewidzialny?*

CHÓR KOBIET:

*Jakto? Czy twój wszechmocny Bóg
Nie może się stać dla nas widzialny?*

Mojżesz czuje się bezsilny. Z całego ludu tylko dwoje młodych i jeden dorosły zdają się go rozumieć.

MOJŻESZ:

*Boże wszechmocny, nie mam już sił.
Myśl moja w ustach Arona jest bezsilna.*

Aron ucieka się do cudów, które rozpraszają częściowo nieufność ludu.

Drugi akt — opera składa się z dwóch aktów — zaczyna się od sceny oczekiwania Mojżesza u stóp góry objawienia. Lud niecierpliwi się. Obcy zajmują najlepsze pastwiska, mnożą się zatargi i przestępstwa.

70 STARSZYCH:

*Przemoc panuje!
Występek jest bezkarny,
Cnota nienagrodzona!
Czterdzieści dni czekamy na próżno
Przed tą górą.*

Aron nie umie opanować zwątpienia i niecierpliwości ludu. Nie wie zresztą sam jaki los spotkał Mojżesza, gdy stanął przed obliczem surowego Boga. Wreszcie decyduje się:

ARON:

*Ludu Izraela!
Oddaję wam dawnych bogów,
A im was,
Jak tego chcieliście.*

CHÓR:

*Ciesz się ludu Izraela, ciesz!
Bogowie naszych oczu i zmysłów,
Wassa słodka widzialność i obecność
Daje nam bezpieczeństwo...
Bogowie bliscy naszym uczuciom,
Bogowie, których całkowicie rozumiemy...*

Na scenę wnoszą złotego cielca. Lud zdąża ku niemu ze wszystkich stron, niosąc ofiary: złoto, zboże, wino, oliwę. Rzeźnicy szlachtują wołu i rozdają półcie mięsa. Lud przygotowuje się do wieczerzy. Przed złotym cielcem ukazują się książęta stojący na czele szczepów.

EFRAIMITA:

*Wolny pod panowaniem własnych książąt
Lud korzy się tylko przed bogami
Okazującymi siłę w rządzeniu.
Książęta, schylcie ze mną czoło
Przed tym obrazem sił uporządkowanych.*

Młody człowiek, który sam jeden pozostał wierny nowemu Bogu, usiłuje odwieść lud od bałwochwalstwa, lecz zostaje zabity.

Resztę aktu wypełniają szybko zmieniające się obrazy szaleństwa ludu. Pod panowaniem złotego cielca wzrastają zamożność i zbytek, a z nimi egzaltacja. Grupa nagich dziewcząt składa swą krew w ofierze cielcowi. Widok ofiar ludzkich daje początek ogólnej bachanalii, w końcu której lud ogarnia szal zniszczenia. Wśród połamanych sprzętów jedni tańczą, drudzy przebijają się mieczami lub rzucają w ogień. Wreszcie wszystkich ogarnia znużenie i sen.

W tym miejscu ukazuje się Mojżesz z tablicami praw w ręku.

MOJŻESZ:

Aronie, coś uczynił?

ARON (spokojnie):

*Nic nowego!
To tylko, co było zawsze moim zadaniem:
Gdy twoja myśl nie stawiała się słowem,
A moja obrazem,
Zostawało mi tylko dokonać cudu
Dostępnego ich oczom i uszom...*

MOJŻESZ:

*Czy nie przeczuwasz potęgi myśli
Władającej słowami i obrazami?*

ARON:

*Rozumiem to tak:
Lud ten musi być zachowany,
Ale lud umie tylko czuć.
Kocham ten lud, żyję dlań
I chciałbym go zachować przy życiu.*

MOJŻESZ:

*Ale dla zachowania myśli!
Kocham moją myśl
I żyję dla niej.*

Mojżesz, zrozpaczony, rozbija tablice praw. Przez chwilę na pustej scenie widać tylko szczątki złotego cielca, rozbite tablice i dwóch głęboko poróżnionych proroków.

W głębi ukazuje się chór idący za ognistym słupem.

ARON:

*Znak boski, jak płonący krzak.
Przedwieczny nie ukazuje się w nim,
Ale wskazuje drogę do siebie
I do ziemi obiecanej.*

MOJŻESZ:

*Niewyobrażalny Boże!
Niewymowna, wieloznaczna myśli!
Czy pozwalasz się w ten sposób tłumaczyć?
Czy wolno Aronowi, który miał być moimi ustami,
Tworzyć takie obrazy?...
Cała więc moja myśl...
Była tylko szaleństwem!
O słowo, słowo, którego mi brak!
(pada na ziemię)*

W tym miejscu milkną instrumenty i w orkiestrze słychać tylko jeden ton — fis — trzymany długo przez skrzypce solo i gasnący powoli.

„Mojżesz i Aron” są dramatem muzycznym, mającym własne środki wyrazu, z którymi powyższy tekst może mieć tylko luźny związek. Pisząc go, Schönberg zamierzał zapewne dać pojęcie o ogólnym klimacie swej muzyki i wskazać słowa, w jakich należy o niej mówić.

Wskazówki te mają dziś ograniczone, raczej historyczne znaczenie. Schönberg był jednym z głównych twórców współczesnej muzyki atonalnej, kroczący śmiało od innych na nową drogę. Z prób tych powstała tymczasem cała nowa *materia musica*, zaprzatająca w tej chwili wyobraźnię niezliczonych kompozytorów oraz ich wykonawców i słuchaczy, materia plastyczna, naginająca się do wszystkich pomysłów.

Przytoczone wyżej fragmenty libretta dają nam przede wszystkim pewne pojęcie o wymaganiach, jakie Schönberg stawiał swej muzyce, intelektualnej i hermetycznej. W dialogach między Mojżeszem i Aronem myśl przeciwstawia się wciąż słowom i obrazom. Mojżesz odrzuca je od siebie, tolerując je chwilami jako środek porozumiewania się z ludem, będącym z kolei tylko środkiem dla zachowania myśli. „Moja główna myśl... jest tak związana z moją osobą”, pisał o tym tekście Schönberg; wolno więc wnosić, że muzyka jego miała być przede wszystkim wyrazem myśli, o której mówi Mojżesz.

Czy język muzyki może w ogóle wyrażać myśl? Nasz język potoczny również mało się do tego celu nadaje. Wiemy o tym z trudności, z jakimi walczy filozofia w poszukiwaniu odpowiedniej dla siebie terminologii. Schönberg stawia więc sobie zadanie na miarę tytanów, zapewne niewykonalne. Samo sformułowanie jego jest wątkiem tragicznym o największym napięciu. Schönberg nie ułatwia sobie zadania; piętrzy przed sobą wymagania najsłabsze, jak gdyby w przekonaniu, że żadne inne mu nie wystarczą. Jego „niewymowna” myśl ma być zarazem „nie-wyobraźalną” Bogiem.

Potoczny język muzyczny nie wystarcza rzecz prosta dla wyrażenia takiej myśli. „Lud umie tylko czuć”, mówi Aron; bogiem „bliskim naszym uczuciom” jest według chóru złoty cielec. Uczucia ludu wyrażają się w dur i moll, w szale dionizyjskim prowadzącym do szaleńczej zagłady. Myśl stawiająca sobie najwyższe wymagania musi posiadać surowszą dyscyplinę.

W ostatniej scenie Mojżesz upada wprawdzie pod brzmieniem własnych wymagań, nie znalazłszy wyrazu dla swej myśli — „słowo, słowo, którego mi brak!” — ale katastrofa jego nie jest odstępstwem ani kapitulacją.

W „Mojżeszu i Aronie” istnieje na pozór pewna sprzeczność wewnętrzna. Stworzony przez Schönberga język, intelektualny i hermetyczny, poddany surowej dyscyplinie liczby, mieni się tu barwami fajerwerków i, przeznaczony do wyrażania myśli — służy oddawaniu dramatycznego napięcia. Być może jest w tym istotnie pewna sprzeczność. Być może Schönberg jest zarazem Mojżeszem i Aronem, ale sprzeczność ta nie ogranicza się do jego opery, lecz towarzyszy mu w wielu innych utworach.

Muzyka Schönberga jest cała pełna napięcia, występującego wyraźnie w interpretacji najbardziej powołanych wykonawców. Mniej wtajemniczeni zachowują pewną sztywność, posuwając się ostrożnie po dodekafonicznej linii w obawie posądzenia o brak

intelektualizmu. W miarę rozpowszechnienia się jego muzyki braki te zostaną zapewne wyrównane.



Motywy religijne występują także w innych kompozycjach Schönberga. Największy znawca jego twórczości, berliński profesor H. Stuckenschmidt, sądzi, że Schönberg posiadał świadomość swego posłannictwa w sensie religijnym, i że najśmielsze innowacje wprowadzał do swych utworów niejako z wyższego rozkazu, niemal mimowoli.

Ten aspekt muzyki Schönberga przypomina mi refleksję słyszaną niegdyś z ust mułły wszechrosyjskiego Musa Bikiejewa. Liczba proroków, mówił, nie jest zamknięta. Nie wiadomo również czy prawda objawiona im przez Allaha da się opisać w słowach, jak to miało miejsce u proroków poprzednich. Bo czy słowo jest najlepszym środkiem dla przekazania tego co daje obcowanie z Bogiem? Przyszli prorocy będą się być może posługiwali w tym celu językiem muzycznym, i Beethoven na przykład daje pewne pojęcie o istniejących w tym kierunku możliwościach.

Nie wiem czy przykład ten był dobrze wybrany. Beethoven wydaje mi się bardzo świecki, lecz co powiedziałby Musa Bikiejew słysząc Schönberga?

Paweł HOSTOWIEC

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.

W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:

Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

TOM XXVI

Biblioteki " KULTURY "

JAN WINCZAKIEWICZ

IZRAEL W POEZJI POLSKIEJ

Antologia

Część I. — Z KSIĄG PISMA ŚWIĘTEGO.

Część II. — WIECZNI TUŁACZE.

Część III. — OFIAROM HITLERYZMU.

Część IV. — ZIEMIA OBIECANA.

Część V. — Z POEZJI LUDOWEJ.

Część VI. — FRASZKI, SATYRY.

Antologia zawierać będzie ponad 170 utworów 110-ciu autorów, od Jana Kochanowskiego do poetów współczesnych.



Antologię tę traktujemy jako akt moralny i polityczny, na miarę naszych środków. Nic nie zdoła przekreślić wielowiekowej obecności Żydów na ziemiach Rzeczypospolitej. Jeżeli budowle i dokumenty uległy przeważnie zniszczeniu, to ślad pozostawiony w literaturze jest niezatarty. Przybijające w Polsce na siłę tendencje szowinistyczne, będące owocem polityki ubiegłych lat dwunastu, znajdują nieraz ujście w niechęciach rasowych, podsycanych przy tym celowo przez wpływy wschodniego sąsiada. W tych warunkach każdy głos protestu przeciwko fali sarmatyzmu i ciemnoty ma znaczenie. Głosów takich z Polski słyszymy niewiele, są one ostrożne i lękliwe. Dlatego postanowiliśmy wydać antologię która przypomina, że w dorobku polskich poetów na przestrzeni dziejów nigdy nie brakło utworów poświęconych troskom, problemom i tragediom ich żydowskich współobywateli. Całkowity dochód ze sprzedaży książki ofiarujemy na pomoc Żydom-repatriantom ze Związku Sowieckiego.

O Leninie

1. — ŻYWY CZŁOWIEK CZY POSĄG Z BRĄZU

Niewielu jest dziś ludzi na Ziemi, którzy by nie znali imienia Lenina. Dla jednych imię to łączy się z nadzieją na lepszą przyszłość, koniec wszelkich trosk i kłopotów, nastanie raju na ziemi. Niektórym kojarzy się ze wspomnieniem — czy legendą — o minionych „leninowskich” czasach i lepszym niż dziś życiu. Dla innych znów jest symbolem — lub *memento* — strasznego kataklizmu, przewracającego cały ich świat i życie „do góry nogami”. Liczba pomników Lenina, ze spiżu, marmuru, czy — częściej — po prostu z gipsu, wzniesionych w ciągu ostatnich przeszło trzydziestu lat, przekracza wiele setek, jeśli nie tysięcy. Jego, zabezpieczone przed rozkładem, ciało spoczywa w mauzoleum na Placu Czerwonym — celu licznych pielgrzymek. Na tysiące też liczą się poświęcone Leninowi i jego pamięci „kapliczki” — czerwone „leninowskie kąciki” czy muzea. Dzieła Lenina są wydawane w licznych milionach egzemplarzy i we wszystkich językach świata.

Czy z tego wszystkiego wynika, że człowiek nazywany Leninem oraz myśli i idee, jakie powstawały w swoim czasie w jego umyśle, są naprawdę szeroko znane? Wręcz przeciwnie, od lat bowiem działa potężny i szeroko rozbudowany aparat, którego głównym zadaniem jest fałszowanie zarówno życiorysu i charakterystyki Lenina, jak i jego myśli i czynów. Przez ćwierć wieku Lenin i jego doktryny służyły tylko za tło, na którym wyrastał jego rzekomo „genialny” i najwierniejszy „uczeń i spadkobierca”. W rezultacie wytworzyła się sytuacja, którą w następujący sposób ujmuję w krajowym „Po Prostu” (Nr 13 z 1. 4. 57) Józef Kozłowski :

„Ludzi razi kultowa, niemal że religijna symbolika, jaką otoczono wodza rewolucji, a która w istocie jest zaprzeczeniem dzieła jego życia i walki. Taka ekspozycja nie zbliża ludzi do Lenina, lecz oddala. Odstępstwem od leninizmu w minionym okresie w muzeach leninowskich towarzyszyły liczne zabiegi mumifikacyjne i brązownicze, które zniekształciły wizerunek samej postaci Lenina, jak i jego dziedzictwa rewolucyjnego”.

Tak było w „minionym okresie”. Ale ostatnio rzucono przeciw hasło „powrotu” do „prawdziwego” leninizmu, a więc chyba i prawdziwego Lenina. Nie wpadajmy w zbyt ni optyzmizm. Autor artykułu w „Po Prostu” tak pisze dalej:

„Trzeba powiedzieć jasno: nie ma jeszcze obiektywnych warunków dla pokazania całej prawdy historycznej o Leninie, która ciągle jeszcze zależy od kompleksu innych zagadnień, czekających dotąd na wyjaśnienie sprawy. Dlatego też silnie się na monograficzną ekspozycję skazane jest z góry na niepowodzenie...”

Opinię krajowego autora, że w zasięgu wpływów sowieckich wciąż nie ma „obiektywnych warunków” dla mówienia „prawdy o Leninie”, całkowicie potwierdzają niedawne wydawnictwa Instytutu, zwanego do niedawna „Instytutem Marksa-Engelsa-Lenina-Stalina”, a obecnie prościej: „marksizmu-leninizmu”, przy KC partii w Moskwie. Są to wydane w nakładzie 200.000 egzemplarzy obszerne przeszło 1.000-stronicowe *Wspomnienia o W.I. Leninie*. O I. tomie tych *Wspomnień* moskiewskie *Woprosy Istории* (1957, Nr 1, s. 128), w recenzji pióra W. Pientkowskiej piszą, że „może on pomóc historykom w poprawieniu szeregu poważnych błędów, jakich dopuszczano się w naszej literaturze”. Być może niektóre z „poważnych błędów” — czy raczej świadomych fałszerstw — zakorzenianych od lat w umysłach ogółu o Leninie i leninizmie zostaną istotnie w przyszłości usunięte, ale na pewno nie wszystkie. I, w każdym razie, nie przy pomocy takich wydawnictw. Moskiewska recenzentka bowiem pisze, że zawiera ono „elementy ‘paradności’ i ‘upiększania’ historii”, oraz „wyraża zdziwienie”, że nie zostały w nim zachowane „konieczne elementarne wymogi publikacji”.

Okazuje się, że redaktorzy *Wspomnień o Leninie* obecnie fałszują je wcale nie gorzej, niż to czynili w „minionym” okresie stalinowskim. Recenzentka w *Woprosach Istории* pisze:

„Redaktorzy często przytaczają tylko wyjątki ze wspomnień. Jednakże, włączając wspomnienia w formie skróconej w zbiory, lub przygotowując ich oddzielne wydania, należy dbać o to, aby skróty nie naruszały całkowitości i prawdziwości wspomnień. Jest zrozumiałe, że w pamiętnikach nieuniknione istnieje moment subiektywnego ujmowania rzeczywistości. Redaktor jednak nie powinien według swego rozumienia usuwać tego momentu subiektywności. Jeżeli uważa za konieczne z tych lub innych względów opuszczać poszczególne ustępy, obowiązany jest wskazać to w przedmowie, uwagach itd. Niestety w omawianym zbiorze warunek ten nie został zachowany”.

A zatem dotarcie do „prawdziwego” Lenina i „prawdziwego” leninizmu nie jest i nie będzie rzeczą łatwą. Co więcej, z bie-

giem lat Lenin jest coraz bardziej pozbawiany cech ludzkich i przekształcany w jakiś spiżowy posąg, w dobry lub zły symbol, w mniej lub więcej oderwaną ideę (1). „Prosty jak prawda”, miał rzekomo powiedzieć o Leninie jakiś robociarz z fabryki sormowskiej. Słowa te, zdaniem Pientkowskiej, przychodzą na myśl podczas czytania zbioru wspomnień o Leninie, o jego pracy i walce. Jeśli tak jest, jest to dowodem, że wspomnienia te nie są szczerze ani prawdziwe. Że przeważają w nich „elementy paradności i upiększania”. Aczkolwiek bowiem Lenin był niewątpliwie bardzo wybitnym, być może nawet genialnym w pewnym zakresie człowiekiem, nie był bezcielesnym symbolem, bezgrzeszną ideą. Jako człowiek był on wytworem pewnych warunków, pewnego środowiska społecznego, na które ze swej strony w pewnym stopniu oddziaływał. W wypadku Lenina oddziaływanie to było bardzo poważne, do tego stopnia, że nie będzie przesadą twierdzenie, iż Lenin, jego poglądy i teorie, no i jego cechy osobiste, w dużym stopniu zabarwiały wielki ruch polityczno-społeczny, który w pewnym okresie historii ludzkości odegrał — i odgrywa — znaczną rolę. Co więcej, powiedzieć można, że ruch ten, jako ruch masowy, został wytworzony przez niezwykle upór i konsekwencję Lenina, bezwzględnie przełamującego liczne początkowo trudności i przeszkody. Dlatego też — w początkowym szczególnie okresie — historia i doktryna dzisiejszego sowieckiego komunizmu to były przede wszystkim historia życia i poglądy jednego tylko człowieka — Włodzimierza Iljicza Uljanowa-Lenina.

Jeśli jednak jedna z podstawowych tez marksizmu, iż „byt określa świadomość”, zawiera jakąś odrobinę prawdy, całość warunków rosyjskiego bytu nie mógł nie wywrzeć poważnego wpływu na świadomość i teorie Lenina. Jego długoletni współpracownik i przyjaciel, Grigoryj Zinowiew-Radomyślski (1883-1937) w wydanym w Leningradzie w 1925 roku zbiorze przemówień i artykułów pt. *Lenin*, tak pisał o Leninie:

„Był on Rosjaninem, można powiedzieć, od głowy do stóp. Był wcieleniem Rosji, znał ją i czuł. Pomimo długoletniego wygnania i długich lat życia na emigracji, od niego — jak to się mówi — wiało rosyjskim duchem... On dyszał Rosją, czuł ją, czuł każdy pyłek drogi rosyjskiej, powtarzam: był Rosjaninem od głowy do stóp” (str. 159).

2. — POCHODZENIE I MŁODOŚĆ WŁODZIMIERZA

Włodzimierz Uljanow urodził się 22. IV. 1870 w Symbirsku nad Wołgą, w rodzinie ziemiańsko-urzędniczej: w kilkadziesiąt lat później miały z tego powodu poważne trudności i kłopoty „ankietowe”. Jego ojciec, Ilja, nauczyciel matematyki i fizyki,

(1) Z tych względów najbardziej wiarygodne są opinie i wypowiedzi o Leninie z okresu jego życia lub bezpośrednio po jego śmierci. Z takich też opinii i wypowiedzi przeważnie korzystałem w niniejszej pracy.

a później inspektor i dyrektor szkół ludowych w gubernii sybirskiej, jako cieszący się zaufaniem władz urzędnik, musiał wyznawać poglądy raczej umiarkowane i być wiernym wyznawcą Cerkwi prawosławnej. Z tych to widocznie powodów o ojcu Lenina mało się wspomina w jego urzędowych życiorysach; zmarł on zresztą już w 1886 roku. Dużo większe znaczenie w życiu Lenina odgrywała jego matka, Maria z domu Blank, z rodziny pochodzenia niemieckiego, córka lekarza i właściciela majątku Kokuszki pod Kazaniem. Do matki Lenin był bardzo przywiązany, utrzymywał z nią stały kontakt i ciężko odczuł jej śmierć w 1916 roku.

Włodzimierz był trzecim z kolei z szeciorga rodzeństwa. W domu panowała atmosfera typowo inteligentka: dzieci dużo czytały — powieści (Turgieniew, Gonczarow), poezji (Niekrasow), a później i poważniejszej literatury (Czernyszewski, Michajłowski). Najstarszy brat Lenina, Aleksander (ur. 1866), wielce przez niego lubiany i adorowany, po wyjeździe na uniwersytet do Petersburga, wszedł tam w kontakt z czynnymi rewolucjonistami (miedzy innymi ze starszym bratem Józefa, Bronisławem Piłsudskim), wziął udział w przygotowywaniu zamachu na cara Aleksandra III w 1887 roku, został aresztowany i powieszony (Bronisław Piłsudski zesłany na Syberię). W tym samym roku Włodzimierz zdał w Symbirsku — ze złotym medalem — maturę. Pomimo pewnych trudności ze względu na sprawę brata, dzięki energicznemu poparciu dyrektora gimnazjum, Fiodora Kierenskiego (ojca Aleksandra, późniejszego, obalonego przez Lenina, premiera Rosji), został przyjęty na wydział prawny uniwersytetu w Kazaniu. Tam jednak wziął udział w pierwszych na jesieni rozruchach studenckich, został aresztowany, wydany z uniwersytetu i odesłany pod dozór policji do rodzinnego majątku Kokuszki.

Po rocznym pobycie na wsi, Lenin uzyskał prawo zamieszkiwania w mieście, bez prawa jednak wstąpienia na uniwersytet. Mieszkał wraz z rodziną, najprzód w Kazaniu, następnie w Samarze. Wiele czytał i pracował nad sobą. Gdy w 1891 roku uzyskał pozwolenie na zdawanie jako ekstern egzaminów dyplomowych na uniwersytecie w Petersburgu, egzaminy zdał świetnie i otrzymał dyplom pierwszego stopnia ze złotym medalem. Przez dwa jeszcze lata przemieszczał jako aplikant adwokacki w Samarze, po czym, na jesieni 1893 roku, przeniósł się do Petersburga.

Jeszcze podczas pobytu w Kazaniu i Samarze Lenin prze studiował *Kapitał* Marksa oraz zapoznał się z wymierzoną przeciwko rosyjskim ludowcom („narodnikom”) polemiczną pracą Jerzego Plechanowa: *Nasze Rozbieżności*. Argumenty „naukowego socjalizmu” trafiły mu do przekonania i do Petersburga Lenin przyjechał jako zdecydowany marksista. Przekonaniom swoim dawał wyraz w popularnych wówczas „kółkach”, gdzie też chętnie wygłaszał referaty. Jeden z takich referatów pt. „Kto to są 'przyjaciele ludu' i jak oni wojują przeciwko socjaldemokratom” w 1894 roku został odbity na hektografie i był pierwszą

publikacją Lenina. Cytował on w niej często Marksa i przy końcu dochodził do wniosku, że „człowiekiem przyszłości w Rosji” nie jest chłop, jak twierdzili narodnicy, lecz robotnik („jedyny i naturalny przedstawiciel całej pracującej i wyzyskiwanej ludności”) i że zadaniem socjaldemokratów jest „studiować, propagować i organizować” w celu przekształcenia „rozproszonych, pozbawionych myśli przewodniej, prób protestu, 'buntów' i strajków — w zorganizowaną walkę CAŁEJ rosyjskiej KLASY robotniczej, skierowaną przeciwko reżymowi burżuazyjnemu”.

„Na klasę robotniczą — pisał wówczas 24-letni Lenin — socjaldemokraci skierują całą swą uwagę i jej poświęcają całą swą działalność. Gdy przodujący przedstawiciele tej klasy przyswoją sobie idee socjalizmu naukowego, idee historycznej roli robotnika rosyjskiego, gdy te idee osiągną szerokie rozpowszechnienie i gdy wśród robotników powstaną trwałe organizacje, które przekształcą obecną rozproszoną wojnę ekonomiczną robotników w świadomą walkę klasową — wówczas ROBOTNIK rosyjski, powstając na czele wszystkich elementów demokratycznych, obali absolutyzm i poprowadzi PROLETARIAT ROSYJSKI (obok proletariatu WSZYSTKICH KRAJÓW) prostą drogą otwartej walki politycznej ku ZWYCIĘSKIEJ REWOLUCJI KOMUNISTYCZNEJ”.

Tymi słowy przed sześćdziesięciu trzema laty zakończył Lenin swą pierwszą odbitą na powielaczu pracę. W tym samym 1894 roku w jednym z konspiracyjnych „kółek” poznał swą przyszłą towarzyszkę życia, Nadieżdę Krupską (1869-1939). Czytelnika polskiego zainteresować może, że Krupska część swego dzieciństwa spędziła w Polsce i biegle mówiła po polsku.

Usiłując realizować w praktyce swój program teoretyczny, Lenin w czasie pobytu w Petersburgu starał się rozpowszechniać i popularyzować idee marksistowskie wśród robotników oraz połączyć rozstrzelone dotąd „kółka” marksistowskie w jedną szerszą organizację. Gdy jednak w Petersburgu powstał wreszcie taki szerszy Związek Walki o Wyzwolenie Klasy Robotniczej i zaczął nawiązywać kontakty z podobnymi organizacjami na prowincji, po kilku tygodniach, w grudniu 1895 roku, został przez policję rozgromiony, a jego organizatorzy i czołowi działacze aresztowani. Wśród nich znalazł się również Lenin oraz jego ówczesny przyjaciel, a późniejszy antagonist, Julian Cederbaum, znany następnie pod pseudonimem Martowa (1873-1923).

Podczas 14 miesięcy więzienia i trzech lat zesłania we wsi Szuszenskoje w powiecie Minusińskim na Syberii, Lenin wiele pracował naukowo oraz rozmyślał nad metodami swej przyszłej działalności politycznej. Poza większą pracę *Rozwój kapitalizmu w Rosji*, wydaną w 1899 roku w Petersburgu pod pseudonimem „Iljin”, napisał kilka prac drobniejszych, między innymi broszurę *Zadania socjal-demokratów rosyjskich*. Broszura ta w 1898 roku została wydana drukiem w Genewie przez rosyjską emigracyjną organizację marksistowską *Wyzwolenie. Pracy* pod pseudonimem „Lenin” (ponoć od rzeki Leny, nad którą Lenin był zesłany). Pseudonimu tego odtąd Uljanow zaczął używać stale.

W Szuszenskom Lenin przyjaźnił się z przebywającą tam na zesłaniu rodziną robotnika z Łodzi, Promińskiego, i przy pomocy Krupskiej nauczył się mówić po polsku.

3. — POGLĄDY LENINA NA ZASADY ORGANIZACJI „ZAWODOWYCH” REWOLUCJONISTÓW

W okresie pobytu Lenina na zesłaniu został formalnie zrealizowany jego postulat o połączeniu „kółek” marksistowskich w Rosji w jedną partię. W marcu 1898 roku zjechało się w Mińsku Litewskim dziewięć osób, reprezentujących petersburski „Związek Walki” oraz kilka podobnych organizacji prowincjonalnych (2) i proklamowało powstanie „Rosyjskiej Socjal-Demokratycznej Partii Robotniczej” (RSDPR). Faktycznie organizacja partyjna nie została jednak utworzona, gdyż wszyscy uczestnicy zjazdu zostali wkrótce po jego zakończeniu aresztowani. Pomimo to zjazd w Mińsku przeszedł do historii, jako pierwszy zjazd RSDPR. Jedynym przejawem jego działalności było wydanie napisanej przez Piotra Struwego proklamacji-„manifestu”.

Drugim ważnym wydarzeniem w ruchu socjalistycznym podczas pobytu Lenina na zesłaniu było wydanie w 1899 roku przez Edwarda Bernsteina książki *Przesłanki Socjalizmu i Zadania Socjal-demokracji*, która zapoczątkowała tak zwany „rewizjonizm” marksizmu. W tym samym mniej więcej czasie nastąpił rozłam marksistowskiej organizacji petersburskiej: wydzielili się tam tak zwani „ekonomiści” pod hasłem, że robotnicy-marksieści powinni się ograniczyć do akcji czysto ekonomicznej, pozostawiając walkę polityczną liberalno-burżuazyjnej inteligencji. Lenin na Syberii pilnie śledził rozwój wypadków w świecie i wszystkie te wiadomości bardzo go poruszały. Dużo myślał nad metodami przyszłej działalności: dotychczasowe w rosyjskich warunkach w praktyce całkowicie zawodziły. Doszedł do wniosku o konieczności stworzenia — ewentualnie zagranicą — stałego pisma, rozwijającego i popularyzującego idee ortodoksalnego marksizmu, zwalczającego wszystkich „heretyków” i „rewizjonistów” i wytworzącego w ten sposób podstawy dla przyszłej organizacji w skali ogólnorosyjskiej. W tym celu, po upływie terminu zesłania w 1900 roku, w porozumieniu z wyżej wspomnianym Martowem oraz Aleksandrem Potresowem (1869-1934) podjął kroki w celu wspólnego wyjazdu zagranicę.

Zagranicą, na emigracji, już od 1883 roku istniała organizacja rosyjskich marksistów pod nazwą „Wyzwolenie Pracy”. Składała się przeważnie z rozczarowanych byłych „narodników”

(2) Wśród nich było trzech przedstawicieli żydowskiego Bundu oraz jeden Polak, Kazimierz Petrusiewicz, ówczesny student, a późniejszy — za czasów polskich — wybitny adwokat wileński. Po wejściu wojsk sowieckich do Wilna w 1939 roku mecenas Petrusiewicz został, jako jeden z pierwszych aresztowany, lecz po krótkim pobycie w więzieniu zwolniony. Fakt udziału jego w zjeździe mińskim odegrał przy tym pewną rolę.

jak na przykład głośna w swoim czasie w całym świecie terrorystka Wiera Zasulicz (1851-1919). Jej uznanym przywódcą był Jerzy Plechanow (1856-1918), również były „narodnik”, a później teoretyk marksizmu o sławie światowej. Z organizacją tą, i osobicie z Plechanowem, Lenin nawiązał kontakt jeszcze przed zesłaniem, podczas pierwszego krótkiego pobytu zagranicą w 1895 roku. Na wiosnę 1900 roku, na zwołanym w Szwajcarii zjeździe rosyjskich organizacji i kółek socjaldemokratycznych, organizacja Plechanowa wypowiedziała się przeciwko „rewizjonizmowi” i „ekonomizmowi”, znalazła się jednak w mniejszości. Dlatego też wielkim dla niej sukcesem był przyjazd z Rosji trzech młodych zdolnych ludzi z konkretnym, zakrojonym na szeroką skalę, planem działalności. Jednakże już podczas pierwszych rozmów Lenina i Potresowa (Martow wyjechał z Rosji o kilka miesięcy później), w Genewie, w sierpniu 1900 roku, z Plechanowem, Zasulicz i Pawłem Akselrodem-„Starowierem” (1850-1928) doszło pomiędzy nimi do poważnych scysji osobistych i projektowana gazeta „Iskra” omal nie zgasła” (Ob. Lenin, *Dzieła*, wydanie polskie, tom IV, str. 351. W dalszym ciągu to wydanie *Dzieł* będzie cytował, podając tylko rzymską liczbę tomu i arabską strony). Ostatecznie jednak skończyło się faktycznym zwycięstwem młodych i, w szczególności, Lenina: do utworzonej redakcji *Iskry* weszli wprawdzie wszyscy sześcioro, ale miała być ona wydawana w Niemczech, a nie pod okiem Plechanowa w Genewie.

W napisanym przez Lenina komunikacie o zamierzonym wydawnictwie była mowa o tym, że jego celem jest doprowadzenie do „ideologicznego zjednoczenia socjal-demokratów rosyjskich”, ale „zanim się zjednoczymy i po to, aby się zjednoczyć, musimy najpierw stanowczo i wyraźnie odgrodzić się jedni od drugich” (IV, 374). Być może w związku z tym, i dla całości obrazu wczesnych poglądów Lenina, należy tu również przytoczyć inne zdania, napisane przez niego jeszcze na zesłaniu w 1899 roku:

„Wiemy, że za te słowa spadnie na nas grad oskarżeń: rozlegnie się wrzask, że chcemy przekształcić partię socjalistyczną w zakon ‘prawowiernych’, którzy prześladowają ‘heretyków’ za odstępstwo od ‘dogmatu’, za wszelkie samodzielne zdanie itp. Znamy te wszystkie modne, zjadliwe frazesy. Nie ma w nich jednak ani krzty prawdy i ani krzty sensu” (IV, 217).

Dziś, na podstawie historycznego doświadczenia, nie wydaje się, aby to ostatnie twierdzenie odpowiadało obiektywnej prawdzie. Zresztą z zarysowanego w komunikacie o wydawnictwie *Iskry* podwójnego programu Lenin w praktyce najskuteczniej realizował jego część drugą: radykalnie się „odgradzał” kolejno od niemal wszystkich swoich najbliższych współpracowników.

Pierwszy numer *Iskry* wyszedł w grudniu 1900 roku w Lipsku, następnie wychodziły w Monachium, potem od kwietnia 1902 roku w Londynie. W Londynie też Lenin po raz pierwszy spotkał się z młodszym od niego o dziewięć lat Lwem Bronstejnem-Trockim (1879-1941) i, pomimo zastrzeżeń Plechanowa, wciągnął go do współpracy w *Iskrze*. Lenin bowiem był faktycznym re-

daktorem *Iskry* i wraz z sekretarzem redakcji, Krupską, przeniósł się z wydawnictwem z miasta do miasta. Inni członkowie redakcji, mieszkając gdzie indziej, z natury rzeczy mieli wpływ na gazetę bardziej ograniczony. Wprawdzie wewnątrz zespołu redakcyjnego wynikały częste nieporozumienia i scysje, do otwartego konfliktu nie doszło, pomimo, że od wiosny 1903 roku *Iskra* została przeniesiona do Genewy.

Obok bieżącego materiału politycznego *Iskra* poświęcała wiele miejsca sprawom teoretycznym i organizacyjnym. W jej Nr. 21 został ogłoszony projekt programu partyjnego, pióra Plechanowa. Lenin ogłaszał do tego projektu swoje uwagi, głównie jednak interesowały go w owym okresie zagadnienia praktyczno-organizacyjne: „*Co robić*”, „*Od czego zacząć?*”. Pod drugim tytułem Lenin napisał artykuł do Nr. 4 *Iskry*, pod pierwszym — zapożyczonym od Czernyszewskiego — obszerną broszurę, wydaną w marcu 1902 roku. W obu tych utworach ujawniły się wyraźnie jego specyficzne poglądy na zasady organizacji partii. W obu też wystąpiły pewne wpływy, jeżeli nie teorii, to praktyki, rosyjskich „narodników”.

Jeszcze na zesłaniu w 1899 roku, szkicując swój „*Projekt programu naszej partii*”, Lenin pisał:

„Socjaldemokraci rosyjscy zawsze uznawali konieczność wyodrębnienia z doktryny i kierunku narodnickiego jego strony rewolucyjnej i przejścia jej” (IV, 256).

W artykule „*Od czego zacząć?*” między innymi stwierdzał:

„Zasadniczo nie wyrzekaliśmy się nigdy i nie możemy wyrzekać się terroru. Jest to jedno z działań wojennych, które może być zupełnie przydatne, a nawet konieczne w pewnym momencie boju, przy pewnym stanie armii i w pewnych warunkach... Przy braku centralnej i słabości lokalnych organizacji rewolucyjnych... z całą stanowczością ogłaszamy taki środek walki... za niewczesny, niecelowy, odciągający najbardziej aktywnych bojowników od ich istotnego, najważniejszego w interesie całego ruchu zadania” (V, 15).

Z dalszego ciągu artykułu wynikało, że za to „istotne, najważniejsze zadanie” Lenin uważał:

„utworzenie sieci lokalnych agentów jednolitej partii, agentów utrzymujących nawzajem żywe stosunki, znających ogólny stan rzeczy, przywykających do wykonywania poszczególnych funkcji działalności ogólnorozyjskiej... „Owa sieć agentów będzie kośćcem takiej właśnie organizacji, jakiej nam potrzeba: dostatecznie wielkiej, aby ogarnąć cały kraj; dostatecznie szerokiej i wszechstronnej, aby przeprowadzić ściśle i wszechstronny podział pracy; dostatecznie konsekwentnej, aby umieć przy wszelkich okolicznościach, przy wszelkich ‘zwrotach’ i niespodziankach nieugięcie prowadzić swoją działalność; dostatecznie giętkiej, aby umieć, z jednej strony uchylić się od boju w otwartym polu z przytłaczającym swą siłą nieprzyjacielem, gdy skupił on w jednym punkcie wszystkie siły, a z drugiej, aby umieć korzystać z nieobrotowości tego nieprzyjaciela i nacierać na niego tam, gdzie najmniej spodziewane jest natarcie” (V, 20).

Takim to rozważaniom taktycznym i zagadnieniom praktyczno-organizacyjnym był poświęcony artykuł Lenina z 1901 roku. O artykule tym, po śmierci Lenina, jego długoletni współpracownik i przyjaciel, Zinowiew, mówił, że zawarta już w nim była „kwintesencja bolszewizmu” (Lenin, str. 16), czyli cała istota leninizmu. Trzydzieści parę lat później w *Prawdzie* z 22 kwietnia 1957 roku podobną opinię wypowiedział Mołotow (3) o broszurze z 1902 roku, gdzie zresztą Lenin szerzej rozwijał swe myśli z artykułu „*Od czego zacząć?*”.

W broszurze *Co robić?* Lenin domagał się wytworzenia scentralizowanej, „silnej” i ściśle zakonspirowanej organizacji „zawodowych rewolucjonistów”, wołając: „dajcie nam organizację rewolucjonistów — a poruszmy z posad Rosję!” (V, 513). Domagając się takiej organizacji, Lenin bynajmniej nie ukrywał, iż wzoruje się przy tym na organizacji stworzonej przez rewolucjonistów rosyjskich z okresu przedmarksistowskiego. Przeciwnie pisał otwarcie, że:

„ta wspaniała organizacja, którą mieli rewolucjoniści lat 70-tych nam wszystkim powinna byłaby służyć za wzór”. „Widzieć w bojowej organizacji rewolucyjnej coś specyficznego narodowolskiego jest niedorzecznością i historyczną i logiczną, albowiem wszelki kierunek rewolucyjny, jeśli tylko myśli o poważnej walce, bez takiej organizacji obejść się nie może” (V, 521). „Tylko najbardziej rażące niepojmowanie marksizmu (albo ‘pojmowanie’ go w duchu ‘struwizmu’) — pisał Lenin w dalszym ciągu broszury — mogło zrodzić pogląd, że powstanie masowego, żywiołowego ruchu robotniczego *uwalnia* nas od obowiązku stworzenia organizacji rewolucjonistów równie dobrej jak ta, którą mieli ziemle-wolcy, stworzenia jeszcze nieporównanie lepszej” (V, 522).

I dalej:

(3) Oto kilka wyjątków z artykułu Mołotowa *O Leninie* w Nr. 112 *Prawy* z 22. 4. 1957. „Minęło już 55 lat od chwili ukazania się *Co robić?*, ale i obecnie nie można stać się świadomym i dojrzałym komunistą bez przestudiowania tej teoretycznej pracy Lenina. Jeśli chodzi o zasadnicze ideologiczne zagadnienia ruchu komunistycznego, zarówno nasza partia, jak i partie komunistyczne innych krajów nie mają bardziej pewnej podstawy ideologicznej, niż *Co robić?*...”

W leninowskiej broszurze *Co robić?* jest przedstawiony dalszy rozwój idei marksizmu odnośnie partii komunistycznej. W chwili ukazania się tej broszury Marks i Engels już nie żyli, zaś zagadnienie partii proletariackiej nowego typu — takiej partii, która by mogła stanąć na czele klasy robotniczej w rewolucyjnej walce o zwycięstwo socjalizmu — stało się najważniejszym życiowym zagadnieniem dla klasy robotniczej nie tylko w naszym kraju. W swojej broszurze *Co robić?* Lenin jasno postawił zagadnienie: jaką powinna być nasza partia w owym okresie, jeszcze w warunkach caratu, a jednocześnie ustalił ideologiczne podstawy dla ruchu komunistycznego nie tylko w naszym kraju, lecz każdej partii komunistycznej w epoce imperializmu. Leninowskie idee z *Co robić?* oświetlają drogę międzynarodowemu ruchowi komunistycznemu i świecą niegasnącym światłem również i w naszych czasach”.

„konspiracyjność jest tak dalece koniecznym warunkiem istnienia takiej organizacji, że wszystkie pozostałe warunki (liczba członków, ich dobór, funkcje itp.) powinny być do niej dostosowane” (523). „Szeroki demokratyzm organizacji partyjnej w mrokach samowładztwa, pod panowaniem dokonywujących selekcji żandarmów, jest tylko częścią i szkodliwą zabawką” (526). „Jedyną poważną zasadą organizacyjną dla działaczy naszego ruchu powinna być: najsurowsza konspiracja, najsurowszy dobór członków, przygotowywania rewolucjonistów zawodowych” (528). „Taka potężna i ściśle tajna organizacja, koncentrująca w swych rękach wszystkie nici działalności konspiracyjnej, organizacja z konieczności centralistyczna” (523)... „będzie właśnie gotowa na *wszystko*, poczynając od ratowania honoru, autorytetu i ciągłości partii w chwili największej ‘depresji’ rewolucyjnej, kończąc zaś na przygotowaniu, wyznaczeniu i przeprowadzeniu *ogólnonarodowego powstania zbrojnego*” (567. — *Wszystkie podkreślenia Lenina*).

Najsurowsza konspiracja, najsurowszy dobór członków, oparcie się na „rewolucjonistach zawodowych” (w praktyce przeważnie nie robotnikach, lecz inteligentach lub półinteligentach), wytworzenie „sieci agentów”, dostatecznie „giętkich”, by umieć dostosować się do wszelkich „zwrotów” i „niespodzianek”, włączenie ich do „potężnej i ściśle tajnej” „z konieczności centralistycznej” organizacji, nie wyrzekającej się „terroru” i zdecydowanej „na wszystko” — zaiste nie mało zasad nieznanych dotąd klasycznemu marksizmowi i nie stosowanych w ruchu socjaldemokratycznym na Zachodzie, był Lenin gotów „przejąć” od rosyjskich „narodników” czy nihilistów. I one to właśnie stanowić miały „kwintesencję bolszewizmu”, czy też istotę „leninizmu”. W pełni zdawali sobie z tego sprawę ówczesni współpracownicy i koledzy Lenina, a i on sam temu nie zaprzeczał. Zresztą, będąc jak mówił Zinowiew, „wcieleniem Rosji”, „Rosjaninem od głowy do stóp”, człowiekiem od którego „wiał rosyjskim duchem”, Lenin nie mógł nie przejąć tradycji kilku pokoleń rosyjskich rewolucjonistów. (O tych tradycjach ob. *Kultura*, 1957, Nr 4, str. 9 i nast.)

Towarzyszka życia Lenina, Nadieżda Krupska w *Wspomnieniach o Leninie* (Gosizdat, 1931, str. 12) stwierdzała, że jeszcze w 1895 roku w stosunkach z nim „odczuwało się dobre, narodowolczeskie wykształcenie”. Cytowany już Zinowiew wyraźnie pisał: „... i tow. Lenin nie wyrzekał się tego spadku” po „narodowolcach”, oraz przypominał, że w okresie *Iskry* redakcyjny kolega Lenina, Akselrod nazywał go „drugim Nieczajewym” („A. Akselrod zajmował się tym, że każdemu, kto chciał go słuchać, opowiadał bajeczki, że Lenin to drugi Nieczajew”, *Lenin*, str. 8). Wreszcie Aleksander Martynow w swoich wspomnieniach (Ob. *Pierwaja Godowszczina. Lenin, o Leninie, o leninizmie*, Moskwa, 1925, str. 45) w następujący sposób streszczał ówczesne argumenty przeciwników Lenina i jego na nie odpowiedź: „Wasz plan organizacji przypomina mi organizację macedońskich bojowych czet. Wy proponujecie wprowadzenie w partii jakiejś dyscypliny wojskowej; ani u nas w Rosji, ani w Zachodniej Europie socjaldemokrati niczego podobnego nie

widzieli”. Na tak sformułowane zarzuty Lenin miał odpowiedzieć: „*A w etom wsia sut*” — „A na tym właśnie polega istota rzeczy”. Istota bolszewizmu, czyli leninizmu.

4. — ISTOTNE POWODY I OKOLICZNOŚCI HISTORYCZNEGO ROZŁAMU

Dokładne uświadomienie sobie, do czego sprowadzała się „kwintesencja” czy też „istota bolszewizmu”, pozwala na właściwe zrozumienie wypadków, jakie miały miejsce w lipcu i sierpniu 1903 roku w Brukseli i Londynie. Pozornie bowiem różnice zdań, jakie się tam ujawniły na zjeździe kilkudziesięciu emigrantów z Rosyjskiego Imperium, w żadnej mierze nie uzasadniały historycznego i posiadającego tak duże znaczenie dla losów całej ludzkości rozłamu na „bolszewików” i „mieszczyków”.

Wspominany wyżej zjazd w Mińsku w 1898 roku wytworzył legendę o istnieniu Rosyjskiej Socjal-Demokratycznej Partii Robotniczej, nie stworzył jednak jej faktycznej organizacji. Żadne centralne władze nie wznosiły się ponad gorzej lub lepiej prosperującymi kółkami i organizacjami lokalnymi zarówno w kraju jak na emigracji. Dlatego też w zainteresowanych kołach od dawna myśłano i mówiono o konieczności zwołania II zjazdu. Do akcji tej włączyła się *Iskra* i ona to zajęła się pracami przygotowawczo-organizacyjnymi.

Zjazd został wyznaczony na koniec lipca 1903 roku w Brukseli. Przybyło nań 43 delegatów, dysponujących ogółem 51 głosami. W przeważającej większości byli to „zawodowi rewolucjoniści”: inteligenci lub półinteligenci; robotników było trzech czy czterech. Poglądy delegatów nie były jednolite: z góry było wiadomo, że, z gruba biorąc, dzielili się oni na „iskrowców”, „ekonomistów” i „bundowców”. Ci ostatni, członkowie powstałego w 1897 roku na zjeździe w Wilnie *Ogóln Żydowskiego Związku Robotniczego*, gotowi byli należeć do rosyjskiej ogólno-imperialnej organizacji socjal-demokratycznej pod warunkiem uznania, iż ich „Związek” (*Bund*) będzie jednoczyć tylko robotników żydowskich i korzystać w ramach organizacji ogólno-imperialnej ze szczególnych uprawnień autonomicznych. Pomimo tych zastrzeżeń pięciu delegatów-bundowców korzystało na zjeździe z prawa głosu decydującego, wówczas gdy przedstawiciele innych narodowościowych organizacji posiadali tylko głos doradczy. Wśród tych ostatnich byli także dwaj „polscy esdecy”: Adolf Warski-Warszawski i Jakub Fürstenberg-Hanecki. Odtąd, od 1903 r., Hanecki przez długie lata będzie pozostawał w bardzo ścisłych stosunkach z Leninem, świadcząc mu różne usługi w szczególnie trudnych momentach.

Na początku zjazdu Lenin, zgodnie ze swoim „organizacyjnym” nastawieniem, zaproponował utworzenie prezydium z

mych „iskrowców” (przewodniczący — Plechanow, zastępcy — Lenin i Pawłowicz-Krasikow), co jednak wywołało zarzuty braku demokracji i sprzeczności ze strony Martowa. W ten sposób od początku zjazdu zarysowało się jego rozbitcie, przebiegające wewnątrz „iskrowców”, na „leninowców” i „martowców”, które to rozbitcie przy końcu zjazdu przyjęło charakter zupełnie zasadniczy.

Najbardziej ostra dyskusja toczyła się na zjeździe nad par. 1 statutu, określającym kto ma być uważany za członka partii. Pozornie różnice były bardzo drobne i dotyczyły tylko sformułowań. Lenin chciał, by członek partii wspierał partię „osobistym udziałem w jednej z organizacji partyjnych”, Martow — by czynnie pracował „nad wcieleniem w życie jej zadań pod kontrolą i kierownictwem organów partii”. W istocie jednak przeciwstawiały się tu dwie zupełnie różne koncepcje organizacyjne, czy nawet światopoglądowe. Martow partię rozumiał jako dobrowolny związek jednostek, zmierzających ku wspólnym celom, lecz zachowujących swoje indywidualności. Lenin — jako „sieć agentów”, wyrzekających się wszelkiej indywidualności i całkowicie podporządkowanych „z konieczności centralistycznej” organizacji. W ujęciu Martowa, członkowie partii pozostawali samodzielnymi podmiotami, w ujęciu Lenina — stawali się niejako tylko przedmiotami, biernym narzędziem w ręku centralnego kierownictwa. Uczestnicy zjazdu zdawali sobie sprawę z tych istotnych różnic i dlatego dyskutowali długo i zaciekle. Zarzucali Leninowi (który w toku dyskusji w pewnym momencie wznosił zaciśniętą pięść jako symbol, w jego rozumieniu, centralnej władzy partyjnej — ob. VII, 21), „hipertrofię centralizmu”, „blanquizm”, tendencje do dyktatury, bonapartyzm, „potworny centralizm, przesiąknięty na wskroś dążeniem do nadania instancji centralnej nieograniczonej władzy, prawa nieograniczonego wtrącania się do wszystkiego i pozostawiający organizacjom lokalnym jedno tylko prawo — pokornego podporządkowywania się rozkazom z góry” (VII, 263). Ostatecznie Lenin poniosł klęskę: większością 28 głosów przeciwko 23, zjazd przyjął zmieniony nieco tekst Martowa.

W drugiej połowie zjazdu, po przeniesieniu go od 11. VIII. do Londynu, pięciu *bundowców*, nie uzyskawszy zgody na swoje warunki, oraz dwóch *ekonomistów* zjazd opuściło, co osłabiło *martowców* i dało większość grupie Lenina. Ujawniło się to szczególnie w końcowej fazie zjazdu, przy wyborach władz centralnych: KC oraz redakcji *Iskry*, uznanej przez zjazd za naczelnny organ partyjny. Lenin zaproponował 3-osobową redakcję: Plechanowa, Lenina, Martowa. Martow wnosił, by utrzymać dawny 6-osobowy zespół. Gdy przeszedł poparty przez Plechanowa wniosek Lenina, Martow odmówił udziału w redakcji. Ostatecznie zjazd zakończył się całkowitym rozłamem: „mniejszość” — „martowcy” (a z nimi Trocki) pojechali do Paryża, „większość” — „leninowcy” — do Genewy.

Wkrótce jednak Plechanow zorientował się w sytuacji i przy-

chylił do stanowiska Martowa, proponując dokooptowanie do składu redakcji Akselroda, Potresowa i Zasulicz. Lenin jednak na to się nie zgodził i sam ustąpił z redakcji „nowej” *Iskry*. W ten sposób w kilka miesięcy po zjeździe sytuacja znowu uległa odwróceniu. W tych warunkach zorientowanie się, gdzie właściwie była „większość”, a gdzie „mniejszość” i kto ostatecznie miał rację, dla osób postronnych nie było łatwe. Toteż z obu stron posypały się wyjaśnienia i wzajemne oskarżenia. Lenin, poza szeregiem artykułów i ulotek, napisał o przebiegu zjazdu obszerną broszurę *Krok naprzód, dwa kroki wstecz — Kryzys w naszej partii* (maj 1904), gdzie rozwinął teorię partii, jako najwyższej formy organizacji klasy robotniczej, zdyscyplinowanej „armii klasy robotniczej”, przed którą „nie ostanie się ani zmurszała władza samowładztwa rosyjskiego, ani murszejąca władza kapitału międzynarodowego” (VII, 441). „Martowcom” Lenin zarzucał histeryzowanie, zgnióły liberalizm, tendencje anarchistyczne, a przede wszystkim niepodporządkowywanie się „mniejszości” „większości”.

Z przeciwnej strony nazywano Lenina „autokratą”, „biurokratą”, „formalistą”, „upartym łbem” itp. Jednym z najostrzejszych wystąpień przeciwko Leninowi były wydane po londyńskim zjeździe w Genewie broszury Trockiego: *II Zjazd Rosyjskiej Socjal-Demokratycznej Partii Robotniczej — Sprawozdanie delegacji syberyjskiej* (1903) i *Nasze zadania polityczne* (1904). Trocki nazywał w nich Lenina „despotą i terrorystą, który pragnie przekształcić KC partii w Komitet Ocalenia Publicznego, chcąc odgrywać w nim rolę Robespiera”. Mówiąc o „dyktaturze proletariatu” — pisał Trocki — Lenin faktycznie myśli o „dyktaturze nad proletariatem”, zalecamy przez niego „centralizm” w istocie rzeczy jest *egocentryzmem* i jeśliby Lenin kiedykolwiek naprawdę zdobył władzę „cały międzynarodowy ruch proletariacki zostałby oskarżony przed trybunałem rewolucyjnym o „oportunizm”, a lwia głowa Marksa pierwsza by spadła pod gilotyną”. (Por. D. Shub, *Lenin*, N.Y., 1949, str. 64).

Rozłamek wśród rosyjskich socjaldemokratów zainteresowali się wkrótce i socjaliści innych narodowości. Między innymi z artykułem przeciwko koncepcjom Lenina wystąpiła w redagowanym przez Kautskiego czasopiśmie *Neue Zeit* Róża Luksemburg, krytykując jego żądanie mechanicznego podporządkowywania części całości, jej niewolniczej uległości, ślepego posłuszeństwa itp. Zajmowały się tą sprawą również i największe ówczesne autorytety międzynarodowego socjalizmu: Kautsky i Bebel. W rezultacie Lenin, wciąż operujący argumentem, że jego kierunek stanowił na zjeździe „większość” (*bolshinstwo*, stąd „bolszewicy”), już pod koniec 1903 roku znalazł się faktycznie wśród emigracji na Zachodzie z zdecydowanej mniejszości. Zarówno *Iskra* jak i utworzony przez zjazd KC przeszły w ręce „martowców” („mieszwewików”), którzy też reprezentowali RSDPR w Międzynarodówce Robotniczej. Z ogromnym trudem grupa Lenina uzyskała prawo wysłania w sierpniu 1904 roku na

kongres Międzynarodówki do Amsterdamu swego odrębnego przedstawicielstwa i przedłożenia tam swego referatu. Organy Międzynarodówki z reguły wypowiadały się przeciwko rozłamom w partiach socjalistycznych i zalecały osiągnięcie porozumienia. Lenin jednak nie szedł na żaden kompromis i domagał się wykonania uchwał zjazdu, to jest uznania, że jego grupa stanowi „większość”. Stanu rzeczy na emigracji nie uważał za decydujący; ostatecznie dla rozstrzygnięcia konfliktu zalecał zwołanie nowego III zjazdu, złożonego z delegatów od organizacji w Kraju. Ustalenie zaś, która z dwóch frakcji posiadała większość w organizacjach podziemnych w kraju, było rzeczą nie łatwą, a nawet wręcz niemożliwą. Obie prowadziły tam możliwie energiczną propagandę, jedna przeciwko drugiej; obie otrzymywały stamtąd zupełnie sprzeczne treści relacje.

Konsekwentnie nazywając siebie „bolszewikiem” i twierdząc, że reprezentuje „większość” w partii, w rzeczywistości w okresie po II zjeździe Lenin był w Genewie całkowicie niemal osamotniony. Wszystkie bardziej wybitne jednostki w partii były przeciwko niemu. Otaczała go tylko grupka osób raczej przeciętnych i dlatego właśnie niezwykle go „adorujących”. Opisuując ten okres życia Lenina, N. Walentinow (*Wstreci s Leninom*, N.Y. 1953, str. 71/2) mówi o „jakiejś niewidzialnej przegrodzie, linii oddzielającej Lenina (potocznie nazywanego *starikom*, a mającego zaledwie 34 lata) od innych członków partii i nigdy nie widziałem, aby ją ktoś przekroczył”.

W tej sytuacji ogromnym sukcesem było wypowiedzenie się po stronie „bolszewików” dość znanego pisarza rosyjskiego, ekonomisty i filozofa, Aleksandra Bogdanowa-Malinowskiego (1873-1928). W lutym 1904 roku przyjechał on do Genewy i przez kilka lat ściśle współpracował z Leninem. Przy jego, jego szwagra Anatola Łunaczarskiego, Mikołaja Olmińskiego i Wacława Worowskiego współpracy, udało się Leninowi z końcem 1904 roku zorganizować nowe czasopismo *Wpieriód* („Naprzód”), reprezentujące poglądy „bolszewików” i przeciwstawiające się „nowej” „mienszewickiej” *Iskrze*. W tym samym czasie grupa Lenina, której w sierpniu 1904 roku udało się zebrać w Genewie na „bolszewickim” zebraniu zaledwie 22 „twarde jak kamień” osoby (nawiasem mówiąc przeważnie małżeństwa), powołała „Biuro Komitetów Większości”, ogłosiła broszurę „o zerwaniu instytucji centralnych z partią” (VII, 567) i zapowiedziała zwołanie III zjazdu przez powołany w tym celu komitet organizacyjny (VII, 577).

Zjazd ten odbył się w Londynie w kwietniu 1905 roku. Przybyli nań jedynie przedstawiciele „komitetów większości” w liczbie 24 osób (między innymi Kamieniew, Krassin, Litwinow, Rykow). „Mienszewicy” udziału w zjeździe nie brali i w tym samym czasie zwołali do Genewy swoją konferencję. W tej sytuacji Lenin mógł być na zjeździe całkowitym gospodarzem: przewodniczył na nim, przygotował projekty wszystkich uchwał, stanął na czele wyłonionego przez zjazd KC (złożonego poza nim z Bog-

danowa, Krassina, Postulowskiego i Rykowa) i został naczelnym redaktorem czasopisma, którego nazwę zmieniono na *Proletarij*.

Zjazd między innymi zmienił, w myśl postulatów Lenina, redakcję słynnego par. 1 statutu partii, potępił w swoich uchwałach „dezorganizatorskie postępowanie mienszewików”, oraz podkreślił konieczność zdobycia przez proletariat roli kierowniczej w rewolucji rosyjskiej, ustanawiając sojusz z chłopstwem i przeprowadzając izolację liberalnej burżuazji. Za najważniejsze zadanie partii zjazd uznał przygotowanie, zorganizowanie i przeprowadzenie zbrojnego powstania w celu powołania tymczasowego rządu rewolucyjnego, w którym, w określonych warunkach, miała wziąć udział socjaldemokracja, aby nacisk na rewolucję szedł nie tylko od dołu, ale także i od góry. „Nacisk od góry — wyjaśniał Lenin — jest to nacisk rządu rewolucyjnego na obywateli” (VIII, 481).

5. — ISTOTA RÓŻNIC MIĘDZY „MIENSZEWIKAMI” A „BOLSZEWIKAMI”

Londyński zjazd z 1905 roku nie spowodował jednak ostatecznego zerwania „bolszewików” z „mienszewikami”, ani też utworzenia oddzielnej, kierującej się „leninizmem”, partii „nowego typu”. Już w kwietniu następnego, 1906 roku, odbył się w Stockholmie „zjednoczeniowy” wspólny zjazd obu frakcji, na którym zresztą większość posiadali „mienszewicy”. Dopiero w kwietniu-maju 1907 roku na kolejnym V zjeździe w Londynie, grupa Lenina uzyskała większość, w znacznej mierze dzięki poparciu udzielanemu jej przez, formalnie już wówczas przyjęte do organizacji ogólno-imperialnej, socjaldemokracje polską (SDKP-iL) i łotewską. W latach następnych „polscy esdecy” (Warski, Jędrich-Tyszko, Radek-Sobelsohn, Fürstenberg-Hanecki) niejednokrotnie odgrywali rolę jęczyczka u wagi w bolszewicko-mienszewickich sporach w KC lub redakcji wspólnego „ogólnopartyjnego” organu *Socjal-Demokrat*. W *Leninskom Sbornikie* (T. III, str. 448) wydrukowany został jeden z listów Lenina do Tyszki, utrzymany w tonie wręcz rozpaczliwym. 20 lipca 1910 roku Lenin z Paryża pisał: *Jeśli nie wyruczą Polaki, kaput. Libo dostanie wtorego cekista Polaka i poszłijcie s Ganieckim na 2-3 niedzieli dla sojywa kolegii wo czto by to ni stało TOLKO dla prowadienija 'mier' i dla kooptacji, — libo kaput*. („Jeśli nie wyratują Polacy, kaput! Albo dostaniecie drugiego członka KC-Polaka i przysyłajcie z Haneckim na 2-3 tygodnie dla zwołania kolegium (redakcyjnego), za wszelką cenę TYLKO dla przeprowadzenia 'zarządzeń' i dla kooptacji, albo kaput” — *Wszystkie podkreślenia Lenina*). Gdy później w SDKP-iL zarysował się rozłam i jej zarząd główny, złożony z Tyszki, Róży Luksemburg, Dzierżyńskiego, Warskiego i Marchlewskiego, zaczął wypowiadać się przeciwko poczynaniom Lenina, zmuszony on był do swoistego partyjnego „zamachu stanu”. Zebrane w styczniu

1912 roku w Pradze Czeskiej grono 15 osób, mających reprezentować 20 organizacji socjaldemokratycznych wewnątrz Rosji, zostało proklamowane jako ogólnopartyjna konferencja, która, po przyznaniu sobie prawa zjazdu partyjnego, następnie orzekła o wykluczeniu „mieszczyków” z partii i powołała czysto „bolszewicki” KC. Legalność tych uchwał „Konferencji Praskiej” była dość szeroko kwestionowana i ostateczne oddzielenie się „bolszewików” od „mieszczyków” oraz utworzenie odrębnej, kierującej się formalnie zasadami „leninizmu” partii „nowego typu” nastąpiło dopiero po Rewolucji Marcowej w Rosji w 1917 roku.

Czym się tłumaczy tak późne ostateczne skonsumowanie zaistniałego w 1903 roku historycznego rozłamu i kilkunastoletnie przebywanie „bolszewików” i „mieszczyków”, dziś tak zaciekle i śmiertelnie wrogów, w formalnie jednej wspólnej organizacji partyjnej?

Tym przede wszystkim, że zasadniczo nie różnili się oni co do swych celów politycznych, lecz jedynie co do metod, sposobów i środków osiągnięcia tych celów. Do 1917, czy nawet do 1919, kiedy VIII zjazd partyjny uchwalił nowy program partii bolszewickiej, bolszewicy i mieszczycy formalnie posiadali wspólny program polityczny, gospodarczy i społeczny. Ostatecznym celem obu frakcji było zastąpienie ustroju feudalnego czy kapitalistycznego w Rosji przez ustrój socjalistyczny. Wówczas jednak gdy mieszczycy chcieli to robić powoli i stopniowo: zgodnie ze wskazówkami Engelsa czekać, aż ruch masowy „dojrzeje” do panowania klasy, którą reprezentowali, i do przeprowadzania zarządzeń, których panowanie tej klasy wymaga, rozumiejąc, że to co mogą robić nie zależy od ich woli, „lecz od wysokości, do jakiej doszło przeciwieństwo różnych klas, i od stopnia rozwoju materialnych warunków bytu, stosunków produkcji i komunikacji, na których opiera się każdorazowy stopień rozwoju przeciwieństw klasowych”, bolszewicy-leninowcy uważali że proces ten można świadomie znacznie przyspieszyć (4). Pod tym względem stanowisko bolszewików całkowicie odpowiadało tradycyjnym poglądom rosyjskich „narodników”, których teoretycy jeszcze przed laty „nie wykluczali”, że „przy sprzyjających warunkach” Rosja może uniknąć „męczącego przechodzenia straszliwie długiej drogi Europy” i nie czekając na „dojrzwianie” masowego ruchu, od razu „przeskoczyć” do ustroju socjalistycznego czy nawet komunistycznego (Por. *Kultura*, 1957, Nr 4, str. 10). Zdaniem Lenina, jedynym potrzebnym do tego „sprzyjającym warunkiem” było posiadanie odpowiednio „po-

(4) Warszawskie *Po Prostu* 14. 4. 57 wydrukowało uroczą „przypowieść chińską” o „niesłychanie niecierpliwym” chłopie, który, zasadziwszy wielką ilość nasion, nie mógł się doczekać, aż wydadzą one plon. „Ktoregoś dnia wymyślił stary chłop sposób: skoro świt pobiegł na pole i każdą roślinkę wyciągnął troszkę z ziemi. Pracował usilnie cały dzień, aż się ściemniło, a wtedy wrócił do domu. Zadowolony myślał: 'Rośliny są już teraz wyższe, szybciej dojrzeją, świetnie!'”.

teżnej i ściśle tajnej”, „z konieczności centralistycznej” organizacji „gotowej na wszystko”; „sieci agentów”, dostatecznie „giętkich” i karnych. „Dajcie nam organizację rewolucjonistów, a poruszymy z posad Rosję!” (V, 513). Obalimy w niej carat i kapitalizm, a potem, poprzez rząd rewolucyjny, czyli przy pomocy „machiny państwowej”, będziemy „naciskali” na obywateli „od góry”, by jak najszybciej budowali socjalizm i komunizm. Oto w najlapidarniejszym ujęciu cały program „leninizmu”, jego istota czy „kwintesencja”, sformułowana przez Lenina teoretycznie na emigracji na wiele lat przed praktycznym jej zastosowaniem w Rosji.

6. — CZY „STALINIZM” BYŁ ODSTĘPSTWEM OD „LENINIZMU”?

Przywiązując tak istotną i zasadniczą wagę do „organizacji (zawodowych) rewolucjonistów”, Lenin stale rozmyślał nad jej możliwym ulepszeniem czy udoskonaleniem i szukał po temu odpowiednich wzorów. Wspominaliśmy już o relacji Martynowa, że za taki wzór Lenin uważał organizację „bojowych czet” z dyscypliną wojskową. Potwierdzenie tego znajdujemy we własnych pismach Lenina. Już w czasie pierwszej wojny światowej, na parę lat przed rewolucją w Rosji, w połowie 1915 roku w artykule *Krach II Międzynarodówki* Lenin pisał między innymi:

„Weźmy współczesne wojsko. Oto jeden z dobrych przykładów organizacji. A dobra jest ta organizacja dlatego, że jest *giętka*, a jednocześnie *umie nadawać milionom ludzi jednolitą wolę*. ... To właśnie nazywa się organizacją, kiedy w imię jednego celu, natchnione jedną wolą, miliony ludzi zmieniają formę swego współżycia i swego działania, zmieniają miejsce i metody działalności, zmieniają środki techniczne i broń zgodnie ze zmieniającymi się warunkami i wymogami walki. Dotyczy to również walki klasy robotniczej z burżuazją... Rzec to niełatwa, nie ma dwóch zdań. Wymaga to trudnych działań przygotowawczych. Wymaga to ciężkich ofiar. Jest to nowa forma organizacji i walki, której także *trzeba się nauczyć*, a nauka nie przychodzi bez błędów i porażek...” (XXI, 259/60, *wszystkie podkreślenia Lenina*).

Ze zdań tych wynika wyraźnie, że Lenin uważał organizację wojska za wzór dla organizacji partyjnej, dla organizacji zawodowych rewolucjonistów.

Sama myśl, że organizacja wojskowa jest dobrą, bo skuteczną, organizacją SIŁY, pozwalającą dysponującemu nią na pomyślne osiągnięcie zamierzonych celów, nie była ideą oryginalną, ani nową. Pomijając już Cezarów czy Napoleonów, wspomnijmy tylko o jednym, współczesnym, czy rówieśniku niemal, Lenina. Gdy Józef Piłsudski doszedł do podobnego wniosku, przestał interesować się *organizacją partyjną* i poświęcił się tworzeniu zaczątków prawdziwego wojska. Lenin nie miał przed rewolucją żadnych po temu warunków ani możliwości,

dlatego też marzył o przeniesieniu zasad organizacji wojskowej do organizacji partyjnej „nowego typu”. To istotnie była myśl nowa i dość oryginalna. W konsekwencji doprowadziła ona do wytworzenia ustroju państwowego nowego typu — ustroju państwa totalnego.

Jedną z elementarnych zasad rzemiosła wojskowego jest twierdzenie, że przedtem niż rozkazywać należy dobrze się nauczyć być rozkazom posłusznym. Lenin nigdy w wojsku nie służył i nie miał okazji do nauczania się posłuszeństwa. Natomiast, jeśli wierzyć sowieckim publikacjom bezpośrednio po śmierci Lenina, od najwcześniejszego dzieciństwa zdradzał tendencje do wojskowego rozkazowania. Emiljan Jarosławski w wydanej w 1924 roku książce pt. *Żyć i работа Lenina* cytował następujące wspomnienia niańki Lenina, Marii Michajłowny Pawłowej:

„Był bardzo pełny, tłusciutki, z kędzierzawymi rzadkimi włoskami, trochę ryżowaty... Najulubieńszą jego zabawą z dziećmi było ustawianie ich „we froncie” (w szeregu) i komenderowanie nimi. Raz po raz słyszało się, jak do nich krzyczał: Stawajcie *‘wo frunt’* (w szeregu, na baczność). Nawet w domu z siostrą Olą bawił się w żołnierzy. Zapędzi Olę pod kanapę, a potem zaczyna komenderować po wojskowemu. Stanie wojskowo i krzyczy: Raz dwa, raz dwa, naprzód marsz...” (str. 18).

W późniejszym życiu Lenin nie miał wiele okazji do wydawania formalnych rozkazów wojskowych, „przed frontem”. Wojska jednak sztuka i wiedza bardzo go zawsze interesowały i pociągały. Charakterystyczne było używanie przez Lenina już w jego najwcześniejszych pracach terminologii zapożyczonych z dziedziny sztuki wojennej (ob. np. cytowane wyżej wyjątki z art. *Od czego zacząć?*). W późniejszym okresie Lenin przeprowadzał poważne studia z dziedziny wojennej strategii i taktyki i obecnie jest uważany w Sowietach za wielki autorytet w dziedzinie wojskowości (5). W praktyce jednak nie brał on żadnego bezpośredniego udziału w tym, co można by uważać chociażby za substytut wojska. W *Wspomnieniach* Krupskiej znajdujemy wzmiankę o tym, że w okresie rewolucji 1905 roku, gdy Lenin gorąco propagował natychmiastowe tworzenie „drużyn bojowych” „armii rewolucyjnej” (6), przez jakiś czas uczył się on

(5) W moskiewskiej *Krasnoj Zwiezdzie* z 26. V. 57 znajdujemy wiadomość, że sowieckie „wydawnictwo wojenne” rozpoczęło ostatnio wydawanie *Biblioteki oficera*, którą otworzył 2-tomowy zbiór przeszło 250 prac Lenina „o wojnie, armii i nauce wojennej”.

(6) Jeszcze w Genewie, w lipcu 1905, Lenin pisał: „Rewolucyjna armia niezbędna jest dlatego, że wielkie zagadnienia dziejowe mogą być rozstrzygane jedynie za pomocą siły, a organizacją siły w walce współczesnej jest organizacja wojskowa” (VIII, 574). W liście do bolszewickiego Komitetu Bojowego w Petersburgu z października 1905 roku nakazywał: „Zakładajcie natychmiast drużyny bojowe wszędzie, gdzie się tylko da. Oddziały powinny natychmiast rozpocząć szkolenie wojskowe na niezwłocznych operacjach, natychmiast (IX, 344/5, wszystkie podkreślenia Lenina, ob. także IX, 425 „Zadania oddziałów armii rewolucyjnej”).

obchodzenia z bronią (rewolwerem) i chodził nawet na jakieś ćwiczenia w strzelaniu. Kiedy jednak wreszcie tak usilnie przez niego zalecane „powstanie zbrojne” wybuchło, Lenin nie wziął w nim żadnego udziału, ani w 1905 roku, ani w 1917 roku. Stał raczej na uboczu i pozostawiał innym zarówno organizację jak i bezpośrednie przeprowadzanie „działań wojennych”. Również po zwycięstwie rewolucji, w okresie wojny domowej, Lenin, jako szef rządu i przewodniczący Rady Pracy i Obrony, wywierał znaczny wpływ pośredni na jej prowadzenie, formalnie jednak nie wysuwał się na czoło: zamianował podchorążego Krylenkę Naczelnym Wodzem armii rosyjskiej, sobie natomiast żadnego tytułu ani stopnia wojskowego nie przyznał.

Stwierdzić także należy, że za życia Lenina nie został zrealizowany w praktyce jego teoretyczny ideał całkowitego zmilitaryzowania organizacji partyjnej. Pomimo surowych uchwał KC czy nawet zjazdów partyjnych (na przykład rezolucja X zjazdu w 1921 roku o *jedności partii*), dyscyplina partyjna wciąż szwankowała i bolszewicka partia bliższa była jakiejś „partyzantce” czy „pospolitemu ruszeniu”, niż „regularnej”, „zawodowej” armii. Zupełnie nie odpowiadała leninowskiemu idealowi: nie była „siecią giętkich i karnych agentów”, całkowicie i bezwzględnie podporządkowanych „jednolitej woli” wodza i jego sztabu.

Wszystko to stało się dopiero po śmierci Lenina i, zgodnie z jego przewidywaniami jeszcze z roku 1915 (ob. wyż.), wymagało „trudnych działań przygotowawczych” oraz pociągnęło „ciężkie ofiary”. „Nowa forma organizacji i walki” została jednak w końcu osiągnięta: „jednolita wola” „Generalissimusa” — „największego stratega wszystkich czasów” — przy pomocy „aparatu” („sieci giętkich, karnych i gotowych na wszystko — nie cofających się przed niczym — agentów”) decydowała bezapelacyjnie o wszystkim: zmieniała formy współżycia i działania wielu milionów ludzi, zmieniała miejsca i metody ich działalności, zmieniała środki techniczne i broń, zgodnie ze zmieniającymi się warunkami i wymogami walki o dokonanie w reszcie świata tego, co zostało dokonane w Rosji — poruszenia go z posad przy pomocy organizacji zawodowych rewolucjonistów, „sieci agentów”, „aparatu”. Jak dotąd wszystkie te wysiłki nie dały spodziewanych przez Lenina rezultatów. Przeciwnie wywołały nawet wątpliwości, czy stosowane przez ćwierć wieku w praktyce metody były w ogóle właściwe i celowe. Czy nie były tylko jakimś „wypaczeniem”, „odchyleniem” od prawidłowej leninowskiej linii.

Po oficjalnym potępieniu przed przeszło rokiem tak zwanego „kultu jednostki” takie głosy rozległy się wśród młodszych pokoleń komunistów. W Polsce *Po Prostu* (Nr 35 z 26. 8. 56) wystąpiło przeciw „hodowli ‘zawodowych rewolucjonistów’” — ludzi, „którzy nie mają rzeczywistego zawodu, nie są wrośnięci w żadne środowisko ludzi pracy, nie żyją codziennym, normalnym życiem milionów obywateli, tylko sprawują ‘rządy dusz’”.

We Francji 34-letni Jacques-Francis Rolland publicznie domagał się „zmian w strukturze, w wewnętrznych metodach i ‘stylu’ partii”, „wprowadzenia — bez popadania w anarchię — rzeczywistej swobody”, zrezygnowania z „mechanizmów, które pod ‘demokratycznymi’ pozorami ujmują w karby, hamują, a następnie całkowicie tłumią wrzenie w dołach partyjnych”. (Ogłoszony w paryskim *Express* artykuł Rollanda przedrukowany został w polskim tłumaczeniu w warszawskich *Zeszytach teoretyczno-politycznych*, Nr 10-11, 1956).

Można mieć poważne wątpliwości, czy z takimi postulatami można występować pod hasłem „powrotu od stalinizmu do ‘prawdziwego’ leninizmu”. Czy dla uzasadnienia ich doktrynalnej — nie: notorycznej, „commonsensowej” — słuszności nie trzeba sięgać jeszcze głębiej. Wyrzec się całkowicie samej istoty, samej „kwintesencji” leninizmu, która tak bujnie rozwinęła się i rozkwitła w stalinizmie, i wrócić do starego Marksa i Engelsa.

Wiktor SUKIENNICKI

Fachową pomoc da tylko fachowiec

zespół inżynierów polskich ofiarowuje swe doświadczenie zdobyte
w ciągu dziesięciu lat pracy

**W największych polskich zakładach radiowych
i mechanicznych w Wielkiej Brytanii**

P. C. A. RADIO

(Własność Stowarzyszenia Polskich Kombatantów)

Beavor Lane, Londyn W.6. Tel. RIV 8701

Telegramy: POLCOMRAD — London

przy wyborze i wysyłce do Polski wszelkiego sprzętu technicznego,
potrzebnego rodzinom w Polsce, zarówno nowego
jak i „Fully Reconditioned”, w szczególności:

Maszyny i przyrządy elektryczne, radioodbiorniki i części, aparaty do nagrywania, wzmacniacze dla głuchych, obrabiarki, automaty, warsztaty rękodzielnicze, urządzenia lekarskie, dentystyczne, fryzjerskie, aparaty do użytku domowego i kuchni, samochody, motocykle, skutery

Posiadając bezpośrednie źródła zakupu i własne warsztaty gwarantujemy towar najtańszy i najlepszy, nowy i „Fully Reconditioned” oraz szybką i pewną dostawę do Polski.

Spostrzeżenia i uwagi krytyczne (I)

WIADOMOŚCI WSTĘPNE

W naszej nauce historycznej lat ostatnich zaszedł fakt, słusznie uważany za nie mający precedensu: trwające od szeregu lat prace przygotowawcze nad syntetycznym ujęciem całokształtu Historii Polski, która ma się ukazać w druku w najbliższej przyszłości, uwieńczone zostały na razie ogłoszeniem obszernej parotomowej publikacji wstępnej, tak zwanej „makiety”, przeszło 2.800 stron druku i 20 map osobnych liczącej.

Owa „makieta” poddana została wszechstronnej dyskusji, zbiorowym rozważaniom wybitnych i mniej wybitnych historyków i przedstawicieli dziedzin pokrewnych — polskich — krajowych, z różnych ośrodków naukowych w kraju, tudzież delegatów analogicznych instytutów naukowych krajów „zaprzyżnionych”, czyli „zakurtynowych”, jak Czechosłowacja, Węgry, Rumunia, Niemcy Wschodnie, ze Związkiem Radzieckim — oczywiście — na czele.

Całe to wielkie, zbiorowe przedsięwzięcie naukowe prowadzone jest pod egidą Instytutu Historycznego P.A.N. — Polskiej Akademii Nauk, utworzonej przed kilku laty na wzór sowiecki, jako kierowniczej instytucji naukowej Polski Ludowej.

Dzieło to jest jedną z pierwszych prób marksistowskiej syntezy historii Polski, usiłującej „przepoić cały wykład treścią, odpowiadającą pod względem metodologicznym i ideologicznym przyjętym założeniom marksistowskim” (Kwartalnik Historyczny, LXIII, 1956, Nr 3, s. 3-14). Z tego powodu — jak zaznaczono w dyskusjach nad „makieta” — była ona „zamówieniem społecznym”, w którym zachodziła „pilna potrzeba nowego

marksistowskiego spojrzenia na naszą przeszłość i konieczność jak najszybszego podzielenia się wynikami z całym społeczeństwem”.



W dyskusjach nad „makieta”, spośród historyków polskich, brali udział i wskazywali na konieczność wprowadzenia tych czy owych poprawek do tekstu ostatecznego tylko przedstawiciele *krajowi* nauki historycznej polskiej — z natury rzeczy przeważnie dawni czy mniej dawni zwolennicy (czy może uważani za zwolenników) „marksistowskiego spojrzenia na przeszłość”.

Częściowe wyniki tej dyskusji nad tomem I „makiety”, obejmującym całość dziejów od początku do roku 1764, podał „Kwartalnik Historyczny” (rocznik LXIII z roku 1956, zeszyt Nr 3), dalszy zaś ciąg dyskusji nad tomem II próbnego wydania dzieła miał się odbyć w kwietniu r.b., celem podsumowania nadesłanych uwag oraz przygotowania poprawek do ostatecznego wydania tego tomu.

Nie kwestionując bynajmniej dużej fachowości i wnikliwości zarówno redakcji, jak niektórych autorów dzieła i uczestników, biorących udział w dyskusji nad makieta, stwierdzić należy, iż zabrakło wśród nich głosów polskich z tej strony „żelaznej kurtyny”, z kół emigracji polskiej, które na ogólną strukturę dzieła, na razie wydanego w charakterze próbnym, tudzież na różne poruszane w nim zagadnienia szczegółowe zapatrują się z odmiennego punktu widzenia i odmienne o nich posiadają opinie.

Bez względu też na to, czy redakcja dzieła i jego zespół autorski zechcą lub będą uważali za właściwe i czy będą mogli z nich skorzystać, uważam za swój obowiązek zabrać głos w sprawie „makiety” i, korzystając z otwarcia łamów „Kultury”, spostrzeżenia swoje podać do publicznej wiadomości.

Dane ogólne.

Redakcja próbna, czyli „makieta”, omawianej tu „Historii Polski” składa się z dwóch tomów, przy czym każdy tom dzieli się na dwie obszerne, osobno wydane części, tak — że właściwie mamy tu do czynienia z wydawnictwem 4-tomowym, a mianowicie:

Tom I w dwu częściach obejmuje dzieje Polski od czasów najdawniejszych do roku 1764: część I-sza doprowadzona jest do połowy wieku XV, część II-ga — do roku 1764.

Tom II, podzielony również na dwie części, obejmuje tylko jedno stulecie (1764-1864); część pierwsza tego tomu obejmuje pierwsze jego pięćdziesięciolecie, zaś część druga — pięćdziesięciolecie drugie (1814-1864).

Catemu przedsięwzięciu patronuje Instytut Historii P.A.N. w Warszawie. Redakcję zrazu trójosobową wydawnictwa, jako całości, stanowią: Tadeusz Manteuffel, Leon Grosfeld i Bogu-

śław Leśnodorski, do których w tomie drugim przybywa czwarte nazwisko: Stefana Kieniewicza. Redaktorem (szczegółowym) obu części tomu pierwszego jest Henryk Łowmiański, zaś tomu drugiego, również obu części, redakcja dwuosobowa: Stefan Kieniewicz i Witold Kula.

Dzieło jest opracowaniem *zbiorowym* w prawdziwym tego słowa znaczeniu. W opracowaniu tomu I brało udział bodaj 21 historyków, którzy są autorami poszczególnych części i rozdziałów tego tomu. Współpracowników tomu II było 11. Redakcje, zarówno w tomie I-szym, jak i w II-gim, korzystały (jak zaznaczono we wstępie) z pomocy i usług licznych innych pracowników, z ich „referatów materiałowych” i referatów specjalnych i szczegółowych, nie licząc już uczestników posiedzeń naukowych i konferencji, którzy zabierali głos w wyczerpujących dyskusjach i nad opracowywaniem zawczasu prospektem Historii Polski (do połowy XVIII wieku) oraz nad redakcją tekstu.

Głosy te przynosiły liczne sprostowania rzeczowe i uzupełnienia, które w dużej mierze zostały wyzyskane przez zespół autorski, jeszcze bardziej podkreślając zbiorowy charakter pracy i rozszerzając na kilka dziesiątków jednostek zasługę dobrych stron dzieła i winę za błędy i usterki, które się w nim dają zauważyć.

Założenia ideowo-metodologiczne.

Podstawowe założenia ideowo-metodologiczne omawianej „makiety” płyną z *zasad marksizmu*, i pod tym względem omawiana książka jest całkowicie *nowatorska*, zgoła odmienna od wszystkich dotychczasowych obszernych opracowań historycznych polskich, od Naruszewicza i Lelewela oraz szkoły lelewelskiej poczynając, poprzez historyków okresu pozytywistycznego i szkoły historycznej krakowskiej, a kończąc na opracowaniach historiograficznych ogólnych z dwudziestolecia niepodległości, takich na przykład jak Historia polityczna Polski (w „Encyklopedii” P.A.U. w Krakowie z 11. 1919-1923), czy znanych „Dziejów Polski Średniowiecznej” (1936), „trzech autorów” — Grodeckiego, Zachorowskiego i Dąbrowskiego oraz Konopczyńskiego „Historii Polski Nowożytnej”.

Odmienność „makiety” marksistowskiej od opracowań tamtych historyków „burżuazyjnych” polega na pewnym założeniu schematycznym i uwzględniającym przede wszystkim *bazę ekonomiczno-społeczną*, ponad którą dopiero wznosi się związana z nią organicznie *nadbudowa „procesu dziejowego”*, znajdując dla siebie wyraz w szczególnym (dla danego okresu) rozwoju stosunków społecznych, ustrojowo-prawnych, politycznych, kulturalnych, czy to w zakresie spraw materialnych, czy też wyznaniowych, zwyczajowych, artystycznych, literackich itd.

Kierując się tym zasadniczym założeniem, autorzy pamiętali przede wszystkim o tym, że „głównym przedmiotem dziejów są masy pracujące” (tom I, część I, s. 5), które uwa-

zają za naczelny czynnik dziejotwórczy „nie tylko dlatego, że były bezpośrednim producentem dóbr naturalnych, a można dodać i współtwórcą dóbr kulturalnych, ale również dlatego, że oddziaływały, choćby pośrednio, na bieg wydarzeń politycznych, na kształtowanie się rozwoju państwowego dzięki walce z klasą panującą”. Ta walka klasowa — jak redakcja zaznacza (I, — I, s. 6) — ma się przewijać „jak nić czerwona, przez wszystkie części niniejszej książki”, nawet tam — dodajmy to od siebie — gdzie trudno jest się jej doszukać nieuprzedzonemu oku.

Poszukiwanie i ustalanie związków między „bazą” a „nadbudową” możliwych i prawdopodobnych, ale trudnych do stwierdzenia na podstawie źródeł, stanowi chyba jedno z najtrudniejszych zadań, postawionych autorom książki przez redakcję i czytelniki, od których w danym wypadku „zamówienie społeczne” zależało.

Pomimo też usiłowań, niekiedy dość karkołomnych, ze strony autorów, nie dało się nieraz żadnym, nawet najbardziej prze-myślnym rozumowaniem dialektycznym zapłacić wyczuwanej wyraźnie luki, zięjącej pustką, między „bazą” a „nadbudową”, która jakże często beznadziejnie zawisać się zdaje w powietrzu, nie wypływając zgoła z przesłanek źródłowych, „materiałowych” czy „faktograficznych”.

Jest to jeden z najbardziej dających się odczuć, ogólnych braków książki.

Zagadnienie to zresztą łączy się ściśle z innymi kwestiami, jak zwłaszcza *periodyzacją i konstrukcją rzeczową*.

Periodyzacja.

Do *periodyzacji*, do podziału na okresy „procesu dziejowego”, a więc i książki, o nim traktującej, autorzy przywiązują duże znaczenie. I słusznie. Podział historii na okresy, przeprowadzony należycie, odpowiadający istotnym i wnikliwie dostrzeżonym zmianom w życiu podmiotu dziejowego, to jest narodu, zachodzącym, ułatwia znakomicie nie tylko jego zrozumienie, ale, czyniąc go przejrzystym, ułatwia jego ogarnięcie pamięciowe. Oczywiście, jeżeli nie jest dowolny, i liczy się z materiałem rzeczowym i przełomami, jakie w toku dziejowym *rzeczywiście* się ujawniały.

Ustalenie właściwych „periodów” dziejowych, wynalezienie punktów zwrotnych tych periodów, czyli *dłuższych okresów* dziejowych, oraz podzielenie ich na podokresy mniejsze przez wyszukanie odpowiednich „cezur” dzielczych — stanowi trudność niemałą (por. np. t. I — cz. I, s. 246).

Przy różnorodności bowiem zagadnień, stanowiącej treść nauki historycznej, jak np. stosunki społeczne, gospodarcze, ustrojowe, polityczne i inne — punkty zwrotne w różnych dziedzinach częstokroć nie zbiegają się czasowo ze sobą — dalekie są od „synchronizmu”, kryteria zaś, mające dowodzić rzekomo zbieżności czasowej w zakresie zmian w różnorodnych dziedzi-

nach życia, robić muszą nieraz wrażenie naciągniętych i nie naukowych.

Jak widać z przedmowy do tomu I dzieła, z tej trudności i niebezpieczeństwa łączenia czasowego rzeczy rozbieżnych rzeczowo i czasowo, zdają sobie sprawę i redakcja i autorzy. Czy zdołają ich uniknąć w ostatecznym po-makietowym ujęciu całości — trudno jest dziś powiedzieć. Sprawa ta na gruncie obecnej „makiety”, pomimo chwalebnych usiłowań, by te trudności przełamać i usunąć — nie przedstawia się dobrze, przy tym na ogół o wiele lepiej w tomie II, niż w pierwszym. W tomie I zwłaszcza „periodyzacja” i „cezur” robią wrażenie często nie wysnutych z materiału dziejowego, ale z subiektywnych zapatrywań autorów, narzuconych wypadkom dziejowym niejako z zewnątrz.

Konstrukcja rzeczowa.

„Zasadnicze ramy konstrukcyjne wyznacza *periodyzacja*, która oddaje w konstrukcji niejako dynamikę procesu dziejowego” — mówi w przedmowie do tomu I (s. 9) redakcja dość zresztą niejasno.

Konstrukcja ta ujęta została schematycznie w ten sposób, iż każdy „dział”, oparty na *periodyzacji*, zaopatrzony jest we wstęp, złożony z trzech rozdziałów następującej treści: 1) *źródła* — mający zorientować czytelnika w całym zasobie materiału źródłowego zarówno drukiem ogłoszonego, jak archiwalnego i za-bytkowego, dotyczącego danego okresu; 2) *historiografia* — omawiający dorobek historiograficzno-badawczy, odnoszący się do danego działu i okresu, wraz z próbą krytyki dawnej historiografii „burżuazyjnej” (sprzed roku 1945) ze stanowiska „marksistowskiego”; oraz 3) *ogólna charakterystyka* procesu dziejowego w danym okresie.

Treść każdej części książki poświęcona jest zagadnieniom następującym: a) *siły wytwórcze* i stosunki produkcji, b) *ruchy społeczne* i stosunki polityczne, c) *ustrój państwowy*, i d) *kultura*. Zagadnienia te są poruszane w kolejności mniej więcej w zaznaczonej, aczkolwiek nie zawsze przestrzeganej ściśle, pod tytułami bardzo rozmaitymi, uwzględniającymi przeważnie zagadnienia „bazy” społeczno-gospodarczej.

Tytuły: działów, części, rozdziałów i podrozdziałów, na które podzielona jest książka, a odpowiadających kryteriom „periodyzacyjnym”, bywają tak ogólnikowe i mało mówiące, że robią wrażenie zbędnych i nudnych: są — że użyjemy tu określenia Słowackiego — raczej nie „taktem”, lecz „wędzidłem”, i często nie tylko nie pomagają orientować się w treści, ale czynią ją bezbarwną, zawiłą i trudną do zrozumienia.

Oto dla przykładu kilka tytułów, wyjętych na chybił-trafił z poszczególnych części obu tomów „makiety”.

— Umocnienie i rozbudowa bazy feudalnej (t.I, cz.I, s.149).

— Rozwój gospodarki towarowej na wsi i w mieście (I, I, str. 331).

— Rozkwit gospodarki czynszowej i pierwsze objawy jej zahamowania (I, I, s. 448).

— Folwarczno-pańszczyźniana Rzeczpospolita szlachecka.

— Ugruntowanie się ustroju folwarczno-pańszczyźnianego (I, 2, s. 343).

— Zaborcza polityka magnaterii na wschodzie i porażka nad Bałtykiem w początkach XVII wieku (I, 2, s. 420).

— Kształtowanie się układu kapitalistycznego i nowych szlachecko-burżuazyjnych programów (1776-1788). Wykształcanie się układu kapitalistycznego na wsi (II, I, s. 121).

— Początki kapitalistycznego folwarku i zaostrenie wyzysku chłopów (II, 2, s. 15).

— Narastanie rewolucji agrarnej — 1832-1845 (II, 2, s. 233).

— Gruntowanie się stosunków kapitalistycznych na ziemiach polskich, 1850-1860 (II, 2, s. 545).

Niekiedy tytuły te robią wrażenie nie nazbyt ściśle związanych z treścią odnoszących rozdziałów, których tekst jest doczepiony do tytułów. Toteż zorientować się w książce, opierając się na tytułach jest czasami rzeczą bardzo trudną a nawet wręcz niemożliwą. Konkretnie fakty dziejowe tudzież imiona postaci dziejowych, z nimi związanych, w pokawałkowanej treści powtarzające się po kilkakroć, w książce niekiedy są wprost nie do znalezienia. Trzeba przyznać, że i pod względem tytułów poszczególnych działów, części, rozdziałów i podrozdziałów, tom II, obejmując mniejszą przestrzeń czasową (bo tylko lat sto) przedstawia się o wiele bardziej dodatnio od tomu I. Tytuły ujęte są tu bardziej konkretnie, mniej schematycznie i ogólnikowo, ściślej oddając treść odnoszących fragmentów dzieła.

Jakkolwiek bądź, poprawki w sensie „ukonkretnienia”, uściślenia tytułów, związania ich z pewnymi wybitnymi postaciami dziejowymi czy wrażającymi się w pamięć ważnymi faktami i datami, wydają się rzeczą nieodzowną w ostatecznej redakcji zarówno I-go, jak i II-go tomu.

Zalety dzieła.

„Makieta” Historii Polski, jako całość, posiada nie jedną zaletę. Już sam pomysł wydania czterotomowego dzieła, jako „próby pióra dobrego”, jako opracowania próbnego, które miało posłużyć za materiał dyskusyjny i z czasem dopiero, po roztrząśnięciu publicznym i dokonaniu poprawek, przeistoczyć się w dzieło ostateczne i skończone, jest godne uznania i pochwały.

Atoli już i w tym prowizorycznym stadium makieta posiada w swej treści liczne zalety szczegółowe.

Miałem niedawno sposobność bliższego zapoznania się już nie z „makieta”, ale ostatecznym opracowaniem tomu pierwszego wydanej po rosyjsku przez sowiecko-rosyjską Akademię Nauk

zbiorowej „*Istorii Polczy*”, której znany mi tom pierwszy obejmuje niemal całokształt, bo tylko bez ostatniego stulecia, dziejów Polski, od czasów najdawniejszych aż do roku 1846 (*). Porównanie tych dwu zbiorowych dzieł historycznych, rozpatrujących ten sam przedmiot z tego samego marksistowskiego punktu widzenia, narzuca się tu samo przez się.

Porównanie to wypada bezwzględnie na korzyść opracowania polskiego, warszawskiego. Nie tylko dlatego, że jest ono przynajmniej trzykrotnie (jeżeli nie czterokrotnie) obszerniejsze, a więc szczegółowsze, od moskiewskiego. Ale dzieło polskie przewyższa książkę rosyjską o wiele większą znajomością przedmiotu i erudycją.

„Makieta” polska, aczkolwiek również ujęta z punktu widzenia marksizmu, którym od początku do końca jest przesiąknięta i zawiera bardzo dużo całkiem swoich naświetleń faktów historycznych, jednak ma o wiele mniej charakteru agitacyjnego, propagandowego, niż tamta, mniej — powiedziałbym — „aseizmów”, sądów „a se” pochodzących, osobistych a dowolnych (rosyjskich „otsiebiatin”) i przejawów subiektywnych, tak bardzo rażących w tamtej książce. Nie ma też, oczywiście, w dziele polskim pisany przez Polaków, tej szowinistycznej, a odziedziczonej po Iłowajskich i Kostomarowach niechęci do niektórych fragmentów dziejów polskich oraz lekceważącego, a nawet pogardliwego ustosunkowania się do pewnych instytucji polskich, na przykład do parlamentaryzmu, do sejmu polskiego.

Ten niewątpliwie wyższy poziom naukowy naszej „makiety” czyni nie zasłużonymi i bodaj zupełnie zbędnymi kurtuazyjne gesty i ukłony w stronę historyków „radzieckich”, przeważnie autorów akademickiego opracowania rosyjskiego (jak Grekow, Koroluk, Kondratiewa, Miller, Pochilewicz i inni), którzy uczestniczyli w dyskusjach nad projektem historii Polski i jakoby mieli się bardzo przyczynić w ten czy inny sposób do podniesienia poziomu naukowego omawianego tu dzieła, tudzież do pomogli „przyśpieszeniu przebudowy historiografii polskiej” (t. I, I, s. 91).

„Zbiorowa *Istoria Polczy* (2tt., 1954-1955) — pisze jeden ze współredaktorów „makiety” — mimo jej niektórych uchybień, przyczyniła się wydatnie do opracowania naszej własnej syntezy” (t. II, - I, s. 414). „Osiągnięcia ogólne historiografii radzieckiej” — czytamy w „makiecie” na innym miejscu — „jej bogaty wkład do badań nad podstawowymi zagadnieniami dziejów feudalnej Polski ... i bezpośrednie kontakty z historykami radzieckimi oddały nieocenione usługi przede wszystkim w metodologicznym przewyciężeniu stojących przed historykami polskimi zadań. Nie mało też zawdzięczają im nasi badacze...”

(*) Por: Stanisław Kościółkowski, „Dzieje Polski pisane w Moskwie”, *Wiadomości* (londyńskie), 1956, Nr 560/561 — numer świąteczny, T. II „*Istorii Polczy*” scharakteryzował Michał Sokolnicki w art. „Historia Polski w wersji stalinowskiej”, *Wiadomości*, 1957, Nr 571 z dn. 10. III.

Te wyglądające na przesadę komplementy pod adresem historyków rosyjskich podyktowane są bodaj nie tyle i nie tylko przez rzetelną „uczonych radzieckich” zasługę i przez szczerą uprzejmość ze strony polskiej, ale zdają się mieć swe źródło raczej w żarzącej się aktualności dnia dzisiejszego i budzą przykre, a upokarzające podejrzenie, iż płyną z ciężącego nad Polską jarzma całkowitej zależności od jej wschodniego sąsiada.



Niewątpliwie bardzo dodatnią stroną „makiety” jest szerokie uwzględnienie zagadnień społeczno-gospodarczych. Życie wsi, warstwy chłopskiej w Polsce, jej podział („rozwarstwienie”), stosunek do ziemi, do ciężarów, które ludność włościańska ponosiła, jurysdykcji, której podlegała, bunty chłopskie — wszystko to omawiane jest w książce obszernie w szeregu rozdziałów, poświęconych „bazie” dziejów, a rozrzuconych we wszystkich jej częściach. Również miasta, stan miejski, rozwój i rozkwit, a później urządy organizacji cechowych, stan produkcji miejskiej — rzemiosło, przemysł, handel, walki wewnętrzne po miastach — starają się autorzy książki przedstawić w sposób możliwie wyczerpujący i wszechstronny.

Czytając książkę, ma się wrażenie, że pod względem wszechstronności przedstawienia dziejów Polski „makieta” przewyższa wszystkie dotychczasowe ogólne opracowania dziejów Polski. Rzecz można, że to, co dotąd w zakresie dziejów politycznych znaleźć było można w książkach Bobrzyńskiego, Szujskiego i innych podobnych, połączone jest w „makiecie” w skróciowym ujęciu z tym, co się znajdowało w znanym zarysie dziejów gospodarczych Rutkowskiego, ustrojowym Kutrzeby i kulturalnych u Brücknera w jego czterotomowym zarysie dziejów kultury.

Oczywiście, chodzi o to, nie tylko *co*, ale i *jak* są te sprawy tutaj przedstawione. Ale to jest już całkiem inna historia, którą wypadnie poruszyć niżej.



Szerzej również, niż jakiegokolwiek inne dotychczasowe ogólne opracowanie polskie, uwzględnia „makieta” dzieje Śląska, pomimo iż ta ważna i prastara dzielnica polska z przewagą ludności polskiej, wyszła z górą 600 lat temu z jedności państwowej z Polską, teraz dopiero do niej wracając. Obszernie też mówi o dziejach Pomorza, i to nie tylko nadwiślańskiego, ale i zachodniego, nadodrzańskiego.

I ta sprawa (Śląska i Pomorza), podobnie jak stosunek do „historyków radzieckich” łączy się bez wątpienia z obecną polityczną aktualnością. Aktualność zaś — jak wiadomo — jest „zaściankowością w czasie” i nie powinna obciążać dociekań ściśle naukowych i wpływać na nie; jednak obszerne zajmowanie

się Śląskiem i Pomorzem w ogólnym opracowaniu dziejów Polski nie stoi w żadnej sprzeczności do prawdy dziejowej i z punktu widzenia naukowego merytorycznie jest jak najstuszniesze. To też fakt ten uważać należy bezsprzecznie nie za wadę książki, którą wytknąć by należało, lecz za szczególną zaletę, którą podnieść powinno się z wielkim uznaniem.

Inna sprawa, że łączy się to z pewną koncesją na rzecz innej bieżącej aktualności politycznej, koncesji zgoda nie naukowej, a dotyczącej ziem i granic wschodnich Rzplitej — która jest poważnym anachronizmem i uchybieniem naukowym, wymagającym omówienia na innym miejscu.



Z uznaniem też podnieść należy rozdziały omawiające *śródlą*, odnoszące się do danej epoki i zakresu, stojące niekiedy na wysokim poziomie (np. 1, 2, ss. 7-35). Pożyteczne również mogą być wskazania, poświęcone *historiografii* pewnych okresów i zakresów, niestety nacechowane zbyt daleko idącym niekiedy uprzedzeniem do przedwojennych historyków „burżuazyjnych” i niezawsze bezstronna i właściwa polemika z nimi. Nader obfita jest *bibliografia* — wykaz najważniejszych opracowań, naturalnie z klasykami marksizmu-leninizmu na czele. Już sama liczba stron jej poświęcona (w t. I, 2, ss. 699-762; w t. II, 2, ss. 745-842, czyli łącznie około 160 stron), wskazuje, że bibliografia nie jest tu potraktowana zdawkowo i może oddać poważne usługi czytelnikowi.

Zdania i sądy słuszne.

Trzeba też przyznać, że wiele, bardzo wiele momentów i spraw dziejowych jest przedstawionych w „makiecie” obiektywnie, ściśle i zgodnie z istniejącym materiałem źródłowym oraz z wynikami badań historycznych, dawnych i najnowszych.

Trudno rozwozić się nad tym obszernie i wymienić wszystko, co by na to zasługiwało. Dla przykładu wspomnimy tu tylko o niektórych (spośród wielu) trafnych sądach, wyjętych z obu części tomu pierwszego. Oto one:

Tom I, część 1: Str. 92: podniesienie z uznaniem sumienności badawczej Władysława Abrahama w zakresie spraw kościelnych w. X-XII; s. 123: słuszny pogląd na podgrodzia, jako na element załazkowy życia miejskiego, produkcji rzemieślniczej i wymiany towarowej; s. 161-2: trafna ocena zjazdu gnieźnieńskiego w r. 1000; s. 184: z faktu niezorganizowania biskupstwa na Mazowszu w r. 1000 wysnucie trafnego wniosku o spóźnionym procesie chrystianizacji tej krainy; s. 217: uwzględnienie najnowszych odkryć archeologicznych przy obrazowaniu sztuki polskiej, zwłaszcza architektury; s. 220-1: wzruszający sposób obrazowania miłości ojczyzny w kronice Galla; cały rozdział I (części IV-ej) s. 254-273: „Ruch kolonizacyjny i początki gospodarki czynszowej” jest bardzo dobry; s. 307-308: dokładnie i jasno przedstawiona jest sprawa sprowadzenia Krzyżaków, ze wszystkimi powi-

klaniami spraw terytorialnych; s. 332 i 338: słuszne uwagi co do dużej ilości zachowanych dokumentów lokacyjnych w dobrach kościelnych tudzież — inaczej niż w rosyjskiej „Istorii Polszy” — co do wielkiej doniosłości prawnospołecznej osadnictwa na prawie niemieckim; s. 354-5: trafne spostrzeżenie nad zróżnicowaniem społecznym i stosunkami narodowościowymi po miastach w XIII i XIV w.w.; s. 360-362: dobre syntetyczne ujęcie położenia międzynarodowego Polski w końcu XIII w.; s. 377-79: słuszne stwierdzenie roli miast i mieszczaństwa oraz arcybiskupów gnieźnieńskich w procesach zjednoczeniowych Polski w w. XIII i XIV; s. 451-3: bardzo dobre przedstawienie odpadnięcia Śląska w XIV w.; s. 411-414: trafna analiza stosunków w stanie rycerskim; podobnie s. 476-78: analiza skarbowości miejskiej; s. 478-80: w przedstawieniu warstw i dążeń ludności miejskiej, godny jest podkreślenia (s. 479) obiektywizm, z jakim podkreślono wyzysk chłopów przez pospólstwo miejskie; s. 508: słusznie podkreślono (inaczej niż w „Istorii Polszy”) rolę i znaczenie paktu koszyckiego; s. 509: podobnie trafnie oceniono promiejską politykę zarówno Kazimierza Wielkiego jak i Ludwika Węgierskiego; s. 515: w opisie chrztu Litwy nie się nie mówi o przymusie wówczas rzekomo stosowanym (por. „Istoria Polszy”); s. 515: oceniając na ogół ujemnie unię polsko-litewską, dostrzega „makieta” w niej wszakże i strony pozytywne, ze względu na zahamowanie zaborczej ekspansji krzyżackiej; s. 585: próba odtworzenia budowy i wyglądu chat chłopskich z uwzględnieniem wygód (raczej niewygód) życia po wsiach i miastach, nie zamykając się w kręgu życia szlacheckiego.

Część 2 tegoż tomu I: s. 59: stwierdzenie, że i gdzie indziej (poza Polską) od końca w. XVI dostrzega się upadek mieszczaństwa i miast, zwłaszcza w krajach, w których rozwinęła się gospodarka folwarczno-pańszczyźniana; s. 88: rozdział, zatytułowany „Rozwój obciążeń chłopskich. Ograniczenie samorządu wsi” bardzo trafnie i przekonująco rozróżnia położenie chłopskiej ludności w zależności od tej czy innej kategorii dóbr; s. 129: słusznie podkreśla się szczególne cechy ustroju polskiego — niezrozumiałe często dla obcych, np. „demokrację szlachecką”, aczkolwiek gdzie indziej (choćby na str. 179) tego „specyfiku” dziejów polskich jakby się nie dostrzega lub się go lekceważy; s. 186-187: w rozdziale o „Genezie reformacji w Polsce” słuszne uwagi o bogactwie i zmaterializowaniu ówczesnego wyższego duchowieństwa w Polsce; s. 227: słuszne uwagi o udziale miast w sejmach Rzplitej; s. 260-261: ciekawe, a mało znane dane o powstaniu chłopskim w Prusach Książęcych (w Sambii i Natangii) w r. 1525; s. 288: słuszna ocena ustaw z II. 1496, 1505, 1538 o przywróceniu chłopu do ziemi, jako o czynniku, ze względów zrozumiałych wysoce hamującym rozwój oświaty i wykształcenia w warstwie chłopskiej; s. 306: trafna ocena postaci i działalności Stan. Orzechowskiego, który „osiągnął szczyty demagogii i szczyty sztuki pisarskiej”; s. 403-4: bezstronne stwierdzenie fanatyzmu kleru luterńskiego w Szwecji (nie tylko katolickiego w Polsce); s. 420: bezstronne również zaznaczenie ciężkiego położenia chłopów i licznej niewolnej czeladzi („chołopów”) w Carstwie Moskiewskim, czego np. trudno by się doszukać we wspomnianym tylekroć rosyjskim opracowaniu „Historii Polski” Sowietkiej Akademii Nauk; s. 447: trafne podniesienie doniosłości tak ważnego faktu, jak podział skarbu na publiczny i nadworny (Rzplitej i JKrMci) w r. 1590; s. 454: słuszne i na miejscu jest omówienie reform i względnie wysokiego poziomu armii polskiej za Władysława IV; s. 503: cenne uwagi o poglądach społecznych Jana Kochanowskiego; s. 505: słuszne też jest zwrócenie uwagi na rozwój teatru mieszczańskiego w XVI i XVII w.; s. 522: słuszny sąd o znacznej ilości ludności niepoddanej, wolnej, luźnej zwłaszcza w Prusach Królewskich i w Wielkopolsce; s. 536-7:

dobry rozdział o „Nowym osadnictwie „oleńskim”; s. 557: słuszne spostrzeżenia nad powiązaniem elementów społecznych, narodowościowych i wyznaniowych w powstaniu Kozaków; s. 567: godne uwagi zaznaczenie, z którego nie zawsze się zdaje sobie sprawę, że Jan Kazimierz uszedł podczas „potopu” na Śląsk Opolski, będący wówczas, dzięki zabiegom Władysława IV, w zastawnym posiadaniu Wazów; s. 584: słuszne stwierdzenie decydującego wpływu Moskwy na elekcję Augusta II w roku 1697; s. 612-13: właściwe zwrócenie uwagi na stosunki polsko-saskie w dobie Sasów — nie tylko polityczne (Brühl), ale i kulturalne (imigracja z Saksonii elementów chłopskich i mieszczańskich, Mitzler de Coloff, założone przez Jabłonowskiego Towarzystwo Naukowe w Lipsku); s. 631: słuszne tutaj porównanie (tak rzadko w innych wypadkach stosowane) zredukowanych sił zbrojnych Rzplitej w zestawieniu z ogromnymi armiami państw sąsiednich (rozbiór-czych); s. 685: trafne podkreślenie elementów „plebejskich” w teatrze początków XVIII w.

Powyższe przykłady wyjęte dość przygodnie z obu części tomu pierwszego „makiety”, doprowadzonego do roku 1764, a więc do czasów Stanisława Augusta, przytoczone tu zostały *exempli gratia* dla stwierdzenia, że w makiecie znajdujemy nie mało erudycji i ścisłej wnikliwości badawczej.

Można by przytoczyć podobne przykłady i z tomu II „makiety”. Nie chcąc przedłużać nadmiernie naszych wywodów, zmuszeni jesteśmy poprzestać na przytoczeniach podanych, zaznaczając tylko, że sądów poprawnych i ścisłych znaleźć by można w tym tomie II stanowczo niemniej, niż w tomie I. Stwierdzić przy tym należy iż tom II nosi bardziej imienny i jakby osobisty charakter, o ile chodzi o autorów poszczególnych rozdziałów tego tomu, niżeli tom poprzedni. Dowodzi tego chociażby okoliczność, że nazwiska autorów znajdujemy u góry każdej parzystej strony w tym tomie dzieła, a nie tylko w spisie treści na końcu, co czyni układ treści tomu II o wiele bardziej przejrzystym.

Ilustracje.

Słowa uznania należą się z różnych względów *materialowi ilustracyjnemu* „makiety”. Jest on nader obfity i wyraża się ilościowo w podaniu w obu tomach, i wszystkich czterech ich częściach, w pokaźnej liczbie 698 ilustracji oraz 43 planów i map w tekście, oprócz 20 map osobnych w dwu dołączonych do dzieła zeszytach.

Nie mówimy tu o stronie *technicznej* wykonania tych ilustracji, które w wydaniu próbnym, jakim jest „makieta”, nie może (i nie potrzebuje) być z natury rzeczy bez zarzutu.

Jeśli chodzi o dobór ilustracji, to ogranicza się on niemal wyłącznie do rzeczy *sabytkowych*, pochodzących z epoki, której one dotyczą, co ze względów metodycznych podnieść należy z uznaniem.

Ilustracje w „makiecie” są na ogół ciekawe, przedstawiają wiele rzeczy dotąd prawie lub całkiem nieznanymi i nie reprodu-

kowanych nigdzie, uwzględniając w szerokim zakresie życie chłopów i mieszczan, gospodarstwo rolne i rzemiosła.

W „makiecie”, jak na tak bardzo znaczną ilość ilustracji, jest może trochę *zbyt mało wizerunków kościołów* (tylko 15!) i w ogóle zabytków kościelnych architektonicznych, których przecie z wieków ubiegłych zachowało się może więcej, niż z jakiegokolwiek innej dziedziny, przy tym ilustrują one zazwyczaj doskonale charakter i tło epoki, do której należą. Świadczy o tym dobitnie chociażby piękne wydawnictwo albumowe, ogłoszone w kraju w roku 1956 przez Zakład Architektury Polskiej Politechniki Warszawskiej Jana Zachwatowicza „Architektura Polska do połowy XIX wieku”, które dostarczyć by mogło obfitego w tym kierunku materiału ilustracyjnego.

Sądziłbym również, że książka wiele by zyskała, gdyby szerzej uwzględniła *dział portretów*, zwłaszcza od XVI wieku poczynając, postaci, zarówno wybitnych stanowiskiem i godnością, jak wyróżniających się rolą — dodatnią czy ujemną — którą odegrały.

Z królów epoki po-jagiellońskiej znajdujemy w „makiecie” jedynie portrety Jana III Sobieskiego i Stanisława Augusta. Oprócz nich, powinni się tu znaleźć koniecznie z „najjaśniejszych regnantów” polskich Batory, ze względu na rolę dziejową którą odegrał, Zygmunt III, już chociażby wobec 45-letniego, a więc prawie najdłuższego swego panowania, Władysław IV, ze względu na przełomowy charakter swego panowania, Jan Kazimierz, ponieważ czasy jego były tragicznym „Initium Calamitatis Reipublicae”, które tkwiło niejako w królewskich inicjałach jego imienia (I.C.R. = Ioannes Casimirus Rex)...

Poza tym z *postaci wieku XVI* daje się odczuwać wielki brak wizerunków Skargi i Jana Zamoyskiego; z *wieku XVII*: brak Żółkiewskiego, Jana Karola Chodkiewicza, księdza Kordeckiego; nie poprzestając na podanych portretach Czarnieckiego i Chmielnickiego, należałoby dać także Jana Wyhowskiego (zwłaszcza skoro się umieściło Chmielnickiego), zdrając Hieronima Radziejowskiego, Krzysztofa Opańskiego, Janusza Radziwiłła, rokoszanina Jerzego Lubomirskiego. Z *wieku XVIII*: umieszczeni być winni — Stanisław Leszczyński, Maciej Dogiel (piękną portretową jego litografię podaje słynne „Album” Wilczyńskiego, skąd można ją zaczerpnąć); do czasów Stanisławowskich: podskarbi Antoni Tyzenhauz, jako działacz przemysłowy, skarbowy i polityczny, Paweł Brzostowski, ze względu na jego „Rzeczpospolitą chłopską w Pawłowie”, hetman wielki litewski Michał Ogiński (Kanał Ogińskiego, rola polityczna), bo, choć wszyscy trzej działali na Litwie, jednak tak blisko związani byli z dziejami Korony, że pominięci być nie mogą; także Szczęśny Potocki, Szymon Kossakowski, jako Targowiczanie, Tomasz Wawrzecki, jako następca Kościuszki, Franciszek Bohomolec, Franciszek Zabłocki, Józef Wybicki, jako mąż stanu i autor „Jeszcze Polska nie zginęła”. Z *wieku XIX*: Samuel Bogumił Linde, Zygmunt Krasiński, Kornel Ujejski, Andrzej Towiański,

Emilia Plater (tak mało jest portretów kobiecych w „makiecie”, — por. Narcyza Żmichowska, II/I, s. 411); ksiądz Piotr Ściegienny (skoro jest Szela); „Pan Andrzej” Zamoyski; Jurgens; z postaci, związanych z powstaniem styczniowym: Wielopolski, W. Ks. Konstanty Mikołajewicz; Marian Langiewicz, skoro są podani dwaj inni dyktatorzy powstania (Mierosławski, Traugutt), Zygmunt Sierakowski („Dołęga”), jako jeden z najwybitniejszych partyzantów; Jakub Gieysztor, prezes Wydziału Zarządzającego Prowincjami Litwy; ksiądz Stanisław Brzózka, ostatni „kryjak” powstańczy; Konstanty Kalinowski z odbitką tak charakterystyczną jego białoruskiego „Piśma od Jaśka hospodara spod Wilni”, w którym ten, rzekomy separatysta białoruski, zwraca się „do muzykou ziemi polskoj” z charakterystycznym wezwaniem: „My szto żywiemo na ziemi polskoj, szto jemo chleb polskij, my, Palaki z wiekou wiecznych...”

Pomnożenie materiału ilustracyjnego w zakresie portretów wybitnych postaci znakomicie zbliżyłoby treść książki do czytelnika, uprzyścipleniłoby ją i urozmaiciło, czyniąc bardziej zajmującą przez odebranie dzieciom charakteru szarej bezosobowości. Nie obniżyłoby przy tym bynajmniej poziomu naukowego dzieła. Bo przecież, cokolwiek by się mówiło o socjologicznym podejściu do nauki dziejowej, dzieje, historię tworzą ludzie, nie tylko w masie swojej bezimiennej, ale i w jednostkach, przez które lub pod których imieniem dynamizm, tkwiący w masach, staje się czynnikiem dziejotwórczym.

Brakiem najdotkliwszym wszakże jest prawie zupełny brak materiału ilustracyjnego z terenów Wielkiego Księstwa Litewskiego, Białej Rusi, Wołynia, Ukrainy, Podola... z Wilna, ze Lwowa — słowem, z terenów *wschodnich* dawnej Rzplitej. *Brak ten jest zgoła nie naukowy*, gdyż, przedstawiając dzieje narodu polskiego, dzieje dawnej Rzplitej, „makieta” pozbawia czytelnika, nie stara się mu unaocznic tego, co, choć różne pod wieloma względami od ziem centralnych czy zachodnich Polski, w granicach jednak dawnej Rzplitej obojga narodów na jej wschodzie się znajdowało, co współżyło i było w ustawicznej a odwiecznej wymianie wzajemnej wpływów kulturalnych z pozostałymi obszarami koronnymi, i gdzie żywioł polski odgrywał przez szereg wieków ogromną rolę cywilizacyjną: rozplecił się tutaj, zakorzenił się i zagnieździł oraz złączył się z nią tak całkowicie, iż usunąć go stamtąd dotychczas nie zdołały najśrodsze prześladowania, po których ustaniu, choćby chwilowym, rozkwitał on bujnie nowym życiem. Bo też w tradycji, w zwyczajach, w sposobie życia, w stylu swoich budowli i w tysiącnych powiązaniach z Koroną żyła tu polskość zawsze. Zrozumieć ich, zrozumieć lwowskiego renesansu, wileńskiego baroku wprost nie podobna bez związków z Polską.

To *okaleczenie*, zgoła nie naukowe, książki jest jednocześnie bolesne dla czytelnika polskiego ze względów uczuciowych, cho-

ciażby wobec pochodzenia stąd, z wschodnich ziem Rzplitej, Chodkiewicza, Żółkiewskiego czy Sobieskich, Kościuszki, Mickiewicza, Słowackiego, Traugutta, nie mówiąc już o innych.

Jest to antynaukowa i antyhistoryczna w tym wypadku koncepcja na rzecz obecnej aktualności politycznej, płynąca z niedorzecznych pobudek propagandowo-politycznych, a ich główną „causa efficiens” jest znowu zależność Polski dzisiejszej od Rosji, która, zagarnąwszy ziemie wschodnie dawnej Rzplitej, chce i wymaga, żeby na terenach, od niej zależnych, jak najszybciej i najgruntowniej o związkach tych ziem z Polską zapomniano i całkowicie o nich mówić zaprzestano.

Poruszone tu braki w materiale ilustracyjnym są w najwyższym stopniu dla książki szkodliwe, czynią z „Historii Polski” dzieło w pewnej mierze antyhistoryczne i podkopują zaufanie do jej bezstronnej prawdomówności naukowej.

Jeszcze jedna uwaga w sprawie ilustracji: wykaz ilustracji w tomie I/2 jest *przejrzysty*, podając strony, na których ilustracje umieszczono. Wykaz ilustracji w tomie II/2 stron tych nie podaje, poprzestając na numerach ilustracji, co utrudnia orientację.

Mapy.

Mówiąc o materiale ilustracyjnym, osobną wzmiankę poświęcić należy *mapom*. Przeszło 40 planów i map podanych jest w tekście: są to przeważnie plany bitew, np. Racławickiej, Maciejowickiej (t. II, cz. I, ss. 325, 327), plany miast, np. Łodzi z r. 1827 (II, cz. 2, s. 40), rozmieszczenie grup plemiennych (np. I, cz. I, s. 42), czy też ośrodków kultu (np. głównych ośrodków reformacji) (np. I, cz. 2, s. 193). Te mapki, zamieszczone w tekście, na ogół są dokładne, jeżeli jednak obejmują większe całości terytorium państwowego czy narodowego, są niekiedy zbyt małe i niedość wyraźne, czasami znowu wymagałyby pewnych uzupełnień, np. na wymienionej przed chwilą mapce (I, cz. 2, s. 193), wśród głównych ośrodków reformacji w okresie XVI-XVII w., nie są uwidocznione na mapce Kielmy na Żmudzi, Sereje, Łosk, Śluc i parę innych.

Prócz tego, do całości „makiety” do jej tomu I i II dodane są dwa zeszyty map składanych, niekiedy barwnych (zeszyt do t. I zawiera map 9, do t. II — map 11, w sumie tedy map 20). Niektóre z nich są doskonałe, bardzo wyraziste i przejrzyste, np. w zeszycie I mapka Nr 2 „Polska w połowie XII w.”, a więc wkrótce po zgonie Bolesława Krzywoustego: znakomicie unaocznia przeważne stanowisko i znaczenie centralne senioralnej dzielnicy krakowskiej, która wydłużonym swym kształtem przepoławia niejako Polskę piastowską, stykając się ze wszystkimi księstwami dzielnicowymi poszczególnych Piastów, niby marchiami pogranicznymi, zajmując wśród nich, wraz z dożywotnim uposażeniem wdowim księżnej Salomei w Łęczycy, Sieradzu i gdzie indziej, miejsce przodujące i środkowe.

Z mapki tej lepiej i dokładniej, niż z długich wywodów słownych, naocznie przekonać się możemy, jak dalece troskał się Krzywousty, dzieląc Polskę między synów, o zachowanie przewagi terytorialno-politycznej i powagi księcia krakowskiego, jako księcia seniora, nad innymi Piastowicami.

I inne mapki, o ile mogliśmy stwierdzić, są na ogół dokładne, podają miejscowości mniej znane, ale ważne dla tego okresu dziejów, którego dotyczą: np. mapka w zeszycie I, Nr 7 („Ziemie Polskie XVI wieku”) podaje Knyszyn, ze względu na to, że jest to miejsce zgonu Zygmunta Augusta w roku 1572. Duże zalety posiada również mapa Rzeczypospolitej w XVII wieku (zeszyt I, Nr 9): dokładna, przejrzysta, wszakże Jam Zapolski ze względu na rozejm tu zawarty za Batorego, w styczniu r. 1582, winien się raczej znaleźć na mapie z wieku XVI, nie XVII; na tejsze mapce z wieku XVII (Nr 9), skoro podane są Matwy nad Notecią, jako miejsce porażki wojsk królewskich w bitwie z rokoszanami Lubomirskiego, nie powinno być zabraknąć na tejsze mapce Łęgonic nad Pilicą, gdzie uгода z tymi rokoszanami w roku 1666 zawarta została; skoro dwukrotnie: na mapce Nr 3 „Polska w okresie rozdrobnienia feudalnego” (a więc około roku 1250) w zeszycie I, i w tymże zeszycie na mapce Nr 7 (wiek XVI), uwidoczniono Czarną Hańczę, lewy dopływ Niemna, wraz z jeziorem Wigierskim, przez które przepływa, niesłusznie opuszczono ją oraz jezioro Wigierskie na mapce Nr 9 (wiek XVII), nad którym położony był słynny erem kamedulski Wigry, bo właśnie w XVII wieku, za Jana Kazimierza, i później, kameduli wigierscy odegrali dużą rolę przy zasiedlaniu tzw. „kraju Zapuszczańskiego”, czyli zaniemeńskiej (lewobrzeżnej) części województwa trockiego i Żmudzi, na pograniczu pruskim; takie osiedla miejskie, jak Suwałki, Mariampol i inne, temu eremowi „bogomodłców wigierskich” w znacznej mierze zawdzięczają swoje powstanie i rozwój. Nie są też oznaczone na mapce Nr 9 (wiek XVII) w owym kraju „Zapuszczańskim” Sereje, które, jako enklawa prusko-radziwiłłowska, pewną rolę w stosunkach XVII-wiecznych odegrały.

Mapki w zeszycie II (1764-1864) noszą charakter militarny (ruchy wojsk, bitwy), lub statystyczny (gęstość zaludnienia) czy też ekonomiczny (rozmieszczenie przemysłu). Daje się tu zauważyć brak większych map, poza małymi, zamieszczonymi w tekście, wiążących się z granicami rozbiorów, później z Księstwem Warszawskim i Królestwem Kongresowym. Mapki takie, jak „Polska po rozbiorach” w tekście (t. II, cz. 2, s. 415) lub „Rzplita po pierwszym rozbiorze, 1773-1792”, (zeszyt II, Nr 1), ta ostatnia dokładna, przejrzysta, znacznych rozmiarów, nie są tu wystarczające.

Na ogół wszakże, zaopatrzenie kartograficzne „makiety” jest obfite, oparte o gruntowne — o ile sądzić mogę — studia i o należyte przemyślenie dydaktyczne.

Stanowią też niewątpliwie pozycję *dodatką* książki.

ODWROTNA STRONA MEDALU

Spostrzeżenia krytyczne ogólne.

Po złożeniu należnego homagium pozytywnym wartościom „makiety”, po rozejrzeniu się w jej stronach dodatnich, z przygodnym tylko tu i ówdzie zaznaczeniem stron jej ujemnych — wypada przejść do generalnego omówienia *negatywu*, do przedstawienia jej *braków*, niekiedy rażących, które obniżają wartość całości dzieła, z wielką szkodą naukową i społeczną.

Z żalem wypada podnieść, że braki te są liczne i różnych stron dzieła dotyczące. Tkwią one przede wszystkim w założeniach ideowo-metodologicznych i w ocenie spraw wszelkich oraz „procesu dziejowego” jak to już było wspomniane — z punktu widzenia *marksizmu i walki klas*. Podporządkowanie dociekań naukowych i przystosowanie ich wyników do jakichkolwiek „punktów widzenia”, zwłaszcza do narzuconych z góry, jest sprawą *nie naukową*, i zgoła sprzeczną z koniecznością wolności nauki, co się zawsze mściło zwykło na jej postępie.

Zaden z góry powzięty i z góry narzucony punkt widzenia *nie jest dopuszczalny w nauce*. Ani wypływający z jakiegokolwiek doktryny, ani z najlepszych chęci, ani z najpiękniejszych idei czy najświętszych celów... Nie punkty widzenia, od których zależą kąty widzenia (a jak wiadomo: kąt widzenia wszystko zmienia!), ale *prawda*, jedynie i wyłącznie prawda i bezinteresowne jej służenie — musi przenikać historiografię naukową. Podstawą zaś jej, zawsze i wszędzie jedynie pewną, mogą być źródła historyczne, to jest wszelkie krytycznie zbadane ślady, pozostałe po faktach historycznych.

To, że twórcy „makiety” zdają się zapominać o tej podstawowej zasadzie metodycznej i wychodzą z powziętego z góry *marksistowskiego* punktu widzenia, stanowi pierwszy i główny *brak* „makiety”.

A po wtóre, to swoisty *ton* wykładu „makiety”. „C'est le ton qui fait la chanson”. On to sprawia, że, choć nieraz godzimy się z istotą rzeczy, przedstawioną przez autorów „makiety”, burzymy się przeciwko sposobowi jej ujęcia, jej podania czytelnikowi, jej oblania swoistym sosem o szczególnym smaku czy zapachu, który znieść jest trudno.

Znając wysoki poziom naukowy i dawny sposób myślenia i pisania *niektórych* autorów, biorących udział w redagowaniu czy opracowywaniu poszczególnych rozdziałów „makiety”, można być przekonanym, że ten swoisty ton, to podlanie specjalnym sosem — w pewnych przynajmniej wypadkach, nosi *charakter „akcydentalny”*, narzucony jest z zewnątrz i znikłby z książki natychmiast, gdyby nie potrzebowano się liczyć z naciskiem z góry, z obowiązującą w danej chwili linią partyjną czy obowiązującym kanonem wysłowienia.

Ten bardzo rażący sposób pisanie i ujmowania rzeczywistości historycznej jest wynikiem owego nacisku zewnętrznego i zgęszczonej atmosfery, panującej w kraju, wyraża się zaś w osobliwościach stylu, w cytatach, w ocenie wyników dotychczasowej, dawnej historiografii, w sposobie rozumowania, aktualizacji i swoistym naświetlaniu faktów — słowem, zgoła we wszystkim niemal, co od czasów Naruszewicza przyzwyczailiśmy się uważać za cztery główne przymioty pracy naukowo-badawczej historyka, a mianowicie: „zebranie rzeczy pilne”, „rozłożenie łatwe i porządne”, „krytyka mądra” i „ozdobienie gładkością pióra powabne”.

Prawie wszystkie te przymioty pracy historiograficznej, niestety, pod wpływem owego przykrego „tonu”, brzmiącego fałszywym dysonansem poprzez całość „makiety”, *przestają być zaletami* i łączą się z ciężkimi zarzutami, które wyłuszczone być mają w dalszym toku niniejszej recenzji.

Rażące osobliwości stylu.

„Historia Polski”, do której w redakcji ostatecznej „makieta” ma być przygotowaniem w tej skali i rozmiarach, oraz na tym poziomie, na jakim została pomyślana, stanowić ma niejako „kamień milowy” na drodze rozwoju historiografii polskiej i ma być dziełem pod każdym względem pomnikowym. Styl jego, język, wykład słowny winien być, jak sądzę, dostosowany do tej zamierzonej „monumentalności” i nie może zawierać *naleciałości* tegoczesnych, odpowiadających raczej jakiejś swoistej gwarze pisarskiej dzisiejszej czy modnemu dzisiaj, i w wydawnictwach krajowych używanemu „żargonowi”, nie odpowiadających zgoła stylowi i sposobowi pisanie naszych dawnych najpoważniejszych dzieł historycznych.

Oto przykłady niewłaściwego wysłowienia się, wzięte z kolejnych dwu tomów „makiety”, podzielonych każdy na dwie części, które odtąd (dla ułatwienia sobie ich oznaczania) będziemy oznaczali kolejno literami: A, B, C, D.

Uderza przede wszystkim nadmiernie częste używanie (i nadużywanie) wyrazu: *feudalizm, feudalowie, feudalny* i innych pochodnych. Używa się w „makiety” tego wyrazu nie w dawnym, powszechnie w studiach i książkach historycznych przyjętym znaczeniu, kiedy się w nauce historycznej polskiej ustalał pogląd, że *dzieje Polski feudalizmu* w ścisłym zachodnio-europejskim tego słowa znaczeniu *prawie nie znały*, z wyjątkiem tylko stosunku do Prus, Kurlandii, a dawniej do Mołdawii i Wołoszczyzny, oraz w stosunkach wewnętrznych dawnej Litwy i w rzadkich kilku innych wypadkach. Tutaj, bez jakiegokolwiek wyjaśnienia czy omówienia tej ważnej sprawy, używa się tego wyrazu w znaczeniu o wiele szerszym, w znaczeniu zależności człowieka od człowieka, poddanego, chłopca od pana, inaczej, niż w dawnej naszej literaturze naukowej, a zgodnie z tym, co widzimy u pisarzy

marksistów, zwłaszcza rosyjskich (por. A, 167: J. Stalin, „Ekonomiczne problemy socjalizmu”), uznając fakt istnienia feudalizmu za nie podlegający żadnej wątpliwości.

Pojęcie „feudalizm” uważa się w „makiecie” za coś z piekła rodem. Jest on źródłem wszelkiego złego w naszej przeszłości i wszystkich jej stron ciemnych: agresji, zaborczości polskiej, ujarzmienia ludności wiejskiej, jej nędzy i ciemnoty, a wreszcie ruiny i upadku państwa przez rozbiory. Słowo „feudalizm” odmienia się przez wszystkie przypadki, używa w różnych formach i połączeniach: feudalna renta, wojna, epoka (A, 7), baza feudalna (A, 136, 245, 247), ustrój feudalny (B, 547)... Czasami słowo „feudalny” (państwo feudalne, nacisk feudalowy, ucisk feudalny) w jednym wierszu powtarza się trzykrotnie (np. A, 154). Autorzy po prostu jakby zachłystują się tym słowem, umieszczają je nie tylko w rozmaitych kombinacjach tekstu (A, 128, 143, 144-6, 148, 163, 177, 179, 196, 198-9, 218; B, 526, 639...), ale w tytułach części, działów, rozdziałów, podrozdziałów (np. A, 184, 234; B, 70, 185; C, 74, 377...), powtarzają słowa te tak często, iż mimo woli doznaje się wrażenia, że sami nie bardzo dowierzają swym wywodom i przez powtarzanie ustawiczne usiłują je zasugerować, narzucić czytelnikowi.

Drażniące i przykre jest również nadużywanie innych wyrazów, jak np.: *baza* — w różnych połączeniach słownych: baza (A, 7), baza społeczna (A, 232, 236), baza materiałowa (A, 56), baza źródłowa (A, 68), problematyka bazy społeczno-gospodarczej (A, 91, 93, 128, 222), uwstecznienie bazy, krzepnięcie bazy (A, 128)... Nazbyt ochoczo używane są wyrazy: *problematyka* (np. A, 91, B, 40), *specyfika* (B, 40), *regres* gospodarczy i *progres*, regresywne przeobrażenia, narastanie regresu (B, 39, 61, 63, 68, ... 121, 202, 246, 250, 256, 307, ... 507, 654, 687), *postulować*, postulowany, zamiast po prostu żądać, wymagać, wymagać (np. B, 304, 627; C, 84); *preburżuazja*, elementy preburżuazyjne mieszczaństwa (B, 157, 296, — „Justus Decjusz, przedstawiciel preburżuazji” (B, 308). Wyglądają na nowotwory, a w każdym razie na słowa i zwroty, niedostatecznie jeszcze zakorzenione w języku, następujące dość często, używane z upodobaniem w „makiecie” określenia i wyrazy: połowa I tysiąclecia n.e. (= naszej ery, zamiast po Nar. Chrystusa) (A, 15, 23); *utowarowienie* gospodarki chłopskiej (A, 270); grody *pryncypackie* (A, 277); *reliucja* stróży (A, 314); *materiałowe* przyczynki, materiałowo (B, 38, 45, 47); *prowidencjonalistyczny* pogląd na świat (A, 57); *fideistyczne* stanowisko Szajnochy (B, 44); *robocza* synteza (B, 44); *rozwarstwienie* wsi, ludności (B, 40, 79); *osiągnięcia faktograficzne* (B, 45); *nie przebadano* (B, 51); *zaplanowano* (B, 396)... Oczywiście, zwroty te i im podobne nie są złe same w sobie, zastrzec się wszakże należy przeciwko ich zbyt pochopnemu i częstemu używaniu.

Groźne natomiast i najbardziej przykre są dość często spotykane w „makiecie” rusycyzmy, których wystrzegać się należałoby za wszelką cenę.

Najczęstszymi chyba są wyrazy takie, jak *pojawiać się, pojawiać się*, zamiast ukazywać się, ukazanie się lub przynajmniej *zjawiać się, zjawienie się*, także *przejawiać się*, zamiast *ujawniać się*... Ukazują się one na przestrzeni *wszystkich czterech tomów* „makiety” i sięgają liczby paru setek. Oto przykłady: W tomie A: 30, 40, 44, 73, 94, ... 411, 413, 438, 456, 468, 470, 518, 552, 557, 560, 586, 594, 600. W tomie B: 33, 54, 73, 75, 94, 108, 111, 157, 163, 202, 220, 230, 269, 280, 307, 453, 462, 476, 526, 529, 537, 538, 543-545, 597, 617, 619, 622, 638, 643, 644, 650, 655, 669, 681-683, 686, 693, 694, 698. Podobnie jest w tomach C i D.

A oto niektóre inne wyrazy, wyglądające na rusycyzmy: *przechwytywać*, zamiast *przejmować* (A, 242), *przemieszczać się*, zamiast *przechodzić*, *zmieniać miejsce*, *przenosić się* (A, 456), *rubieżny* (A, 511), prowincje *przybaltyckie*, tak bardzo przypominające „Pribałtyjskij kraj”, zamiast prowincje nadbaltyckie (B, 574), *przyjęło* formy, zamiast *przybrało* (B, 487).

Już nie rusycyzmem, ale błędem zwykłym językowym jest błędny miejscownik w zwrocie: *przy królu Węgry*, zamiast: *przy królu Węgry* (A, 608), oraz błędny chyba Nominativus plur. *tributarii*, zamiast *tributarii* (A, 512).

Nie podobna wdawać się tu w dalsze szczegóły. Z przytoczonych i omówionych tutaj przykładów, widzimy, że strona językowa „makiety”, choć na ogół poprawna, zyskać by mogła wiele przy poddaniu jej bardziej dokładnej pod tym względem rewizji.

Cytaty.

Jedną z rzeczy, może najbardziej w „makiecie” wstydzących i drażniących, jest sprawa *cytat*.

Była mowa wyżej o bardzo obfitych wskazaniach bibliograficznych, podanych w książce. Zdaje się nie ulegać wątpliwości rozległe odczytanie autorów poszczególnych rozdziałów w literaturze historycznej i uwzględnianie najnowszych wyników badań naukowych, ze szczególną wszakże predylekcją do prac doby powojennej (1945-56), jako pochodzących już nie od dawnych historyków „burżuazyjnych”, lecz od młodego czy starszego narybku „marksistowskiego”.

Jednak w książce takiej, jak „makieta”, mającej charakter obszernego podręcznika (uniwersyteckiego czy pozauniwersyteckiego) autorzy nie powołują się na ogół, ani w tekście ani w przypisach, na dzieła, z których korzystali, przytaczając je tylko w ogólnym wykazie bibliograficznym przy końcu tt. B i D. Zupełnie słusznie, gdyż przypisy lub cytaty w tekście obciążyłyby nadmiernie tekst książki zbędnym balastem. Tak też robią, unikając przypisów i cytat Bobrzyński, Trzej autorzy, Konopczyński i inni.

„Makieta” zaledwie parę razy przytacza nazwiska autorów prac wyzyskanych w danym ustępie, np.: Rutkowski B, 520,

Kula B, 557, Łoziński B, 595, Smoleński B, 668. *Nie dotyczy to najważniejszych powag marksizmu-leninizmu*: Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina, Bieruta, nawet słynnej historii partii komunistycznej rosyjskiej — WKP(b). Są oni nie tylko wymienieni na miejscu naczelnym w wykazie bibliograficznym ważniejszych opracowań (w rubryce „Klasyki marksizmu-leninizmu” (B, s. 699-700), lecz po wielokroć przytaczani w przypisach, wymieniani i cytowani imiennie w tekście. Oto garść przykładów:

Marks: A, 54, 110, 335-36, 456; B, 59, 92, 100, 525, 596; C, 346, 371...; D, 232, 272...

Engels: A, 24, 38, 379, 438, 482, 487-88, 496; B, 44, 60, 123, 124, 126, 185, 186, 188-89, 200, 205, 292, 294, 311, 597; C, 23, 233, 370, 371...

Marks i Engels: A, 7, 30, 109, 240, 333, 435; C, 207, 233, 370, 371; D, 232...

Lenin: A, 410, B, 475, 562; D, 737, 738...

Stalin: A, 93, 107, 243, 447, 487, 492; B, 475, 684...

Bierut: 6.

WKP(b): 6.

Jest to szczególnie zaszczytne wyróżnienie.

Oklaskiwanie aktorów przy podniesionej kurtynie, w toku akcji na scenie uważane bywa za hołd czy zaszczyt szczególnie pochlebny, wyróżniający i miły dla artysty. Stosowane jest tylko w wypadkach wyjątkowych, i względnie rzadko jako wyraz szczególnego entuzjazmu publiczności. Podobnie bywa zazwyczaj z przytaczaniem w *samym tekście* nazwisk cytowanych autorów, których autorytet chce się szczególnie podkreślić.

Charakterystyczną cechą tych licznych bardzo, nieraz dosłownych przytoczeń owych „klasyków” marksizmu-leninizmu jest to, iż zazwyczaj nie wnoszą one do rzeczy nic nowego, odkrywczego: są to banalne najczęściej i pospolite ogólniki i truizmy, zgoła zbędne z punktu widzenia rzeczowo-naukowego. Pod tym względem przypominają zupełnie to, co widzimy w sowieckiej „Historii Polski”, a co należy do stałego, tak wyświechtanego (i ośmieszonego) *rytuału* wszelkich wydawnictw sowieckich i zakurtynowych.

Wygląda to wszakże przykro na jakiś pochlebny chwyt, zapewniający o marksistowskiej prawomyślności czy nawet służalczości ze strony współpracowników, choć może raczej stanowić ma niby „salvum conductum”, niby list żelazny czy ochronny dla wydawnictwa, aby umożliwić mu ukazanie się w druku, autorów zaś ubezpieczyć przed ciężkim zarzutem „burżuazyjności”, który sam w sobie uznawany jest tam za zniewagę.

Przypominam sobie, jak za carskich czasów jeszcze, przed z górą półwieczem, pewien mój znajomy, Rosjanin, nie będąc żadnym urzędnikiem państwowym, nosił jednak stale urzędową czapkę z bączkiem urzędowym na niej, mówiąc, że nosi ją „w widie mordochranitelnawo sredstwa”, — jako środek zabezpieczający go przed zniewagą czynną ze strony czyjejkolwiek.

Może czegoś w pewnej mierze analogicznego dopatrzeć się

można w owych tak częstych, a jednocześnie tak zbędnych! — cytatach marksistowsko-leninowskich...

Byłem czterokrotnie w życiu, przez czas krótszy lub dłuższy, pod rządami sowieckimi (w l. 1919 i 1920, oraz 1939 i 1940-41), z własnych tedy przeżyć i doświadczenia wiem, jak daleko tam idą (a przynajmniej szły wówczas) podejrzenia o nielojalność czy szkodnictwo, jak twarde są nieraz wymagania tych, od których zależy tam wszelka praca, zahaczająca o zagadnienia ideowo-społeczne, naukowo-artystyczne czy oświatowo-wychowawcze.

Jakkolwiek bądź, skoro obecnie ponoć „nadeszły inne czasy”, wyzwolenie tekstu „Historii Polski” w jej ostatecznej redakcji od owych przytoczeń z klasyków marksizmu-leninizmu czy stalinizmu jest nieodzowną koniecznością, co, wobec tego, iż owe cytaty nie są w najmniejszym stopniu zaspokojeniem jakiejś istotnej potrzeby naukowej, bez żadnej szkody, a z dużą korzyścią dla powagi wydawnictwa skutecznie być może.

Historycy: burżuazyjni i marksiści.

W tekście „makiety” w różnych miejscach, a zwłaszcza w rozdziałach traktujących o historiografii tych czy owych okresów czasowych lub zakresów rzeczowych, po wielokroć się przeciwstawia historyków „burżuazyjnych” — historykom „marksistowskim”, przy czym o pierwszych mówi się rzadko z uznaniem, najczęściej zaś stosuje się do nich ton wysoce krytyczny, niekiedy nawet uszczypliwy, mówiąc natomiast o drugich, podnosi się ich zasługi i „osiągnięcia” naukowe ze szczególnym naciskiem.

Pierwszeństwo, oddawane historykom ostatniej powojennej doby, wśród których szukać przede wszystkim należy młodych historyków-marksistów, widoczne jest już nawet w wykazach bibliograficznych, gdzie prace i rozprawy powojenne z ostatnich lat dwunastu (1945-1956) w poszczególnych działach obejmują niekiedy 40% do 60% pozycji w stosunku do całego poprzedniego dorobku naukowego, który przecie w zakresie niektórych działów i faktów przeszłości zawiera karty wprost znakomite.

Właściwie za jedyne *zasługi historiografii dawnej* uznaje się w „makiety”: a) że dała poważny dorobek „materiałowy” i b) że może się wykazać pewnymi „osiągnięciami faktograficznymi” (por. B, 44), natomiast posiada „bardzo poważne braki”.

Co do tych braków w historiografii dawnej „burżuazyjnej” zaliczyć należy? Jakże spośród nich stanowią — zdaniem autorów „makiety” — jej „grzechy główne”?

— *Fideizm i idealizm, nacjonalizm i solidaryzm*, które, albo łącząc się wszystkie razem, albo w pojedynkę, towarzyszą pracom niemal wszystkich historyków „burżuazyjnych”. W nich też biorą początek wszystkie ich błędy metodologiczne.

Przed wszystkim więc „fałszywa ideologiczna interpretacja procesu dziejowego”, która „zafałszowywała” jego należyte rozumienie (A, 235), dalej: „lekceważenie historii społecznej

i gospodarczej, zafascynowanie się zagadnieniami politycznymi i ustrojowymi" (ibidem) i stąd dochodzenie „do fałszywych idealistycznych ocen, ślizgających się po powierzchni zjawisk" (ibidem). Łączyło się z tym — według „makiety" — „nacionalistyczne fałszowanie konfliktów społecznych w imię jedności narodowej" i stanowisko „na wskroś solidarystyczne", które powodowało „ograniczonosc i połowiczność" ich pola widzenia, nie pozwalające im dostrzec walki klasowej i najistotniejszych „konfliktów społecznych epoki" (C, 26). To też sprawiało, że „cechy postępowe" nawet takich historyków dawnych, jak Korzon, Smoleński czy Rembowski, a nawet Tokarz, „zamazywały się" i pchały ich do poglądu o „bezkonfliktowym rozwoju wsi polskiej" (C, 26, 39).

Do braków i błędów tych i innych historiografii „burżuazyjnej" powraca się w „makiecie" wielokrotnie w dłuższych i krótszych wywodach (np. A, 55-80; 88-92, 230-239, 398, 451, 482, 487, 540; B, 37-54, ...; C, 24-43...

Zupełnie inaczej ma być w historiografii polskiej — według wywodów „makiety" — po wojnie ostatniej, *dzięki historykom marksistom*. Po prostu, nastąpił jakby „nowej ery początek". Dorobek powojenny „marksistowski" oceniany jest nader *pozytywnie*, tak dalece nawet, iż jeden z autorów (A, 236) mówi o *własnej* „gruntownej pracy", „pisanej z marksistowskich pozycji" (w roku 1954).

Ma cechować te prace nie tylko gruntowność i bezstronność, ale nowa metoda marksistowska, oparta o dialektykę materialistyczną, uwzględniającą w „procesach dziejowych" przede wszystkim jako podstawowy punkt wyjścia, bazę ekonomiczno-społeczną, i kładącą szczególny nacisk na „walkę klas", jako wysoce dodatni, nieodzowny i niemal wszechobecny czynnik dziejotwórczy.

Żadnego natomiast fideistyczno-idealistycznego stanowiska, ani nacjonalizmu, ani solidaryzmu, ani „bezkonfliktowości". Stałe, czujne wiązanie zjawisk wszelkich, jako nadbudowy, z podstawową bazą gospodarczą, a przy tym zupełna niezależność, wolność w twórczości naukowej...

Bo — zdaniem „makiety" — jedną z przyczyn i błędów oraz fałszów dawnych historyków „burżuazyjnych" była „ostra cenzura klasowa ze strony sojuszu burżuazyjno-szlacheckiego", narzucana badaczom historycznym np. drugiej połowy XIX wieku, a wyrażała się w „nacisku ideologicznym klasy rządzącej, opierającej się na wielkiej własności ziemskiej, przy słabej industrializacji kraju". Miało to w sposób fatalny zaciążyć na swobodzie wyrażania poglądów większości historyków np. szkoły historycznej krakowskiej, między innymi takich „mistrzów w zakresie mediewistyki", jak ich nazywają autorzy „makiety", jak Stanisław Smolka i Karol Potkański (B, s. 57, 58). Tu muszę się podzielić pewnym wspomnieniem osobistym sprzed z górą pół wieku. Z obu tymi zasłużonymi historykami miałem zaszczyt i sposobność zarówno podczas studiów, jak i po ich ukończeniu,

obcować częściej i dłużej (W domu prof. Smolki przebywałem nawet czas pewien, prowadząc długie z nim rozmowy). Znam też ich z prac naukowych i korespondencji prywatnej i przyznaję, że *nigdy i nigdzie* nie słyszałem od nich, nie wyczułem w najdrobniejszym ułamku nic z tego rzekomo ciężącego nad nimi nacisku i skrępowania, o które ich pomawiają autorzy „makiety". Sądzę też, że przykład ten jest dobrany nietrafnie, nieistotny i nieprawdziwy.

I jakże dziwnie, powiem tragikomicznie i więcej nawet: boleśnie, wyglądają *zarzuty uzależnienia się* dawnych historyków naszych od nacisków zewnętrznych wobec tego, co na każdym kroku widzimy w „makiecie": jak owe tak częste, a niewywołane przez potrzebę naukową cytacje różnych powag komunistycznych, omówione przed chwilą, o których trudno jest uwierzyć, by nie były „od prądów chwilowych zawisie"; jak owe ukłony i reweranse, robione w stronę historyków „radzieckich", którzy jakoby ogromnie wiele nauczyli historyków naszych — również sprawiające wrażenie, że są wypowiedziane „ad usum Delphini" jakiegoś ale „cui bono" — nie wiemy; jak wreszcie swoiste naświetlenie pewnych faktów dziejowych, o czym będzie jeszcze mowa niżej, tak bardzo zgodne z punktem widzenia „Istorii Polszy", pisanej w Moskwie, a budzące podejrzenie, że zostały podyktowane przez nacisk warunków zewnętrznych...

Toteż przeciwstawianie historyków dawnych „burżuazyjnych", rzekomo mających „umysł zniewolony" i obciążony „przeżytkami feudalnymi", historykom dzisiejszym „marksistowskim", jakoby wolnym w wypowiedzaniu swych opinii i posługującym się w swych badaniach metodą doskonałą i gwarantującą całkowity obiektywizm naukowy, nikogo nie przekona, jest krzywdzące i bezcelowe.

A jako w wysokim stopniu drażniące, winno być poniechane i z redakcji ostatecznej dzieła bezwarunkowo *usunięte*.

Dedukcje.

Nauka historyczna, dążąc do uogólnień i syntezy, posługuje się *indukcją*: od gromadzenia i rozważania faktów szczegółowych, przechodzi do *wniosek ogólnych*, opartych na ściśle rozpatrzonych szczegółach, zaczerpniętych ze źródeł.

Omawiana „makieta", rozpatrując dzieje z punktu widzenia marksistowskiego i wyprowadzając wszelkie zjawiska procesu dziejowego z „bazy gospodarczo-społecznej", usiłuje doszukać się *ściśłych związków* tych zjawisk z *bazą podstawową*. Ponieważ nie zawsze jest to możliwe, gdyż bywają one niekiedy albo bardzo ukryte i mało widoczne i tylko pośrednie, albo też niekiedy nie ma ich wcale — przeto uciekać się widzi zmuszona do *dedukcji* dialektycznej. Ponieważ zaś uznaje się za niezłomne prawo socjologiczne, że takie związki być muszą, więc nie z obserwacji faktów dziejowych, ale z tego prawa wyciąga się wnioski o konieczności tych związków, mówi się o nich, jako

o czymś istniejącym faktycznie i wysnuwa stąd nieraz daleko idące konsekwencje.

Oto kilka przykładów: A, 45: czysto dedukcyjny wywód mamy (z Engelsa) na temat roli wojen grabieżczych w związkach międzyplemiennych pierwotnych „demokracji wojennych”; A, 47: na dedukcję wygląda również twierdzenie, że w VI-VII w. po Chrystusie na ziemiach polskich „stosunki produkcyjne przestawały odpowiadać nowym siłom wytwórczym, zwłaszcza w rolnictwie”; A, 143 podobnie cechy czystej dedukcji dostrzegamy w zdaniu o rozwarstwieniu klasowym, uwydatniającym antagonistyczny układ stosunków społecznych” w w. IX i X w Polsce, a też o ówczesnej „przeciwstawności między grodem a wsią”; dedukcja ta o charakterze hipotetycznym wysnuta bodaj jest z założeń z góry powziętych, bez możliwości przytoczenia argumentów źródłowych; B, 301: dedukcyjny charakter zdają się mieć twierdzenia co do kompromisu mieszczańsko-szlacheckiego w Polsce epoki Odrodzenia tudzież co do genezy feudalnych doktryn reakcyjno-katolickich ówczesnych; B, 579: dedukcją jest w odniesieniu do stosunków polskich XVII w. wniosek o roli absolutyzmu w okresach, w których walczące ze sobą klasy są bliskie równowagi (Engels); B, 596: dedukcyjnie i hipotetycznie zdaje się brzmieć twierdzenie o przyczynach nastrojów pokojowych w stosunku do Szwecji „feudalów” i „latyfundystów” polskich w początkach wojny północnej (w pierwszych latach w. XVIII). ...

Te i podobne dedukcje, które w pokaźnej liczbie znaleźć można we wszystkich tomach i częściach „makiety”, uznać należy za *niewłaściwe* z punktu widzenia ścisłości naukowej.

Wprowadzają one zamęt w pojęciu czytelnika. Odrywają sądy ogólne od podłoża faktycznego i zawieszają je niejako w powietrzu, czyniąc z nich abstrakcję logiczną, zamiast konkretnego naukowego. Dedukcje tego rodzaju, wysnute z założeń ogólnych doktrynalnych i narzucone faktom historycznym konkretnym, w redakcji dzieła ostatecznej są wysoce niepożądane i *znać* miejsca nie powinny.

Aktualność.

„Makieta” pragnie służyć niekiedy *zarzając się aktualności chwili obecnej*. W dziełach historycznych — jakśmy nadmieniali wyżej — nie zawsze jest to godne zalecenia, ze względu na zacieśniający w pewnej mierze wpływ, jaki na zakres badań historycznych wywierać może pogoń za aktualnością. Dzięki niej wszakże „makieta”, co bardzo jej się chwali, tyle miejsca i tyle serdecznego i naukowego zainteresowania udziela ziemiom śląskim w całym ich zasięgu, tudzież Pomorzu, nie tylko nadwiślańskiemu, ale nadodrzańskiemu oraz ziemi lubuskiej. Jest to tym bardziej chwalebne, że *nie obraża zasad bezstronności naukowo-historycznej*, stojąc na gruncie danych historycznych, etnograficznych, językowych i kulturalnych odwiecznych, sięgających aż po dzień dzisiejszy.

Z tychże względów aktualności wychodząc, autorzy „makiety”, niestety, w bardzo swoisty sposób oświetlają dzieje ziem

Wielkiego Księstwa Litewskiego i w ogóle tych obszarów, które weszły w różnym czasie, a zwłaszcza po ostatniej wojnie, w skład Związku SSR. Jakśmy widzieli nie dają *ani jednej ilustracji* z tej części dawnej Rzplitej, przemilczają nie jeden fakt, świadczący o bliskich związkach duchowych i kulturalnych jej z Polską pozostałą, starają się podkreślić szkodliwość związków politycznych polsko-litewskich dla stron obu, podnosząc ich strony najgorsze moralnie i nie uwydatniając należycie roli kulturalnej żywiołu polskiego na ziemiach litewsko-ruskich. Służą w ten sposób nie wyjaśnieniu dawnej, polskiej, lecz dzisiejszej rzeczywistości i aktualnej, *obecnej* racji stanu. Widoczny jest w tym z góry powzięty (i chyba nakazany z zewnątrz) zamiar zaktualizowania tych momentów historycznych i usunięcia ich poza granice uczuć i świadomości czytelników — by w dzisiejszej epoce pojałtańskiego i powojennego imperializmu sowieckiego ziemie te oderwane przemocą i wcielone do ZSSR, oderwać też od światomego myślenia polskiego jak najprędzej.

Jeżeli powiedzieć można z całą pewnością, że inicjatywa redakcji „makiety” co do włączenia w zakres rozważań dzieła Śląska i Pomorza, będzie przyjęta z uznaniem nie tylko przez świat naukowy historyków polskich, ale i przez cały ogół czytelników — to, wręcz przeciwnie, z zasadniczymi zastrzeżeniami i potępieniem powszechnym w społeczeństwie naszym spotkać się będzie musiało tak niezgodne z bezstronną prawdą naukową i odczuciem powszechnym potraktowanie dziejów Litwy i ogólnie biorąc, tak zwanych po rozbiorach „Krajów Zabrzanych”.

A już zgola *niewczesną aktualnością polityczną*, wręcz wybrykiem, nazwany być musi ustęp w rozdziale „Sztuka Odrodzenia” (B, s. 335) o arrasach polskich, które zdeponowane w roku 1940 w Kanadzie „zostały tam nieprawnie dotąd zatrzymane, chociaż zarówno rząd, jak i cały naród polski domagają się ich zwrotu”.

Jest to niezgodne z rzeczywistością: nie cały naród polski sądzi, że arrasom (tak jak i innym skarbowi kultury) nie grozi już żadne niebezpieczeństwo w Kraju i że przyszedł już czas na ich sprowadzenie do Polski.

To, co się mówi o arrasach w „makiecie” byłoby na miejscu w prasie lub broszurze politycznej aktualnej, nigdy zaś w wielkim dziele historycznym, z którego zniknąć winno koniecznie.

Stanisław KOŚCIAŁKOWSKI

(Dokończenie nastąpi)

Zapowiedzi wydawnicze

Biblioteka " KULTURY "

TOM XXIII

ANDRZEJ BOBKOWSKI

SZKICE PIÓRKIEM

(Francja 1940-44)



TOM XXV

DANIEL BELL

PRACA I JEJ GORYCZE

(KULT WYDAJNOŚCI W AMERYCE)

Bez taryfy ulgowej

Kiedy parę miesięcy temu rzuciłem zdanie: „Odwaga stała się, rozum podróżował”, dopiero oklaski, jakimi je przyjęła sala, uświadomiły mi, że wpadłem tu — prawie niechcący — na trop prawdy, która, męcząca przez swe niesformułowanie, leżała nam wszystkim na końcu języka. W istocie, paradoksalność nowopowstałej sytuacji polega na tym, że odwaga nie wymaga już odwagi, a odwilżowy gest stał się naśladowczym tikiem. Jeżeli okres miniony produkował gruby, niewolniczy serwilizm, to aktualny wytwarza — o ileż bardziej wyrafinowany! — serwilizm wolnościowy.

Bo też w chwili obecnej *intelektualna* walka z zamordyzmem należy już do przeszłości. Podkreślam słowo „intelektualna”, gdyż realna — wciąż jeszcze daleka jest od zakończenia; wciąż jeszcze instytucje, odziedziczone po minionym okresie, uniemożliwiają praktyczne przeprowadzenie tego, na co się wszyscy w zasadzie godzą. Lecz „terroretyków” od dawna już zabrakło; od paru miesięcy zdobywają oni generalskie szlify na odwilżowym froncie. Walka z zamordyzmem, odkąd stracił on swych ideologów, stała się problemem ściśle praktycznym. Teoretycznie na całej linii zwyciężyła odwilż; jej to problemy, jej niebezpieczeństwa powinny więc skupić uwagę tych, którzy czują się odpowiedzialni za życie umysłowe kraju.

Odwilż przyniosła z sobą nowe treści: produkcję zastąpiła miłością, politykę — refleksją liryczną itp. Pamiętać jednak należy, że niebezpieczne w poprzednim okresie były nie tyle treści, co metody. W tym, że ktoś pisze wiersz o Raymonde Dien czy powieść o Wietnamie, nie ma jeszcze nic złego; groźne jest to, że płodzi je tylko dopóty, dopóki są popłatne. Dziś w całej prasie nie uświadczy na lekarstwo utworu w dawnym typie; rzuca to cień zarówno na minioną jak i na obecną szczerłość piszących.

Najtragiczniejsze jest jednak to, że wpływom zamordyzmu

ulegli nie tylko ci, którzy go uprawiali, lecz także ci, którzy z nim walczyli. W minionym okresie schematycy twierdzili, że najważniejsze to wprowadzić do literatury produkcyjną tematykę, a reszta — jakoś się ułoży. Oto jednak ich przeciwnicy zastosowali pod ich wpływem równie ulgową taryfę wobec byle sentymentalnej szmiry, jeżeli tylko nie miała produkcyjnej tematyki. Słowem, obie strony uciekły się — i uciekają nadal — do argumentów poza-kulturalnych. Specyfika sytuacji polega więc na tym, że zamordyzm — jakkolwiek przezwyciężony — wciąż jeszcze narzuca zwycięzcom swe metody i zatrzuwa atmosferę swym rozkładem.

Jest taki dowcip. Rebe wywodzi, że cokolwiek Bóg stworzył, stworzył doskonale. Na to jeden z uczniów — garbus: „A mnie?”. Rebe: „Jak na garbatego — bardzo dobrze”. Otóż w owych latach tak głęboko byliśmy przekonani o swym nieuleczalnym garbie, że — byleby utwór był napisany bezbłędną polszczyzną — już rozpyliwalismy się nad nim w zachwytach — tłumiąc w sobie lepszą wiedzę, że wszystkie te zachwalane arcydzieła są nimi w bardzo ograniczonym sensie.

W 1953 roku napisałem książkę krytyczną „Poeci trzech pokoleń”. Półki traktuję w niej o przedwojennej twórczości autorów, stosuję kryteria normalne; gdy jednak docieram do powojennej, przechodzę na taryfę ulgową. Nie należy przy tym zapominać, że nawet te tak złagodzone sądy — publikowane podówczas po czasopiśmie — wywoływały falę oburzeń i polemik, uchodziły za „szarganie świętości” i — gdyby były choć trochę ostrzejsze — nie mogłyby się w ogóle ukazać.

Jeżeli jednak ludzie mojego pokolenia stosowali tę ulgową taryfę z porozumiewawczym przymrużeniem oka, to nasi następcy — wychowani już w pełnej kulturalnej izolacji — przyjęli ją ze śmiertelną powagą młodości i niewiedzy. Dla nich to, którym moje pokolenie nie pozostawia w spadku ani jednej oceny *na serio*, postanowiłem napisać parę artykułów, gdzie bym powiedział nareszcie do końca, co sądzę o wydzwigniętych przez nas wielkościach. Zdaję sobie sprawę, że najlepiej byłoby tych uwag nie pisać lub — napisawszy — schować je do szuflady. O ileż bowiem niebezpieczniejsza, niż polemika z zamordyzmem, ciesząca się przecie sympatią całego społeczeństwa, a nawet samych zamordystów, jest w tej chwili walka z tandetą. Legitymując się prześladowaniami, jakim ponoć dotąd ulegała, wraca ona teraz triumfalnie na scenę, by spłyć odwilż, zaprawić ją tuzinkową głębią, czwartorzędną dostojewszczyzną, odgrzewanym irracjonalizmem. Wrogiem nr 1 naszej kultury nie jest w tej chwili cenzor, lecz tandeciarz.



Większość ustalonych po wojnie pozycji pisarskich ma swe historyczne źródło w przynależności do grupy „Kuźnicy”, której redakcja — dość elastyczna w sprawach światopoglądowych

a nieustępliwa tylko w personalnych — organizowała dokoła swych współpracowników istne panegiryczne chóry. To jedynowładztwo kulturalne pozostawiło po sobie trwalsze ślady od politycznego. Z obalonego tyrana każdy się natychmiast naigrawa; jeżeli natomiast pisarz straci wskutek politycznego przełomu swe stanowisko w redakcji, nie jeden z jego dotychczasowych panegirystów będzie obstawał przy swym zdaniu, aby zyskać tanim kosztem opinie nieprzejednanego. O ileż wygodniej jest znaleźć się w takiej pół-niełasce, niż być godzinkowym faworytem, który — w 1949 roku — postawił krótkowzrocznie wszystko na jedną kartę, zadeklarował swą gotowość na wszystko i — rzeczywiście! — otrzymał ciepłą rączką pochwalne recenzje, odznaczenia, stu-tysięczne nakłady — wszystko to jednak z dodatkiem złośliwych pół-uśmieszków. O ileż subtelniej postąpił ten, kto kazał odpowiednio długo czekać na swe pierwsze ustępstwa; kto przez cały czas dawał do zrozumienia publiczności, że — gdyby się nie bał — niejedno mógłby powiedzieć, i kto — wciąż przesiadając się ze stołka na stołek — sprzedawał swą wodę kwiatoową jako „prawdziwą, prześladowaną sztukę”. Można było przewidzieć, że na robotę tak koronkową złapie się zarówno krytyka, jak i publiczność.

Dokoła takiego pisarza ustala się mglista aureola „humanizmu” i „moralizmu”, bardzo — z uwagi na swą wieloznaczność — korzystna. Gdy jedni bowiem uważają te pojęcia za identyczne z „socjalizmem”, drudzy podkładają pod nie Bóg wie jakie opozycyjne treści. W ten sposób — rozdzielając na obie strony porozumiewawcze mrugnięcia — można przez lata karmić publiczność odkryciami, że „człowiek jest śmiertelny”, że „okupacja to straszna rzecz”, że „młode dziewczęta pragną poezji”, a nikt nie zaprotestuje. Kto bowiem raz w życiu napisał u nas kilkanaście czytelnych stronic, może być pewien, że odtąd — w obawie przed szarganiem narodowych świętości — krytyka nie waży się poddać jego dorobku powtórnej ocenie. Jak zgubnie może ona — zarówno przez swe nieuzasadnione nagany, jak i pochwały — wpłynąć na pisarza, niech świadczą dzieje Adolfa Rudnickiego.

Adolf Rudnicki w swej przedwojennej twórczości objawił się jako skrzętny kopista autentyku, chwytający na gorąco „jednorazowe układy stosunków międzyludzkich” (Irzykowski); nie było go stać ani na fikcję, ani na syntezę intelektualną, ani nawet na kompozycję. Po prostu notował bez porządku krążące w jego otoczeniu towarzyskie plotki. To też — wraz z każdorazową zmianą środowiska — zmieniał się i sam charakter jego utworów. Raz były to rekruckie pogaduszki („Żołnierze”); to znów notatki z życia wykolejonej młodzieży artystycznej („Niekochana”); kiedy indziej — szkice ze sfer chasydzkich („Lato”).

W miarę jednak jak los środowiska, w którym się obracał, urastał do rozmiarów tragicznych, rosła też — zawsze mocno związana z autentykami — twórczość Rudnickiego. Tym, co spowodowało nagły jego rozwój, była — jakkolwiek drażniąco

brzmi to sformułowanie — zagłada żydostwa polskiego. Był to świadek jedyny w swoim rodzaju: na tyle identyczny z ginącym społeczeństwem, aby móc jego śmierć przeżyć lirycznie, na tyle zaś odległy, aby ją przeżyć fizycznie i artystycznie zobiektywizować. Jeżeli dawniej — w „Lecie” czy w „Koniu” — zajmował się Żydami, to czynił to jeszcze dość bezosobście, umieszczając się poza ich nawiasem; teraz — w utworach, pisanych na gorąco po okupacji — zaczyna przemawiać bezpośrednio w ich imieniu. Należy zdać sobie sprawę, jak niesłychana była to u nas innowacja; bez niej w literaturze kraju, który miał największy na świecie procent Żydów, nie byłoby bohatera lirycznego-Żyda. Zapewne, istniało między wojnami obfite piśmiennictwo polskie, gdzie Żydzi występowali jako Żydzi. Zwracali się oni jednak zawsze do publiczności rodzimej i traktowali o sprawach wewnętrznych; najdalszym przedłużeniem tej literatury są wychodzące dziś w Izraelu pisma polskie. Tu jednak po raz pierwszy pisarz Żyd przemawiał *jako Żyd* do publiczności polskiej. Co więcej, czynił z tego artystyczny program.

W „Wielkim Stefanie Koneckim” opowiada, jak zginął pewien — bardzo sarmacki w sposobie bycia i pisania — pisarz lwowski, w którym tamtejsi ludzie rozpoznają bez trudu Ostapa Ortwiną, zapomnianego dziś krytyka z okresu Młodej Polski. Oto jak pisarz generacji, ukształtowanej w epoce rasizmu, rozprawia się z tamtym pokoleniem asymilatorów:

„Chcę być w zgodzie z duchem języka, uczył się pan poprawności. Nie może być, żeby pan nie wiedział, jaki jest rezultat tego pseudonimowego pisarstwa, tych usiłowań, aby być bardziej polskim od nich samych... Trzeba było swymi trudnymi, brudnymi, bolesnymi treściami rozsądzić te uświęcone ramy, krzycząc o tym, co pana boli, wykrawać z siebie te od wieków niegasnące bóle, trzeba było odsunąć ten gar bigosu i postawić przed nimi nasz gorzki kielich. Skrzywiliby się, ale w końcu sięgnęliby po niego. Trzeba było mówić o nas, o nas przede wszystkim, za każdym razem zadać sobie pytanie, czyje to są treści. O ich treściach pan i tak nie potrafił nic powiedzieć. Trzeba było bezlitosnym być wobec siebie, żyć za cenę mówienia, nie milczenia. Wygrałby pan jako pisarz i wygrałibyśmy może my wszyscy jako ludzie”.

Niektórzy chcieli w tym wezwaniu dojrzeć manifestację żydowskiego poczucia narodowego. Ale nie! Rudnicki jest *przede wszystkim* Polakiem. Nie o nacjonalizm żydowski tu chodzi, lecz o prawdę: mówić o sobie, być sobą. Stawia on jedynie postulat autentyczności — ten sam, jaki w znanym studium o antysemizmie wysuwa Sartre.

Lata 1945-1947, w których Rudnicki poprzestaje właściwie tylko na tym temacie, są dla jego talentu najszcześniejsze: wszystko — nawet to, co później okaże się jego granicą — teraz mu sprzyja. W okresie, gdy autentyk bije wszelką fikcję, gdy nagie fakty dają więcej do myślenia, niż najsztudniejsza rozważania, jego niezdolność do skomponowania intrygi, do abstrakcyjnych sformułowań wychodzi mu tylko na korzyść; nawet

tak częste — w najlepszych nawet opowiadaniach — błędy i niezręczności językowe (1) dają się jeszcze od biedy usprawiedliwić ową potrzebą stylistycznej autentyczności, jaką głosił w „Koneckim”. Jeszcze długo potem zetknięcie z tą tematyką przywróci jego pióro na moment dawną siłę.

Już teraz bowiem, ilekroć wykracza poza jej zakres, nagłe obniżenie poziomu sygnalizuje, że znalazł się nie na swoim terenie. Weźmy dla przykładu dwa tużpookupacyjne opowiadania, które wychodzą poza krąg tematyki żydowskiej: „Majora Huberta z armii Andersa” i „Ucieczkę z Jasnej Polany”. W pierwszym autor zachęca Huberta, wspaniałego człowieka i malarza, który przebywa na emigracji, aby przez swój powrót do ojczyzny zadokumentował, że wypiera się rodzimej reakcji: „Kołtun w kraju — mówi doń — wierzy święcie, że pochwalacie jego ciemności. Te destrukty (?) nie pozwalają się moralnie zakwalifikować byle jak”. W drugim znów opisuje, jak Klaus Hofer, wielki niemiecki pisarz, który przebywa na emigracji w Ameryce, odmawia po wojnie powrotu do Niemiec, gdyż — jak mówi — „nie chce podawać swego przebaczenia na tacy”. Pomijam już fakt, że motyw nie-powrotu ocenia autor za każdym razem inaczej i że ten sam postępek, nad którym ubolewa u Huberta, aprobeuje u Hofera. Aby uzasadnić bowiem tę różnicę w ocenach, mógłby ktoś rzec, że tam chodzi o socjalistyczną Polskę, tu — o kapitalistyczne Niemcy Zachodnie. Ale Klaus Hofer miał — jeśli mu już koniecznie na tym zależało — i wschodnią strefę Niemiec do wyboru.

Na tym jednak dziwności tego opowiadania się nie kończą. Oto jak Hofer, który zwiedził Polskę, by przekonać się naocznie o zbrodniach niemieckich, opowiada o grasującej w Tatrach bandzie Ognia: „Konduktora, który nie chciał zatrzymać kolejki, rąbnęli na odlew z pepeski, tak że „główka spadła”. Zaskakuje nas tu nie tylko warszawska gwara, jakiej używa znakomity pisarz niemiecki, nie tylko zagadnienie, jak można w ogóle rąbać *na odlew* z pepeski, ale i związek między przygodami Hofera w Zakopanem a jego decyzją, aby pozostać na emigracji. A oto po jakich oznakach syn jego Teodor poznaje, że ojciec da się namówić do powrotu. „Od widoku tych rąk starczych z przerośniętą kością między wskazującym a dużym palcem (?) zrodziło się w Teodorze przekonanie, że ojciec musi wrócić”. Mimo tak niezawodnych prognostyków Klaus Hofer jednak namówić się nie daje i umiera na obczyźnie. Rozpoczyna się walka o doczesne jego szczątki między Brytyjczykami, którzy „nie bardzo mając czym karmić swoją strefę, chcą jej przynajmniej dać parudniową pompę żałobną”, a Amerykanami, którzy „wyrzekną się kompletowania zwłok (?) Hofera jedynie za cenę pewnych awansów (?) w składzie dyrekcji przemysłu stalowego” itd., itd. Trud-

(1) „Był to mężczyzna o twarzy, w której ponurość mieniła się ze smutkiem”. „Kobiety płynęły na uroczajconej fali żywego życia”. „Przegryził się” — mówili współtowarzysze, itp., itp. („Czysty nurt”).

no chwilami pojąć, że to opowiadanie, gdzie wielki pisarz nie-miecki, mający wszelkie cechy Tomasza Manna, przemawia na poziomie p. Piecyka, a rozruchy głodowe uśmierza się za pomocą pogrzebów, że opowiadanie to krytyka kuźnicowa uznała niegdyś za „wnikające głęboko w problemy kultury współczesnej”, za „jeszcze jeden dowód humanizmu” itd., itd.

Już bowiem w utworach, pisanych tuż po „Ucieczce” można było — przy pewnej spostrzegawczości — zauważyć, że z Rudnickim dzieje się coś niedobrego. W atmosferze bezgranicznego uwielbienia, jakim otoczyło go łódzkie środowisko artystyczne, zaczynają się w tej twórczości dokonywać charakterystyczne przesunięcia: jej terenem stają się coraz częściej domy literatów, przedmiotem zaś — zawodowe rywalizacje, cotygodniowe notowania „faworytów” na krytycznej giełdzie.

W tych nawet opowiadaniach 1948 roku, gdzie zawiązkiem akcji jest coś innego, u dna leżą spory literackie. Tytułowy bohater „Ginącego Daniela” zwalczał przed wojną artykuły Rafała Ochockiego; ten — po trosze z zemsty — oskarża go w czasie powstania o kolaborację z Niemcami. Ale nie tylko w prehistorii opowiadania objawia się ta literackość; także w dysproporcji między tłem powstańczej Warszawy a wysuniętą na plan pierwszy problematyką bohatera. Bo oto — aby odnaleźć świadków swej niewinności — wybiera się on w wędrowkę po płonącym mieście. I gdybyż oskarżenie Rafała było rzeczywiste groźne! Ale nikt nie daje mu wiary. Powstańczy kapitan Ip, przed którego je wniesiono, każe Daniela z braku dowodów zwolnić. Trudno się więc dziwić, że projektowani świadkowie Daniela mało mają zrozumienia dla owej „bolesnej plamy” na jego honorze. On jednak żąda uporczywie, aby — z narażeniem własnego życia — wybrali się z nim do kapitana Ipa — celem złożenia zeznań. Chce więc, aby nad swoje rzeczywiste kłopoty przenieśli jego urojone, aby kochali go bardziej, niż siebie samych. Ów motyw „wyjątkowych praw pisarza do czułości ludzkiej” powtarza się będzie odtąd w twórczości Rudnickiego niezliczone razy (2), w całej swej sile wystąpi jednak dopiero w „Złotych oknach” (1954). To mianowicie, co w „Ginącym Danielu” jest tylko postulatem, w „Złotych oknach” staje się rzeczywistością: tutaj paru ludzi udaje się w czasie likwidacji do ghetta, aby ponieść wspólną śmierć z ogólnie uwielbianym poetą, Aleksandrem Topazem (3). W ciągu dzielących dwa te

(2) Wystarczy przytoczyć ów „Pierścień”, gdzie okupacyjni „szmalcownicy” — na wiadomość, że przedmiot ich szantażu jest literatem — wycofują się, pełni respektu.

(3) O geniuszu poetyckim Topaza daje wyobrażenie zacytowana przez autora zwrotka:

„Józefa przez cały czas pogrzebu dusił ten wiersz Topaza:
Spoczną bracia obozowcy
Pod śniegu białym pokrowcem;
Otulą ich piaski;
Życie było fiaskiem”.

opowiadania lat siedmiu zarysowany już w „Danielu” pierwiastek literackiego narcyzmu wzmógł się zatem niepominięnie.

Inną odmianę tego motywu znajdujemy w utworach, których przedmiotem jest rywalizacja dwóch literatów. Kończy się ona tak całkowitym triumfem jednego z nich, że przeciwnik — w poczuciu zmarnowanego życia i swej pisarskiej nicości — *tarza się* u stóp zwycięzcy, wyzywając się zastępczo na jego rachunek i znajdując masochistyczną rozkosz w tym, że przenosi nań wszystkie swoje ambicje. Tak w „Szekspirze” dawny literacki antagonistą autora, Maciej Lewicki, doszedł po wojnie do wniosku, że cała jego twórczość była „odgrzewaną kaszą”, prawdziwym zaś pisarzem jest jego przeciwnik (4). Tak w „Exegi monumentum” pisarz Umański, obiekt przedwojennej admiracji autora, odwiedza go po wojnie, by mu przeczytać swe nowele okupacyjne, lecz w trakcie głośnej lektury uświadamia sobie ich nicość. Porażka obu rywali jest w tych opowiadaniach kompletna; niemniej zwycięzca przyznaje, że i jego gryzie robak zwątpienia; pozory skromności są więc tu zachowane.

Aby stwierdzić, jak dalece posunęła się „narcyzacja” tej twórczości, wystarczy porównać „Szekspira” z późniejszym o lat sześć „Ignasim Łękiem” (1953). Tutaj motyw „tarzania się” występuje już bez żadnych osłonek; całkowita klęska rywala ma swój odpowiednik w całkowitym triumfie narratora. Tak zatem linia „Szekspir” - „Exegi monumentum” - „Ignas Łęk”, której tematem jest wywyższenie jednego pisarza nad drugiego, przebiega równolegle do linii „Daniel” - „Pierścień” - „Złote okna”, której tematem jest należąca się pisarzowi od ludzi miłość; i tu, i tam pierwiastek narcyzmu z biegiem czasu się wzmacnia.

W „Ignasiu Łęku” narrator tak oto opisuje zajęcia swej młodości: „Wieszałem transparenty na drutach tramwajowych, rozlepiałem afisze po mieście, rozpowszechniałem nielegalną literaturę, zbierałem na MOPR, agitowałem”. Natomiast Ignacy Łęk był przed wojną „ulubieńcem półfaszystowskiej prasy, która każdy jego wiersz podawała z biciem dzwonów”. Kiedy — mimo to — w 1935 roku narrator i jego towarzysze przyszli do niego, aby uzyskać podpis „pod protest przeciw biciu naszych ludzi po więzieniach”, Łęk kazał im oświadczyć, że nie ma go w domu.

Po wojnie spotykają się znowu. Podczas nocnego spaceru Łęk zwierza się narratorowi, że pochodzi z robotników, ale że we wczesnej młodości wyparł się swej klasy. Zapewne w związku z tą zdradą stracił po wojnie zdolności pisarskie; czuje się „jak stara deska do prasowania, butwiejąca w piwnicy”. Jeden tylko jasny punkt zachował w swym życiu: jest nim wiara w narratora (5). Ten — w odpowiedzi na jego wyznanie — dodaje mu

(4) „Bez podniesienia głosu, z ufnymi oczami dodał:

— Ale pan, pan pozostał na placu. Wierzę w pana...”

(5) „Wie pan o kim zacząłem marzyć? Właśnie o panu... Wiem tylko jedno, że usłyszawszy, że pan przyjechał, czułem się tak jak gdyby niebo się nade mną otworło...” itd.

nadziei. Jeszcze nie wszystko dla niego stracone. „Jeśli ktoś wyciąga do mnie rękę, otrzymuje ją, jeśli na nią zasługuje... Po-
możemy panu naprawić pański życiowy błąd...” Ostrzeżenie go jed-
nak, że „jeśli należy do tych gadułów... których cała twórczość
sprowadza się do genialnego choćby nawet, ale tylko (?) ga-
dulstwa... jeśli wystarczy mu błyszczeć przed parą uszu (?)
przy kawie”, nic nie wyjdzie z jego odrodzeniowych zamiarów.

„Maszerując wśród nocy jak para gwardzystów, tak że zie-
mia dudni pod ich stopami”, obaj literaci dochodzą do wniosku,
że „to, co robi Zachód w dziedzinie sztuki, w większości wypad-
ków przestało ich interesować... Oni tam uprawiają sztukę gry-
masów, gdy my tu na nowo pojęliśmy wagę prostych prawd...”
„Najważniejsza rzecz, zwłaszcza na początek — radzi Łękowi do-
broliwie narrator — nie ściagać doskonałości... nie bać się, że
góra urodzi mysz. Tylko głupcy boją się tego, głupcy, którzy
umrą w samotności, po których nikt nie odmówi modlitwy za
umarłych”.

Zwróćmy uwagę, że motyw wywyższenia jednego pisarza
nad drugiego, który znamy już z „Szekspira” i z „Exegi mo-
numentum”, wzbogaca się tutaj o nowy odcień. W „Ignasiu
Łęku” triumf narratora ma już charakter nie tyle artystyczny,
co polityczny; jest on zasłużony nie tylko jako pisarz, ale i jako
rewolucjonista. Narcyzm zostaje więc tu podporządkowany celom
propagandowym; w ten sposób autor wypełnia obowiązujące
wówczas ramki osobistą treścią. Motyw „tarzania się” zespala
umiejtnie z prelekcją o socrealizmie, którą „wygraną” narrator
wygłasza przed „przegranym” Łękiem (6). Prelekcja ta zawiera
— jak widzieliśmy — dwa postulaty zasadnicze: 1) Wprowadze-
nie nowej tematyki do literatury musi — zwłaszcza na początek
— pociągnąć za sobą obniżenie poziomu; to też wszelkie „ści-
ganie doskonałości” jest politycznie podejrzane; 2) Sztuka za-
chodnia to „grymasy”; nasza natomiast jest synonimem moral-
nego zdrowia i fizycznej krzepy. Jeśli więc w 1948 roku Rud-
nicki wyrzekł się stopniowo tematyki okupacyjnej dla opisu śro-
dowiska artystycznego, to w 1953 roku zaczyna z kolei przecho-
dzić na socrealizm: pierwsze przejście dokonało się w „Szeks-
pirze”, drugie w „Ignasiu Łęku”. Zanim jednak zanalizujemy
to nowe stadium, zajmiemy się utworem najbardziej dla okresu
minionego typowym, „Pałeczka” (1949).

„Pałeczka czyli Każdemu to, na czym mu mniej zależy” jest
czymś w rodzaju feerii, gdzie wszelkie narcystyczne życzenia,
wszelkie sny o tym, aby ludzie „leżeli u stóp pisarza”, doznają
nieskrępowanej realizacji. Wątpię, czy literatura świata zna pro-
fuzję zachwytów podobną do tej, jaka rozlega się tu na cześć
„pięknego Gabriela”, autora granej we wszystkich teatrach
i rozbrzmiewającej ze wszystkich głośników sztuki „Każdemu to,

(6) Rozmowę ich o socrealizmie nazywa autor „harmonijnym tańcem,
podczas którego piją sobie obaj z ust”.

na czym mu mniej zależy” (7). Identyczność tytułu sztuki z pod-
tytułem „Pałeczki” zawiera subtelna aluzję, że identyczni są
również ich twórcy; w ten sposób wszystkie komplementy, skie-
rowane do Gabriela, inkasuje sam autor.

Utwór, dziejący się w „n-owskich blokach pisarzy”, ma dać
oślnionemu czytelnikowi obraz owego Wersalu, jaki w latach
1945-1947 powstał w łódzkim domu literatów przy ulicy Bandur-
skiego 8, ma uwiecznić jego kronikę skandaliczną, wymierzyć
zatrute pociski we współmieszkańców, nakreślić lekkim piórem
portreciki zalotnych współmieszkanek, słowem, pozalatawać am-
bicyjno-łóżkowe porachunki tego świata. Na to jednak, aby stać
się Saint-Simonem tego dworu, którego Ludwikiem XIV był ów-
czesny redaktor „Kućnicy”, nie pozwala Rudnickiemu nazbyt
wąski zakres jego zainteresowań. Ze wszystkich bohaterów „Pa-
łeczki” obchodzi go właściwie tylko „piękny Gabriel”, przed któ-
rym przez cały czas akcji ciągle ktoś „się tarza”: to redaktor
„Expressu” Szmajdrowicz, błagający go o drobny bodajże frag-
mencik dla swego pisma (8), to tytułowa Pałeczka (9), to Pauli-
na, to Karolina. Jedynie dla niepoznaki — aby nie kumulować
tytuł hołdów na jednej osobie — część ich przyjmuje inny lite-
rat, Krzysztof Ruła, przed którym „tarza się” z kolei poeta
Iguś (10).

Orgiastyczny taniec zachwyty, jaki wokół omdlewających
z rozkoszy Gabrielów czy Krzysztofów wykonuje chór literackich
bakchantek, wykracza poza granice zwykłej śmieszności. Już
sam fakt, że ów jedyny w swoim rodzaju dokument samouboś-
twienia w ogóle mógł powstać, dowodzi, do jak groteskowej za-
traty wszelkich proporcji doprowadzić może przebywanie w zam-
kniętym środowisku. Cóż dopiero mówić o dalszych — niemniej

(7) „Piękne jest — mówi Pałeczka — to, co pan napisał. Wbił pan
(?) swój jarzący się witraż pomiędzy pokój... a wojnę... Zmonumentalizował
pan pewien rodzaj przeżyć miłosnych nie grubszy niż listek mydła (?). „Po
„Każdemu” — mówi inna bohaterka, Karolina — ludzie na nowo odkryli
miłość. „Miłość oto woda (?), w której płyniemy raz szczęśliwie, a raz
nie” — cytowała z „Każdemu”.

(8) Rozgrywa się między nimi następująca rozmowa:

— „Gabrys! Dajże mi fragmencik.

— Jaki fragmencik? — pytał zdumiony Gabriel.

— Duże, drogie dziecko, Gabrys nie z tego świata, jaki fragmencik?
Ty przecież piszesz samymi fragmencikami... Powiadam ci, Gabrys. Dzieci
chrzcić będą imionami twoich bohaterów”: itd.

(9) „Czy pan wie — mówi do Gabriela Pałeczka — że pan jest stale
śledzony? I to śledzony pod każdym względem? Jak pan się ubiera, jak
pan mówi, co pan mówi, co pan lubi? Tajemnica zatrzymała się na panu.
Na pańskiej twarzy osiadł blask słońca”.

(10) „— Ja marzę o tym, żeby pisać jak ty, Krzysztofie... Ty nawet
nie wiesz, co ty ze mną zrobił... Nie można bezkarnie słuchać dzieł
w dzień, że to początek i kres, że to szczyt górski, wbity w środek tej
marnej ulicy Radomskiej... Wbiłeś mi w serce złoty nóż i każdym zdaniem
obracałeś trzonek... Rozkołysałeś mi duszę, Krzysztofie...

— Ty drzysz, Iguś...

groteskowych — losach „Pałeczki”: jak to — zaatakowana w 1949 roku za brak produkcyjnej tematyki — została przez pewne koła podchwycona jako sztandar niewinnie uciśnionej sztuki; jak w kilka lat później — chcąc się wykazać swą „odwilżowością” — niektórzy krytycy zaczęli skwapliwie naprawiać wyrządzone jej krzywdy i doszukiwać się w niej skarbów „humanizmu” i „moralizmu” (11); jak wreszcie, gdy — w aureoli świętości narodowej — ukazała się po raz drugi w 1956 roku, żaden z redaktorów nie ważył się poprawić chociażby jej niezliczonych błędów językowych (12) — nie mówiąc już o wykroczeniach przeciw zdrowemu sensowi i zwykłej przyzwoitości!

Zagadka zarówno początkowego potępienia, jak i późniejszej rehabilitacji „Pałeczki” jest prosta. Była ona jedynie pretekstem do politycznej rozgrywki: zarówno jej przeciwnicy, jak i obrońcy po prostu jej nie czytali. Gdyby jednak byli dokonali na niej owej — niezbędnej bądź co bądź dla wydania sądu — operacji, byłoby się przekonali, że już tam Rudnicki oświadczył się z gotowością do „przejścia na nowe pozycje” (13). Nie trzeba było zatem czekać aż na rok 1953, na „Ignasia Łęka”, na „Żywe i martwe morze”, na „Manfreda”, aby Rudnicki zgłosił deklarację socrealizmu. Różnica polega tylko na tym, że co w „Pałeczce” podaje w owijakach pseudo-poetycznego stylu, w pięć lat później jest już zwykłą „dretwą mową” (14). Jeżeli w „Pałeczce” — na tle ogólnej problematyki ambicyjno-lózkowej — deklaracje artystycznego lojalizmu robią wrażenie sztucznie doczepionych, to późniejsze utwory spełniają już wszystkie postulaty socrealistyczne. Jest wśród nich i budująca powieść o architekcie, który po przeżyciach wojennych dostaje mieszkanie i żeni się z zetempówką („Żywe i martwe morze”); specyfika Rudnickiego objawia się tylko w tym, że bohater jest Żydem i jako taki *nie* chce emigrować do Izraela. Jest opowieść o spekulancie okupacyjnym, który — pod wpływem radzieckiego zrzutka — ulega naglej przemianie duchowej i ofiaruje dwa kilogramy złota na Sprawę („Autoportret z dwoma kilogramami złota”); specyfika Rudnickiego objawia się tu z kolei w tym, że ów spe-

(11) Henryk Bereza, „Z „Pałeczką” w przyjaźni” („Twórczość”, 1956, nr 7).

(12) „W biografii mamuni znajduje się jakieś kochaństwo z tragicznym końcem”, „kieszonki od (!) marynarki”, itp.

(13) „Czasz są zbyt surowe — mówi Pałeczka — i nie ma się prawa do notowania uczuć z których wynika tylko, że są ślepe. Zresztą uczucia nie są ślepe wcale. Uczucia mają społeczne oczy! ... Żyjemy w czasach wielkich zrębów, nie mikroskopu... Łzy trzeba dobrze wpięć, nim się je rzuci na papier...”, itd.

(14) „Żyjemy w niezwykłych czasach. W naszych czasach kończy się jedna epoka i zaczyna nowa, wszyscy to widzimy, sami wykujemy zręby nowej epoki... Dwie epoki nachodzą na siebie wywołując tysiące nowych, nieznanych konfliktów. Wchodzimy w nową epokę...” itd. („Żywe i martwe morze”).

kulant to były literat. Jest nawet nieodzowny dramat z powstania, ukazujący polityczne rozwarstwienie bojowców i zakończony warszawskim kongresem pokoju z 1950 roku („Manfred”); specyfika Rudnickiego objawia się tu — niestety! — w zupełnie już niewiarygodnym zaśmieceniu języka (15). Nad utworami tymi krytyka powinna właściwie przejść dyskretnie do porządku jako nad *dokumentami wymuszonymi*, gdyby pewne symptomy nie wskazywały, że było w socrealizmie coś, co odpowiadało wewnętrznej potrzebie Rudnickiego.

Charakterystyczny dla ówczesnej atmosfery kulturalnej był „kompleks antyzachodni”, wzrost narodowych uprzedzeń z polityczną podejrliwością, poczuciem niższości z samozadowoleną ignorancją. Walkę z tak zwanym kosmopolityzmem prowadzono w owych latach najrozmaitszymi środkami — od zwykłej represji po aranżowaną pseudo-dyskusję. Był to okres, kiedy cytaty z Racine’a były podejrzane; kiedy nazwiska Prousta czy Gide’a, jeżeli pojawiały się w prasie, to jedynie w wianuszkach soczystych epitetów; kiedy obowiązkiem piszących było ustawicznie przeciwstawiać muskularną krzepę naszej sztuki finezyjnym „grymasom Zachodu. W ten sposób na lep kulturalnego stalinizmu szło wszystko, co zacofane i szowinistyczne; wszystko co nie lubi „tych tam, panie dzieju, nowinek”; co szuka w sztuce „wytechnienia, a nie łamigłówek”; co przenosi „czucie i wiarę nad mędrca szkiełko i oko”. W ten sposób utworzył się — od epigonów romantyzmu po autorów rymowanych broszurek — wspólny front, skierowany przeciw wszystkiemu, co trzeźwe i nowoczesne.

Jeżeli wyrazy lekceważenia, jakich w latach 1953-1954 Rudnicki nie szczędził kulturze zachodniej, mogą uchodzić za wymuszone, to „Niebieskie kartki” ukazywały się jako felietony w latach 1955-1956, a więc w okresie gdy takie nastawienie nie było już bezwzględnie obowiązujące; zawarte w nich poglądy możemy uważać za szczere i nieskrępowane. Odnajdujemy tu więc cały — znany z lat socrealizmu — arsenał antyzachodnich banałów. Są i próby sprowadzenia dyskusji kulturalnej do sprawy ciuchów (16); i uroczo nieodpowiedzialne stwierdzenia, że „filmy zachodnie są tak samo nic nie warte, jak nasze”; i wyrazy lekceważenia dla „pełnych składów myśli wszystkich egzystencjalistów

(15) Pełno tam takich dziwolągów, jak: „Co robisz? Zakaszam”, „Straszny ze mnie samochwała”, takich wyrażań, jak: „Pan się zawsze lubi spółkować — jak nie z synem to z Niemcą” (to znaczy „dzielić się jedzeniem”), takich przysłów, jak: „Każdy nabija ludzi na swoje kopyto” (to jest „Każdy sądzi podług siebie”), takich powiedzonek dziecięcych, jak: „Jako żywo” (to jest „Jako żywo”) itp., itp.

(16) „Kompleks Zachodu spotykamy jeszcze teraz wśród zwolenników „ciuchów” — i pośród pewnych artystów, dla których sztuka jest przede wszystkim sprawą nosa, mody, powierzchowności, głodu (?), a nie sprawą ich duszy własnej...” (str. 273).

świata" (17); i bagatelizujące wzmianki o różnych znakomościach europejskich (18). Wszystkie te skrzywienia ust, wzruszenia ramion i pobożliwe poklepywania mają dać czytelnikowi do zrozumienia, że właśnie w Europie Wschodniej istnieje zapoznany pisarz, który dawno wyprzedził najśmielsze osiągnięcia Zachodu (19).

Antytezę między Wschodem i Zachodem zwykło się u nas podbudowywać inną, bardziej zasadniczą: między „twórczym uczuciem” a „jałowym intelektem”. Spoza kompleksu antyzachodniego wyziera więc zwykły antyintelektualizm; on to każe Rudnickiemu odgrzewać owo — od dawna na całym świecie skompromitowane — przeciwstawienie (20); on — proponować krajowi naszemu takie oto perspektywy rozwojowe: „Przekształćmy Polskę w Spartę, przesunąć punkt ciężkości z literatury i sztuki na pracę, na wojsko, na sport” (str. 249).

Przeniesiony ze spraw kultury w dziedzinę praktyki, antyintelektualizm ten przeistacza się we wrogość do wszelkiej cywilizacji, w obronę rodzimego wstecznicstwa. Oto na przykład swego czasu toczono na łamach „Przeglądu Kulturalnego” dyskusję o produkcji antykonceptyjnych środków. Młody pisarz, Jacek Bocheński, napisał przy tej okazji parę zdań, które Rudnicki — w celach polemicznych — przytacza: „Jestem bardzo za anielstwem, lecz jeszcze bardziej za praktycznymi sposobami przeciwdziałania ludzkim nieszczęściom. Wypowiadam się za wyrobami z gumy i za popularyzacją teorii Ogino-Knausa, ponieważ wiem, że nie mamy wyboru między gumą a szlachectwem duszy, ale między gumą a nożyczkami. Nie wolno moralizować z natchnioną miną wtedy, gdy w praktyce nożyczki i tak będą używane. Więc trzeba to załatwić po ludzku, rozsądnie i możliwie szybko”.

Oto jednak — na wieść, że życie erotyczne w Polsce ma wejść w bezkrwawą fazę — ów humanista zostaje urażony w swym poczuciu estetycznym; ów moralista zaczyna rozdzierać szaty nad prozaicznością młodego pisarza, któremu „myśmy powiedzieli, że trzeba pisać w ten gospodarski, odpowiedzialny

(17) „Miłość ta (między Aleksandrem Hawrylukiem a Adolfem Rudnickim) ciągle wydaje mi się najpiękniejszym uczuciem ludzkim. Nie wziąłbym za nią pełnych składów myśli wszystkich egzystencjalistów świata, łącznie z naszymi” (str. 106).

(18) „Cide, który jest raczej artystą-pamiętnikarzem, niż artystą-kreatorem...” (str. 99).

(19) W felietonie „Na temat filmu polskiego” (str. 211-213) opowiada o swoim scenariuszu „October”, odrzuconym w 1945 roku przez Łódzką Wytwórnię Filmową. „W kilka lat później reżyser teatralny Erwin Axer natrafiwszy w archiwum na mój scenariusz zdumiony był jego *włoskością*. Jego zdanie brzmiało zbyt pochlebnie, bym je tu powtórzył... W roku 1945 nie mieliśmy ludzi, którzy mogliby zobaczyć jego włoskość i puścić w świat jako polskie widzenie świata po doświadczeniach okupacji”.

(20) „Za bardzo wyrozsądniliśmy — pisze — że rozsądek urosłszy za bił w nas jakiś organ, z którego rodzi się złoto sztuki” (str. 40).

i rozsądny sposób: rozsądek właśnie jest *najciemniejszą* stroną przytoczonych zdań... Czy młodzież może kochać pisarza, który mówi jej: nałóż gumy i sprawiaj się (chyba: sprawuj się — A.S.) kulturalnie? Czy to jest program dla młodych marzeń?... Wszystkie te drobnosklepikarskie rady podsycają jedynie brudne (?) płomienie, nie studzą okrutnego pożaru trawiącego młode trzewia...” itd.

Jest w tym „natchnionym moralizowaniu” coś głęboko oburzającego: nie tylko dlatego, że kosztta tych poetyczności ponosić ma pleć najbardziej w tych sprawach bezbronna; ale także dlatego, że stanowi to jeszcze jedną próbę, aby dać uzasadnienie „głębsze” naszej obyczajowej średniowieczyznie. Epoka nasza zna więcej takich usiłowań, aby obskurantyzm przyodziać w pseudo-intelektualną szatę; zbyt mocno dały się nam one we znaki, abyśmy je przepuścili bez protestu.

Z niechęci do cywilizacji zachodniej i do „suchego intelektualizmu” tworzy się tu owa specyficzna postawa, którą można w skrócie określić jako „ulańską”. Istota jej polega, jak wiadomo — na zdaniu się na improwizację, na ufnosci, że jakoś to będzie, że o wszystkim stanowi dobra intencja, a wykonanie — przyjdzie samo z siebie. Postawę tę najpełniej charakteryzuje anegdota o tej pocziwiej wilniance, która — gdy jej sublokator uskarżał się na nieczystość ubikacji — odpowiedziała: „At, głupstwo, mileńki. Aby dusza była czysta...”

Jest u nas w zwyczaju, by postępowanie ludzkie oceniać nie wedle skutków, lecz wedle szlachetności uczuć, które je spowodowały. „Musiałem tak postąpić, bo tak czułem” — oto — w myśl tej zasady — dostateczne uzasadnienie każdego czynu. Tak na przykład, kiedy felieton Rudnickiego „Pod Międzynarodową Prasą” wywołał oburzenie pewnych kół literackich, jak sądzicie — bronił się autor przeciw tym zarzutom? Czy próbował dowieść, że miał rację? Bynajmniej. Jedynym jego argumentem było to, że miał — natchnienie. „Powołany — pisze w polemicznym felietonie „Pierwsza twarz Ludwika” — stałem się głuchy i ślepy na moralną stronę rzeczy i tylko z pewnych nawyków podobny byłem jeszcze do człowieka. Mówią: *natchnienie, płomień twórczy*: jest to stan, w którym człowiek żyje jak koń w okularach, jak zwierzę raczej, niż jak człowiek” (str. 100).

Jeśli jednak wartość utworu mierzyć natchnieniem, to powstaje z kolei pytanie, czym mierzyć wartość natchnienia. Chyba tylko tym, że powstał z niego doskonały utwór; coż bowiem jest ono warte, jeśli płody jego są niewydarzone? Innymi słowy, nie sprawdzalną wartość natchnienia należy mierzyć sprawdzalną wartością utworu, a nie — odwrotnie. To jednak autorowi, zajętemu mitologizacją własnego przeżycia, nie przyszło w ogóle na myśl.

Zauważmy, że pogarda dla wykonania w imię treści leżała również u podstaw socrealizmu i że ona to łączy jego zwolenników.

ników z rzekomymi przeciwnikami w jeden obóz, którego cechą wspólną jest to, że wartość utworu przenosi on poza wszelką sprawdzalność — w sferę czystych intencji. Wiara pocziwej wilnianki, że wobec czystości jej duszy inne nieczystości błędne, ma ścisły odpowiednik w powszechnym u nas przekonaniu, iż błędy języka, erudycji czy informacji są niczym wobec natchnienia, które ożywia dzieło. To natchnienie, które nie tylko nie potwierdza się w wykonaniu, lecz mu się nawet przeciwstawia, jest typową wartością bez pokrycia. Autor, który wyznaje ów „czysty intencjonalizm”, będzie się starał przede wszystkim stworzyć *pozory* głębi czyli — zasnobować czytelnika.

W kraju, gdzie mało kogo stać na stwierdzenie, że król jest nagi, można z dużym powodzeniem stosować tę metodę — zarówno w rozmowie, jak i w pisaniu. Iluż to ludzi zawdzięcza powodzenie w towarzystwie wtajemniczającym gestom, porozumiewawczym mrugnięciom, niejasnym aluzjom, którym każdy — z obawy przed posądzeniem o brak bystrości — skwapliwie przytakuje. Również i czytelnika można ujarzmić przez podobny terror psychiczny: wystarczy dać mu z odpowiednio znaczącą miną do zrozumienia, że się na niego stawia, że się pokłada zaufanie w jego inteligencji.

Tym się też tłumaczy technika pisarska Rudnickiego: to podkreśla dowolne wyrazy, każąc się w nich domyslać zagadkowych aluzji (21); to przytacza — jako utarte wśród artystów — pewne zwroty, które czytelnik — aby się nie zdradzić ze swym nieobytem — skwapliwie przyjmuje (22); to cytuje nikomu nieznaną wypowiedź gwarową (23); to wprowadza nieistniejące słowa (24) i dziwaczne porównania (25); to udziela czytelnikowi rewelacyjnych informacji (26); to opowiada anegdotki o pointach

(21) „Zaklicki przeląkł się ogniomistrza i już wtedy zrodziła się w nim ta obawa...” („Młode cierpienia” — „Żołnierze”, str. 105).

(22) „Oczy (artystów), nie mają urody widzieć” rzeczy najważniejszych” („Niebieskie kartki”, str. 187).

(23) „Antek — mówił z chłopska — dawaj ze dwie bochenki chleba („Złote okna”, str. 110). — „Żydok? — zapytał jeden z nich po śląsku”. („Wniebowstąpienie”, str. 491). — W „Profilach i drobiazgach żołnierskich” chłop Korziuk mówi taką oto ukraińszczyzną: „Przedemną błoto, a on mnie każe: padnij”. („Młode cierpienia”, str. 398).

(24) „Wchodzę do apteki: gdy mówią, że nie mają czasu, ja odpowiadam z głupią frantą, to nic, ale ja mam czas, śram (?), poczekam, śram”. („Wniebowstąpienie”, str. 467).

(25) „Baba jak koci łeb” („Manfred”, str. 37).

(26) „Egzekutywa kongresu była natury wyłącznie moralnej; nie był to monachijski (?) trybunał, rozporządzający całym uzbrojeniem kuli ziemskiej. „Ucieczka z Jasnej Polany” str. 504). Chodzi tu oczywiście o trybunał norymberski. — W „Żywym i martwym morzu” Żydówka Regina Borkowska odgraża się: „Nie włożę... szat pokutnych i nie zmówię modlitwy po umarłych po nim, po moim synu”. (str. 705). Jak wiadomo, modlitwę po umarłych mogą u Żydów odmawiać wyłącznie mężczyźni.

sugerujących niezwykle głęboką (27); to wygłasza o sztuce i życiu zawrotne aforyzmy, o których znaczenie nikt nie śmie spytać (28). Przy bliższym jednak wejrzeniu okazuje się, że podkreślenia są całkowicie nieuzasadnione; że „klanowa” gwara artystów w ogóle nie istnieje; że żaden Ślązak nie mówi „Żydok”, a żaden chłop „dwie bochenki”; że żadna baba nie przypomina „kocięgo łba”; że rewelacyjne informacje są wysrane z palca; że pointy nic nie znaczą, a myśli o życiu i sztuce są zwykłym banałem: cały ten sztucznie skonstruowany świat rozpręga się i rozpada.

Jaki jednak obraz miały w nas wywołać wszystkie te chwytły, napomknienia, inicjujące gesty? Ku czemu zmierzały wszystkie te wysiłki? Nie trudno na to pytanie odpowiedzieć. Rudnicki chce wywołać w czytelniku wrażenie, że wprowadza go w świat duchów wybranych, w świat artystycznej masonerii gdzie o pewnych — szczególnie wysoko wtajemniczonych — osobnikach mówi się z nabożnym drżeniem per „sam” (29). Właściwy jego pisarstwu autentyzm, niezdolność do wyjścia poza własną biografię i do stworzenia fikcji sprawiły, że opowiadania jego działały się zawsze w środowisku, w którym aktualnie przebywał. To właśnie było przyczyną, że — po opadnięciu przeżyć okupacyjnych, które podyktowały mu jego rzeczywiste udane utwory — akcja ich zaczęła się około 1948 roku znowu zgrywać w środowisku artystów. Różnica między przed- a po-wojennym ujęciem polegała jednak na tym, że obecnie świat ten stał się wartością snobistyczną. Nie były to już, jak dawniej, bezpretensjonalne notatki z życia cyganerii; obecnie był to świat „duchów wybranych, przeżywających męki twórcze”. Innymi słowy, autentyzm tego pisarstwa zaczął stopniowo przeradzać się w pretensjonalność i sentymentalizm. Rudnicki zaczął produkować coś, co można by określić jako mit nowego high life’u.

(27) Wielki malarz N. opowiada taką rewelacyjną anegdotkę: „Słuchaj ty, byłem dzisiaj nad Wisłą. Nad wodą siedział rybak z wędką. Dwie pamiętki przyszły z psem. Pies nie mógł oderwać się od rybaka. Latał nokoło niego bez końca. Ten pies był *autentyczny*. Artysta musi być *autentyczny*. („Niebieskie kartki” str. 198). Równie zagadkowe jest zakończenie tego felietonu: „Gdy żona malarza przyniosła ciasteczka i postawiła je na stole, spuściłem oczy. Już dawno nic mnie tak nie wzruszyło, jak widok tych ciasteczek”. — Wielkim głosem pytamy: „Dlaczego?”

(28) „Sztuka... jest tajemniczą wodą, która z trudem łączy sobie miejsce między głazami życia”. („Niebieskie kartki”, str. 190). — „Żyje pani w majakach i choć wydaje się pani, że te właśnie majaki są prawdziwym życiem, są to tylko majaki”. („Żyje i martwe morze”, str. 692). Warto się też zastanowić nad intelektualną wartością takich oto definicji literackich: „Montaigne chce zrozumieć świat, Pascal siebie, Balzac społeczeństwo, Stendhal miłość, Musset miłość, Maupassant miłość, Lew Tolstoj historię Rosji, życie rodzinne, podminowane przez sumienie, Dostojewski cierpienie, Żeromski Polskę, Szolochow kozaków, Erenburg pokój (?), itd., itd. („Niebieskie kartki”, str. 34).

(29) „Rok temu w Kazimierzu nad Wisłą, na plaży rozmawiałem z Pawłem, z samym Pawłem” („Iгнаś Łęk”, str. 588).

Przed wojną — chcąc zaspokoić głód życiowych ideałów, jaki odczuwają naiwni czytelnicy — niektórzy pisarze wprowadzali ich w arystokratyczne salony. W społeczeństwie dzisiejszym rolę analogiczną do „sfer wyższych” spełnia środowisko artystyczne; daje ono surogat egzotyki.

Rudnicki, jakiego znamy od czasów „Pałeczki”, produkuje mity społeczne na użytek pensjonarek (30). Ten pisarz, którego pookupacyjna twórczość rokowała tak duże nadzieje, stał się Heleną Mniszek naszych czasów.

Październik, 1956.

Artur SANDAUER

(30) A oto obowiązujące w tym świecie pojęcia. O pisarzach: „Pewnego dnia przyjeżdża poeta i nim biedaczka dowiaduje się, że można pisać jak anioł, a żyć jak świnia, leży z potrzaskanym kręgosłupem” („Pałeczka”, str. 13). O urodzie kobiecej: „Była pani wtedy małą istotą, zapowiadającą się na dużą śliczną istotę. Biuscik małej istoty zaczynał się ledwie podnosić...” („Pałeczka”, str. 63). O psychologii młodych dziewcząt: „Nie ma na świecie większych poetów, niż młode dziewczęta i biada tym, którzy nie pamiętają o zaspokojeniu wielkiego głosu poezji, stale trawiącego młode dziewczęce serca...” („Żywe i martwe morze”, str. 673).

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
I WYDAWNICTWO KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOSREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l’Île, Paris 4°

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

Rodzinna Europa

WSTĘP

Pomysł tej książki powstał, jak przypuszczam, pewnego sierpniowego dnia, kilka lat temu, w domu pani Heleny Naef nad Lemanem. Mówię: przypuszczam, bo tego rodzaju chęci pojawiają się najpierw na krótko i zaraz się o nich, z pozoru, zapomina. Krystalizacja odbywa się gdzieś pod powierzchnią i uświadamiamy ją sobie o wiele później, już jako gotowy zamiar. Ale przystąpmy do krótkiego opisu miejsca.

Winnice na pagórkach mają tu dobre położenie, bo dostają światło z południa. Pod nimi, brzegiem jeziora, przebiega szosa i linia elektrycznej kolei Genewa-Lozanna. Po drugiej stronie płaszczyzny wodnej, zawsze gładkiej z wysoka, widać, wyraźnie albo tylko jako zarys, zależnie od pogody, masywy Alp. Uchylając furtkę ogrodu idzie się po spieczonej ziemi w bruzdach między winem i obcina się dojrzalsze grona na poobiedni deser. Drewniana galerijka okrąża dom w połowie wysokości, wzdłuż dwóch wewnętrznych ścian, obejmujących ogród i podwórze. Jej deski skrzypią. Już niektóre posadzki z czerwonych, trochę startych cegiełek do czegoś mnie przygotowywały. Wszystko zaczęło się jednak na strychu. Zobaczyłem tam stare skrzynie malowane na zielono, w czerwone kwiaty, i podobnie malowane łóżko z baldachimem, które służyło pokoleniom szwajcarskich chłopów. Wtedy przez chwilę, ale bardzo ostro, odczuwałem żal, że jestem

(*) Fragmenty z przygotowywanej nowej książki Czesława Miłosza.

niemy. Bo niemota bywa nie tylko fizyczna i swoboda toczona po francusku rozmowy może tylko maskować nieruchome zapatrzenie. Zapach tego strychu był swojski, taki sam jak w kątach znanych w dzieciństwie, ale kraj z którego przychodziłem był daleko i, jak diablik wyskakujący z pudełka, poruszałem się według praw mechanizmu tajemniczego dla moich tutejszych przyjaciół. Nawet ta wspólność upodobań do starych mebli, gdzie przechowuje się obecność ludzi minionych, kryła w sobie zasadniczą różnicę tonacji. Gdybym próbował wyjaśnić co one dla mnie znaczą, jakie postacie przywodzą na myśl, musiałbym żmudnie zaczynać od samego początku, płatać się w datach, w opowieściach o instytucjach, bitwach i obyczajach.

Kręcące się jabłko ziemi jest malutkie i nie ma już na nim, geograficznie, białych plam. Wystarczy jednak tutaj, w Europie, pochodzić z jej mniej uczęszczanych przez podróżnych okolic na wschodzie i na północy, żeby być przybyszem z Septentrionu, o którym wie się to tylko, że jest tam zimno. Przed łóżkiem z baldachimem doznałem podwójnych uczuć, tubylca i cudzoziemca. Niewątpliwie i tu była moja ojczyzna, ale wyrzekająca się, jakby na mocy narzuconego sobie nakazu, wiedzy o sobie jako całości, dzieląca swoją ludność na rodzinę, skłóconą ale rodzinę, i ubogich kuzynów. Ileż to razy miałem usta zamknięte, dlatego właśnie, że wyłoniwszy się z mglistych obszarów, o których podręczniki i książki rzadko podają wiadomość, a jeżeli, to fałszywą, musiałbym zaczynać od początku. Teraz jednak z paraliżem łączącą się dotkliwość jakiegoś zaniechania. Nie, nie będę nigdy naśladować tych, którzy zacierają ślady, wyrzekają się swojej przeszłości i są martwi, choćby przy pomocy ekwilibrystyki umysłowej udawali, że są żywi. Korzenie moje są tam, na wschodzie i to jest pewnik. Jeżeli trudno albo przykro tłumaczyć kim jestem, trzeba pomimo to próbować.

Tak więc pierwszym ziarnem była chęć, żeby przybliżyć Europę Europejczykom. Dzisiaj nie tak już określiłbym swój cel. Decyduje o nim to, co można nazwać okiem teleskopicznym. Ten nowy organ, chwytający równocześnie różne punkty kuli ziemskiej ale także różne momenty czasu, film kształcił u wszystkich moich współczesnych. Poza tym musiałem nim się częściej niż inni posługiwać, rzucany przez okoliczności z jednej cywilizacji w drugą, spod dużego ciśnienia w małe i na odwrót. Od rewolucji rosyjskiej 1917 roku, oglądanej oczami dziecka i cudzoziemca, do New Mexico i wybrzeża Kalifornii, do starego domu nad Lemanem, wędrowałem przez strefy ciszy i grzmotu, chłodu i gorąca. Żaden nowy obraz nie przesłaniał poprzednich i właściwie nie są dla mnie ułożone na taśmie, w porządku chronologii, ale trwają równolegle, zderzają się, nakładają się jedne

na drugie. Stąd nacisk wchłoniętej rzeczywistości i potrzeba umieszczenia mojej rodzinnej marchii europejskiej, z jej mieszaniną języków, religii i tradycji, nie tylko w stosunku do reszty kontynentu ale do całej, już między-kontynentalnej, epoki.

Postanowiłem więc napisać książkę o Europejczyku wschodnim, urodzonym mniej więcej wtedy, kiedy tłumy Paryża i Londynu wiwatowały na cześć pierwszych lotników; o człowieku, który mniej niż ktokolwiek mieści się w stereotypowych pojęciach niemieckiego porządku i rosyjskiej «ame slave». Takie przedsięwzięcie jest niewdzięczne, bo skłonność do ogólnych, choć niesprawdzonych, idei jest w nas mocno ugruntowana. Nie tylko czytelnik ale i sam autor, starając się zobiektywizować cechy krajów i narodów, waha się pomiędzy uproszczeniem i wielostronnością prawdy. Nie jest więc wcale tak, że mam materiał, który wystarcza okrzesać według zasad przyjętych przez popularyzatorów. Zaczynam eksplorację, wyprawę w głąb własnej, jednak nie tylko własnej, przeszłości.

Te zdania brzmią może trochę zanadto naukowo. W istocie chodzi tylko o gatunek moich zainteresowań literackich, często prowadzących mnie na pogranicze antropologii, historii i socjologii ale bez wygórowanych ambicji wiedzy. Sama pasja, zaciekawienie światem wymykają się nazwom. Dwie chińskie dziewczyny przechodzące ze śmiechem ulicą w dole, które odprowadza się wzrokiem stojąc na stacji kolejki nadziemnej w New Yorku; odstawiony mały palec, na znak dobrych manier, u sowieckiego oficera rodem z Tyflisu, kiedy pije herbatę a za oknem odzywa się kanonada zimowej ofensywy 1945 roku; złoty łańcuch i gronostaje Jego Magnificencji rektora na moim uniwersytecie, przestrzegającym ceremoniału Średniowiecza; fotografia prasowa z obrad na Kremlu i między dostojnikami profil przyjaciela wczesnej młodości — każde takie doświadczenie obraza w serie skojarzeń, domaga się, żeby je i utrwalić i włączyć w zespół do którego należy. Ciekawość jako napęd pracy rysownika nie istnieje w sztuce abstrakcyjnej, ale daje znać o sobie wszędzie, gdzie ogniwo bransolety, zapięcie sukni, sposób trzymania głowy wydawały się godne uwagi i trudu żeby je zanotować dokładnie. Ze wszystkiego co czytałem o malarstwie najbardziej chyba podobala mi się krótka rozprawa Baudelaire'a o Constantin Güys. Ta pochwała krynoliny, pudru i różu jest mądra, bo człowieka można osiągnąć tylko z ukosa, poprzez wszystko, co jest jego przedłużeniem i ciągłą maskaradą, czyli w jego momencie historycznym. Nie wynika stąd wcale, że pisząc chciałbym zbliżyć się jak najbardziej do «malarstwa obyczajów» i rezygnować z dyskusji ideologicznej. Byłby to bardzo ubogi portret konkretnego miejsca i czasu. Z pociągu do tej szczególnej dziedziny

gdzie łączy się w jedno kronika wypadków i moda, zmiany opinii i wierzeń, wynika tylko nieufność do honorowanych dzisiaj sondowań podświadomości. Tego nie umiem i nawet się boję, bo w tym anty-klasycznym procederze łatwo zatracić miarę.

Jeżeli chcę pokazać kim się jest pochodząc ze wschodu Europy, czy mogę to zrobić inaczej niż opowiadając o sobie? Owszem, mógłbym stworzyć postać fikcyjną i w jej biografii zamknąć obserwacje zrobione na sobie i na innych. Wtedy jednak mimowoli dobierałbym te obserwacje zgodnie z założeniem, to jest odrzucałbym szczegóły za mało typowe. Nie krępowałaby mnie żadna kontrola, byłbym jak balon bez balastu. A pomimo wszystko balast jest użyteczny. Lepiej więc jest zatrzymać się na sobie i brać na warsztat to tylko, czego się samemu bezpośrednio dotknęło.

Pamiętnik: ta część naszego życia, którą możemy opowiedzieć nie rumieniąc się. Aforyzm Ambrose Bierce'a powinien dostatecznie zniechęcić amatorów szczerości. Jest rzeczą jasną, że szczerość jest niemożliwa i że im więcej zachowuje się jej pozorów, tym większa rola przypada konstrukcji. Pretendując do nieosiągalnej prawdy, popełnia się kłamstwo, ponieważ wyłącza się zdarzenia jakie ukazują nas w świetle niepochlebnym. Jeżeli nawet, jak się to dzisiaj zdarza, autorzy znajdują delectację w pastwieniu się nad sobą i ze strachu przed fałszem kładą nacisk na własne szaleństwa i błędy, możemy być pewni, że działa w nich taka czy inna wewnętrzna cenzura i że do dna nigdy nie sięgną. W tej zasadniczej niemożliwości wykrycia wszystkich danych przeznaczenia nie ma nic poniżającego. Gdyby było inaczej, gdyby nie istniało chaotyczne bogactwo, wobec którego nasze środki są jak krąg latarki w ciemnościach, nie dążylibyśmy ciągle na nowo do formy zdobywanej poprzez eliminację i prawdopodobnie zniknęłaby sztuka pisania. Wystarczy, jeżeli zdaje się sobie sprawę do jakiego stopnia myśl i słowo są niewspółmierne z tym co rzeczywiste. Wtedy można się świadomie ograniczyć.

Sama wizja małego skrawka kuli ziemskiej, któremu wszystko zawdzięczamy, wskazuje na kierunek ograniczeń. Miłość trzylatka do ciotki czy zazdrość wobec ojca zajmują tak wiele miejsca w pismach autobiograficznych dlatego, że całą resztę, na przykład dzieje kraju czy grupy narodowej, traktuje się jako „normalną” i przez to mało ponętną dla narratora. Ale możliwa też jest inna metoda. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby zamiast wysuwać na pierwszy plan jednostkę, dbać przede wszystkim o tło i patrzeć na siebie jako na obiekt socjologiczny. Wewnętrzne przeżycia, tak jak zachowały się w pamięci, będą wtedy oceniane w perspektywie przemian jakim poddane było srodo-

wisko. Przemilczenie pewnych okresów, ważnych dla nas ale wymagających za nadto osobistego klucza, będzie dowodem szacunku dla tych piwnic, które są w każdym i które lepiej zostawić w spokoju. Natomiast świat zewnętrzny zabarwi się wspomnieniem i subiektywną oceną, przez co uniknie się wszelkich pozorów suchego traktatu. W takich granicach zamierzam utrzymać się, choć nie mogę z góry przyrzekać, że mi się to uda.

MIEJSCE URODZENIA

W ciągu wielu wieków, kiedy nad Morzem Śródziemnym powstawały i upadały królestwa a niezliczone generacje przekazywały sobie wyrafinowane rozrywki i grzechy, mój kraj rodzinny był puszczą, odwiedzaną na brzegach tylko przez okręty Wikin-gów. Położony był poza zasięgiem map i należał do baśni. Ten drobny półwysep, który dzisiaj odnajduje się prowadząc palcem od Kopenhagi na wschód wzdłuż północnego skraju Niemiec i Polski, nigdy zresztą nie miał być często wspominany przez kronikarzy. Oddalenie od szlaków komunikacyjnych nadawało mu stale charakter jednej z najbardziej odosobnionych enklaw, gdzie czas płynął wolniej niż gdzie indziej. Jednak już zapewne wtedy, kiedy Plato pisał swoje dialogi, kraj ten włączał się w międzynarodowy obieg handlowy. Stamtąd pochodziła przeczysta ambra-bursztyn z zastygłym w niej owadem. Bursztyn, przekazywany z rąk do rąk jako przedmiot wymiany dzikich szczepów, odbywał długą drogę łodem, wzdłuż Dniepru do Morza Czarnego, zanim dotarł do greckiego archipelagu. Odnajdywany w wykopaliskach pozwala dzisiaj na przypuszczenia co do głównych linii, jakimi pionowo — z południa na północ — przesunęły się niektóre zdobyczne wieki brązu i wieku żelaza. Tak tylko zaznaczała się obecność mieszkańców w nadbałtyckim lesie, do chwili, kiedy, u schyłku Średniowiecza, stali się skandalem dla chrześcijaństwa. Skoro umysły zaprzętało wtedy szerzenie prawdziwej wiary, a walka z niewiernymi była głównym tematem rycerskiej pieśni i legendy, łatwo zrozumieć czemu prowincje, do których nigdy nie przeniknęło światło Ewangelii, budziły grozę i przypominały o niespełnionym obowiązku. Tak więc Europa też miała swoich Czerwonoskórych. Dawali oni znać o sobie przez ciągłe zbrojne napady, zjawiając się i wycofując równie nagle do swoich niedostępnych kryjówek. Ich język był niezrozumiały dla otaczających ich Słowian, poziom ich techniki, jeżeli go mierzyć uzbrojeniem, był niższy niż u ich przeciwników. Łuk, oszczep i tarcza obszyta skórą walczyły przeciwko kopii i pancerzowi, ale tę niższość nadrabiała szybkość manewru. Wtedy też pojawia

się po raz pierwszy wspólna nazwa nadawana tym plemionom: Litwa. W jakim stopniu można do nich zastosować termin barbarzyńców, trudno orzec, zważywszy na niedostatek pisanych źródeł i stronicze sądy chrześcijan. Miały one dość złożoną organizację religijną, opartą na hierarchii kapłanów i stopniowo wchodziły w fazę organizacji państwowej, rozszerzając swoje posiadłości. Od 1228 roku, kiedy książę Mazowsza sprowadził do pomocy przeciwko ich atakom Zakon Krzyżacki i osadził go na terenie później nazwanym Prusami Wschodnimi, głównym ich wrogiem byli rycerze z różnych krajów zachodnich, podobni do tanków i noszący na żelazie białe płaszcze z czarnym krzyżem.

Wszystko to działo się bardzo dawno, ale walka z ostatnimi poganami w Europie przechowała się w świadomości zbiorowej, co prawda w formie mglistej, jednak dostatecznie silnie, żeby figurować nawet w niektórych katechizmach katolickich naszych czasów. Tak więc w «Christenfibel», dziele dwóch teologów niemieckich, Piepera i Raskopa, czytamy: «Ale już w tym drugim okresie nowe ludy weszły w obręb Kościoła: od XIII wieku rycerze Zakonu Krzyżackiego wojowali i zmagali się na granicach Zachodu w imię Kościoła i Cesarstwa. Podporządkowali sobie Prusaków, toczyli boje z Litwinami, przeniknęli do Łotwy i Estonii, dotarli aż do jeziora Peipus».

Być może jest to okazja, żeby zauważyć, jak punkt w którym urodziliśmy się separuje nas od poglądów gdzie indziej przyjętych. Najbardziej nawet zamierzchłe tragedie mają wielką trwałość, bo żyją w przysłowiu, w pieśni ludowej, w podaniu przekazywanym z ust do ust i później stanowią gotowy materiał literatury. Ten obraz zewnętrznego mroku, peryferii na które szli szlachetni zapaleńcy — misjonarze, tak mocno ugruntowany w umyśle niemieckich teologów, że uznali za stosowne włączyć go do wykładu prawd wiary, ukazywał mi się już w dzieciństwie od innej strony. Epopea chrześcijańskiego posłannictwa była w istocie epopeą mordu, gwałtu i bandytyzmu a czarny krzyż na długo pozostał symbolem klęski gorszej niż dzuma. Wszystkie moje sympatie zwracały się więc ku «szlachetnym dzikusom», którzy bronili swojej wolności i wiedzieli czego bronią, bo tam, gdzie Zakon Krzyżacki osiągał zwycięstwo, budował swoje zamki i zamieniał ludność w pracujących na jego korzyść niewolnych.

Książki, opisujące bohaterstwo pogan i pełne brzmiących swojsko nazw miejscowości, musiały odciskać mocny ślad w psychice, bo trafiały do moich rąk i do rąk moich rówieśników w wieku, kiedy kształtują się odruchy. Konsekwencją tych lektur

był zapewne instynktowny wstręt do przemocy, maskującej się ideologią i jakby sceptycyzm co do racji wszelkich cywilizatorów.

Zdolności państwowo-twórcze niektórych grup etnicznych są czymś zagadkowym. Rycerze spod znaku krzyża pokonali Prusów i Lettonów, ale nie zdołali pokonać pokrewnych językowo tym dwóm grupom Litwinów. Ci, naciskani z Zachodu przez rzymskich chrześcijan: Zakon Krzyżacki i Polaków, dbali tylko o utrzymanie status quo, natomiast całą swoją ekspansję skierowali na wschód i na południe, ku domenom chrześcijan, którzy wzięli religię z Bizancjum — książąt Nowogrodu, Tweru, Moskwy i Kijowa. Bogowie czczeni pod świętymi dębami okazali się silniejsi niż Bóg bizantyjski i w ten sposób powstał jeden z najdziwniejszych organizmów państwowych w Europie: Wielkie Księstwo Litewskie. W dobie największego swego rozkwitu sięgało ono w okolice Moskwy, jednym końcem dotykało Bałtyku, drugim Morza Czarnego i sięgało do Besarabii, ale małe nadbałtyckie plemię, które nadało mu nazwę, nie starało się narzucać swoich obyczajów lennikom, przeciwnie, ulegało ich przyzwyczajeniom a dwór książęcy, wskutek małżeństw z księżniczkami ruskimi, wahał się pomiędzy dawnym obrzędem i Ewangelią kopiowaną przez kijowskich mnichów.

Największym niebezpieczeństwem był Zakon Krzyżacki. Jedynym sojusznikiem przeciwko niemu mogła być Polska, też wskutek wzrostu potęgi swoich protegowanych zagrożona. Zawila strategia polskich dyplomatów szukających dróg na wschód i litewskich dyplomatów ulegających konieczności, doprowadziła do małżeństwa wielkiego księcia Litwy z królową polską Jadwigą i przygotowała stopniowo unię dwóch państw. Jadwiga, córka panującego domu Anjou, przeszła do historii jako święta szczególnego rodzaju: poślubiając barbarzyńskiego wodza złożyła swoje szczęście w ofierze wyższej racji katolicyzmu. Bo czego nie mógł dokonać miecz Zakonu, dokonało małżeństwo: w roku 1386 odbył się masowy chrzest Litwinów, mocą dekretu księcia, nad brzegami rzek. Ostatni w Europie poganie przestali być skandalem dla wiernych.

Dla młodych narodów fakty umieszczone w tak odległej epoce nie są niczym więcej niż datami z podręcznika. W otoczeniu, w którym rosnę «problem unii» był często przedmiotem rozmów i wzbudzał gwałtowne kontrowersje. Zwolennicy powoływali się na wyjątkowość takiego pokojowego pochodzenia cywilizacji i przeciwstawiali metody polskie okrutnym metodom Teutonów. Przeciwnicy dopatrywali się w unii wyjątkowo podstępnej transakcji handlowej, bo Księstwo Litewskie wносиło do Commonwealth'u obszar trzy razy większy niż Królestwo Polskie. Poza tym, jeżeli porównamy ten związek do związku Anglii ze Szkocją,

oznaczał on dla litewskich Szkotów powolne zamieranie ich języka i patrioci, których gestykulację pamiętam, najczęściej nie znali już mowy swoich pradziadów.

W każdym razie Commonwealth był olbrzymi i przez długi czas ani Germanie ani Moskwa nie mogli z nim rywalizować. Zjednoczone siły polskie i litewskie złamały Zakon Krzyżacki w roku 1410 w bitwie pod Grunwaldem i Tannenbergiem a później, kiedy na Kremlu władał Iwan Groźny, jego wojska ponosiły z rąk króla «Republiki», jak ją nazywano, klęskę za klęską. Wewnętrzny rozkład dwój-państwa zajmującego cały środek Europy otworzył w XVIII wieku drogę Rosji i zmienił radykalnie równowagę sił.

Nie było to państwo narodowe. Przenoszenie wstecz narodowościowych pojęć, które pojawiły się stosunkowo późno, prowadzi do takich absurdów jak spór o to, czy Kopernik był Niemcem czy Polakiem. Językiem oświeconych była łacina, ustępująca, począwszy od Reformacji, w słowie pisany miejsca polszczyźnie, ale Statuty Wielkiego Księstwa były układane w dialekcie wschodnio-słowiańskim, co stanowi dowód, że etniczne centrum litewskie roztopiało się w masie ludów sobie podporządkowanych. Znaczna część mieszkańców miast używała na co dzień niemieckiego, chociaż kolonowie ulegali zwykle w ciągu paru pokoleń asymilacji. Żydzi przynosili ze sobą skażoną niemczyznę, kupcy z Kaukazu — ormiański. W tym tygłu następowało stopniowe osadzanie się pierwiastków: polski coraz bardziej stawał się synonimem «języka kultury» to jest języka klasy panującej, litewski i dialekty, które później zaklasyfikowano jako język ukraiński i białoruski, schodziły do rzędu «mowy gminu». Z językiem nie łączono jednak idei narodu. Lojalności były oparte na poczuciu związania z terytorium.

Nie było to też państwo jednolite religijnie. Przez jego środek przebiegała linia graniczna pomiędzy katolicyzmem i prawosławiem, niezupełnie wyraźna wskutek jednego z największych przedsięwzięć Watykanu. Przedsięwzięcie to, częściowo tylko udane, polegało na likwidacji schizmy przy pomocy wzajemnych ustępstw. Chrześcijanie bizantyjscy mieli zatrzymać obrządek grecki, a więc nie wprowadzać łaciny. Mieli zgodzić się natomiast na hierarchię, której głową był Papież. W ten sposób powstał w 1596 roku Kościół Unijny. Miał on się okazać Kościołem męczenników, z chwilą kiedy Rosja opanowała obszary na jakich się rozwijał. Widziała w nim większe jeszcze dla siebie zagrożenie niż w katolicyzmie i tępiła go policyjnymi środkami.

Katolicka połowa Commonwealth'u pozostała wierna Rzymowi nie bez buntów i wewnętrznych rozłamów. Nauka Lutra, Zwingliego i Kalwina zdawała się w ciągu kilku dziesiątków lat

brać górę nad przywiązaniem do papieżstwa a ruch protestancki skłonny był do większego niż gdzie indziej radykalizmu, wydając liczne sekty Anty-Trynitariuszy. Do tego trzeba dodać, że Commonwealth był największym skupiskiem Żydów na kontynencie europejskim i że ojcowie czy dziadkowie większości Żydów, gdziekolwiek dziś mieszkają, mieli swoje siedziby nad Wisłą, Niemnem czy Dnieprem.

Szczegóły historyczne staram się sprowadzić do minimum. Są one jednak konieczne, jeżeli mam umieścić moją rodzinną prowincję na tle szerszym. Czytając Szekspira muszę siebie zapytywać, jak wyglądała ta część Commonwealth'u, etnicznie litewska, dotykająca Bałtyku, za panowania w Anglii królowej Elżbiety. Mogę przypuścić, że maszty szybkich okrętów, uganiających się koło Jamajki i Barbadosu za hiszpańskimi galeonami, pochodziły najczęściej z mego kraju. Rachunki firm okrętowych w porcie gdańskim świadczą też, że zajmowały się one dostarczaniem do Anglii, z okolic gdzie się urodziłem, pewnego towaru, popyt na który wydaje się nam dzisiaj trudno zrozumiały, mianowicie żywych niedźwiedzi. Los tych moich kuzynów, zmuszanych do gladiatorstwa w «bear-gardens» albo do roli katów rozszarpujących przestępcę, wydaje się równie mało ponętne, jak los byków na corridzie. Tego rodzaju naturalne płody prowadzą do wniosku, że las był wtedy mało tknięty siekierą i że rolnictwo zaledwie zaczynało przedstawiać się na gospodarkę eksportową. Co do większości tubylców to świadectwa współczesnych odnotowują, że ich szczerą religijność nie przeszkadzała im w składaniu ofiar licznym bogom i boginiom, na wszelki wypadek.

Lojalnie trzeba przyznać, że moje okolice nigdy nie wydały żadnej postaci, która by zaważyła na losach świata i nie wślążyła się żadnym odkryciem. Tylko historycy Reformacji znają nazwę stolicy tego powiatu: Kiejdany, gdzie drukowano wiele protestanckich książek. Siedzieli tam książęta Radziwiłłowie, potężni protektorzy herezji. Poza tym, jeżeli kiedyś uwaga ludzi wykształconych w różnych krajach kierowała się w tę stronę, to tylko wtedy, kiedy uczeni niemieccy odkryli, że chłop tamtejszy mówi najstarszym indo-europejskim językiem, pod wieloma względami zbliżonym do sanskrytu. W XIX wieku wprowadzono na niektórych niemieckich uniwersytetach naukę litewskiego jako studium pomocnicze przy badaniach nad sanskrytem.

Prowincja dzieliła losy Commonwealth'u i całej tej części Europy. Rytm rozwoju, początkowo podobny do rytmu części zachodniej wykazywał coraz większe różnice. Kiedy państwa nad Atlantykiem zdobywały kolonie za morzami, kiedy zakładały manufaktury, żadne takie awanturnicze przedsięwzięcia nie interesowały zajętych wyłącznie rolnictwem mieszkańców Wschodu

i na ich sumieniu nie ciążył cierpienia czarnych niewolników ani pierwszych proletariuszy. Jakby dla równowagi powstało tutaj zjawisko określane czasem jako „feudalizm powrotny” a będące właściwie wewnętrzną kolonizacją. Zwiększone możliwości eksportu zboża skłaniały do gospodarki intensywnej i zerwania z systemem danin w monecie i w naturze, składanych panom przez chłopów, mało korzystnych dla jednych, mało uciążliwych dla drugich. Tylko plantacja, a więc rodzaj fabryki rolnej mogła odpowiedzieć nowym potrzebom i zapewnić pieniądze, za które z zagranicy importowano wino, tkaniny, korzenie i przedmioty zbytku. Siła robocza była na miejscu, należało ją tylko zmusić czyli odebrać jej prawa uświęcone zwyczajem, co nie obywało się bez oporu i zmagania. Proces był stopniowy i zaczynał się od żądania, aby dzień, później dwa, chłop pracował na polach pana. W końcowym wyniku znikł prawie zupełnie chłop «wolny» i jeżeli los jego był nieco lepszy niż czarnego niewolnika na plantacji amerykańskiej, bo zachowały się więzi organiczne wioski i rodzaj pół-własności, to jednak chroniły go raczej pewne lokalne patriarchalne tradycje niż prawo. Nędza jego, poza majątkami należącymi bezpośrednio do monarchii, była proporcjonalna do przepychu, jakim otaczali się wyzyskiwacze, oddzieleni od swego ludzkiego dobytku przez całą hierarchię służby i nadzorców. Rezultatem tej gospodarczej ewolucji była kastowość społeczeństwa, znacznie silniejsza niż na Zachodzie. Istniały właściwie tylko dwie kasty: chłopów i panów, przy czym ci ostatni stanowili grupę wewnątrz zróżnicowaną, poczynając od możnych a kończąc na masie bardzo nieraz ubogich «klientów». Zahamowanie rozwoju miast a co za tym idzie «stanu trzeciego» ma tutaj sens zarówno przyczyny jak skutku.

Wewnętrzna kolonizacja objęła Polskę, Czechy, Węgry, kraje bałtyckie, Ukrainę, Rosję, nie wszędzie przybierając takie same formy. Im dalej na wschód, tym sytuacja chłopów była cięższa, aż do roli bydła sprzedawanego na sztuki, jak w Rosji, włącznie. Jest to zresztą klucz, który pozwala zrozumieć niektóre właściwości późniejszej «inteligencji», wywodzącej się najczęściej nie z chłopów ani z mieszczaństwa, ale ze zubożałej szlachty. Koniec «powrotnego feudalizmu» i przejście na pracę najemną nie dadzą się objąć jedną datą i zależą od wielu politycznych oraz gospodarczych okoliczności. W mojej prowincji emancypacja chłopów przypada na okres amerykańskiej Wojny Domowej.

Rzeka Niemen, niedaleko swego ujścia do morza Bałtyckiego, przyjmuje kilka małych dopływów z północy, ze środka półwyspu. Nad jednym z nich, Niewiażą, przypadło mi rozpocząć wszystkie przygody. Wbrew przypuszczeniom ludzi pochodzą-

cych z ciepłych stref, przyroda nie ma tam w sobie nic ze smutku ani z monotonii. Jeżeli teren nie jest górzysty, to w każdym razie pagórkowaty i prawdopodobnie pierwsze wrażenia wrozkowe wytworzyły we mnie wstręt do równiny. Ziemia jest urodzajna i mimo dość surowego klimatu można tam uprawiać buraki cukrowe i pszenicę. Jest obfitość wód i lasów, iglastych i mieszanych, ze znaczną ilością dębu, który odgrywał tak ważną rolę w mitologii pogańskiej i odgrywa nadal w mojej mitologii prywatnej. Wspomnienie przyczyniło się do mojej skłonności przeprowadzania podziałów miejsc, w jakich później się znalazłem, na lepsze i gorsze: lepsze są te, gdzie jest dużo ptaków. Piękno wiosny i lata jest tam zresztą zapłatą za długą zimę. Śnieg spada w listopadzie albo w grudniu i topnieje w kwietniu.

Był rok 1911. Parafia miała dwa kościoły. Do bliższego, drewnianego, jeździło się albo chodziło na mszę. Przy drugim, murowanym w barokowym stylu (barok przyszedł tu z Jezuitami) i odległym o sześć kilometrów, prowadzono księgi stanu cywilnego. Nazwa tej stolicy parafii jest trudna do wymówienia i moja znajomość starych indoeuropejskich pierwiastków nie wystarcza, żeby odgadnąć co dokładnie oznacza. Tam otrzymałem chrzest i zostałem przyjęty na łono Rzymsko-Katolickiego Kościoła. Równocześnie przez wpisanie do ksiąg stanu cywilnego przybył jeszcze jeden poddany Rosyjskiego Cesarstwa.

Na wsi mówiono po litewsku i częściowo po polsku. Miasteczko, dokąd wożono płody rolne na sprzedaż, używało na co dzień polskiego i yidish. Ale już żandarm wlokący za sobą długą szaszkę, poborca podatków, konduktor na kolei, importowani dla celów administracji, zwracali się do tubylców po rosyjsku, wychodząc z założenia, że każdy musi rozumieć język urzędowy. A wyżej była cała piramida rosyjskich szkół i uniwersytetów, biur, ministerstw, państwowej religii, prawosławia, a na szczycie tron Cara.

Każde dziecko, dodane do wielomilionowej masy narodów podbitych było dzieckiem klęski. Za nim rozpościerała się przeszłość krwawych bitw, rozpaczliwych powstań, zszubieniec, zesłań na Sybir i kształtowała całe późniejsze życie, niezależnie od jego woli. Przeszłość ta nie ginęła choć była niepowrotna. Commonwealth nie mógł być wskrzeszony, nie mogło być wskrzeszone Wielkie Księstwo Litewskie, które już rozpadało się na narodowości nienawidzące panującej Rosji, ale również nienawidzące się wzajemnie, co tronowi dawało możliwość wygrywania jednych przeciwko drugim. Należało jedynie zastanawiać się, jak doszło do katastrofy, dla wielu umysłów nabierającej cech tylko etapu w dalszym pochodzie Cesarstwa. Mała Moskwa była niegdyś godnym lekceważenia przeciwnikiem dla książąt litewskich.

Szachowali ją popierając przeciwko niej Tatarów, zawierając pakt z Nowogrodem i Twerem. Później ich spadkobiercy, królowie polscy, uważali ją za przeciwnika groźnego, ale jednak słabszego, który nie mógł stawić czoła ich armii w większej bitwie. Szala zaczęła się przechylać w końcu XVII-go wieku. Przechylił ją wreszcie Piotr Wielki. Aż z dawnej chwały nie zostało nic, prócz wstydu i poczucia bezsilności.

Czy było to przeznaczenie czy dowód, że tylko absolutyzm zapewnia potęgę i że demokracja zawsze wreszcie zostanie pokonana? Bo cokolwiek się powie o organizmie państwowym, noszącym tytuł Republiki, z obieralnym królem na czele, zło jakie tam istniało nie powinno być mierzone według naszych miar, ale w porównaniu ze złem u ówczesnych sąsiadów. Trudno o większy kontrast, niż tutaj: chaotycznie rządzony aglomerat, rodzaj korralowej rafy zlepionej z drobin i centralistyczna domena carów. Z tamtej strony wszechmoc panującego, jedność władzy świeckiej i duchowej, spisek i mord pałacowy jako zasadniczy instrument polityki. Z tej strony atmosfera nie tylko braku napięcia, ale rozluźnienia, *habeas corpus*, wrzaski w parlamencie, brak wypadków królobójstwa, korupcja i kupowanie głosów, anarchiczne nałogi jednostek, okręgów i grup. Chłop był wyzyskiwany i nie liczył się (nie liczył się wtedy nigdzie) ale klasowa demokracja była faktem. Decydowała o niej wielość ośrodków walczących o swoje interesy: magnaci schlebający tłumom drobnej szlachty, monarcha, tak spętany w swoich uprawnieniach, że nieraz poniżał się próbując uzyskać kredyty na wojsko, miasta zachowujące resztki średniowiecznych przywilejów, Kościół i zakony zależne tylko od Rzymu. Wynaleziono też zasadę nigdzie indziej nie znaną. Poseł, oświadczając: «*liberum veto*», zrywał sesję parlamentu, co zakładało, że przy ustawach potrzebna była chimeryczna jednomyślność i że wolność opinii nabierała cech samobójczych. Dyplomaci rosyjscy przyglądali się temu wszystkiemu, gładząc brody. Początkowo przyglądali się z odległości. Później, kiedy ich posunięcia były ułatwione przez militarną siłę, posługiwali się pieniędzmi albo presją żeby kupować stronnictwa czy posłów było dla nich rzeczą łatwą. Sukces ich okazał się całkowity.

Próbując osiąść zawiłą sztukę chodzenia na dwóch nogach zamiast na czworakach, nie wiedziałem o tych dziedzicznych obciążeniach, które trwają nie we krwi ale w słowie, w geście, w nieświadomych reakcjach otaczających nas ludzi. Nie wiedziałem też, że stare urazy zmieniają się już w coś nowego, że nie starcza więzień żeby pomieścić socjalistów, marzących o epoce, kiedy skończy się panowanie jednego narodu nad innym, że żandarmi, przywożąc własność skarbową, padają od kul a zagra-

bione pieniądze zasilają kasę konspiracji. Dziedziczyłem nie tylko daleką przeszłość ale i tę wahającą się na granicy teraźniejszego momentu: lot Blériota przez Kanał La Manche, ludowe Fordy w Ameryce, kubizm i pierwsze abstrakcyjne obrazy, filmy Maxa Lindera, Wojnę Japońską 1905 roku, która dowiodła nieprawdopodobieństwa — że Cesarstwo Rosyjskie nie jest niezwyciężone.

PRZODKOWIE

Żeby sięgać dzisiaj w dzieje rodziny trzeba przezwyciężyć wewnętrzne przeszkody czyli pozbyć się przyzwyczajęń, poświadczonych przez strach i snobizm. Teorie, według których grzech pierworodny ciąży na jednostkach pochodzących z niewłaściwej klasy albo rasy, wytworzyły różne tabu. Niejednemu z nas wypadło być świadkiem wielkiej maskarady i nigdzie to zjawisko nie urosło do takich rozmiarów jak w krajach, gdzie rządy sprawowała monopartia. Żydzi przybierali słowiańskie nazwiska, manifestowali swój antysemityzm i sprzedawali swoje kilka tysięcy lat duchowego pierworództwa za miskę soczewicy. Przywódcy niwelistycznych ruchów, rzadko wywodzący się z proletariatu, dorabiali sobie genealogie zgodne z ideałem. Arystokraci, żeby dostać posadę gryziopórka, wpisywali swoich rodziców jako chłopów. Ponieważ chłopskie pochodzenie też nieraz uchodziło za podejrzaną, młody człowiek, dbały o swoją karierę, podawał się za syna robotnika. Ale z kolei syn robotnika starał się przemilczeć fakt, że jego ojciec brał kiedyś czynny udział w związkach zawodowych. Wzorowy obywatel powinien był pojawiać się z nikąd, nie mieć tradycji ni pamięci. Przodek, którego się przecie nie wybrało — rabin, właściciel kamienicy czy młynarz — szkodził, przerażał, stawał się przyczyną śmierci albo nędzy.

Również snobizm sprzyja dzisiaj atomizacji i odcięciu od korzeni. Nie tak dawno jeszcze przybysz ze wschodu Europy, żeby podnieść swoją wartość, używał tytułów i opowiadał o mitycznych bogactwach. Powstał wtedy typ-cliché i w niezliczonych powieściach czy filmach każdy Rosjanin musiał być księciem, każdy Polak hrabią. Zachodziło tu socjologiczne nieporozumienie, bo w takiej czy innej Rurytanii, gdzie miasta i przemysł zaczęły się rozwijać późno, tytuł szlachecki, upoważniający do używania *De* czy *Von*, był czymś zupełnie pospolitym, mógł go mieć konduktor tramwajowy, robotnik, szewc i mały urzędnik. Obawa śmieszności, plebejskie wpływy Ameryki, usunęły prawie całkowicie tę manię. To, co nie trwa, musi być amputowane, czy chodzi o utracone przywileje, czy o pokolenia rzemieślników pracujących w drzewie albo w metalu.

Rzecz dziwna, jest to okres w którym mówi się wiele o historii. Ale historia, jeżeli nie można jej ożywić przez coś, co ma dla nas osobiste zabarwienie, będzie zawsze mniej albo bardziej abstrakcyjna, wypełnią ją starcia anonimowych sił i schematy. Uogólnienie, potrzebne żebyśmy mogli objąć olbrzymi, chaotyczny materiał, zabija szczegół, zawsze wyłamujący się ze schematu. Być może każde zniszczone archiwum rodziny, każda spalona księga eechów, każdy dalszy krok na drodze do zapomnienia, wzmacnia klasyfikacje i idee kosztem rzeczywistości. Z całych stuleci zostaje tylko jakiś ekstrakt w popularnym wydaniu. Nikt z nas nie jest dzisiaj wolny od tej choroby.

Jeżeli wspominam o moich przodkach, to dlatego, że są oni dla mnie siłą. Dzięki nim mogę dotknąć dawnych strojów, mebli, pisma na pożółkłych dokumentach jako rzeczy niezupełnie dla mnie martwych. Jest to jakby kotwica, której lina idzie w głąb i trzyma nas niedaleko pewnego punktu. A intuicja historyczna jest chyba niemożliwa, jeżeli brak punktu odniesienia. Pisarz naszej epoki, William Faulkner, dlatego swoje dzieło umieścił i w nurcie czasu i w ramach jednego powiatu nad Mississippi.

Uogólnienia wypełniają się dla mnie zmysłową niemal treścią. Tak więc na przykład kronika rodziny ukazuje się jako ilustracja znanego w Europie ruchu ludności w jednym kierunku: *Drang nach Osten*. Przenoszę się więc w okolice Berlina i Frankfurtu nad Odrą, tam szukając początków. Jak wiadomo przesuwające się elementy germańskie natrafiały na słowiańskie wspólnoty Wendów czy Serbów Łużyckich, których resztki pozostały do dzisiaj. Napór musiał być silny i powodował spadanie miejscowych na sam dół drabiny społecznej, co skłaniało bardziej przedsiębiorcze jednostki do ucieczki. Ślady tej wędrówki są zatarłe, nie da się odtworzyć etapów ani wyobrazić sobie wozów, koni i jeźdźców. Kiedy można uchwycić się daty i zdarzenia, wędrowcy mieszkają już na nowych siedzibach.

Słabo zaludnione lasy Litwy dostarczały możliwości karczunku i kolonizacji. Przybywali tam Polacy, Niemcy a nawet Szkoci. Nic więc nadzwyczajnego, jeżeli szukali tam schronienia imigranci z Łużyc. Wszystko to zresztą należy do mglistej, choć z uporem powtarzanej legendy. Ale nie brakło i jej materialnego potwierdzenia: na dziedzicznych gruntach miejsce nazywane Cmentarz Serbski i wieść, że tam chowano wierną służbę, która razem z właścicielem przyszła z daleka.

Pierwszym, który wynurza się z tej ciemności, jeżeli nie twarzą, to w każdym razie podpisem i obecnością w rejestrach, jest Hrehory Miłoszewicz Miłosz. Kontrakt kupna-sprzedaży zawarty pomiędzy nim i niejakim Anusewiczem pochodzi z roku 1580. Raczej pochodził, bo w dom, gdzie się przechowywał ude-

rzyło kilka pocisków wypuszczonych z działa dużego kalibru przez żołnierzy niejakiego Hitlera. Ale traktujmy ten drobny epizod jako niebyły. Papier wyrabiano wtedy dobry, zmieniał odcień ale się nie kruszył i mógłby trwać jeszcze długo. Pismo jest drobne, ładnie uformowane, ale ówczesne upodobania kaligraficzne zmniejszają jego czytelność. Co gorsza, kontrakt jest spisany w dwóch alfabetach i w dwóch językach. Ten proceder, zupełnie wówczas normalny, zmusza dzisiaj do zapuszczenia się w jeżące włosy na głowie komplikacje okresów kiedy nie było jeszcze pojęcia Narodu.

Językiem ksiąg prawnych w Wielkim Księstwie Litewskim był dialekt który nigdy nie miał zrobić kariery i do którego następnie zaczęli się przyznawać Białorusini. A więc coś jak prowansalski, ulegający silniejszym sąsiadom. Dialekt dostał się pomiędzy obcegi: z zachodu łacina (jako język prawników) i polski, ze wschodu rosyjski. Dopóki zachowywał jaką taką moc, alfabetu używano w nim greckiego, wziętego z Bizancjum. Tak więc kontrakt o którym mowa zaczyna się od sakramentalnych formuł skopiowanych cyrylicą, następnie przechodzi na polski, żeby na końcu powrócić do cyrylicy i zakończyć się podpisami stron oraz świadków w pisowni polskiej, to jest w alfabecie łańskim.

Wynika stąd, że językiem codziennym zarówno mego praszczura jak innych kolonów czy też rodów wyrastających z miejscowego pnia i zachowujących przywileje, był już polski. Co do miejsca w jakim kontrakt został sporządzony, to chodzi tu ciągle o mikrokosmos nad rzeką Niewiażą. Tam żeniono się, tam spędzano całe życie i tam umierano, chyba że wojna zagnała żołnierzy na odległe pola bitew. Wizja świata musiała być pionowa: mały skrawek ciągle bardziej płaskiej niż okrągłej ziemi i nad nią niebo.

Panowie na Łabunawa byli średnimi *squires* i nic nie świadczy, żeby zajmowali w swoim mikrokosmosie jakąś wybitną pozycję. Co prawda piastowali urzędy, ale nie wyższe niż urząd sędziego. Zapewne, jak wszystkich im podobnych, interesowała ich polityka, co było nie do uniknięcia, zważywszy, że ustrój opierał się na powiatowych sejmikach wybierających posłów do ogólnego parlamentu. Silne centrum protestanckie w najbliższym miasteczku i rola książąt Radziwiłłów, skłonnych nawet sprzymierzać się ze Szwedami przeciwko katolicyzmowi i królom polskim, były też, jak się zdaje, powodem do zacieklej religijnych kłótni. Warto też odnotować, że w tym miasteczku kalwiniści drukowali zbiory psalmów również w języku chłopów to jest w litewskim, czyli że lud był jakoś zauważony. Jednakże jego całkowita zależność od dworu zdawała się wynikać z samego

porządku natury i zasady chrześcijańskie sprowadzały się do rozróżnień pomiędzy złym i dobrym traktowaniem poddanych.

Tak wielkie napięcia narodowych nienawiści jak we Wschodniej Europie są trudno uchwytne dla ludzi z zewnątrz. Im później gdzieś pojawiał się nacjonalizm, tym skwapliwiej starał się nawiązać do na wpół-bajecznych czasów. Litwini, którzy odzyskali poczucie swego odrębnego bytu już w wieku pary i elektryczności, byli szczególnie wrażliwi na wszystko, co zdołało się zachować pod słowiańskim nalotem. Szanse ich były złe, stracili za wiele. Tym tłumaczy się ich wrażliwość na dźwięk niektórych nazwisk, w którym trwała dawność, na przykład na dźwięk nazwiska mojej matki: Kunat. Możliwe, że naprawdę nazwisko to nosił wódz jednego z plemion, doszczętnie niemal wytępionego przez Polaków i Krzyżaków w Średniowieczu. Możliwe, że oprócz dźwięku, przeżył typ rasowy — bo niewątpliwie istnieje szczególnie kształt nosa, układ policzków, oprawa oka, właściwe tylko Litwinom. Cóż z tego jednak, jeżeli rodzina była od dawna spolonizowana i przyjęta do klanu pod wezwaniem Topór. Jeszcze wyraźniej ta sprzeczność występuje u innych moich wstępnych od strony matki, Syruciców czyli Syrutis. Tam powtarzalność typu, chłopsko-litewskiego, robi wrażenie kolejnych odbitek z matrycy rzeźbionej w metalu. Ale z purpurą, z tytułem kasztelanów witebskich, umocnił się język polski i nowy patriotyzm.

Byłoby błędem sądzić, że sprawy te są tylko śmieszne i pozbawione jakiegokolwiek znaczenia. W XX wieku, a zwłaszcza kiedy po pierwszej wojnie światowej powstawało państwo litewskie, dzieliły one nieraz najbliższych sobie ludzi, brata popychały przeciwko bratu. Powstawało zagadnienie opcji, tym bardziej uczuciowej, że opartej na danych niejasnych, ale, jak w wypadku każdego wyboru, domagających się racjonalizacji. Do czego jednak trzeba było się uciec, żeby zasiadać nad gramatyką i uczyć się niezliczonych koniugacji, użytecznych może dla badaczy sanskrytu, natomiast mało pomocnych poza malutkim kraikiem? Czy do rasy? Ten melanz krwi polskiej, litewskiej i niemieckiej, jakiego jestem przykładem, był czymś powszechnym i nie wiele pola do popisu mogłoby tu znaleźć zwolennicy czystości. A cały zespół pojęć kulturalnych łączył się z Commonwealth'em, a poprzez niego, z Polską.

Pochód na wschód w dalszym ciągu występuje jako motyw przewodni. Kiedy w pobliżu Bałtyku zaczęło się robić ciasno, nad Dnieprem było dosyć miejsca. Bliżej nieznane afery zachęciły jednego z Miłoszów w końcu XVIII-go wieku do szukania tam fortuny. Obraz tych obszarów jako czysto rolniczych nie obejmuje rozlicznych funkcji związanych z administracją dóbr, pośrednictwem i kredytem. W każdym razie wychodźca, jako

klient i administrator książąt Sapiehów, zgromadził tam majątek, wyrażający się dwudziestu czy trzydziestu tysiącami hektarów dziewiczego lasu, co, w miarę jak cena drzewa rosła, okazało się fantastycznym bogactwem. Owoc tych zabiegów miał w sposób paradoksalny przyczynić się do uświetnienia — na razie stwierdzonego — krótko — literatury francuskiej.

Kronika rodzinna odnotowuje fakty dające się zamknąć w jednym zdaniu albo anegdoty i całe sceny. Jedno zdanie wystarczy, żeby wspomnieć o oficerze armii Napoleona, który nie wrócił z Hiszpanii, nie dlatego, że tam poległ, ale dlatego, że poślubił jakąś tamtejszą piękność. Ale już o wiele późniejsze zdarzenie w Warszawie, odnoszące się do innej postaci, wymaga całego kontekstu. Schody w Hotelu Angielskim były strome. Schodził nimi, opierając się na szczudle, weteran powstania 1831 roku, który stracił nogę w bitwie pod Ostrołęką. Naprzeciwko szedł gruby rosyjski generał dostatecznie pewny siebie żeby potrącić kalekę i nie przeprosić. Wtedy potrącony schwycił szczudło i uderzył w łeb generała, a ten spadł ze schodów. Co rzucił światło na uczucia wobec zdobywców i na temperament a także wyjaśnia, jak doszło do tej żałosnej chwili, kiedy dziadek Miłosz wrzucał swoje pistolety i szablę do rodzinnej rzeki po przegranym powstaniu 1863 roku. Zaburzenia polityczne zostawiały zresztą ślad nie tylko w formie wspominków o czynach wojennych. Tak więc do lat drugiej wojny światowej, kiedy to stronicie starych książek służyły najczęściej żołnierzom za bibułę do papierosów, dochowała się w rodzinie mojej matki biblioteka Stanisława Kunata, ekonomisty, emigranta, profesora w Szkole Batignolskiej w Paryżu.

Osobne miejsce należy się dziwakom i fantantom. Celowali w tym zwłaszcza moi kuzyni znad Dniepru. Prawdopodobnie starali się przewyciężyć nudę, jaką zalega bogactwo. Po śmierci jednego z nich znaleziono pięć pokoi wypełnionych do sufitu kapeluszami i kaloszami — taka kolekcja warta jest każdej innej. Poza tym byli wrażliwi na arystokratyczne splendory i nie mogli na przykład znieść myśli, że ktoś zdolny byłby ich posadzić o pokrewieństwo z głośną wówczas serbską dynastią Miłosza Obrenowicza. Jeden z nich pisał więc do wysokiego urzędnika cesarskiego dworu w Petersburgu: «Jewo Wielicestwo Leszek Piatyj pożałował gierb Ljubicz i my niczewo obszczewo z etimi serbskimi pastuchami Miłoszami nie imiejem».

Zostawiając za sobą swoje psy, polowania na głuszce i wilki, dwumetrowe śniegi, podróżowali, spędzając długie miesiące w Wenecji i Florencji. Któraś podróż zakończyła się małżeństwem i przywieziona z kraju winnic śpiewaczka włoska patrzyła ze zdumieniem (możemy przypuścić że działo się to wiosną) na

mgły, bagniska, horyzont zewsząd zamknięty ścianą lasu, na długowłosych chłopów w lnianych gaciach, z rzemieniem łapci krzyżującym się na łydce. Zmieniała się tutaj jakby w udziałną księżną ale ta pustka musiała jej odbierać wszystko czym była dotychczas, głos tracił tutaj wartość, nie więcej, niż zabytek. Gdyby choć istniała wtedy płyta, z której można by było słuchać samej siebie, dawnej. Ale była tu tylko cisza, tylko chóry żab i monotonna nuta wygrywana przez chłopców pasących bydło na trąbach z brzoźowego drzewa. Życie tej kobiety, Natalii Tassistro, jest zresztą nie do przeniknięcia, nic nam nie wiadomo o jej ambicjach i porażkach.

W roku 1940, w okupowanej przez Nazich Warszawie, okno mego pokoju wychodziło na zarosłą chwastami misę placu w śródmieściu. Któregoś dnia złożył mi wizytę żwawy staruszek, zajmujący się, jak wszyscy, handlem na czarnym rynku, co było wtedy jedynym ratunkiem przed głodową śmiercią. Moje próby okazywały się stale bardzo niedołążne. Staruszek mylił się, sądząc że mu pomogę w transakcji. Z zawodu był agentem i ekspertem od ultramaryny — towaru poszukiwanego przez wszystkie praczki na farbkę do bielizny. W pewnej chwili stanął przy oknie, ogarnął spojrzeniem plac, i wzruszył się. «To tu, tu był tor. Tutaj zdobyłem pierwszą nagrodę na wyścigach cyklistów w 1889 roku». I rozmowa zeszała z ultramaryny na przeszłość miasta, co mnie, pomimo wszystko, bardziej interesowało. «Czy nie jest pan przypadkiem krewnym pana Władysława Miłosza? Pamiętam go jak dziś. Jaki to piękny był mężczyzna! Jaki lew! Kiedy spacerował po Ogródzie Saskim, z tą swoją czarną brodą, wywijając laseczką z gałką z kości słoniowej, kobiety po prostu mdlały. To była sławna postać, Don Juan i ekscentryk».

Syn pana na lasach zadnieprzańskich i włoskiej śpiewaczki. Niczym niepoohamowany w swoich kaprysach. Polował w Afryce na lwy. Latał balonem. Jako zaciekle ateusz, wrogi był wszelkim kościołom, jako anarchista z upodobań, kpił ze wszystkich rządów. W Paryżu Komuny nie polityka go obchodziła, ale jego własne namiętności: na czele swojej bandy urwipolciów przypuścił szturm do klasztoru, żeby stamtąd porwać nowicjuszkę w której był zakochany, za co zamknięto go na kilka tygodni w Châtelet. U siebie w domu oswajał niedźwiedzie, te służyły mu za przyboczną straż i biegły za jego koniem, jak psy. Małżeństwo jego dokonało się w sposób całkowicie zgodny z jego osobistym stylem. Przechodząc ulicą Warszawy zauważył w witrynie fotografa portret pięknej dziewczyny. Zatrzymał się, powiedział: «to ta» i wszedł do środka. W niczym nie zmieniła jego zamiarów informacja, że dziewczyna — Miriam Rozenthal — jest córką żydowskiego nauczyciela. Staruszek od ultramaryny znał to zdarzenie

ale nie mógł znać dalszego ciągu, bo akcja przeniosła się poza miasto, którego nigdy nie opuszczał.

Jedyny syn tego związku sportsmena, globtrottera z żydowską pięknością został wielkim francuskim poetą a poza tym miał odegrać ważną rolę w moim życiu. Oskar Miłosz dzieciństwo spędził w leśnym majątku swego ojca, w Czerei, i tamtejsza przyroda na zawsze pozostała dla niego krainą legendy, prawdziwą duchową ojczyzną. *Une vaste étendue de lacs obscurs, verdâtres et pourrissants, envahis par une folie des tristes nymphéas jaunes, s'ouvrit tout à coup à ma vue* — pisał. *O Maison, Maison! pourquoi m'avez-vous laissé partir?* Ale już w wieku lat jedenastu został oddany do internatu w Lycée Janson-de-Sailly w Paryżu. Po skończeniu tego liceum studiował w Ecole du Louvre i w Ecole des Langues Orientales.

Wiele dalszych losów tego człowieka wyjaśnia jego wrogość wobec Polaków. Dzieckiem mówił tylko po polsku i władał tym językiem doskonale. Ale wpływał się tutaj bolesny konflikt: antysemityzm otoczenia, antysemityzm kasty dla której małżeństwo z Żydówką jednego ze swoich było szczytem megalomanii i pogwałceniem zakazu. Jeżdżąc na wakacje do domu przekonał się, że kasta nie przebaczła. Zresztą coraz mniej go z nią łączyło, ukształtowała go umysłowo Francja i patrzył na swoich rówieśników ze wschodu z obronnego dystansu. Streszczając te wspomnienia z okresu kiedy nie wiedział dokąd przynależy, tak mnie pouczał: «Zapamiętaj sobie, że nie ma nic bardziej głupiego w Europie, nic bardziej okrutnego w swoich drobnych nienawiściach, niż szlachta polska». Jak było to prawdziwe, sam zresztą mogłem później na własnym przykładzie sprawdzić.

Szlachta polska lubiła operować na każdym kroku pojęciem zdrady. Zdradą było niewłaściwe małżeństwo ale zdradą również był czyn, jakiego się Oskar dopuścił. Doszedłszy do pełnoletności sprzedał swoje dziedziczne olbrzymie lasy. W tamtych prowincjach, nad Dnieprem, kodeks patriotyczny łączył się z kodeksem własności. Kto sprzedawał rodzinny majątek uszczuplał «stan posiadania» narodowej grupy i ułatwiał penetrację Rosjanom. A Oskar Miłosz sprzedał swoje dobra kupcom rosyjskim. Zerwanie z własną kastą było więc ostateczne.

Przed pierwszą wojną światową, wierny obyczajom rodzinnym, obwoził swój spleen i melancholię po całym kontynencie. Nie było chyba kraju, którego by nie zwiedził. Namiętnie zainteresowany literaturą, czytał z równą łatwością po niemiecku, po angielsku, jak po francusku, a Biblię po hebrajsku. Kawiarnią poetów w Paryżu była wtedy Closerie des Lilas przy bulwarze Montparnasse. Pierwsze tomy wierszy a później dramat «Miguel Manara» i powieść «Amoureuse Initiation» pasowały go na

członka poetyckiego klanu. W Closerie des Lilas przesiadywał z Oskarem Wilde, od którego był znacznie lepszym, jak to widać dzisiaj, poetą. Tam też prawdopodobnie poznał Guillaume'a Apollinaire, drugiego Francuza o takim samym pochodzeniu: Wilhelm Kostrowicki też wywodził się z żołnierzy i awanturników Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Szczupły młodzieniec o romantycznym wyglądzie miał niesłychaną ilość pieniędzy. Zużywał je na szaleństwa i wielkie uczty dla swojego dworu młodych przyjaciółek i przyjaciół. Te orgie przetrwały długo w pamięci ich uczestników. Jako student, dla którego epoka Clemenceau była równie odległa jak wiek kamienia łupanego, poznałem w Paryżu kilku niedobitków tych zabaw, poetów i aktorów. Włosy mieli siwe, twarze pobrużdżone, hodowali koty. Wykazywali wiele czułości dla swego dawnego amfitriona. Ten stracił całą swoją fortunę: kapitał, jaki uzyskał ze sprzedaży swoich lasów, umieścił w akcjach carskich. Rewolucja zniszczyła ich wartość z dnia na dzień.

Ów kosmopolita miał silną nostalgię ojczyzny. We wszystkim, co pisał, drżały kontury nie-francuskiego krajobrazu, dawała znać o sobie wrażliwość obca, pociągająca swoją egzotyką. Jednak gdzie i czym była ojczyzna? Ziemia pod określonym stopniem długości i szerokości geograficznej? Na tej ziemi mieszkali ludzie i już nie mówili po prostu: «jesteśmy stąd» ale na swojego sąsiada z wioski patrzyli jak na przeciwnika jeżeli odzywał się inną niż oni mową. Domem Oskara Miłosza była pewna tradycja a w niej kurczył się czas, stulecia trwały krótko. Zwracał się więc do jednego punktu gdzie zakotwiczona była kronika rodzinna, do powiatu na bałtyckim półwyspie. Tam jednak należało już wybrać pomiędzy Litwinami i Polakami — podobny spór dzielił w Finlandii Finnów i Szwedów, choć został lepiej rozwiązany.

Kiedy w Paryżu podczas pierwszej wojny światowej zaczęły rozwijać działalność różne przedstawicielstwa narodów ze wschodniej Europy, powołując się na hasła samostanowienia, Oskar Miłosz, wówczas urzędnik prasowy przy Quai d'Orsay, wybrał. Konflikt polsko-litewski był w dużym stopniu konfliktem klasowym, pomiędzy właścicielami ziemskimi i chłopami, albo raczej pomiędzy obyczajowością szlachecką, niezależnie od stanu własności, i obyczajowością chłopską. Arystokratyczne popędy Miłosza i dawne urazy skłaniały go na stronę powolnych, systematycznych i upartych chłopów, kiedyś właściwych twórców Wielkiego Księstwa, następnie zmienionych w przedmiot różnych kolonizacji. Jeżeli gdzieś była ciągłość historyczna, to w nich. Naprawdę ich kochał i za zaginione gdzie indziej cnoty nazywał Czerwonoskórymi Europy. Wszedł w skład pierwszej litewskiej

delegacji do Ligi Narodów. Był następnie przedstawicielem niepodległej Litwy w Paryżu. Odrzucił proponowane mu stanowisko ministra spraw zagranicznych. Płyta na jego grobie w Fontainebleau, pod którą nieznani wielbiciele jego poezji składają kwiaty, nosi nazwisko wypisane w brzmieniu litewskim (z końcówką -ius).

Tego języka, jak wielu Litwinów z opcji, uczył się wertując słowniki. Kiedy w roku 1919 obradowała w Brukseli międzynarodowa komisja pod przewodnictwem Szweda Brantiga, próbując rozstrzygnąć ciernistą sprawę miasta Wilna, był przewodniczącym delegacji litewskiej i z przewodniczącym delegacji polskiej, profesorem Aszkenezym, kłócili się — po polsku. Ale pisał tylko po francusku i był do Francji głęboko przywiązany.

Moja bliższa znajomość z nim tłumaczy się gwałtownością z jaką rozdzielał swoje niechęci i sympatie. Ze swoimi najbliższymi krewnymi nie utrzymywał żadnych stosunków, natomiast wszystkie swoje preferencje kierował ku drugiej gałęzi rodu, która, co prawda, z różnych skomplikowanych względów odnosiła się z dużą obojętnością do narodowych rozgraniczeń. Rad, że znalazł we mnie poetę, uznał mnie za siostrzeńca, co nie było całkowicie ścisłe, bo stopień pokrewieństwa był dalszy. Udzielał mi rad w listach pisanych albo po francusku albo po polsku. W jednej ze swoich podróży na Litwę odkrył też w moim dziadku od strony matki, Kunacie, *un gentilhomme du XVIII^e siècle*. Definicja ta dobrze na ogół ujmuje grzeczność, łagodność i humor tego *gentleman-farmer*, obywatela Republiki Litewskiej, trzymającego się polszczyzny ale niechętnego wszelkiemu szowinizmowi. Dopiero z perspektywy, o wiele później, mogłem spostrzec, jak ironiczni wobec nacjonalistycznej Europy są wszyscy ci, którzy dzięki takiemu dziadkowi zapoznali się ze sposobem myślenia staroświeckim, ale o wiele bardziej ludzkim niż nowy, oparty na fanatycznych dyskryminacjach. Szacunek jaki Oskar Miłosz okazywał Zygmuntowi Kunatowi wskazuje też, że w nielubianej przez siebie warstwie społecznej rozróżniał dwie mentalności, dwa prądy: im dalej wstecz, im bliżej do zasad ogólnieuropejskiego, klasycznego wychowania, tym lepiej. Im więcej zranionej dumy, im więcej odruchów obrony cywilizacyjnego i narodowego dobra, które kiedyś rozumiało się samo przez się, tym gorzej.

Proces zachodzący w Europie wschodniej mniej więcej równolegle z rozbudową kolei nie ma analogii w innych częściach kontynentu i przypomina przemiany w Stanach Południowych Ameryki po klęsce Konfederatów. Nie przypadkiem wymieniłem Faulknera. Atmosfera jego książek jest znacznie nam bliższa, niż atmosfera książek Balzaka czy Zoli. Podobnie jak w Stanach Południa zachwiała się nagle równowaga całej wspólnoty. Proces polegał na

ucieczce zrujnowanej szlachty do miast, gdzie nie zanikały całkowicie dawne przyzwyczajenia i obyczaje. Nie tylko nie zanikały, ale wyciskały swoje piętno na wszystkich klasach, tak że na przykład polski proletariatus miał wiele cech formacji szlacheckiej, nie mówiąc już o powiązanej mocno z resztkami dworów inteligencji. Prawdopodobności tych zjawisk dadzą się śledzić na przykładzie mojej rodziny. Mój ojciec nie rozporządzał już ani jednym hektarem ziemi, natomiast został przygotowany do «walki o byt» przez to, że skończył rosyjskie gimnazjum i następnie wydział dróg i mostów na politechnice w Rydze. Stare hanceatyckie miasto Ryga stanowiło główny ośrodek naukowy w Balticum, ściągając również młodzież z Polski i Rosji. W tej późniejszej stolicy Łotwy ludność mówiła głównie po niemiecku i studenci prowadzili taki sam tryb życia jak ich koledzy z Lipska czy Heidelbergu.

Urodziwszy się już bez tej ochrony jaką daje dziedziczony pieniądz, byłem skazany na zdobycie wszystkiego własnymi rękami, co łagodziła oczywiście troska rodziców, już należących do inteligencji, o przygotowanie mnie do zawodu. Ponieważ rozwój prywatnego handlu i przemysłu dopiero się zaczynał, zdobycie wiedzy równało się, z niewieloma wyjątkami, wejściu do klasy, która miała zrobić niebywałą karierę, wspomagana przez wstrząsy rewolucyjne: do biurokracji. Niewątpliwie, rzucając kamienie do wody i włączając na drzewa byłem wolny i tylko niekiedy, podczas wakacji w domu moich dziadków (gdzie się urodziłem) inność wiejskich chłopców budziła we mnie niepokojące myśli o nierówności. Jednakże byłem, niezależnie od mojej woli, już zaklasyfikowany.

Moje miejsce nie odpowiadało wcale temu, co rozumie się przez *vie bourgeoisie*. Z poczuciem, że należy wiedzieć kim się jest, siedł w parze niedostatek i przymusowy minimalizm potrzeb a formy materialnego bytowania były tak prymitywne, że budziłyby zdziwienie niejednego proletariusza krajów zachodnich. Sprzęgały się tutaj w jedno: dekadencja własności ziemskiej (tak, że stopa życiowa moich wujów i ciotek, jeszcze posesjonatów, nie budziła we mnie zazdrości), pewna niezaradność i nawet pogarda dla rozpychania się łokciami (bo pozycja społeczna wyraźnie nie zależała od bogactwa) a także obiektywne przeszkody gospodarcze po pierwszej wojnie światowej. Tak czy owak, w latach szkolnych nosiłem koszule ze zgrzebnego domowego płótna i ubrania z samodziła, bo taniej, całymi tygodniami przyklepałem co dzień nos do szyby księgarni czy sklepu z instrumentami przyrodniczymi, wiedząc, że na zakup przedmiotu moich pragnień nie mogę sobie pozwolić, i uczyłem się nie oszczędzania ale tępienia pokus. Jeżeli o zdobywczości świadczy chęć żeby zarobić i wydać, to we

mnie umacniała się postawa wręcz odwrotna — witalności pasywnej. Mając ostatni grosz wolałem położyć się do łóżka, bo wtedy organizm mniej spała, można więc obywać się bez obiadu i kolacji. Możliwe, że jest to w dużym stopniu kwestia osobistej pychy, ale na pewno nie bez związku ze skalą wartości właściwą grupie, która otrzymywała w spadku jeżeli nie przywilej, to przynajmniej mocne przekonanie, że działalność zarobkowa jest czymś gorszym, niezupełnie godnym człowieka.

Kiedy później przez szereg lat byłem w służbie komunistycznego państwa, moje pochodzenie nie przyczyniało mi żadnych kłopotów. Przeciwnie, uchodziło za dobre. Moi przełożeni składali przez to dowód dużej bystrości. Za demona zła uważali każdego przedsiębiorcę, każdego obrońcę samodzielnich warsztatów pracy, czy w handlu, czy w przemyśle, czy w rolnictwie. Dźwignięcie się ludzkiego gatunku miało się dokonać poprzez zabicie popędów do gromadzenia. Tu zachodziła między nami najzupełniejsza zgodność, głębsza niż rozumowania, bo wynikająca z instynktownego wstrętu do łokcia, miary i wagi, jako symbolów nieczystych. Nie ma w istocie nic bardziej antymieszczańskiego, niż niektóre odłamy inteligencji, bezbronne wobec pieniądza. Nie otarły się one wcale o prywatny kapitalizm, zachowując średniowieczny wstręt do lichwy. Moi przełożeni, nie koniecznie zdając sobie z tego sprawę, wyznawali ideologię naznaczoną silnie przez atawistyczne urazy zubożałych szlachciców, tych twórców rewolucji w literaturze i polityce. Jednym z nich był Dostojewski — i kiedy w osobie swego bohatera Raskolnikowa zabijał lichwiarke, dokonywał niejako z góry ekspropriacji kapitałów (zauważył to bodaj Alberto Moravia) i nacjonalizacji ziemi. Do nich należeli Lenin i organizator najpotężniejszej policji na kuli ziemskiej, Czeka, mój rodak z Wielkiego Księstwa Litewskiego, Feliks Dzierżyński. To gotowe, już wyzłobione łożysko ocen przyczynić się mogło do łatwości z jaką inteligencja włączyła się w «aparatus». Niszczenia prywatnych sklepów, gospodarstw i firm nie umiałem uczuciowo potępić (co nie znaczy, że je rozumowo pochwalałem), a nawet sprawiało mi to sadystyczną przyjemność — co w moich danych personalnych na pewno zostało odnotowane na moją korzyść.

Poza tym byłem poetą czyli tak zwanym intelektualistą. Chociaż taki zawód stanowi część ściśle osobistego losu, wybór nie obywał się, jak sądzę, bez motywacji społecznej. Tam, gdzie w świadomości zbiorowej wyraźnie rozdzielona jest pozycja jednostki i jej zamożność, gdzie nie pokrywają się one ze sobą, a więc stosuje się skalę, w takim czy innym sensie, arystokratyczną, pęd do odznaczenia się w dziedzinie literatury, nauki czy sztuki ma charakter poszukiwania legitymacji, jakiej kiedyś

dostarczał herb. Nigdzie poza Europą Wschodnią artysta, literat czy naukowiec nie korzysta z praw tak wyjątkowych i nie jest to wynik przekształceń wprowadzonych przez partie komunistyczne, które oceniły tylko pożytek jaki mogą z tego dla siebie wyciągnąć. Wyjątkowym prawom nie musi zawsze towarzyszyć wyższy dochód, bo zastępuje go nieraz uznanie, nie musi też towarzyszyć wolność, bo państwo, nawet łamiąc i podporządkowując sobie artystę czy naukowca, składa tym samym hołd jego roli, uznaje jego wagę. Jest ciekawe, że poza tym tylko we Francji istnieje w pewnej mierze podobny respekt dla intelektualisty — ale tutaj, jak to już nieraz zauważono, życiem kulturalnym Paryża nadal rządzi zasada królewskiego dworu. W świecie mieszczańskim ciągle trwa jedna wysepka, gdzie ubóstwo nie hańbi, jeżeli pokrywa je tytuł — czyli rozgłos.

Jeżeli mierzy się lojalność takiego intelektualisty wobec wszechpotężnego państwa interesem, nie można o niej wątpić. Trudność powstaje dopiero kiedy skomplikuje się nieco pojęcie interesu i duma popychająca do przewodzenia, do pozyskania względów narodu wchodzi w konflikt z zamiłowaniem do nagród państwowych i orderów. Nie chcę oczywiście sprowadzać moralnych impulsów do społecznych determinant. Jednak walka pomiędzy artystą (czy naukowcem) i biurokratą, często tocząca się w jednym człowieku, jest w znacznym stopniu odbiciem hierarchicznej struktury tych społeczeństw, które nie przeszły przez fazę rządów pieniądza i nigdy w pełni nie uznały go za miernik. Istnieje tam jakby stały przepis krystalizacji i nowe kryształki dążą do ułożenia się w tym samym co dawniej porządku.

Zaletą potomka każdej rodziny zrujnowanej w porę — to jest przed rewolucją — bywa często giętkość dialektyczna. Wymiar czasu nie jest mu obcy, żongluje nim z łatwością. Mogąc wyobrażniać z fotografii, ze skrawka tkaniny, z pergaminu, odtworzyć minione stulecia, przygląda się okresowi kilku dziesiątków lat ze wzruszeniem ramion. Ułatwia mu to decyzje, jeżeli zamierza zostać współnikiem terroru. Ta zaleta w oczach rządzących czasami zamienia się w odwrotność, bo umysł jest zbyt giętki i w ruchu dialektycznym nie potrafi się zatrzymać. Kto wie, czy z tego samego powodu nie są niebezpieczni dla państw totalitarnych Żydzi. W zatomizowanej masie, skłonnej widzieć przeszłość tak, jak ją do wierzenia podano, zachowują bądź co bądź, pamięć.

Na niejednym przyjęciu, w Waszyngtonie czy Paryżu, kiedy entuzjastyczne damy z miłym dreszczem zbliżały się do Czerwonego, czułem się niezupełnie obecny. Za dużo było naokoło mnie cieni: trzaskanie w szable, szelest renesansowej sukni, zapach starych domów pełnych skór i strzelb, karoce, zardzewiałe

zbroje odbierały temu co się działo naokoło rzeczywistość. Wszyscy męczeni przez Diabła, przebierający paciorki różańca, wahający się między katolicyzmem i herezją, mrugali na mnie z humorem. Ale od tych dam, z których jedna poważnie zapytała nas jak rozwiązujemy u nas problem murzyński, mój kolega — również funkcjonariusz komunistycznego państwa — był na pewno chroniony przez podobny tłum: pobożnych kobiet w rudych perukach, rabinów siedzących cały dzień nad księgą w błotnistym miasteczku, kupców targujących się z chłopami o wełnę i cielaki a myślą celujących w absolut. I ostatecznie trzeba docenić korzyści jakie daje pochodzenie. Miarą ich jest zdolność do oderwania się od chwili.

PODRÓŻ DO AZJI

W opinii wielu moich współczesnych uprzemysłowienie Rosji datuje się od Rewolucji — co jest sądem mocno przesadnym. W ciągu całego XIX-go wieku Europa miała należyty respekt dla rosyjskiej armii, o czym chętnie się zapomina. Żeby utrzymać największą na świecie armię trzeba było mieć fabryki uzbrojenia i uzbrojenie to było według ówczesnych wymagań dobre. Troska rządców o potęgę państwa nie obejmowała poziomu życia ludności i znakomita artyleria przejeżdżała ulicami wiosek, których mieszkańcy nie wiedzieli nic o cywilizacji. Ten stan rzeczy w chwili kiedy zawierałem znajomość z przedmiotami w sąsiedztwie podłogi ulegał już od jakiegoś dziesięć lat zmianie i była to zmiana gwałtowna, przypominająca nagłość rozpędu w Ameryce. Powstawały nowe koleje, drogi i zakłady przemysłowe. Na polach pojawiały się już maszyny rolnicze (zwykle z napisem «McCormick, Chicago»). Rosja stała się też największym rynkiem książkowym na kuli ziemskiej. Autorzy francuscy, amerykańscy, angielscy ze swoich wydań w tłumaczeniu rosyjskim czerpali wyższe dochody niż z jakichkolwiek innych. Warto odnotować powodzenie literatury sławiącej energię i zdobywczość: Whitman, anglosaskie powieści przygód dla młodzieży, Kipling, później Jack London. Z tego okresu datuje się rosyjski kult amerykańizmu. Nie jest wcale pewne, że Rosja miałaby mniejszą przemysłową siłę, niż ma dzisiaj, gdyby nie odbyła się tam rewolucja — z zastrzeżeniem, że wszelkie gdyby tracą w takim wypadku sens. Można przypuścić tylko, że siła rozkładałaby się bardziej równomiernie i że broń atomowa czy tank nie sąsiadowałaby ze skrajnym prymitywizmem, tak jak za carów sąsiadowała z nim nowoczesna artyleria.

Tak więc w Cesarstwie Rosyjskim dla techników i prze-

myślowców otwierało się wielkie pole działania a umieli to ocenić zwłaszcza mieszkający jego bardziej zaawansowanych zachodnich polaci, Niemcy bałtycy i Polacy. Kontrakt rządowy mego ojca stanowił powód pierwszej mojej podróży i bynajmniej nie małej wycieczki, bo do miasta Krasnojarsk na Syberii, w pobliże granicy chińskiej.

W Petersburgu zobaczyłem mój pierwszy samochód. Wzbudził we mnie, jak wiem z opowiadań, potężne namiętności. Z nogą na stopniu, uczepiwszy się drzwiczek, wydawałem przeźrażliwe ryki, nie można było mnie oderwać, a szofer w liberii śmiał się. Żeby coś się pamiętało z tak wczesnego dzieciństwa wydaje się nieprawdopodobne, a jednak przysiągłbym, że widzę brzeg chodnika i błyszczący lakier albo raczej noszę w sobie aurę tego doznania.

Podróż na Ural odbywała się koleją transsyberyjską zbudowaną w 1903 roku. Z wielu dni i nocy w wagonie a także z rocznego pobytu w Krasnojarsku (działo się to bezpośrednio przed wybuchem pierwszej wojny światowej) zachowałem tylko jedno wspomnienie: urynalik chwieje się na tle ściany przedziału. Później jednak natykałem się często na ślady Syberii, na przykład nad stołem przy którym odrabiałem lekcje wisiała fotografia przedstawiająca mego ojca na pokładzie statku Fritjöfa Nansena, na Oceanie Lodowatym: ten obok, długi, chudy, to Nansen: ci grubi, w uszatyh czapach, to rosyjscy kupcy.

Mój ojciec nie miał żadnej zdolności do kariery ani do robienia pieniędzy, to jest brak mu było broni potrzebnej do walki z ludźmi, poza tym wszelka intryga i nawet taktyka stosowana żeby osiągnąć osobiste cele wydawała mu się czymś nieszlachetnym. Jeżeli natrafiła na podstęp i chytrość, po prostu wyłączał się z gry i szukał pracy gdzie indziej. Natomiast walka z przeciwnościami natury podniecała go i upajała, bo była przygodą. Wychował się na niezwykle popularnych w Cesarstwie książkach Maine-Reida i Maryatta. Dzika Syberia w niczym nie ustępowała Alasce i północy Kanady, przystrajała się dla niego w powab romantyczny. Nie troszczył się o zarobek ale o używanie życia — to streszczało się w obliczeniach konstrukcji mostów i w jak najdłuższych wędrówkach, jak choćby rzeką Jenisiej, następnie zaprzęgami renów i psów do ujścia tej olbrzymiej rzeki, do Oceanu. Dołączała się do tego namiętność myśliwska. Był dobrym strzelcem i nie mógł tu się uskarżać na brak terenów. W Górach Ałtajskich polował na jelenie, na dzikie gęsi w tundrze za kołem polarnym. Przeżywał swój sen o eksploracji. Syberia, która pochłonęła kiedyś tylu naszych krewnych, nie była dla niego ziemią wygnania. W grubych zeszytach oprawnych w czarną ceratę

wpisywał wiersze-hymny na cześć tamtejszej przyrody. Miał pewne zainteresowania literackie.

Dzikość jest nie zawsze romantyczna. Jedno z opowiadań ojca utrwaliło się w moim umyśle i często nad nim się zastanawiałem. Podróżni, po dziesiątkach kilometrów mroźnej tajgi, zobaczyli wreszcie dym z komina. W chacie było gorąco jak w łaźni. Siedział tam chłop w białej koszuli. Podeszedłszy bliżej, ojciec zauważył na niej gęste czerwone grochy. *Eto niczero, kłopy*, powiedział chłop, naciskając palcem koszulę i zgniatając jeszcze jedną pluskwę. Podobny zresztą spokój stosowano do zabijania ludzi. Jeżeli na placu targowym wybuchała kłótnia, zjawiał się zwykle fachowiec i dyskretnie na boku proponował transakcję: *Daj piat' rublej, ja jewo zariežu*.

Ale Rosja była przestrzenią, człowiek nie musiał na każdym kroku zderzać się z człowiekiem i ktokolwiek w niej zasmakował, musiał później czuć się źle w krajach bardziej cywilizowanych, ale gęsto zaludnionych i ciasnych. To właśnie przydarzyło się memu ojcu. Mieszkając później w Polsce stale narzekał na brak rozmachu, na małość wszystkiego i marazm — oczywiście, że rząd carski nie liczył się z pieniędzmi jakie rzucał na wykonanie inżynierskich projektów. Duszenie się w kręgu drobnych kłopotów wypchnęło wreszcie ojca na emigrację do kraju, który zdawał się przedstawiać te same możliwości co Rosja azjatycka — do Brazylii. Ta dość chimeryczna eskapada skończyła się niepowodzeniem i powrotem, głównie, jak się zdaje, z powodów psychicznych: podobnej szerokości oddechu jak na wschodzie, ojciec nigdy już nie odnalazł.

Czym było Cesarstwo Rosyjskie w ostatniej swojej fazie, nie mogę wiedzieć i składam jego obraz z ustnych relacji różnych osób, gdzie niegdzie umieszczając drobiny własnych wrażeń (wąsy, mundury), interpretując je na nowo. Propaganda rewolucyjna skazała tę fazę na niebyt, ponieważ rozkołysanie przemysłowe i szybki wzrost produkcji nie odpowiadały tezie, że wszystko zaczęło się po roku 1917, jak po pierwszym dniu stworzenia. Ale *belle époque* Europy z jej dziką przedsiębiorczością, szalonymi zabawami, kolonialnym wyzyskiem, kosmopolityzmem, gorączką miast portowych, określa również tempo w Cesarstwie i nie łatwo jest stłumić w sobie pytanie jakby wyglądał taki sam system gospodarczy rozciągający się od Atlantyku do Kamczatki.

WOJNA

W wiele lat po drugiej wojnie światowej, kiedy Hitler i Mussolini byli już bladymi widmami, znalazłem się na plażach wyspy

Oléron, przy brzegach Francji, na północ od Bordeaux. Odpływ oceanu odsłaniał żelazne resztki wraku ugrzęzłego w piasku. Praca wody wydrążyła koło zardzewiałych belek doły, w których tworzyły się sadzawki wygodne dla ćwiczeń pływackich mego syna. Sądziliśmy, że wrak leży tu od czasu anglo-amerykańskich lądowań. Okazało się, że od znacznie dawniej. Osiadł tutaj statek pod flagą urugwajską, przewożący miedź dla armii francuskiej, kiedy toczyła walki z armią Wilhelma II. Trwałość rzeczy i nietrwałość ludzi jest zawsze zdumiewająca. Dotykałem burt obrośniętych muszlami i wodorostem, niezupełnie jeszcze mogąc pogodzić się z myślą, że dwie wielkie wojny są już nierealne, jak wojny punickie.

Pierwsza moja świadomość przyszła z wojną. Wysuwając głowę spod peleryny babki zapoznawałem się z grozą: ryk gnanego bydła, panika, gęsty kurz na drodze, ciemny horyzont, na którym błyskało i dudniło. Niemcy następowali, wojska Cara cofały się z Litwy a z nimi tłumy uchodźców.

Z tego lata 1914 pochodzi ostro zarysowana scena. Jaskrawe słońce, trawnik, siedzę na ławeczce z młodym kozakiem, który jest czarny, wcięty w pasie i bardzo mi się podoba. Na piersi ma skrzyżowane taśmy z nabojami. Wykręca kulę i z gilzy wysypuje na ławkę ziarnka prochu. Wtedy zdarza się tragedia. Kocham białego baranka. I oto kozacy gonią za nim w zieleni, zabiegają mu drogę. Żeby go zarznąć. Ukochany kozak zrywa się i im pomaga. Mój rozpaczliwy krzyk, niemożność zniesienia nieodwołalnego nieszczęścia: pierwszy protest przeciwko Konieczności. W tym samym czasie powstają cmentarze, które będą później ulubionym miejscem zabaw wszystkich moich rówieśników — kamienne krzyże nad starannie pielęgnowanymi kwiatami albo drewniane, odnajdywane w gąszczu jeżyn i malin, z nazwiskami Schultz, Müller, Hildebrand. Tylko o niemieckich poległych dbać będzie czyjaś ręka. Nikt nie zatroszczy się o żołnierzy Cara.

W ciągu całego mego wczesnego dzieciństwa rzeki, miasteczka, krajobrazy zmieniały się z wielką szybkością. Ojciec, zmobilizowany, budował drogi i mosty dla rosyjskiej armii i towarzyszyliśmy mu w strefie przyfrontowej, prowadząc życie koczownicze, nie popasając nigdzie dłużej niż parę miesięcy. Często domem był furgon, czasem eszelon wojskowy, z samowarem na podłodze, który przewracał się kiedy pociąg ruszył nagle. Taki brak osiadłości, podświadome poczucie że wszystko jest prowizoryczne, wchodzi, jak mi się zdaje, w skład równań układanych w wieku dojrzałym i może być powodem lekceważenia dla państw i ustrojów. Historia staje się płynna, jest jakby transpozycją wędrówki.

Uderzał we mnie chaos ponętnych i wielobarwnych obrazów: armaty różnego kształtu, karabiny, namioty, lokomotywy (jedna, podobna do olbrzymiego zielonego owada na długo zamieszkała moje senne marzenia), marynarze z krótkimi kordelasami obijającymi się im o uda, Kirgizi w chałatach do ziemi, Chińczycy z warkoczami. Koło którejś stacji gapilem się na samolot: gmatwanina płóciennych płaszczyzn i linek. Gry jakie dostawałem w podarunku miały za temat walki krążowników. Na wszystkich gryzmołonych przeze mnie rysunkach żołnierze biegli do ataku i rozrywały się pociski.

Słyszac dokoła siebie ciągle rosyjski język, mówiłem nim, nie uświadamiając sobie wcale, że jestem już dwujęzyczny i że zmieniam układ ust w zależności od tego, czy zwracam się do moich bliskich, czy do obcych. Znajomość rosyjskiego pozostała mi na zawsze i nigdy później nie musiałem się go uczyć. Akcent, znaczenie słów wyskakiwały nagle z zamkniętego magazynu pamięci.

W jednej z miejscowości, gdzie zatrzymaliśmy się na dłużej, objawiło się moje powołanie, w harmonii z duchem kasty biurokratycznej do której byłem przeznaczony. Z moim kompanem, Pawluszka, synem brodatego starowiera Abrama (biblijny Abraham nigdy potem nie wyglądał dla mnie inaczej) zakradaliśmy się do pokojów, gdzie ludzie w mundurach z pagonami pisali i rachowali na szcztach. Tam umieszczaliśmy się przy wolnym stole i wołałem surowym głosem: «Pawluszka, dawaj bumagu!» Ze zmarszczonymi brwiami mazałem coś, co miało być podpisem — ruch ołówka napępiał mnie poczuciem potęgi — i oddawałem Pawluszce, do zaurzędowania.

Wkrótce po tych wizytach w biurze wojskowym założono mi na rękaw czerwoną opaskę. Schyłek zimy 1916-1917, abdykacja cara. Chlubilem się, że moja opaska ma kolor ładniejszy niż te u miejscowych dzieci. Dowiedziałem się, że taki kolor, amarantowy, jest polski i patriotyczny. Że wypędzili cara, bardzo dobrze, to mu się należało. Ale my to co innego a Rosjanie co innego.

Przybój obmywał wrak urugwajskiego statku na piaskach Oléron i wtedy kiedy iperyt na polach Flandrii rozkładał ciała ludzi i kiedy upadały trony, mocarstwa, kiedy przeżywałem swoje życie nadziei i porażek, kiedy budowano komory gazowe i wieże strażnicze koncentracyjnych obozów. W szumie oceanu jest zawsze smak nicości. Lepiej jest próbować chwycić mały czas ludzki.

Wiersze

TARTAK DZIECIŃSTWA

Marii Bisping.

I.

*Stosy belek przy tartaku
stosy losów obok urny
nie zmieszanych wirem stali
nie wchłoniętych w losy domów*

II.

*pół-swiatło głębi
zblądzony promień ściga
muskulę maszyn
muskulę mężczyzny
jak jęk płu
zaciekłych*

*węże głosów
wiją się wśród huraganu
trocin
miętko chyłkiem
jak sny opadających*

*za zmierzchu tylko syrena
kły burzy
puchem ciszy
owija*

*ustają fale
nurtem muskułów
zakrzepłych*

noc

*w oddali
sosny
równo oddychają
nieustraszone*

*stosy belek przy tartaku
patrz księżycu
stosy belek przy tartaku
stosy belek
stosy
sto
lat runie z nieboskłonu
zapamiętasz
choćby niczym
choćby ciszą zamysłony*

Ludwik F. BUYNO

WĘŻEM

*Wężem
śliskim i przebiegłym
w twoich włosach
być*

*żądło
dzikie i bezsilne
w smagłość szyi
wbić*

*i popłynąć dalej w trawy
śpiewne trawy
mgły pampasów
mitologii
swej.*

Ludwik F. BUYNO

LE BARDE SE MOQUE DE SOI-MEME

(Parodie impromptue, mal coiffée mais bien sincère)

Baldachim much
nad gnojówką rozpięty
brzęczy romantyzmem
sekund śródletnich
niedocenionych
marcholcich

słońce
welon na pół wygryziony
pcha się za chmurę
smętną
napęczniałą
jak bób

zapewne i grzmotnie
pośród chrapania
tajemniczo
sromotnie

i tylko cisza
zegarek
i pchły

Ludwik F. BUYNO

PORTRET CZŁOWIEKA

Jasne ziarna Lalirra słońca przepalą niejedną dzień
Stoję w ruchu powietrza widzę śmierć wiatrów
Wiem jak zaczyna się świat po lęku zimnej nocy.
Wierzę w najszybszy bieg w ciszę gdzie szelest
Wyrzuca ciemną broń z zawsze gotowej dłoni
Wierzę w radość krzyk wrzask większy od pustyni
Wiem jak wielki jestem gdy rządę śmiercią zwierząt
Wierzę w błysk oczu co idą jak pocisk dwustrunny
W jasność przed nami gdzie zwiija się linia piasku.
I tylko czasem wiem że w mętnych źrenicach jest przepaść
Trwoga że słońce zniknęło na zawsze
Tęcza podwójna Turana pod którą chodzi śmierć
Duchy Wielki Duch Muramura wstępuje we mnie
I nie wiem po co jest wielka niezmienna ziemia
I nie wiem czym jest wielkie niezmiennie niebo
Człowiek ogromny człowiek boję się siebie
Wołam o słońce o dzień o ruch o zapomnienie.

Zdzisław MAREK

Archiwum politycznePolska leży między
Rosją a Ameryką

Młodzi dziennikarze krajowi, których spotkałem w Londynie — uważali, że w Polsce wszystko jest możliwe z wyjątkiem wyborów. W czasie gorącej dyskusji jeden z nich chwycił mnie za palczywie za rękaw i zapytał z bezgranicznym, niedowierzającym zdumieniem: Czy pan naprawdę wierzy, że w Polsce wrócimy kiedyś do parlamentarnej demokracji i wyborów? Odpowiedziałem: „Uważam to niemal za pewne”.

Dlaczego wybory w Polsce obecnie są nie do pomyślenia? Tylko dlatego, że powrotu do parlamentarnej demokracji nie życzy sobie Rosja. Ogół społeczeństwa zdaje sobie doskonale sprawę, że żądania i napór po tej linii doprowadziłyby w końcu do interwencji sowieckiej. Jest natomiast oczywiste, że gdyby widmo interwencji znikło autorytet Partii i jej przywódców nie wystarczyłyby do przeciwstawienia się woli społeczeństwa. W takiej sytuacji Partia musiałaby iść na coraz dalsze ustępstwa, które nieuchronnie doprowadziłyby w konsekwencji do odbudowy ustroju demokratycznego.

Innymi słowy system monopartyjny w Polsce stoi i upada obecnie geopolityczną dyspozycją Europy środkowo-wschodniej. Geografia jest czynnikiem stałym — polityka płynnym.

W przeciwieństwie do moich kolegów dziennikarzy krajowych — sytuację w Europie środkowo-wschodniej oceniam jako daleką od jakiegokolwiek stabilizacji. Jak długo Niemcy są podzielone wszystko jest prowizorium. Prowizoria wykazują czasem zdumiewającą trwałość, niemniej, w tym wypadku można przyjąć za pewne, że sytuacja niemiecka jest daleka od ostatecznej formy.

Po pierwsze byłoby naiwnością przypuszczać, że można latami ignorować wolę i prawo narodu niemieckiego do zjednoczo-

nego państwa. Po drugie, gdy mocarstwa zachodnie zrezygnowały (w znacznym stopniu) z tak zwanych broni konwencjonalnych — jest oczywiste (również i dla Sowietów) — że Niemcy wejdą albo w skład strefy neutralnej, albo do trzech, czterech lat staną się amerykańską super-bazą broni atomowych. Nawet jeżeli w jesiennych wyborach upadłby kanclerz Adenauer i jego polityka — to każdy jego następca, mając w pamięci „cmentarne” ostrzeżenie marszałka Bułganina, zada sobie pytanie czy bazy i wyrzutnie atomowe w Niemczech zachodnich nie spełniłyby tych nadziei, które wiązano z konwencjonalnymi dywizjami NATO. Owe bazy, rozbudowane do pokazanego potencjału, mogłyby się stać zarówno instrumentem nacisku jak atutem do przetargu.

Rzecznik rządu w Bonn oświadczył niedawno, że wyposażenie niemieckich sił zbrojnych w broni atomowe nie będzie aktualne przed upływem dwóch do trzech lat. Jak wiadomo do tej pory Niemcy zachodnie nie domagały się broni atomowych. W tym samym oficjalnym oświadczeniu podkreślono jednak dobitnie, że o ile na przestrzeni roku czy dwóch nie dojdzie do porozumienia rozbrojeniowego — Niemcy zachodnie wyposażą swą armię w broni atomowe.

Istnieje również plan Ollenhauera i szereg innych propozycji zmierzających do zjednoczenia Niemiec i zorganizowania w tym rejonie Europy nowego systemu bezpieczeństwa.

Niniejszy artykuł nie jest poświęcony ani zagadnieniu Niemiec ani problemom rozbrojenia. Uwagi powyższe mają tylko na celu zilustrowanie faktu, że sytuacja w Europie środkowo-wschodniej nie jest ustabilizowana.

Pokój i bezpieczeństwo zarówno Związkowi Sowieckiemu jak i Stanom Zjednoczonym zapewnić może wyłącznie porozumienie rozbrojeniowe. Nie wydaje się rzeczą możliwą dokonanie jakiegokolwiek postępu na tej drodze w oderwaniu od problemu Niemiec. Trudno bowiem sobie wyobrazić większe zagrożenie dla pokoju świata niż dwa sąsiadujące z sobą bezpośrednio państwa niemieckie — jedno pełniące rolę atomowej działobitni Sowietów a drugie działobitni atomowej Stanów Zjednoczonych.

Jakie jest więc wyjście?

W artykule drukowanym w kwietniowym numerze „Kultury” starałem się przedstawić problem niemiecki w perspektywie rosyjskiej i przeanalizować przyczyny, które uniemożliwiają Sowietom przyjęcie zachodnich propozycji w sprawie zjednoczenia Niemiec. Rosja — bez utraty twarzy — nie może zgodzić się na ogólnoniemieckie wybory i w konsekwencji na totalną kompromitację reżimu komunistycznego we wschodnich Niemczech. Rosja nie może również dopuścić do przemienienia Niemiec zachodnich w atomową super-bazę amerykańską. Jedynym rozwiązaniem tego dylematu byłoby włączenie obu niemieckich republik w obszar pasa neutralnego poddanego kontroli międzynarodowej).

W sumie trzeba stwierdzić co następuje:

1. — Sytuacja w Europie środkowo-wschodniej jest daleka od stabilizacji.

2. — Nie ma stabilizacji i bezpieczeństwa w Europie środkowo-wschodniej bez zjednoczenia Niemiec. Z kolei nie ma zjednoczenia Niemiec bez ewakuacji wojsk sowieckich ze Wschodnich Niemiec a wojsk amerykańskich z Niemiec Zachodnich.

Jest jasne, że ewakuacja z obszaru Niemiec wojsk sowieckich i amerykańskich musiałaby pociągnąć za sobą likwidację lub bardzo daleko idące zmiany w paktach — Warszawskim i NATO.

Jaki jest więc sens budować nowe szkoły polskiej myśli politycznej w przeświadczeniu, że Pakt Warszawski trwać będzie wiecznie a Rosja przez najbliższe stulecia będzie naszym sąsiadem nie tylko od wschodu lecz również od zachodu, północy i południa.

Rosja będzie zawsze naszym sąsiadem i zawsze leżeć będzie w naszym interesie podtrzymywać z Moskwą możliwie najlepsze stosunki. Lecz co innego jest mieć z kimś jedną wspólną granicę a co innego... wszystkie!

W każdym układzie międzynarodowym wpływy Rosji nad Wisłą będą znaczne. Ale co innego są wpływy a co innego możliwość bezpośredniej interwencji wojskami rosyjskimi stacjonowanymi na polskim (i sąsiednim) terytorium.

Polacy w Kraju — tak komuniści jak i nie-komuniści — skłonni są obecny układ w Europie środkowo-wschodniej uważać za ustabilizowany. Miary polskiego czasu historycznego są krótkie. Polska niepodległa trwała zaledwie dwadzieścia lat a jednak ten krótki czasokres uznajemy za epokę historyczną. Ponieważ obecna sytuacja trwa już dwadzieścia lat Polacy w Kraju mówią nie tylko o stabilizacji lecz nawet o politycznych „szkołach”, które winny być tejże stabilizacji konsekwencjami.

Nie zanoszą się na wojnę światową i na zmieszenie Związku Sowieckiego z powierzchni ziemi. Zanoszą się jednak na zmianę obecnego prowizorium na terytorium Niemiec właśnie dlatego, że tak Rosja jak i Stany Zjednoczone pragną w gruncie rzeczy wojny uniknąć. Trudno jest dziś przewidzieć, która z wysuwanych koncepcji zastąpi w końcu stan przejściowy. Osobiście nie wierzę jednak by obecne prowizorium można było podtrzymywać w nieskończoność. Choć w moich artykułach nie wysuwam nigdy żadnych przepowiedni — ryzykuję pogląd, że za dziesięć lat od dziś nie będzie dwóch państw niemieckich tylko jedno.

Maksymalista zauważy w tym miejscu: „Cóż się wówczas zmieni? Rosja nietknięta i atomowa będzie nadal graniczyć z nami o mieczę liczącą niemal 600 mil długości”.

Zmieni się wszystko. Rosja będzie wprawdzie nadal naszym najpotężniejszym sąsiadem — z całą pewnością będzie nadal dysponować w Polsce poważnymi wpływami — ale skończy się obecna semi-okupacja.

Pewnym naszym publicystom wydaje się, że suwerenność Polski zagrożona jest garnizonami sowieckimi stacjonowanymi na ziemiach polskich. Gdyby Rosjanie jutro wycofali się całkowicie — sytuacja Polski de facto nie zmieniłaby się na jotę. Istotą okupacji czy semi-okupacji nie są garnizony, które z reguły są niewielkie — lecz możliwość bezpośredniej interwencji. Polska jest krajem potencjalnie (choć nie faktycznie) okupowanym dlatego, że gdyby jutro wkroczyło do Polski 200 dywizji rosyjskich — poza reakcją polską nie byłoby żadnej innej. Gdyby natomiast tylko jedna z rosyjskich dywizji stacjonowanych na Węgrzech przekroczyła jutro granicę austriacką — wybuchłby kryzys światowy.

W chwili gdy Niemcy zostaną zjednoczone a strefa środkowo-wschodnio-europejska znajdzie się pod międzynarodową kontrolą — Rosja utraci w stosunku do Polski możliwość prowadzenia polityki interwencyjnej. Wówczas skończy się stan potencjalnej okupacji a Polska odzyska niepodległość choćby tylko taką z jakiej korzystała Austria.

Podkreślam — nie liczymy na „wyzwolenie” — nie liczymy nawet by przy organizowaniu strefy neutralnej mocarstwa zachodnie wysunęły postulat wolnych wyborów. Prawdopodobnie ograniczy się wszystko do ewakuacji obcych wojsk, redukcji zbrojeniowych czy demilitaryzacji i pewnych form kontroli międzynarodowej. Ale do zupełnego przekształcenia obecnego polskiego modelu nie potrzeba niczego więcej. Fakt utraty przez Rosję możliwości interwencyjnych przeobrazi całkowicie sytuację wewnętrzną w Polsce.

W chwili obecnej mamy w Kraju dwa ugrupowania w całości oparte na polityce interwencyjnej. Są to Natolin z przybudówkami i Pax z przybudówkami. Nie mając żadnego oparcia w społeczeństwie w nowej sytuacji oba ugrupowania utraciłyby grunt pod nogami. Nic też dziwnego, że możliwość uwolnienia Polski spod jednostronnego wpływu Sowietów jest jedną z kardynalnych trosk „Führera” Piaseckiego. Sama myśl o neutralizmie spędza mu sen z powiek, czemu dał wyraz w swym referacie pt. „O socjalistycznym zaangażowaniu narodu”.

Ten falangista pouczający polskich komunistów jakimi mają być komunistami — to jest istotnie widowisko jedyne w swoim rodzaju.

Dopóki Polska otoczona jest z wszystkich stron bazami i garnizonami sowieckimi — dopóty stanowisko p. Piaseckiego jest niewzruszone. Upaść mogą Gomułka i Cyrankiewicz ale nie on.

Nie można wykluczyć, że Moskwa któregoś dnia dojdzie do wniosku, że jej niezawodny mąż zaufania, Bolesław Piasecki, da sobie lepiej radę z „wściekłymi”, z „rewizjonistami”, z pisarzami, z prasą i literaturą niż centrowiec Gomułka. „Premier” Piasecki zaprowadziłby w rozpolitykowanej Polsce taki „porządek”, iż Bierut wypadłby na tym tle na króla liberałów.

Z polskimi komunistami są wieczne kłopoty — odchylenia,

spory ideologiczne, pretensje do „własnej drogi” itd. Z endekami PAX'u oddanymi Moskwie żadnych waśni ideologicznych nie ma. Oni z góry akceptują sowiecką drogę do socjalizmu, bo tylko ta droga zapewnić może krociowe dochody koncernom PAX'u. Referat o „socjalistycznym zaangażowaniu narodu” jest w gruncie rzeczy powtórzeniem też wyrażonych w osławionym artykule pt. „Instynkt państwowy”. Nowością w ostatnim orędziu „wodza” jest wypowiedź o Chinach. Piasecki przestrzega Polaków by przyjaźni Chin nie wygrywali przeciwko Sowietom. Bardzo charakterystyczne.

Zarówno PAX jak i Natolin są agenturami. Jednak, moralnie rzecz biorąc, agenturalność PAX'u jest bez porównania bardziej obrzydliwa. Natolińczycy mogą bowiem w końcu powiedzieć, że jako międzynarodowi komuniści, uznają tylko jedną lojalność, to jest lojalność w stosunku do Moskwy. Piasecki nie może powołać się na żadną ideową wspólnotę. Jest agentem Moskwy z trzech przyczyn: Z musu i ze strachu, gdyż spalił za sobą wszystkie mosty — dla ambicji politycznych (śni mu się kariera sowieckiego prokonsula) — dla zysku i korzyści materialnych.

Nie wydaliśmy Quislinga, ale wydając Piaseckiego powetowaliśmy to sobie z nawiązką.



Usystematyzujemy nasze dotychczasowe rozważania i wnioski.

I. — Rosja jest naszym sąsiadem ale jej możliwości w stosunku do Polski są funkcją nie tylko pozycji geograficznej lecz przede wszystkim sytuacji międzynarodowej. Obecna sytuacja umożliwia Rosji prowadzenie w stosunku do Polski polityki interwencyjnej. Należy jednak pamiętać, że możliwość interweniowania wynika nie z położenia geograficznego lecz z obecnego układu międzynarodowego. Jak długo trwa prowizorium w Europie środkowo-wschodniej — tak długo Rosja dysponuje potencjalną możliwością interwencji. Gdy prowizorium się skończy — interwencyjne możliwości Rosji skończą się również.

II. — Polacy w Kraju mają zrozumiałą skłonność do przeceniania tak potęgi Rosji jak i trwałości obecnego układu w Europie środkowo-wschodniej. Doceniając w pełni potencjał Związku Sowieckiego trzeba jednak stwierdzić, że granica wpływów między Rosją a Stanami Zjednoczonymi w rejonie środkowo-wschodnio-europejskim jest ustalona czasowo i prowizorycznie. Ameryka nie podejmie żadnej polityki „wyzwolenia” — dążyć jednak będzie do unormalizowania sytuacji ogólnoniemieckiej, a tym samym środkowo-wschodnio-europejskiej, w celu zwiększenia własnego i ogólnego bezpieczeństwa.

Rosja nie traktuje również obecnej sytuacji w Europie

wschodniej za ostatecznie ustabilizowaną. W znanym telewizyjnym wywiadzie, udzielonym agencjom amerykańskim, Chruszczow ponowił ofertę wycofania wojsk sowieckich z Niemiec Wschodnich, z Polski, z Węgier i Rumunii wzamian za analogiczny krok Ameryki w Europie zachodniej. W tej chwili różnice między Moskwą a Waszyngtonem w zapatrywaniach na tę sprawę są bardzo znaczne. Jeżeli jednak podjęte obecnie na nowo negocjacje rozbrojeniowe — do których obie strony zdają się przywiązywać wielką wagę — miałyby postąpić wydatnie naprzód — sprawy zjednoczenia Niemiec i ewakuacji obcych wojsk nie będzie można wyminąć.

III. — Gdyby nie doszło do utworzenia strefy neutralnej a jedynie do zjednoczenia Niemiec — i wówczas pozycja Polski ulegnie radykalnej zmianie. Polska zyskałaby bowiem kilkuset-kilometrową granicę z Zachodem. Gdyby dziś nastąpiła w Polsce interwencja — byłaby to czysto wewnętrzna operacja w ramach bloku sowieckiego. W chwili jednak gdy Polska graniczyć będzie bezpośrednio z Zachodem — ewentualna interwencja przestanie być operacją wewnętrzną bloku sowieckiego. Polska to nie Węgry, i uznać należy za pewne, że w takiej sytuacji Rosja bezpośredniej interwencji nigdy by nie zaryzykowała.

IV. — „Kultura” reprezentuje pogląd, że dobre sąsiedzkie stosunki z Rosją winny być pierwszo-planowym celem każdego polskiego rządu. Zoologiczna nienawiść do Rosji jest równie poniżająca jak antysemityzm. Z politycznego punktu widzenia antyrosyjskość jest niepomnie bardziej groźna niż antysemityzm — gdyż Żydzi mogą Polskę opuścić, natomiast Rosjanie nie przestaną być nigdy naszymi najpotężniejszymi sąsiadami.

Mimo fasady przyjaźni i solidarności nienawiść do Rosji nie była chyba nigdy w Polsce równie powszechna i intensywna, jak obecnie. W ramach Paktu Warszawskiego stosunki polsko-rosyjskie są nie do naprawienia. Polska jest zbyt wielkim krajem i zajmuje zbyt ważną strategicznie pozycję, by można było liczyć iż Moskwa dobrowolnie przyzna nam statut Finlandii. Tylko w ramach nowego układu międzynarodowego, który zastąpiłby Pakt Warszawski — stosunki polsko-rosyjskie ulec mogą trwałej poprawie. Nie jest istotne czy Rosja wyrzeka się czy nie wyrzeka polityki interwencyjnej; istotne jest tylko by utraciła możliwość praktycznego jej stosowania.

W sumie — uważamy, iż Pakt Warszawski i jego konsekwencje są wynikiem prowizorium w Europie środkowo-wschodniej i nie mogą stanowić fundamentu długo-falowej polityki polskiej. Dopóki owo prowizorium trwa należy zrobić wszystko możliwe by nie dopuścić do interwencji. Wydają się nam natomiast nonsensowne próby podejmowane w Kraju (nie przez komunistów) wypracowania nowej koncepcji polityki polskiej w stosunku do Rosji wychodzące z założenia, iż Pakt Warszawski trwał będzie wiecznie.

V. — System monopartyjny w Polsce jest również konsekwencją i wynikiem obecnego prowizorium w Europie środkowo-wschodniej. Z chwilą gdy Polska odzyska granice z Zachodem, względnie wejdzie w skład pasa czy strefy neutralnej — autoritet Partii okaże się nie wystarczający do podtrzymania dyktatury. Ci politycy i działacze w Kraju, którym losy socjalizmu nie są obojętne winni pamiętać, iż w końcowym rozrachunku tylko to pozostanie z socjalizmu, co przetrzyma ogniową próbę wolnych wyborów. W tej perspektywie ci, którzy wykorzystując przejściową koniunkturę zwalczają demokratyzację i dążenia wolnościowe okażą się (w przyszłości) grabarzami socjalizmu w Polsce.

VI. — Mając jak największą sympatię i uznanie dla wszystkich polityków i działaczy, którzy — bez względu na legitymację partyjną — odważnie walczą o poszerzenie sfery wolności — nie widzimy możliwości zidentyfikowania naszych poglądów z którąkolwiek z grup działających oficjalnie czy pół-oficjalnie w Kraju. Zdajemy sobie sprawę, że żadne z ugrupowań krajowych nie może jawnie głosić poglądu, iż układ obecny w Europie środkowo-wschodniej jest prowizorium i to prowizorium dla interesów Polski w najwyższym stopniu niekorzystnym. Nie jest również rzeczą możliwą, przebywając w Kraju, walczyć na terenie międzynarodowym o zastąpienie obecnego stanu przejściowego układem międzynarodowym regulującym ostatecznie problemy środkowo-wschodniej Europy.

VII. — Nie dążymy do odbudowy ustroju kapitalistycznego w Polsce. Nie pragniemy również, by siły reakcji doszły kiedykolwiek w Kraju do władzy. Nie jesteśmy jednak zwolennikami ani socjalizmu fasadowego, ani dyktatury proletariatu czerpiącej swą moc z niepolskich źródeł. Uważamy, że prawo do własnej drogi do socjalizmu musi obejmować również prawo do socjalizmu demokratycznego. Nawet wówczas jeżeli wybory w konsekwencji miałyby oznaczać budowanie socjalizmu od podstaw od „A” — jesteśmy za wyborami. Nowoczesny ustrój musi być budowany na solidnym fundamencie a nie na piasku propagandy, lepionym łękiem przed obcą interwencją.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

„OBCYM WSTĘP WZBRONIONY”

Na zapytanie co to jest melancholia Wilde odpowiedział: „niedzielne, deszczowe popołudnie na Cromwell Road”.

Otóż takiego londyńskiego, deszczowego niedzielnego popołudnia wydo-
byłem z szafy bibliotecznej tomy „Kultury” sprzed trzech lat i usiadłszy
w fotelu zacząłem wertować kroniki angielskie. Boże — co się tu nie
działo! Akty Zjednoczeniowe, kryzysy ministerialne, zapowiedzi referendum,
walki o ordynację wyborczą, telegramy gen. Sosnkowskiego, plany, na-
miętności, intrygi i ambicje.

A dziś? Na łamach prasy emigracyjnej miesiącami nie znajdzie nikt
najdrobniejszej wzmianki o Radzie Trzech czy o Radzie Jedności Narodo-
wej. Z planów wyborów, referendum (nie umiałbym już dziś powiedzieć
czego owe referendum miało dotyczyć) — nie zostało nic.

Przełom październikowy dokonał reorganizacji społeczeństwa emigracyj-
nego. Choć Polacy zagraniczni zdają sobie doskonale sprawę z faktu, że
ustrój panujący w Polsce daleki jest od demokracji w zachodnim tego słowa
znaczeniu — to jednak milcząc przyjęli pogląd, iż kierownictwo i autorytet
są w Kraju a nie na emigracji. Dla większości owym mężem opatrzniciowym
jest kardynał Wyszyński. Wszyscy emigranci są całkowicie zgodni w prze-
konaniu, iż Władysław Gomułka i kardynał Wyszyński dzierżą w swych
rękach ster polskiego losu. Autorytet tych dwóch postaci przerasta bezapela-
cyjnie wszystkie emigracyjne „wielkości” razem wzięte.

Oba ośrodki reprezentacyjne a więc „zamek” i Rada Trzech wywodzą
się z wojennej koncepcji „państwa na obczyźnie”. (Rada Trzech — jak
wiemy przypisuje sobie wszystkie uprawnienia władzy Prezydenta R.P.
z wyjątkiem mianowania następcy Prezydenta).

Dziś koncepcje te zostały przez życie — jeżeli wolno się tak wyrazić —
zabsurdalizowane. Istnieje tylko jedno Państwo Polskie, które leży między
Bugiem a Odrą. Naszym dążeniem jest zdemokratyzowanie obecnego ustroju
Polski i wydobycie jej spod jednostronnego wpływu Rosji. Ale już chyba
dziś nikt z żyjących a przynajmniej Polaków nie uważa, iż celem naszym
jest restaurowanie konstytucji, która obowiązywała na terytorium Polski do
roku 1939.

Podtrzymywanie fikcyjnych pozorów państwowości w oparciu o konsty-
tucję, która wygasła — odcina przywódców emigracji zarówno od Kraju
jak i od Polaków zagranicznych.

W okresie Bieruta, Polaków w Kraju dzieliliśmy, na emigracji, na trzy
kategorie: kolaborantów — więźniów Bezpieki — emigrantów wewnętrznych.

Dziś podział powyższy przestał być aktualny. Zwalczamy agentów oraz
wrogów demokracji (Natolin i Pax) — popieramy natomiast tych, którzy

walczą o poszerzenie sfery wolności. Kontakty z Krajem są coraz żywsze
i coraz bardziej wszechstronne. Wszystko to jednak odbywa się poza ramami
tak zwanych czynników oficjalnych emigracji. Owe czynniki nie zdają sobie
sprawy ani z zasięgu i istoty tych kontaktów ani nie wywierają w tych
sprawach żadnego wpływu.

Dziś, gdy Rzym odwiedza kardynał Wyszyński a w Paryżu i w Lon-
dynie przebywają dziesiątki polityków i pisarzy z Kraju, którzy kontaktują
się swobodnie z kołami emigracyjnymi i sferami intelektualnymi Zachodu —
podtrzymywanie teorii o „mandacie” byłoby absurdem. Jeżeli Stanisław
Stomma wygłasza odczyty dla Francuzów w Paryżu, a Stefan Kisielewski,
również poseł na Sejm, przemawia z łamów „Kultury” do emigracji — było-
by śmieszne gdybyśmy uznali, że to nie oni reprezentują opinię Kraju tylko...
panowie z Rady Jedności Narodowej, którzy od dwudziestu lat w Polsce
nie byli.

Po przewrocie październikowym nastąpiła decydująca zmiana w opinii
krajowej. Wśród niemal setki ludzi z Polski z którymi rozmawiałem na prze-
strzeni ostatnich miesięcy — nie spotkałem nikogo, który by obecny rząd
polski uważał za nielegalny. Wielu odnosi się do rządu krytycznie i opo-
zycyjnie ale nikt Gomułki nie uważa za narzuconego „agenta”.

Polakom krajowym bardzo trudno jest w pełni zrozumieć dlaczego emi-
gracja wzbrania się uznać obecny rząd polski. Większość uważa, że jest
to z naszej strony manewr taktyczny, dyktowany względami czysto praktycz-
nymi. Nasi współrodacy rozumieją, że uznając obecny rząd musielibyśmy,
w konsekwencji, wziąć polskie paszporty — co skomplikowałoby naszą sytua-
cję w krajach osiedlenia. Pewni Polacy krajowi sądzą (spotykałem się z taką
opinią) iż statut „politycznego emigranta” wiąże się z rozlicznymi przywile-
jami i korzyściami.

*Polska emigracja na Zachodzie nie pogodzi się nigdy z systemem mono-
partyjnych rządów w Kraju. Nie możemy uznać rządu, który nam, obywatelom
polskim — odmawia prawa podjęcia legalnej politycznej walki w Kraju
o przywrócenie ustroju demokratycznego.*

Ale wszystko co wyżej powiedziano w niczym nie zmienia faktu, że
pomimo zasadniczych różnic poglądowych — winniśmy być solidarni z wła-
dzami polskimi — w wszystkich sprawach tak drobnych jak i wielkich, które
związane są bezpośrednio z interesami narodu polskiego. Traktowanie rządu
i władz polskich za „nie istniejące” jest głupotą.

Na tym tle powstał na emigracji swoisty dualizm. Zwyczajny emigrant,
który odwiedza rodzinę w Kraju — względnie zamierza kogoś z Kraju spro-
wadzić, czy do Kraju coś wysłać, czy uregulować sprawy majątkowe,
spadkowe itd. — jest oczywiście w kontakcie z władzami krajowymi.
W tych sprawach emigrant, jeżeli nawet wie o istnieniu władz emigracyj-
nych (nie wszyscy o ich istnieniu wiedzą), nie mógłby się zwrócić o pomoc
czy informacje, gdyż wyrzucono by go za drzwi. I odwrotnie, setki Polaków,
przyjeżdżających z Kraju na Zachód — zwracają się o pomoc czy infor-
macje do prywatnych emigrantów, nigdy do emigracyjnych „czynników ofi-
cjalnych”.

Innymi słowy ów proces współpracy i kontaktów pomiędzy Krajem
a emigracją odbywa się poza ramami i zasięgiem oficjalnych „czynników”
emigracyjnych — co dodatkowo podkreśla książkowy charakter tych tworów.

Jeżeli z Kraju przyjedzie lekarz, inżynier, rolnik, student, dziennikarz — który szuka pomocy, informacji, książek, możliwości kontaktu z cudzoziemcami — polegać musi w całości na emigracyjnej inicjatywie prywatnej. I trzeba powiedzieć, że inicjatywa ta działa niezmiennie ofiarnie, choć nie zawsze w pełni skutecznie.

Ponieważ adres i telefon Londyńczyka jest wydrukowany w każdym egzemplarzu „Kultury” — otrzymuję sporo telefonów od przyjezdnych z Kraju (co jest mi bardzo miłe). Czasem jednak bywam w trudnej sytuacji. Tydzień temu zadzwonił do mnie „professional man” przybyły z Warszawy. (Nie jestem upoważniony ani do wymienienia jego nazwiska, ani zawodu). Gość z Kraju chciał nawiązać kontakt z zawodową organizacją, istniejącą na emigracji, w nadziei, że jego londyński koledzy po fachu ułatwią mu zakup książek i czasopism fachowych, skontaktują go z kolegami brytyjskimi itp.

— Pan X. jest członkiem Partii — o sympatiach (jak sam to określił) „wściekłych”. Chciał, bym go poinformował czy władze odnośnego zawodowego stowarzyszenia na emigracji odniosą się do niego życzliwie i czy zechcą mu pomóc?

Nie umiałem odpowiedzieć na to pytanie.

Wówczas nic nie wiedziałem o tym związku wobec czego gościowi z Kraju doradziłem maksymalną ostrożność. Bo jeżeli zarząd tego stowarzyszenia (czego w danej chwili wyłączyć nie mogłem) byłby skomponowany podobnie jak obecny zarząd Związku Pisarzy — pan X. z Warszawy mógł się spotkać z przyjęciem, jakiego doznał Michał Rusinek od prezesa Terleckiego.

Chcąc pomóc mojemu gościowi z Warszawy musiałem przeprowadzić subtelny wywiad, by ustalić czy prezes danego stowarzyszenia zechce z panem X. rozmawiać i nie uzna, iż rozmowa z członkiem Partii jest równoznaczna z opuszczeniem „platformy niepodległości”.

Na szczęście wywiad dał pozytywne rezultaty.

Niemniej to wszystko przedstawia się wręcz absurdalnie. Naszym zasadniczym obowiązkiem, jako emigracji, jest służyć Krajowi pomocą — w pierwszym rzędzie w kontaktach z Zachodem. Jednak dziś nie wiadomo czy dany związek, stowarzyszenie czy instytucja emigracyjna zechce w danym, konkretnym wypadku pomóc czy też nie. Wielu naszych działaczy uważa, że emigracja winna ograniczyć się do wspierania lojalnej filantropii powstrzymując się od wszelkich kontaktów i współpracy. Posłać 10 szylingów na repatriantów z Rosji i... umyć ręce. To jest ów ideał „koszerności” politycznej.

Po dłuższej rozwadze rzucam myśl zorganizowania „Ogólno-emigracyjnego Komitetu Współpracy z Krajem”. Do komitetu winni wejść reprezentanci wszystkich emigracyjnych związków zawodowych, jak na przykład lekarzy, inżynierów, rolników, farmaceutów, kupców itd. — oraz przedstawiciele instytucji i stowarzyszeń kulturalnych.

Powołując komitet dokonałoby się również ostatecznego podziału. Poza ramami komitetu pozostałyby bowiem stowarzyszenia, instytucje i ci wszyscy, którzy są przeciwnikami współpracy z Krajem.

Jeżeli dziś zjawi się w Londynie młody lekarz z Warszawy, który chciałby się zapoznać z najświeższą literaturą fachową, z możliwością zakupu książek czy instrumentów — to liczyć może wyłącznie na pomoc prywatną. Jeżeli w Londynie nie ma znajomych, jego sytuacja nie będzie łatwa. Jeżeli ów młody lekarz jest członkiem Partii — nie będzie wiedział czy

może zwrócić się do Związku Polskich Lekarzy, czy bezpieczniej z tego kroku zniechęcać.

W takiej samej sytuacji będzie młody rolnik, leśnik, inżynier, naukowiec itd. Jest oczywiście nonsensem stać na stanowisku, że nie należy kontaktować się z członkami Partii. Jeżeli — powiedzmy dla przykładu — przyjedzie do nas młody asystent uniwersytetu, członek Partii, w celu zakupu dla swego zakładu naukowego zachodnich wydawnictw i publikacji — emigrant, który w takim wypadku odmówiłby pomocy wykazałby, iż całkowicie nie rozumie celów i zadań emigracji.

Apeluję do łaskawego Czytelnika tej notatki, by wstawił się w polowanie Polaka, przybyłego wprost z Kraju. Jeżeli ów rodak nie ma ciotki, wuja, brata czy innego szwagra w Londynie przywozi zwykle z sobą kilka adresów, uzyskanych od znajomych. Dla przybysza z Polski — wielka emigracja z dziesiątkami związków i instytucji jest de facto warownym obozem, gdzie na każdej bramie widnieje napis: „Obcym wstęp wzbroniony”. Pozostają więc prywatni znajomi a jeżeli i ci zawiodą — jedyną ostoją i źródłem pomocy jest ambasada.

Emigracja dysponuje w dziedzinach specjalności naukowych, w sprawach technicznych, gospodarczych, literackich, kulturalnych itp. możliwościami stokrotnie większymi niż wszystkie wydziały ambasady razem wzięte. Gdyby istniał proponowany przez nas Komitet, owa wymiana kulturalna, naukowa, handlowa — zapoczątkowana obecnie między Polską a Zachodem — szłaby poprzez instytucję emigracyjną z wielkim pożytkiem dla Kraju i dla emigracji. Wówczas moglibyśmy powiedzieć, że oddajemy Krajowi realne usługi stawiając do jego dyspozycji doświadczenia i osiągnięcia (często wybitne) — zdobyte w owym okresie osiemnastu lat na obczyźnie.

STARA SPIEWKA...

Jeden z dobrze poinformowanych dziennikarzy krajowych zapewniał mnie uprzejmie, że „Kultura” nie dociera do Polski — zwłaszcza na adresy indywidualne, ponieważ w głównej sortowni poczty z zagranicy tkwi stalinowiec, zaciekle wróg naszego miesięcznika.

Częstowano nas również inną wersją, że „Kultura” jest po prostu kradana przez nieuczciwych funkcjonariuszy pocztowych i... sprzedawana na „ciuchach”.

To są bajeczki. „Kultura”, jak stwierdzają to dziesiątki oficjalnych odpowiedzi, jest nadal pismem zakazanym w Polsce Ludowej. Zakazu nigdy nie cofnięto a pisarze i dziennikarze krajowi, którzy domagali się cofnięcia tego zakazu — dali się zbyć pięknymi słówkami i obietnicami.

Nie wiem w czyim interesie leży prowadzenie na tym etapie „zimnej wojny”. Jedno natomiast w tej całej sprawie jest absolutnie pewne: my nie zrezygnujemy z docierania do Polski. Docieraliśmy w okresie Bieruta i Bezpieki — docieramy teraz i docierać będziemy zawsze. (Zdobylimy w tym procederze niemałe doświadczenie!).

Jak długo objęci jesteście zakazem — „Kultura” jawi się przed czytelnikiem krajowym w aurze pisma nielegalnego. To jeszcze nigdy żadnemu piśmu nie zaszkodziło. Niemniej wydaje się, że byłby już może czas skończyć ten „ruch podziemny” i unormalizować całe zagadnienie.

Wydaje mi się, że najprostszym rozwiązaniem tej sprawy byłoby potraktowanie „Kultury” za periodyk zagraniczny i — poza dopuszczaniem numerów wymiennych, recenzyjnych, bibliotecznych, etc. — przyznanie jej jakiegoś ograniczonego, *bezdewizowego* debitu. Rozsprzedażą pewnej, ustalonej ilości egzemplarzy mógłby się może zająć na przykład Związek Literatów? Ma on duży aparat biurowy, obejmujący ważniejsze ośrodki prowincjonalne. Gdyby to okazało się realne — wpływy z tej ograniczonej sprzedaży naszego pisma i książek przeznaczylibyśmy na jakieś bezsporne cele o charakterze społeczno-kulturalnym w Kraju.

W każdym razie najwyższy już czas skończyć tę zabawę w ciuciubabkę.

POLSKI „ENCOUNTER” ...?

Stale przybywa pism krajowych przeznaczonych dla Polaków zagranicznych. Obecnie zapadła już podobno decyzja wydawania jeszcze jednego pisma — tym razem we Francji. Redaktorem tej imprezy ma być podobno p. Jerzy Mond.

Nie ma żadnego uzasadnienia ani potrzeby aby stwarzać nowe deficytowe wydawnictwo, którego nikt nie będzie czytał — tak jak nikt nie czyta „Wiadomości” (kontrolowanych przez francuską partię komunistyczną).

Polacy zagraniczni czytają prasę emigracyjną (względnie polonią) — oraz polską prasę krajową. Jest nonsensem kreować jeszcze trzeci typ prasy polsko-języcznej to jest pism przeznaczonych dla emigrantów, ale nie przez emigrantów pisanych i redagowanych. Takie pisma są zawsze „bibuła” i skazane są na uwiędnięcie.

Zainteresowanie Polską na Zachodzie stale rośnie i w rozmowach z cudzoziemcami często słyszy się skargi na brak dobrych angielskich czy francuskich wydawnictw informujących o Polsce.

Wydaje mi się, że w tej chwili z doskonałym przyjęciem spotkałby się na Zachodzie polski periodyk — powiedzmy typu „Encounter” — wydawany w języku angielskim. Oczywiście nie mam na myśli żadnego propagandowo-albumowego wydawnictwa. Jedna „propagitka” mogłaby położyć całą inicjatywę.

W tym wypadku chodziłoby o czasopismo rzetelne informujące o Polsce współczesnej, które z czasem mogłoby się stać platformą kontaktów i współpracy polskich pisarzy i intelektualistów z Zachodem. I nie tylko z Zachodem lecz i z krajami Azji, gdzie znajomość języka angielskiego bynajmniej nie maleje.

Czytelnikowi krajowemu może nie łatwo przyjdzie to strawić gdy powiem, że polski „Encounter” byłby chętniej czytany przez pewne grupy społeczne Polaków zagranicznych niż wszystkie sławetne „7 Dni”, „Magazyny Polskie” itd. Mam na myśli setki rodzin „mieszanych”, które z reguły mówią językiem matki to jest po angielsku — oraz młodych emigrantów w całości wychowanych przez szkoły angielskie.

LONDYŃCZYK

Kraj

Szwecja a Polska

Zdaje się, że wszystkie bez żadnego wyjątku komunikaty o rokowaniach handlowych między Szwecją i Polską zawierały i zawierają dotąd jakieś ciepłe słóweczka o tym, że są to kraje sąsiedzkie, że Bałtyk winien je łączyć a nie dzielić, że gospodarka ich może się znakomicie uzupełniać. Wszystkie te ogólnikowe twierdzenia opinia publiczna przyjmuje z największym zadowoleniem i kończy się wszystko na bardzo skromnej wymianie, podpisanej po długich i uciążliwych targach. A przecież powszechnie wiadomo, że polski węgiel jest bardzo potrzebny Szwecji, że z drugiej strony wysoko-procentowa ruda szwedzka byłaby bardzo pożądana dla ciężkiego przemysłu polskiego. W latach trzydziestych, w miarę rozwoju Centralnego Okręgu Przemysłowego w Polsce, istotnie import rudy szwedzkiej począł szybko wzrastać. Eksport polskiego węgla rozwinął się jeszcze wcześniej, bo już od roku 1926. Skądinąd przemysł szwedzki dostarczał nam coraz to więcej swych wyrobów — zasilając maszynami między innymi nasze przetwórstwo artykułów rolniczych i hodowlanych. Warto o tym pamiętać.

Obroty, aż do wybuchu wojny miały tendencję wzrastającą. Na przeszkodzie jednak dla obu stron stały warunki komunikacyjne — długość drogi lądowej kolejami, która dla surowców jest bardzo uciążliwa i podnosi znacznie cenę końcową rudy czy węgla. Sprawę tę szeroko omawiano w kołach gospodarczych Polski już wtedy, gdy nasz port morski pozostawał jeszcze w dziedzinie projektów. Znaczna część naszych rzeczoznawców opowiadała się też za budową portu raczej w Tczewie niż w Gdyni, gdyż miał on krótsze połączenia z Zagłębiami Śląskim i Dąbrowskim i pozwalał myśleć o należytym wykorzystaniu jedynej południkowej drogi wodnej jaką stanowiła Wisła. Wisła

jednak pozostawała nieuregulowana, a prace nad uporządkowaniem jej koryta obliczano na jakich 50 lat z górą.

W Tczewie podjęto prace przygotowawcze. Z jednej strony, przy szerokim poparciu Wojciecha Trąpczyńskiego przeprowadzono badania nad możliwością budowy basenów portowych na łakach Zajaczkowskich. Wzorem miały tu być urządzenia portowe w Bremie i Hamburgu. Z drugiej strony powstały nad samą Wisłą prowizoryczne urządzenia przeładunkowe dla statków o niewielkim tonażu, które mogły wypływać na morze przez Wisłoujście z pominięciem Gdańska. Twórcą i organizatorem tego przedsiębiorstwa był inż. Nosowicz, przyszły dyrektor departamentu morskiego w ministerstwie przemysłu i handlu i jeden z najbliższych współpracowników realizatora naszej polityki morskiej, ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego.

Inżynier Nosowicz tymczasem uważał swe poczynania zmiernie ciekawą próbę wysyłania transportów węglowych nie trampami parowymi, lecz lichtugami, barkamiorskimi, ciągnionymi przez holowniki. Z Tczewa wypływały one, jak się rzekło, przez Wisłoujście na Bałtyk kierując się do portów szwedzkich i duńskich. Doświadczenie wykazało, że jest to transport bezpieczny i nawet opierając się o większe porty bałtyckie może współpracować z normalną żegluga parową. A tabor był tani i łatwy do uzupełnienia. Największą trudność stanowiły tak zwane przemiały wiślane, które trzeba było systematycznie usuwać przy pomocy pogłębiarek. Wymagało to kredytów, obliczanych wówczas na jakieś 600.000 złotych rocznie, które miały obciążać ze względów kompetencyjnych ministerstwo Robót Publicznych, ówczesny zaś ich minister, Moraczewski, słusznie czy niesłusznie uważał iż jest wiele robót znacznie pilniejszych. Minister Kwiatkowski zaś całość swych wysiłków poświęcił Gdyni i nie tylko wyczerpywał na nią wszystko co mu budżet przyznawał, ale przekraczał ten budżet popadając nieraz w konflikt ze skarbem a nawet z sejmem.

Inżynier Nosowicz tymczasem uważał swe poczynania tczewskie za próbę. Według niego lichtugi ciągnięte przez holowniki miały stopniowo cofać swój punkt oparcia coraz bardziej w głąb kraju, w górę Wisły, wykorzystując jej uregulowany bieg dolny, by coraz skracać drogę lądową do miejsca załadunku, obniżając w ten sposób koszty przewozu kolejowego. I nie dość na tym. Zamierzał on, w porozumieniu, oczywiście ze Szwecją, nie poprzestawać na dowozie naszego surowca do portów morskich, lecz przekazywać lichtugi holownikom szwedzkim, które prowadziłyby je w głąb kraju fiordami. W ten sposób nabywca dostawałby węgiel wewnątrz kraju, oszczędzając na kosztach przeładunku. Transport nasz stawałby się tańszy nawet od angielskiego i mógł nam zyskać sytuację zupełnie uprzywilejowaną na rynku szwedzkim a może i skandynawskim. Nosowicz oczywiście myślał i o frachtach powrotnych w postaci rudy, która przywożona aż do Tczewa lub Włocławka kalkulo-

wałaby się o wiele taniej w naszym ośrodku ciężkiego przemysłu. W obliczeniach tych zostały uwzględnione i przerwy w żegludze na Bałtyku w czasie burz jesiennych, oraz dłuższe, sezonowe przerwy wskutek zamarzania Wisły i fiordów. O ile wiem z rozmów prowadzonych na ten temat z min. Kwiatkowskim, projekt Nosowicza traktował on bardzo poważnie. Co innego, że pewne szczegóły w kalkulacji uległy zmianie po wybudowaniu kolei Śląsk-Gdynia, która znacznie skróciła przebieg wagonów do naszego portu. Mechanizacja przeładunku w Gdyni dała ogromne korzyści. Projekty tczewskie usuwały się na plan dalszy.

Tak stały sprawy w okresie naszej niepodległości. Jak wyglądają dzisiaj? W tej chwili już nie chodzi o tych kilkadziesiąt kilometrów biegu Wisły. Ze Śląska na Bałtyk prowadzi prosty jak strzała szlak wodny Odra — z korytem uregulowanym niemal na całej długości. Odra żeglowna jest już na Dolnym Śląsku, tuż przy naszych kopalniach. Stąd nasz węgiel może wyruszać lichtugami, które w Szczecinie przejmą holowniki morskie, by doprowadzić je do wybrzeży szwedzkich — tam zaś przejmą je Szwedzi, by prowadzić dalej, bez przeładunku oddając na miejscu w ręce składnika lub spożywcy. O oszczędności nabierzemy właściwego pojęcia gdy zważymy, że jeśli koszty transportu morskiego oznaczmy przez 1, to transport lądowo-wodny wypadnie nam 3 do 4, kolejowy zaś 20. To jeszcze nie wszystko, bo odpadają co najmniej dwa przeładunki. Przy użyciu tej żeglugi węgiel polski w Szwecji naprawdę uzyska ceny atrakcyjne — ruda zaś szwedzka wypadnie nam bez porównania taniej niż jakakolwiek inna. Nie przesądzamy w tej chwili czy trzeba ją dowozić koleją do portów południowych Szwecji, czy można będzie jechać po nią w głąb Zatoki Botnickiej — oszczędności bowiem na samym przewozie przez obszar Polski już same przez się są bardzo poważne. Powiedzmy sobie, że w dzisiejszych warunkach od zorganizowania tego rodzaju transportu zależy opłacalność Nowej Huty i całego przemysłu ciężkiego w Polsce.

A teraz trudności. Jeśli chodzi o trudności techniczne — nie są one zbyt wielkie. Stocznie polskie doskonale mogą sobie poradzić z budową odpowiedniej liczby lichtug — jest to bowiem najprostszy typ statku jaki w ogóle może istnieć. Doświadczenia w tej dziedzinie istnieją. Nasze stocznie już budują holowniki i to wcale nie najgorzej. Utrzymanie żeglowności Odry musi — i z innych względów — stanowić troskę polskich kierowników komunikacji wodnej, a ożywienie jej oczywiście da nowe widoki opłacalności tego działu gospodarki. Nawet zbliżenie przeładunku do kopalni i ośrodków przemysłowych nie następcza większych trudności. Nie wymaga też wielkich nakładów wyszkolenia odpowiedniego personelu — kierownikami bowiem takich pociągów mogą być szyprowie o średnim wykształceniu. We fiordach przejmą je Szwedzi obznajomieni z lokalnymi warunkami. Pozostają poważne trudności organizacyjne, poważne dlatego, że elastyczne i samorządne przedsiębiorstwa szwedzkie spotkają się tu

z ciężką biurokracją gospodarczą Polski — biurokracją etatystyczną.

Dziś przecie tak wiele się mówi o usamodzielnieniu placówek gospodarczych. Czy nie można by było i tego przedsiębiorstwa potraktować inaczej niż jako wylęgarnię urzędasów? A nuż zyska się doświadczenie przydatne może i na innych polach?

Wiemy dobrze, że na przeszkodzie inicjatywie tej staną względy psychiczne. W tej chwili produkcja węgla wciąż spada, wciąż zmniejsza się jego ilość, którą można przeznaczyć dla obrotu z Zachodem. Zagadnienie transportu dla tej reszty z natury rzeczy stoje się w takich chwilach — po prostu mniej popularne. A jednak właśnie w tej chwili sprawa jest najpilniejsza. Ukazanie Szwecji możliwości zaopatrywania się w węgiel polski na warunkach uprzywilejowanych otwiera przed kopalnictwem polskim już nie urojone, ale zupełnie realne widoki kredytów inwestycyjnych. Ta gra jest warta świeczek. Otwiera ona widoki owocnej, poważnej współpracy z sąsiadem zasobnym i bezwzględnie pokojowo usposobionym. A gra ta stawia Polskę w pozycji nie ubogiego klienta, lecz partnera mogącego ofiarować dużo i na czas dłuższy.

Węgiel jest dziś podstawą polityki energetycznej i pozostanie nią przez czas dłuższy. Ale nawet jeżeli pierwszeństwo zdobędzie energia atomowa lub jakaś inna energia kosmiczna — pozostanie on jednym z najważniejszych surowców dla rosnącego z każdym dniem przemysłu chemicznego. O zmierzchu jego dziś ani jutro nie ma mowy.

Jest jeszcze jeden argument, który przemawia mocno na rzecz uruchomienia tej drogi. To sprawa zagospodarowania Ziemi Zachodnich, sprawa ożywienia Odry i samego Szczecina. Ta sprawa może być oceniona należycie tylko na miejscu i dla tego nie będziemy dłużej się nią zajmować, poprzestając jedynie na zaznaczeniu, że tą drogą można osiągnąć duży sukces polityczny.

W każdym razie zdobyczą również polityczną będzie samo uaktywnienie stanowiska gospodarki polskiej na Bałtyku, i to nawet w tym wypadku, gdy w dalszym ciągu wypadnie Polsce dopełnić zobowiązań zaciągniętych względem Wschodu — względem Rosji i bloku sowieckiego.

To już zresztą jest zagadnienie, którego obecnie dotykać nie zamierzamy. Ale i tu Polska może zyskać pewien atut nie do pogardzenia.

A. UZIEMBŁO

Sprawy i Troski

“Merkwürdig”

Rzeczywiście, *merkwürdig*! Czego się człowiek nieraz nasłucha i naczyta w tym kraju!

— *Merkwürdig*! — kiwa głową Frau Richter, gdy jej mówię, że jadę z kwiatami do Dachau. — Po co?

Frau Richter otwiera usta ze zdumienia, że ja, człowiek solidny, wzbudzający zaufanie, mogłem stracić kogoś bliskiego w kacie.

— Jak to? — jąka się. — Jak to możliwe?

Wreszcie w oczach jej pokazuje się błysk w którym jest wszystko: i straszliwy domysł i rozczarowanie i radość nieoczekiwanego odkrycia i to idiotyczne „a to co innego”:

— Ach, ja! *Vielleicht Ihr Vater war ein Jude?*!

To co innego, to zupełnie co innego! Trzeba mi było od razu mówić, niczego nie zatajać, skoro był *ein Jude*, wszystko staje się zrozumiałe i wybacalne! *Das ist was anders*! Miejsce Żyda było w kacie, to jasne!

Schodzi ze schodów, o dziesięć lat starsza, uginająca się pod ciężarem odkrycia i mruczy do siebie:

— *Merkwürdig*! *Ja... ja... so was... merkwürdig*!...

O, mowa ludzka, najczulsze zwierciadło naszej nieprawości! Ile bezmyślnych a nieludzkich powiedzeń kryje w sobie tak zwana „mowa potoczna”, na równi z przysłówkami będąca mądrością narodów!

Jeden z moich znajomych, młody poeta niemiecki, tak się niedawno rozłościł na zachowanie Czechów w czasie powstania węgierskiego, że aż wykrzyknął w oburzeniu:

— *Die sind ja schlimmer als die Juden*!

„*Schlimmer als die Juden*!” Gorski od Żydów! Jeszcze gorski!

Przy czym młodzieniec ów bynajmniej nie jest antysemitą. Wręcz przeciwnie: należy do towarzystwa przyjaźni niemiecko-żydowskiej.

Albo inne z powiedzeń nagminnych:

— *Es gabe auch gute Juden!* Hitler nie powinien był zabijać Żydów — powiada pewien wzruszony Bawar-pocziwiec po obejrzeniu „Pamiętnika Anny Frank”. — wiercie mi, byli także i dobrzy Żydzi...

Nie wiem, czy to „es gab auch gute Juden” jest najokrutniejszym w swej bezmyślności powiedzeniem w języku niemieckim czy są jeszcze okrutniejsze, ale wiem że także i w naszej mowie ojczystej spotykamy się z pojęciem „dobrego” lub „złego” Niemca.

Nie mówimy, rzecz prosta, o „złych” lub „dobrych” Eskimosach czy Chilijczykach, bo z nimi nie sąsiadujemy i nie mamy porachunków historycznych. Takich na przykład Szwedów od klasyfikacji chronią trzy stulecia i morze, a z Turkami już jest zgoda nad zgodami, wszyscy są „dobrzy”, Cecora poszła w niepamięć. Postęp to, zaprawdę, niemały, skoro przy całym szacunku dla Żółkiewskiego mruczemy dzisiaj z zadowolenia: chwala Bogu, przynajmniej z Turkami nie jesteśmy już na noże.

Przysięgły Lechita, wyznawca swoistego fatalizmu dziejowego, naturalnie powie, że w ogóle nie ma „dobrych” Niemców, wszyscy, może z wyjątkiem poległych, są „zli” i niepoprawni, przynajmniej z naszego, polskiego punktu widzenia.

Jakie to proste: hitlerowcy, nie-hitlerowcy, anty-hitlerowcy — wszyscy w jednym worku, wszyscy są zli, a kto wie czy „dobrzy” Niemcy nie są „najgorsi”, bo przeciwko nim, jak mi tłumaczył pewien „dobry” Polak, w razie potrzeby trudno kogokolwiek zmobilizować na tej planecie. Największym zasięgiem niebezpieczeństwem dla Polski są „dobre” Niemcy...

Z tej karkołomnej „dialektyki” wynika niezbitcie, że „najlepsi” to jednak ci „najgorsi”, a więc himmlerowcy. Tu trzeba jednak wtrącić, iż nie brak dziś niemieckich głosów, twierdzących że hitlerowcy byli „złymi” Niemcami, i to „złymi” przede wszystkim z niemieckiego punktu widzenia, a nie tylko z polskiego, francuskiego czy rosyjskiego. Dopóty każdy naród ma „swoją punkt widzenia”, jedno jest pewne: tragiczne dreptanie w miejscu trwać będzie bez końca, pojedna nas dopiero wspólna śmierć kobaltowa.

Nie zapomnę wyrazu twarzy pewnego polskiego polityka, gdy na zebraniu publicznym w Londynie, w dziesięć lat po wojnie, mówiąc o „odwiecznym wrogu”, o „Raduni w której krwawa woda”, przywołał na pamięć słowa poety o krzyżackim gadzie, którego nigdy nie ugłaszczasz! Nigdy! Przenigdy!

Ten sam mówca domagał się zjednoczenia Europy.

Nie zapomnę również pewnego wiecu w Monachium, na którym pewien niemiecki polityk, z ręką u czoła jak Wernyhora, wołał:

— O Wisło, Wisło, rzeko niemieckiego przeznaczenia! Nie zapomnimy o tobie! Nigdy! Przenigdy!

Ten sam mówca domagał się zjednoczenia Europy.

Czyż mowa ludzka zna epitet bardziej nieprzyzwoity od słowa „nigdy”? Czy nie należałoby któregoś dnia wykreślić tego „nigdy” z naszego ludzkiego słownika?

Na wiecowym transparencie Niemców z Gdańska czytam:

„Danzig ist deutsch!”

Merkwürdig!

Mickiewicz uczył mnie w szkole:

„Miasto Gdańsk, niegdyś nasze, będzie znowu nasze”.

Merkwürdig!

Jakże daleką mamy wszyscy przed sobą drogę! Ile jeszcze krwi i łez poleje się w Europie w imię tego przymiotnika „nasz”!

Autor słów o Gdańsku napisał nam również, na pociechę, inne zdanie:

„Kto mówi o interesach jednego tylko narodu, jest nieprzyjacielem wolności”.

Merkwürdig, po stokroć *merkwürdig!* Bardzo piękne zdanie.

Przyjaciel, którego zagnało po wojnie aż do Australii, pisze mi:

„O pół dnia drogi ode mnie mieszka jeden Niemiec. Co drugą niedzielę jeżdżę do niego w odwiedziny. To i cały mój związek z Europy, ba — z... Polską, bo ten Niemiec, nieciekawa figura, w czasie wojny był w „Tchenstochau”...

Przeżyłem coś podobnego przed kilku laty w Ameryce. Za rogatkami Nowego Orleanu, nad brzegiem Mississippiego, siedział pewien starszy pan o wyglądzie profesora i czytał gazetę. Gdy podszedłem bliżej, spostrzegłem ze zdziwieniem, że trzyma w rękach „Frankfurter Allgemeine”. Stary Niemiec wyjaśnił mi, że gazetę otrzymuje od córki z Mannheimu. Przegadaliśmy dwie godziny. Jak dwóch starych znajomych. Gdybym go spotkał nad Renem lub Menem, nie by mnie ten człowiek nie obchodził. W egzotycznej Louisianie, nad Zatoką Meksykańską, był mi bliski, europejski kraj, ziomek z tej samej części świata. Czegoż ta geografia nie wyprawia z nami! *Merkwürdig!*

Od zakończenia wojny i podziału Niemiec wmawia się rodakom w Kraju, że „dobrych” Niemców od „złych” oddziela granica na Łabie. Formułka nie pozbawiona uroku prostoty: bawarski białorune spacerują po ulicach Magdeburga i Lipska, wilki ostrzą sobie kły nad Renem i Izarą.

Jak każda agitacja, tak i ta, obraca się przeciw agitatorom: ludzie w Polsce skłonni są więc, przez przekorę, wierzyć, że zachodni Niemcy są o całe niebo, o niebo wolności, „lepsi” od wschodnich. Mimo „granicy pokoju i przyjaźni”, spotkań z orkiestrą na moście, wypuszczenia gołębi niewiele się zmieniło na lepsze: sąsiad sąsiada szczerze nie lubi. Drobnym przykładem. Dziennikarzowi z Bonn, który zapuścił się samochodem pod

Lublin, ktoś na postoju przeciął opony. Milicja, po ludowemu sprawna, od razu znalazła sprawcę.

— Chłopak pomylił się — przepraszają dziennikarza na posterunku. — Wziął pana za Niemca ze wschodniego Berlina.

Podział Niemiec nie będzie trwał wiecznie. Prędzej czy później przyjdzie nam sąsiadować z silnym, bogatym narodem, którego wyższość kulturalna i cywilizacyjna, czy to się nam podoba czy nie, jest faktem.

Jak będą wyglądali ci „nowi” Niemcy?

Gdy czytam słowa młodego Franza Böhma, który mówi swoim ziomkom bez ogródek: „Dla nas nie ma odpustu, dla nas jest tylko jedna deska ratunku: całkowita przebudowa psychiki narodowej”; albo przemówienie Theodora Heussa pod obeliskiem w Bergen-Belsen: „Czas przerwać błędne koło: kto nazywa Polaków Polakami, Rosjan Rosjanami, Żydów Żydami, Francuzów Francuzami, a nie widzi w nich ludzi, nie jest godzien miana człowieka”; gdy czytam słowa pisarki Luise Rinser: „Musimy się zmienić, musimy zasłużyć na zaufanie wszystkich narodów świata”; albo okrzyk Rudolfa Hagelstange: „Nasz honor? Poniesienie surowej odpowiedzialności za zło wyrządzone innym — oto jest nasz honor”; gdy czytam te wszystkie żarliwe apele i wezwania do dobrej woli dzisiejszego Niemca, odpycham od siebie natrętą, upokarzającą mnie iako człowieka i Europejczyka myśl o atawizmach plemiennych, o obciążeniach dziedzicznych, o tym fatalistycznym „nigdy” i „zawsze” i „jak świat światem”, i radbym uwierzyć w przemianę owego Niemca mądrogo i lepszego po szkodzie.

Ale co o tej przemianie sądzić, jaki wykreślić jej zasięg, gdy po przeczytaniu szlachetnych w tonie artykułów „dobro-niemieckiej” „Süddeutsche Zeitung” czy po wysłuchaniu audycji takiego „dobro-niemieckiego” radia bawarskiego, nie cofającego się przed najbardziej wstydliwymi porachunkami z przeszłości, po lekturze „Frankfurter Hefte” czy „Hochland” czy „Stimmen der Zeit”, wpada mi w ręce ziejąca nienawiścią i chęcią odwetu „Deutsche Soldaten-Zeitung” a znajomy księgarz mówi:

— *Merkwürdig!* Sprzedajemy teraz znacznie więcej wspomnień wojennych byłych żołnierzy SS niż książek o kacetach!

Oczywiście, byłoby dużą przesadą mówić o niebezpieczeństwie czy choćby o możliwościach odrodzenia się hitlerizmu w Niemczech adenauerowskich. Poza bardzo nieliczną, pozbawioną wpływów politycznych grupką, wśród której, na szczęście, nie ma młodzieży, nikt neohitleryzmu nie chce.

Rzecz jednak w tym, że właściwie nikt go nigdy, poza grupką fanatyków i politycznych desperados, nie chciał, mimo to się pojawił i przez trzynaście lat w samym sercu Europy, niczym trąba powietrzna, szalał, niszczył i zabijał. Kataklizmu tego rodzaju nie biorą się z „chcenia” czy „niechcenia” zainteresowanych, ale z moralnej obojętności niezainteresowanych.

Ile prawdy zawierają słowa Brunona Jasińskiego, wypowiedziane w „Zmowie obojętnych”: „Nie obawiaj się nieprzy-

jaciół, gdyż nieprzyjaciół w najgorszym razie mogą cię tylko zabić; nie obawiaj się przyjaciół, gdyż przyjaciele mogą cię w najgorszym razie tylko zdradzić; natomiast strzeż się i lękaj, gdy się otoczą ludzie na wszystko obojętni: oni wprawdzie nie zabijają i nie zdradzają, ale dzięki ich cichemu przyzwoleniu zbrodnia i zdrada panoszą się na świecie”.

Czym innym jak nie moralną obojętnością można sobie wytłumaczyć pojawienie się na widowni byłych es-emanów? Oto jeden z jaskrawych, wręcz prowokacyjnych przypadków, dający do ręki broń zwolennikom fatalistycznej teorii o Niemcach wiecznie niepoprawnych, przypadek p. Kerna.

W dwanaście lat po samobójstwie swego umiłowanego wódza, oficer SS, Erich Kern alias Kernmayr, wierny zawołaniu rycerstwa z trupią główką: „Meine Ehre heisst Treue”, nie złożył broni, walczył dalej. Już nie z maczugą w dłoni; mimo wszystko czasy się zmieniły — Herr Hauptsturmführer wojuje piórem. Jest redaktorem naczelnym odwetowej, nieprzytomnie nacjonalistycznej „Deutsche Soldaten-Zeitung”. Pod tym właśnie baldachimem „najchlubniejszych tradycji żołnierza niemieckiego” przycupnęli ostatni Mohikanie epoki, która, wedle zapewnień Rosenberga, miała potrwać przez całe tysiąclecie, ale, na szczęście, skończyła się w ciągu niespełna jednego pokolenia.

Przyjrzyjmy się p. Kernowi. Zasługuje na to.

Już jako obiecujący młodzieniec, wilczur nowego ładu, pisał w roku 1942, w grafomańskiej książeczce pt. „Fahne im Sturm” („Chorągiew wśród burzy”):

„Już zbliża się Ten, który zna każdą chwilę naszego życia, wszystkie nasze tęsknoty i radości. Poblądli, spogląda w sam rdzeń naszego bytu, On, *unser Führer*”...

Ostatecznie, taka hagiograficzna paplanina, to jeszcze nie sprawa gardłowa, raczej grzeszek młodości. Jako pacholę, pamiętam, też pisywałem podobne wypracowania o Wodzu Naczelnym, spoglądającym na świat spod daszka. To przesada, że młodość jest okresem buntu. Młodość kapie się w wazelinie i chętnie staje na baczność, co gorsza: czyni to spontanicznie. Ale, oczywiście, jest różnica zasadnicza, którą śpieszę wyjaśnić, zanim to uczynią rozniewane listy do redakcji: nasi wodzowie nie odżywiali się ludzkim mięsem.

Niestety, Herr Kern nie poprzestał na grzeszkach młodości. Gdy tysiącletni Reich legł w gruzach, Erich z trupią główką nie załamał się, jak tylu innych es-esmanów, ale rażno wziął się do roboty nad duchową odbudową młodzieży, porażonej klęską. Na pobojuwisku zawiązał rękawy, splunął w dłoń, i jął wychowywać najmłodszych w duchu narodowo-socjalistycznej krzepy. Zaczął od broszurek pedagogicznych, pisanych na zamówienie kombatanów („Verband Deutscher Soldaten”).

Jak wyglądała ta „edukacja sentymentalna”? Oto utwór pt. „Die Uhr blieβ stehen” („Zegar stanął”). Erich, semper SS fidelis, w obrazkach sławiących męstwo pewnego „Oberjunkra

der Waffen SS" z uniesieniem opisuje dobijanie rannych Rosjan i z wyraźnym obrzydzeniem pisze o ofiarach hitleryzmu.

Kiedy na kartkach jego pouczającej lektury pojawiają się zbiegli z kacetu więźniowie, padają słowa :

„Verdammte Scheisse !... Gewohnheitssäufer, Berufsverbrecher, warme Brüder...”

Jak wiadomo, według oficjalnej wersji, za drutami siedzieli alkoholicy, zawodowi kryminaliści i „ciepli braciszczowie” czyli homoseksualiści. Führer, w sam rdzeń bytu zapatrzony, dobrze zasię wiedział co czyni, zakładając dla nich obozy odosobnienia.

W epopei wiernego Hauptsturmführera nie brak także potępienia garstki odważnych Wiedeńczyków, którzy nie chcieli dopuścić do zamienienia swego miasta w obóz warowny, za co zostali zamęczeni przez SS. Nic dziwnego, że polityczna pornografia p. Kerna jest zakazana w Austrii „wegen Beschimpfung der Widerstandskämpfer” (za obrazę ruchu oporu).

A teraz kilka słów o jego gazecie.

Organ Kerna, pobłogosławiony przez wodza radykalnej prawicy („Deutsche Reichs-Partei”), Adolfa von Thadden i byłego dygnitarza NSDAP, Naumanna, prowadzi heroiczną walkę na wszystkich fronty.

Czego tam nie ma w tej „Soldaten Zeitung”! Rzeczywiście, zegar stanął. I znowu mamy rok 1937 ! Przez dwadzieścia lat nic się nie zmieniło !

Pismo byłego oficera SS bije w „nowoczesną sztukę, zżerając rakiem bolszewizmu”, przy czym bolszewizmem w jego mniemaniu jest wszystko, co nie odznacza się radosną teutońską tężyzną i bojowym nacjonalizmem.

Chłoszcze burmistrza miasta Kassel za zakaz zwołania zjazdu byłych żołnierzy SS.

Zwalcza kierownictwo związków zawodowych w Zagłębiu Ruhry, rzekomo opanowane przez Żydów i „elementy bezojczyzniane”.

Rzuca się na radio bawarskie i berliński klub dyskusyjny „Grünwalder Kreis”, forpocztę „myśli antynarodowej”.

Krytykuje „zgniłą rasowo” muzykę murzyńską.

Domaga się powrotu Niemiec na odwieczny szlak wschodni.

Radzi skończyć z „demokratyczno-parlamentarnym piecuchostwem”.

Atakuje teatry niemieckie (wiadomo : zażydzone) za wystawianie sztuk zagranicznych, wyszydzających patriotyzm, honor i męstwo.

Ostrzega przed rozkładowym wpływem twórczości Brechta, Sartre’a i Picasso na „zdrową z natury duszę niemiecką”.

Wzywa rząd do oficjalnej rehabilitacji SS.

Obrzuca błotem Grafa Baudissin’a cerbera czuwającego nad demokratycznym charakterem nowej Bundeswehr.

Domaga się moralnego i materialnego zadośćuczynienia nie dla byłych kacetowców, ale dla skrzywdzonych niemiłosiernie przez prawo, rząd i opinię publiczną... byłych hitlerowców.

Słowem : Hauptsturmführer SS czyni bodaj wszystko co leży w jego mocy, by powstrzymać rozpoczęty z takim trudem, niemal że syzyfowy, proces re-chrystianizacji i re-europeizacji społeczeństwa niemieckiego, jeszcze niezupełnie wyleczonego z ran zadanych mu przez hitleryzm.

Z jakiego źródła gazeta, redagowana przez Hauptsturmführera, czerpie dochody ?

Moskiewskie „Nowoje Wremia”, w gruncie rzeczy po cichu zadowolone z istnienia takich „Soldaten-Zeitungen”, zarzekają się, że z kasy państwowej Niemieckiej Republiki Federalnej. Rząd Adenauera rzekomo wypłaca temu pismu specjalny zasiłek, by powstrzymać Kerna i jego sympatyków przed... całkowitym ześlizgnięciem się na manowce radykalizmu politycznego. Zbyt fantastyczne, by brzmiało wiarygodnie. Jeśli by tak miało być w istocie, w co nie wierzę, rację ma sowieckie pismo, proponując szczerdym Bonnocykom, by podobne „subsidiūm charitativum” rozciągnęli również na włamywaczy dla powstrzymania ich przed włamaniami.

A oto inne tuzy, duchowo spokrewnione z Hauptsturmführerem. Oto na przykład ich uwagi o wyniszczeniu Żydów przez Trzecią Rzeszę.

Hellmut Sünderman, były zastępca Reichspressechefa, w książce pt. : „No i cóż, stary wrogu ?” („Alter Feind, was nun ?”, Druffel-Verlag) pisze :

„Jeśli chodzi o rozmiary tego wydarzenia (sic !) i problem odpowiedzialności, nigdy go właściwie na żadnym powojennym procesie nie wyjaśniono. Natomiast jest na ten temat wiele fantazji i propagandy... Zdaje się, że umyślnie nie wszczęto w tej sprawie dochodzeń, by móc obciążyć odpowiedzialnością jak najwięcej ludzi”...

Aby położyć kres tym „fantazjom” i „propagandzie”, inny miłośnik prawdy, Gerald Reitlinger, z typowym dla obiektywnych badaczy zamiłowaniem do absolutnej dokładności, próbuje zliczyć „zlikwidowanych” Żydów.

A więc : NIE 5.721.500, jak podają źródła anglosaskie. Ale, jak wykazują żmudne obliczenia p. Reitlingera, TYLKO : 4 miliony 194.200...

Brawo ! Sumienie niemieckie odciążone. O pół miliona „zlikwidowanych” (straszne słowo !) mniej. Można spać spokojnie.

Z zadowoleniem stwierdzam, że młodzieży studenckiej w Berlinie ten typ badań naukowych nie przypada do gustu. Pismo „Colloquium” ostro potępia książkę Sündermanna, „ekspicyjną arytmetykę” Reitlingera i decyzję sądu okręgowego w Monachium, który w książce byłego dygnitarza NSDAP nie widzi nic zdrożnego.

Hauptsturmführer w przebraniu żurnalisty od siedmiu boleści przysparza nowym Niemcom wrogów w świecie, a przecież i tak mają ich do diabła i trochę. Pośrednio przyczynia się do utrwalenia podziału swej ojczyzny. Pod każdym względem działa na

niekorzyść swego kraju. Z każdego punktu widzenia jest naprawdę złym Niemcem, złym bez cudzysłowu.

Nawet ja, była ofiara byłego Hauptsturmführera, dostaję po raz drugi od niego w skórę. Barbarzyńca z trupią główką w herbie chciałby mnie zatruć nienawiścią do Niemców, wepchnąć w ramiona poezji o „krzyżackim gadzie, którego nigdy nie ugłaszczesz”, zabrać mi najpiękniejszą zdobycz lat więzienia — naiwną, niepoprawną wiarę w pojutrzejszą przyjaźń polsko-niemiecką, w grzechów odpuszczenie, w podanie ręki.

Niedoczekanie jego!

Ale nie ten nieszczęsny Kern mnie niepokoi. Takich Kernów jest na szczęście, dzisiaj niewiele. Niepokoi mnie i przeraża obojętność milionów jego rodaków, których taki Hauptsturmführer Kern i jego działalność ani ziębi ani parzy.

— Co? Chce pan naprawdę pisać o tym esesmanie artykuł do gazety? — zdziwił się jeden z moich niemieckich przyjaciół. — Nie warto. Drobna sprawa. Załedwie epizod. Nic znamennego.

Nicht merkwürdig? Właśnie że merkwürdig!

Sehr merkwürdig!

Tadeusz NOWAKOWSKI

Najnowsza historia Polski

Wspomnienia z okresu majowego (dok.)

Nazajutrz, w pamiętnym dniu 12 maja przychodzi jak zwykle o ósmej rano do biura w ministerstwie i usiłuję stać się znowu poważnym szefem departamentu sanitarnego i rozpocząć urzędowanie. Większość oficerów jednak w całym gmachu snuje się po korytarzach, nadsłuchując pilnie nowych wiadomości i nikomu nie śpieszy się do biurka. Koło godziny pierwszej po południu przychodzi do mego pokoju major, pracujący dawniej w P.O.W. i melduje, że Komendant idzie z wojskiem na Warszawę. Nam kazał zostać w biurach i nie pozwolić się rozbroić ani aresztować aż do dalszych rozkazów. Odetchnąłem: jest przynajmniej jakiś rozkaz konkretny. Broni oczywista, gdy taki rozkaz Komendanta — nie oddamy. Przy takich rozmowach idą powoli wskazówki zegara. Wreszcie nadchodzi godzina trzecia i pół, a więc koniec urzędowania. Oficerowie niewtajemniczeni opuszczają jak zwykle ministerstwo, udając się do domów. Około połowy, a więc nasi, zostają i chodzą po korytarzach, przyglądając się sobie wzajemnie. Wszyscy czekają na jakieś wieści z miasta, które jednak nie nadchodziły mimo funkcjonowania telefonu ministerstwa. Nie wiadomo też było zupełnie do kogo dzwonić by zasięgnąć języka. Koło godziny czwartej wpadł do mego gabinetu major aptekarz wojskowy, nie stukając do drzwi i wołając od progu: — Panie generale, co się tam dzieje, generał Szpakowski szamocze się z majorem K. i jakimś kapitanem. Będą strzelać, bo już wyrwywają sobie pistolety!

Udałem się pośpiesznie korytarzem do głównego hallu ministerstwa, lecz zastałem już ciszę i spokój. Dowiedziałem się

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

SENSACJA TECHNIKI I OPLĄCALNOŚCI!

TYLKO

Auto-knitter

66 dol.

wraz

nowoczesny suwakowy aparat dziewiarski, który może dać utrzymanie całej rodzinie w Polsce.

z przesyłką



SŁUŻY DO PRODUKCJI WSZELKICH WYROBÓW TRYKOTARSKICH OD SKARPET DO KOSTIUMÓW DAMSKICH WŁĄCZNIE. 10.000 OCZEK NA MINUTĘ! LICZNIK DO LICZENIA OCZEK DODATKOWO \$6.00.

Tylko przez firmę

TAZAB

22 Roland Gardens, London S.W. 7, England

albo: 36 Third Ave, New York 3, N.Y., tel.: ALgonquin 4-4161.

od będących tam oficerów, że generał Szpakowski, szef gabinetu ministra, siedzi już w swym biurze na drugim piętrze pod strażą dwóch naszych oficerów. Przeszło stu kolegów, którzy w myśl rozkazu przyniesionego od Komendanta pozostali w biurach, dopytywało się o nowiny i wskazówki postępowania. Nie mogłem, niestety, nic im powiedzieć pewnego. Oświadczyłem tylko, że w myśl otrzymanego rozkazu nie dam się aresztować ani rozbroić, choćbym miał strzelać i radzę im zrobić to samo. Wtedy zebrani w hallu jednogłośnie okrzyknęli mnie swym dowódcą. Przyjąłem po chwili wahania, zażądałem przy tym bezwzględniego posłuszeństwa, które mi skwapliwie i ochoczo przyrzekli. Zapowiedziałem, że zamierzam bronić się na pierwszym piętrze hallu ministerstwa, gdzie mają na mnie czekać, po czym wyszedłem z kilku kolegami na dziedziniec, zwabiony panującym tam ruchem i hałasem. Był najwyższy czas. Na moich oczach przez bramę od Placu Zbawiciela na dziedziniec ministerstwa weszła śpiewając, pod dowództwem sierżanta, zamówiona dla ochrony gmachu przez generała Szpakowskiego kompania ordynansów, a tuż za nią kompania sanitarna, dowodzona również przez znanego mi dobrze sierżanta Gierosa. Obydwaj sierżanci zameldowali, że przyprowadzili kompanie do dyspozycji generała Szpakowskiego, na mój rozkaz jednak uszykowali kompanie w dwuszerę i złożyli raport stanu liczebnego. Było razem około stu pięćdziesięciu szeregowych, uzbrojonych w stare karabiny francuskie. Amunicji po 20 naboju na karabin. Po przywitaniu się z żołnierzami, obydwie kompanie podzieliłem po dziesięciu szeregowych między obecnych oficerów i poleciłem wejść na pierwsze piętro. Kazałem zabarykadować schody, okna i korytarze przy głównym hallu biurkami, szafami, fotelami i chodnikami wyniesionymi z biur. Każdą barykadę obsadziłem paru dziesiątkami szeregowych i oficerów. Odwód złożony z kilku dziesiątków poleciłem umieścić, leżących dla wypoczynku w niszy pod zegarem. Pozostałych stu oficerów podporządkowałem pułkownikom jako rezerwę w przyległych biurach. Pluton marynarzy, również sprowadzony uprzednim zarządzeniem generała Szpakowskiego, przyjął i natchnął przemową pułkownik kawalerii Jagrym Maleszewski, który okazał mi wybitną pomoc przy obronie ministerstwa. O obsadzeniu hallu i wszystkich przegotowaniach obronnych zameldowałem wkrótce telefonicznie do Komendy Miasta, gdzie, jak dowiedziałem się od przybyłego oficera, dowodził wojskami zajmującymi już plac Saski, wyznaczony przez Komendanta; generał Gustaw Dreszer. Zatwierdził on moje zarządzenia i nakazał obronę ministerstwa. Ucieszyłem się bardzo, że nie jestem już zawieszony w próżni i wiem, co robić. Na pytanie Dreszera, czy nie jestem atakowany przez podchorążówkę, stwierdziłem, że naokoło ministerstwa panuje spokój oraz zapowiedziałem wysłanie w kierunku Komendy Miasta oddziału łącznikowego, złożonego z dwóch plutonów ordynansów i plutonu marynarzy pod dowództwem doświadczonego, znanego mi z Legionów majora Kazka Hozera. Dreszer

zatwierdził ten zamiar, zwracając uwagę, że jego oddziały dochodzą zaledwie do Alej Jerozolimskich i że cała południowa część Powiśla jest w ręku przeciwnika. Wskazówki te powtórzyłem majorowi Hozerowi i wyszedł on ze swymi żołnierzami na oświetloną ulicę Natolińską, skąd skręcił w Aleje. Ja wróciłem do swego hallu na pierwszym piętrze. Poleciłem jasno oświetlić korytarze i biura sąsiednie, by uniknąć zaskoczenia w ciemności i sprawić wrażenie obsady ministerstwa przez duże siły. W niektórych przyległych biurach zarządziłem przy ciemnych oknach oficerskie posterunki obserwacyjne nad przyległymi ulicami, dziedzińcem i nieobsadzoną znaczną częścią ministerstwa. Na razie, ulice i dziedziniec były zupełnie puste, ale normalnie oświetlone wielkimi lampami łukowymi w Alejach. Od dużych drzew padały mocne cienie, dające możliwość dostania się pod ministerstwo nawet większym siłom przeciwnika.

Oddział Hozera doszedł Alejami Ujazdowskimi do Placu Trzech Krzyży, tu jednak niespodziewanie dostał się pod silny ogień karabinów maszynowych wojsk rządowych, uległ rozproszonemu i wpadł do niewoli. Hozera pod kościołem św. Aleksandra przesłuchiwał osobiście w sposób brutalny minister spraw wojskowych generał Malczewski. Smutną wieść o rozbiciu Hozera przyniósł jeden z podoficerów uciekinierów. Sprawę zameldowałem niezwłocznie Dreszerowi. W godzinę później, sprawdzając placówki ujrzałem ze szczytowego okna ministerstwa przy świetle łukowych lamp przechodzący przez Plac na Rozdrożu milczący orszak: Prezydent Wojciechowski, premier Witos i ministrowie, sztabar Rzeczypospolitej oraz szereg generałów i wyższych wojskowych. Przechodzili powoli w kierunku Belwederu o pięćdziesiąt kroków ode mnie. Byłem zaskoczony widokiem tego smutnego odwrotu władz naczelnych państwa. Naturalnie zakazałem strzelać stojącym obok mnie żołnierzom. Dostojnicy szli spokojnie w kierunku siedziby Prezydenta nie przejawiając naszej obecności w ciemnych tutaj oknach. Zaobserwowane przejście władz naczelnych zameldowałem telefonicznie generałowi Dreszerowi, który był rad, że nie strzelałem, gdyż Komendant nie występuje przeciw Prezydentowi i zamierza pertraktować z nim jeszcze tej nocy, by uniknąć dalszego rozlewu krwi. Wobec spokoju wokół wysłałem mocny patrol rekwizycyjny do pobliskiego kasyna garnizonowego przy alei Szucha po żywność, gdyż wszyscy nie jedliśmy od południa. Przynieśli w workach większą ilość chleba i wędlin, które zostały przez obu będących przy mnie sierżantów podzielone na równo w hallu na oczach wszystkich i rozdane naprzód szeregowym, potem oficerom. Było tego na razie dosyć dla wszystkich. Kilku oficerów pracujących zwykle w ministerstwie, stojących po stronie rządu, którzy zgłosili się po rozkazy, poleciłem umieścić w oddzielnym pokoju pod strażą naszych oficerów. Spokój panował do północy. Większość oficerów i żołnierzy usnęła leżąc na podłodze korytarza. Naraz w ciszy nocy usłyszeliśmy od strony dziedzińca ministerstwa hałasy i odgłos kroków większego oddziału, po

czym z parteru wycofała się nie strzelając moja oficerska placówka, meldując, że do gmachu przez główne wejście wchodzi większa ilość podchorążych pod dowództwem oficerów. Szeregowi i oficerowie obsadzający z naszego piętra zabarykadowane schody przygotowali broń, wpatrując się w mały jedynie widoczny odcinek hallu na parterze. Zatupały trzewiki po kamiennej posadzce na dole i podchorążowie zbliżyli się do naszych schodów. Major broniący barykady krzyknął: — Stać! będą strzelać!

Po chwili nagłej ciszy kilkunastu podchorążych z bagnetami na karabinach rzuciło się krzycząc na dolne stopnie schodów, lecz przed wysoką barykadą z biurek i chodników cofnęli się szybko po pierwszej salwie obsadzających schody ordynansów. Nie zaszła nawet potrzeba ruszenia żołnierzy, śpiących w niszy pod zegarem. Na dole w hallu rozległy się jęki i wołanie o pomoc kilku rannych. Słychać było jak koledzy wynosili ich z hallu, po czym zapanowała cisza na przeciąg dobrej godziny. Naraz znowu świeże siły podchorążych rzuciły się z krzykiem na schody, chcąc widocznie nas zaskoczyć, ale również z łatwym do przewidzenia, wobec silnego zabarykadowania schodów, skutkiem ujemnym. W międzyczasie strzelali do nas z parteru, ale kule szły w sufit nie robiąc nam szkody. W ciągu nocy pułkownik Paszkiewicz lekkomyślnie przypuszczał pięć takich ataków na bądź co bądź umocnioną pozycję i to bez przygotowania artyleryjskiego.

Zostały one wszystkie odparte bez strat dla nas. Byliśmy jednak dobrze zmęczeni ciągłym czuwaniem. Podchorążowie w przerwach między natarciami wydawali na parterze okrzyki i biegli nagle ku bronionym przez nas schodom. Dyscyplina ognia z niedostatecznie wyszkolonymi ordynansami osobistymi i sanitariuszami nie była świetna i przy każdym pozorowanym natarciu żołnierze nasi niepotrzebnie strzelali. Wywoływało to okrzyki triumfu i naigrania się ze strony podchorążych, a co gorsza groziło wyczerpaniem naszej skąpej amunicji. Koło drugiej godziny w nocy otrzymałem telefon z Ostrowi-Komorowa od pułkownika Boruty-Spiechowicza, który meldował, że pułk jego jest gotów na stacji do zawagonowania i przyjazdu do Warszawy do dyspozycji rządu. Telefonuje więc do ministerstwa, oczekując dalszych rozkazów. Rozumiejąc, że moja decyzja nie będzie dla Boruty miarodajna, poprosiłem siedzącego w swym gabinecie zastępcę szefa administracji armii generała Norwid-Neugebauera by przyszedł do telefonu i upewnił Borutę, że przyjazd jego do Warszawy jest zbyt czyny. Ma więc odprowadzić pułk do koszar i czekać na dalsze rozkazy. W ten sposób opóźniliśmy przybycie do Warszawy pułku dzielnego Boruty. Po telefonie generał Neugebauer wrócił do swego gabinetu. O świcie zajechał na dziedziniec ministerstwa duży samochód pancerny i nagle kilkakrotnie raz po raz strzelił z działka, trafiając w ścianę hallu tuż obok okna. Wybity został dość duży otwór w murze nad schodami. Polały się kaskady wody z rozbitych kaloryferów

centralnego ogrzewania. Nie strzelając na szczęście dłużej samochód odjechał. Nowe przypuszczone natarcie, obliczone widocznie na nasze zdemoralizowanie ogniem artyleryjskim, zostało również z łatwością odparte. Strat istotnych nie mieliśmy, paru żołnierzy tylko zostało rannych odłamkami gruzu. Koło szóstej godziny rano, obchodząc posterunki, zobaczyłem przez okno trzech podchorążych leżących beztrósko na ulicy Nowowiejskiej tuż pod oknami ministerstwa. Obsługiwali ciężki karabin maszynowy skierowany na Plac Zbawiciela. Otworzyłem okno i, mówiąc kto jestem, kazałem im odejść, grożąc w razie przeciwnym ogniem stojących obok mnie żołnierzy. Nie ruszając się z miejsca, odpowiedzieli, że mają rozkaz tu być, więc nie odejdą. Sytuacja stała się bardzo przykra. Jakże strzelać do tych upartych dzielnych chłopaków? Powoli i spokojnie powiedziałem im, że rozruchy obecne wkrótce się skończą. Niedługo jednak będzie ich egzamin w szkole. Uprzedzam więc, że postaram się wtedy powiedzieć, jak to oni pozwolili oskrzydlić swój karabin i narażać się na moje strzały, które padną za chwilę. A kiedy będą już ranni każę zabrać ich karabin. To wszystko na pewno zdyskwalifikuje ich przy końcowym egzaminie. Skutek był niezwłoczny. Nastąpiła krótka przyciszona wymiana zdań, po czym trzech podchorążych wstali powoli, unieśli podstawę i uprzątnęli karabin maszynowy za drzewa Alej Ujazdowskich, idąc umyślnie wolno, by nie okazać strachu. Przejornie odsunęliśmy się od okna z obawy przed zemstą podchorążych, ale żadne strzały nie padły. Byliśmy już bardzo głodni i zmęczeni. Telefonowałem do Komendy miasta o jakieś śniadanie dla żołnierzy. Koło dziesiątej rano przyszedł pułkownik Kmicic-Skrzyński z rozkazem od generała Dreszera, by wszyscy oficerowie udali się do Komendy Miasta. Nasz odcinek w ministerstwie obejmuje kapitan, który nadszedł z kompanią karabinów maszynowych, by wzmocnić ordynansów i sanitariuszy. Od paru godzin nie było natarcia na nasz hall. Obszedłem z kapitanem i pułkownikiem Skrzyńskim nasze placówki i wskazałem skąd szły na nas główne natarcia. Potem, gdy wszyscy oficerowie opuścili ministerstwo, pożegnaliśmy nowego jego obrońcę i pustymi korytarzami doszliśmy do wyjścia na dziedziniec. Pod słabym ogniem karabinowym podchorążaków wycofaliśmy się przez dziedziniec ministerstwa do Placu Zbawiciela i rozproszeni szliśmy przez załaną słońcem ulicę Marszałkowską w kierunku zieleniejącego w oddali Ogrodu Saskiego. Radość tego wesołego przemarszu mąciła myśl o pozostawionych zmęczonych ordynansach i sanitariuszach. Pułkownik Skrzyński mówił, że będą mogli oni teraz odpocząć. Sytuacja nasza poprawiła się znacznie od wczoraj dzięki współdziałaniu kolejarzy. Pomagali oni przy załadowaniu dywizji Śmigłego z Wilna. Obecnie nadszedł z Kutna pułk piechoty Bortnowskiego, ale w drodze są posiłki rządowe z Poznańskiego i Pomorza celowo opóźniane przez sabotujących kolejarzy. Dopiero gdy oni przyjadą wtedy może być gorąco tym, co zostali w ministerstwie. Niestety nie mogą na to mieć żadnego wpływu. Koleżeń-

stwo koleżeństwem, ale rozkaz rozkazem. Ten wzywa mnie do Dreszera, do Komendy Miasta. Idziemy więc dziarsko pustawą, z rzadka ostrzeliwaną od strony Placu Zbawiciela ulicą Marszałkowską. Ponieważ jezdnia jest pusta, idziemy środkiem ulicy. Okna domów są szeroko pootwierane. Dolne piętra obsadzone głowami i główkami ciekawych. Stróże i mieszkańcy górnych pięter zeszli na dół i tulą się we wnękach i bramach kamienic. Niesforne dzieciaki biegają od wrót do wrót nawoływane przez matki, gdyż kule jednak gwiżdżą, lub sucho padają na bruk.

— Panowie za kim?! — pyta średniego wieku w skórzanym fartuchu rzemieślnik, z grupy ludzi stojących za bezpiecznym rogiem ulicy Nowogrodzkiej.

— My, naturalnie za Dziadkiem! woła jeden z oficerów.

— A czy cofacie się? — pyta z niepokojem drugi cywil.

— Nie, idziemy tylko, gdzie każą! — odpowiadają nasi.

— Nie bójcie się, Dziadek zwycięży jak zawsze. On to umie!! — woła młody oficer.

— Niech mu Pan Bóg da zdrowie, to chleb drożęć przestanie! woła miła, tęga paniusia chowająca mokre ręce w fartuchu.

Ta postawa ulicy za Dziadkiem była balsamem na nasze serca. Wkrótce jednak mieliśmy obrazek odmienniejszy treści. Gdy w towarzystwie dwóch oficerów żandarmerii dochodziłem do ulicy Królewskiej, publiczność z otwartych mocno obsadzonych okien kamienic, myśląc, że jestem aresztowany, krzyczała, bym uciekł do nich i nie dał się prowadzić. Jakiś dobrze wyglądający w szlafroku i siatce na głowie starszawy pan w oknie pierwszego piętra chwycił nawet w rękę kwiaty w doniczce i potrząsając tą bronią wołał: — Puście go zaraz!! — Zatrzymałem się i krzyknąłem, że kwiaty mogą przyjąć nawet bez doniczki, ale dziękuję za tak gorącą pomoc, gdyż idę o własnej woli i nie dzieje mi się żadna krzywda. Śmieli się wszyscy wokoło z tak efektownej, choć trochę platonicznej chęci pomocy. W wielkiej poczekalni Komendy Miasta otrzymałem gromkie oklaski od zebranych tam już kolegów za wyprowadzenie ich z tarapatów z podchorążówką. W gabinecie Komendanta Miasta zameldowałem generałowi Dreszerowi sytuację w ministerstwie prosząc o złuzowanie zmęczonych ordynansów i sanitariuszy, ale oświadczył, że to w tej chwili niemożliwe ze względu na napięcie sytuacji bojowej. Przyrzekł natomiast podesłać im wkrótce kuchnię z obiadem. Uspokojony położyłem się na kanapie w poczekalni i zaraz zasnąłem. Koło godziny trzeciej po południu zbudzono mnie, bym szedł do generała Dreszera. Spojrzał rozbawiony na moją rozespaną fizjognomię i powiedział przyjaźnie: — Widzę, że już zupełnie wypocząłeś. Czeka cię nowe zadanie i to samodzielne, a nawet zaszczytne. — Po czym dał mi rozkaz: zdobyć gmach ratusza i objąć obowiązki Komisarza Rządu na miasto stołeczne Warszawę. By nadać temu cechy „legalne”, wręczył mi krótką, lakoniczną nominację napisaną na małej karteczce wydartej z bloku telefonicznego. Spojrzałem na nią z pewnym powątpiewaniem, ale jednak, później, służyła mi ona jako jedyne

źródło władzy przez kilka tygodni mej pracy administracyjnej. Ponieważ Dreszer miał wiadomości, że w gmachu ratusza znajduje się oddział 120 policjantów, sprowadzonych przez rząd z Torunia, oddał do mej dyspozycji batalion, stojącego już po naszej stronie, trzydziestego pułku piechoty i działą konnej artylerii. Poza tym mam otrzymać dwóch cywilów, znających stosunki w Komisariacie Rządu jako przewodników. Gdy oświadczyłem, że prawdopodobnie dam sobie radę z batalionem, a działą lepiej użyć do walki z wojskiem, uśmiechnął się i chwytając mnie za rękę zawołał przyjaźnie: — Bierz bez skrępow, nawet jako humanitarny lekarz! Działą nie może strzelać, bo ma złamaną iglicę, a zapasowej nie mamy. Sam widok jednak „armaty” może ci pomóc uniknąć rozlewu krwi przy zdobywaniu ratusza. — Podziękowałem więc za nowe zaufanie i za chwilę, po odebraniu raportu stanu batalionu i działonu przed Komendą Miasta, podążaliśmy marszem ubezpieczonym Krakowskim Przedmieściem i ulicą Trębacką na Plac Teatralny. Przy straży przedniej złożonej z jednej kompanii strzeleckiej, prócz dowódcy batalionu i mnie szli w cywilnych ubraniach: wyrzucony z policji inspektor Władysław Jaroszewicz i naczelnik wydziału bezpieczeństwa Komisariatu Rządu Janusz Gorzechowski, syn generała. Dołączyli oni do mnie przy wyjściu z Komendy miasta razem z adiutantem moim, kapitanem Rozmarynowskim. Za strażą przednią pokrzepiająco dudniło po bruku działą pod dowództwem przystojnego porucznika, na którego wyniosłej konnej postaci ogniskowały się piękne oczy ze wszystkich otwartych okien. Za konną obsługą działą szła kompania karabinów maszynowych i dwie kompanie strzeleckie. Zatrzymaliśmy kolumnę u wylotu ulicy Trębackiej i w kilku wyszliśmy na Plac Teatralny. Tu doradcy cywilni zaznajomili mnie, majora dowódcę batalionu i porucznika artylerii z położeniem. Na prawo, w ładnym pałacyku Blanka, za zamkniętą żelazną bramą, strzeżoną przez policjanta z karabinem, znajduje się komenda policji. Jest tam odwach i tam właśnie mogą być sprowadzeni z Torunia policjanci. Sam gmach ratusza aż do wieży zajęty jest przez magistrat miasta Warszawy, a dopiero na lewo od wieży są biura Komisariatu Rządu, które mamy zdobyć. Okna magistratu były zupełnie puste za to Komisariatu Rządu obsadzone ciekawymi, zapewne, urzędnikami. Zaczęliśmy powoli, nie śpiesząc się rozwijać nasze siły na oczach milczącego przeciwnika. Odprzodkowaliśmy groźne działą za kępą bzu, otaczającą szaleń użyteczności publicznej. Karabiny maszynowe ustawione zostały poza filarami kolumnady teatru. Na lewym skrzydle rozwinęła się jedna kompania. Reszta batalionu została umieszczona u wylotu ulicy Trębackiej. Postanowiłem spróbować objąć władzę w Komisariacie Rządu drogą osobistych pertraktacji, popartych oczywiście moimi siłami i udać się w tym celu na jego teren. Poleciałem dowódcy batalionu wejść z dwiema kompaniami do biur Komisariatu, gdybym nie wracał stamtąd w przeciagu kwadransa. Żelazna brama pałacu Blanka była wciąż zamknięta poza tym

widać było za nią kilku policjantów. Zbliżyłem się powoli do tej bramy w towarzystwie Władysława Jaroszewicza, Janusza Gorzechowskiego i kapitana Rozmarynowskiego. Na moje polecenie posterunek otworzył bramę i weszliśmy na dziedziniec. Kilku policjantów, typowych warszawiaków, stojących obok ustawionych przed wartownią karabinów przyglądało nam się ciekawie. Na szczęście, toruńskich policjantów nie było nigdzie widać. Postanowiłem odbyć decydującą rozmowę na tym dziedzińcu. Wysłałem naczelnika Gorzechowskiego do będącego w swym biurze Komisarza Rządu, by zjawił się na dziedzińcu, grożąc w przeciwnym razie wprowadzeniem wojska do biur. Przybył wkrótce w towarzystwie Komendanta Głównego Policji. Byli obaj bladzi, ale zachowywali się z godnością. Zasalutowałem, odpowiedzieli ukłonem, po czym pokazałem swą dreszerowską nominację, dodając, że rozumiem ich sytuację, ale że, moim zdaniem, powinni ustąpić w imię rozsądku i uniknięcia rozlewu krwi, a to wobec mej oczywistej przewagi. Tu wskazałem na swój batalion, karabiny maszynowe i odprzodkowane działo. Wyrazili gorący protest, którego ja wysłuchiłem spokojnie. Potem, widząc ich milczącą rezygnację, kazałem wywołać wartę pod broń, przywitałem się i poleciłem wszystkim policjantom odejść do wartowni. Obydwaj panowie patrzyli ponuro na te wstępne wyczyny obejmowania władzy, po czym na moją życzliwą propozycję powoli, ale z widoczną ulgą, odeszli do domu, kierując się z bramy do ulicy Focha. Krętymi, ciemnymi korytarzami, prowadzony przez naczelnika Gorzechowskiego, doszedłem do biura Komisarza Rządu. Batalion i działo odesłałem generałowi Dreszerowi z meldunkiem objęcia władzy w Komisarzacie Rządu. Wobec niepewnej jeszcze sytuacji zostawiłem sobie dwa karabiny maszynowe, których znużona obsługa natychmiast usnęła na podłodze, w pokoju sekretarza. Na moje pytanie, skierowane do generała Dreszera, co mam robić dalej, gdyż dobrze nie wiem jakie są obowiązki i prawa komisarza rządu, niefrasobliwie odpowiedział: — To już, mój Sławoju, twoja rzecz. Przeczytaj sobie w spokoju twego biura potrzebne ustawy. Na razie obowiązkiem twoim jest utrzymać porządek i spokój w Warszawie oraz zapewnić ludności wyżynienie po normalnych cenach. Jest to bardzo ważne dla powodzenia naszej akcji. Życzę ci pomyślności — po czym zawiesił słuchawkę.

Zbliżał się wieczór. Wezwałem naczelnika Gorzechowskiego. Polecilem urzędnikom, z wyjątkiem wydziału bezpieczeństwa, odejść do domów i zjawić się jutro o godzinie ósmej rano. Naczelnik upewnił mnie, że w Warszawie na razie wszędzie jest spokój, a on i jego wydział panuje nad sytuacją.

Na moją prośbę przyniósł mi Dziennik Ustaw z prawami i obowiązkami prawdziwego Komisarza Rządu na miasto stołeczne Warszawę. Próbowałem to czytać, ale nadmiar wrażeń, zmęczenie i sennosć zaczęły mi ciążyć. W biurach zapanowała pustka i wieczorna cisza, gdyż wkrótce urzędnicy poszli do domu. Dyżurny woźny posłał mi na kanapie w gabinecie.

W mieście ucichły odgłosy walk i nastał spokój. Gdzieś tam tylko padały pojedyncze strzały karabinowe. Zresztą to już mnie nie dotyczyło. Zostałem sam na bocznym torze. W pokoju sekretarza chrapali po dobrej kolacji moi znużeni karabiniarze. Przez wielkie okno mego nowego, narożnego biura wpadało z Placu Teatralnego fioletowe światło lamp łukowych. Nim ciężko usnąłem pokonany zmęczeniem, uświadomiłem sobie smutną prawdę, że oto koledzy łagodnie spławili mnie z wojska do administracji. Komendant zajęty ważnymi sprawami zapewne nawet o tym nie wie.

Nazajutrz, 14 maja, wesołe głosy ptaszków swawolących w kępach bzu Placu Teatralnego obudziły mnie już o piątej rano. Słońce jasno świeciło. Pierwszą myślą moją było, że oto śpię w tym wielkim nieznanym mi biurze, gdyż jestem w administracji. Ubrałem się szybko. Początkowo w mieście panowała cisza, ale wkrótce od strony Belwederu zaczęły dochodzić odgłosy gwałtownej walki. Kapitan Rozmarynowski wprowadził naczelnika Gorzechowskiego, który oświadczył, iż rząd i Prezydent Wojciechowski odrzucili wczorajsze starania Komendanta o porozumienie i obecnie nasze wojska zaczynają atakować okolice Belwederu. Poza tym w mieście panuje narazie spokój, ale komuniści, korzystając z zamieszania, zwołali na dzisiaj wielki wiec na Placu Muranowskim obok dworca Gdańskiego, po czym mają próbować pochodu przez miasto. Powiedziałem, iż naprzód chcę załatwić sprawę tajemniczego, nieznanego mi bliżej, oddziału policji toruńskiej i w tym celu zaraz po śniadaniu pojedziemy do ich skoszarowania w pobliżu ratusza, by zbadać sprawę na miejscu. Wszystkowiedzący naczelnik Gorzechowski odpowiedział, że zna już sprawę i że toruniacy nie są bynajmniej agresywni. W jego biurze od piątej rano siedzi ich delegacja. Mają mnie prosić o odesłanie ich do domu. Ucieszyłem się bardzo z tego pomyślnego obrotu rzeczy i postanowiłem przyjąć toruniaków. Na razie wyszedłem do sekretariatu i odesłałem do cytadeli swych karabinierów, którzy wyspali się dobrze, a teraz odczuwali młodzieńczy głód poranny. Podziękowałem im za służbę i odeszli do koszar. Delegacja policjantów toruńskich składała się z trzech osób. Oficer, przodownik i posterunkowy prosili mnie posłusznie, lecz gorąco, bym odesłał ich do Torunia. Siedzą tu już trzy dni bez żadnych wiadomości. Jest wojna, więc niepokoją się o losy rodzin, będąc tu odcięci od swoich, a przy tym nie mają zupełnie co robić. Rozkazu rządu usłuchali i przyjechali do Warszawy, ale przecież ich obowiązek to pilnować porządku w Toruniu. Opanowując radość wewnętrzną, odpowiedziałem im, że wzywa! ich dawny rząd. Mają rację, że ich służba i miejsce w Toruniu, toteż postaram się niezwłocznie ich tam wysłać. Chodzi mi tylko o to, że każdy napotkany bijący się oddział wojskowy zarekwiruje ich i będą musieli się bić, bo drogi do Torunia wolnej nie ma. Na to oni, że już przemysłiwali i proszą o odesłanie ich Wisłą. Jeżeli dostaną rozkaz na przejazd i zarekwirowanie statku, to oni już sobie radę dadzą i do Torunia

jakoś na jutro dojadą. Zgodziłem się na ich projekt, gdy wszedł naczelnik Gorzechowski, mówiąc, że komuniści zebrali już wiec na Placu Muranowskim, a koło południa ruszą Nalewkami do śródmieścia. W tej sytuacji wydałem swe pierwsze zarządzenie administracyjne. Zostaną niezwłocznie zarekwirowane dwa statki pasażerskie na Wiśle. Policjanci toruńscy wrócą do koszar i zawiadomią kolegów o moim rozkazie wyjazdu do Torunia. Przedtem jednak muszą nam pomóc. Dlatego za dwie godziny pomaszerują z policjantami warszawskimi na Muranów, przejdą przez Plac Muranowski, gdzie odbywa się wiec, rozproszą komunistów, przemaszerują nad Wisłę i dzisiaj po południu odpłyną do Torunia. Odeszli wielce zadowoleni, mówiąc, że jak oni przejdą przez Plac Muranowski, to rozproszą komunistów, choćby tam była zebrana cała Warszawa. Niech zaś zobaczą, co to toruniacy. Po załatwieniu policjantów toruńskich już koło godziny dziesiątej wyszedłem do zebranych w sekretariacie urzędników Komisarjatu Rządu. Wzwałem ich do spokoju i pracy dla państwa, przyrzekając, że będę uzależniał swój stosunek do nich od wyników tej pracy. Sytuacja będzie wkrótce opanowana i proszę obecnie o załatwianie spraw zaległych i bieżących. Potem wydałem zarządzenia bardziej szczegółowe. Ja sam postaram się dać im przykład pracowitości i punktualności. Z tym się rozeszli milcząc po biurach. Obecnie na zebraniu podinspektora Czyniowskiego, komendanta policji na miasto Warszawę, zwołałem od razu, by mógł zająć się zorganizowaniem rozproszenia komunistów i odjazdu toruniaków. Poza tym z przyjemnością spotkałem kolegę z gimnazjum kieleckiego Świerczewskiego. Jak zawsze elegancki i dobrze ułożony, po skończeniu prawa był obecnie naczelnikiem wydziału ogólnie administracyjnego i personalnego Komisarjatu Rządu. Po odprawie urzędników prosiłem go o współpracę koleżeńską, a nie tylko formalną, gdyż zupełnie nie jestem przygotowany do odpowiedzialnej funkcji, którą narzuciły na mnie wypadki dni ostatnich.

Przyrzekł i co ważniejsze słowa dotrzymał, choć w przekonaniach osobistych był bardzo endekoidalny. Koło godziny trzeciej po południu naczelnik Gorzechowski oświadczył, że komuniści zostali rozproszeni, a toruniacy maszerują już do statków na Wiśle. Wyjechałem tam samochodem i wkrótce na przystani parostatków koło mostu Kierbedzia odbyło się serdeczne pożegnanie toruniaków, po defiladzie i podziękowaniu z mej strony za ich owocną służbę. Byli dobrze zmęczeni, ale pełni radości z odjazdu. Potem odpłynęli ku wielkiej mojej uldze. Gdy pierwszy statek odbił na wodę zaśpiewali jakąś pieśń o bardzo germańskiej potężnej melodii. Stałem na przystani i aż do chwili, gdy statki zniknęły za filarami mostu Kierbedzia zupełnie niesłużbowo machaliśmy wzajemnie chusteczkami. Zdaje się, że obydwie strony: zarówno oni jak i ja wynieśliśmy dobre wrażenie ze zgodnej, choć krótkiej współpracy. Późnym popołudniem dowiedziałem się, że Komendant jeszcze raz zwyciężył i że walki ukończone. Uspokojony co do sytuacji ogólnej zabrałem się po-

nownie do studiowania Dziennika Ustaw o mych nowych obowiązkach i prawach. Nie szło tak dobrze jak z regulaminem służby polowej i walczyłem z dużymi wątpliwościami i trudnościami. Tak zakończył się drugi dzień mego nowego urzędowania.

Jasny ranek dnia 15 maja wyrzucił mnie z sofy w biurze i przypomniał o mych nowych obowiązkach w związku z zakończeniem walk. Przez urzędnika dyżurnego zaalarmowałem szofera celem wyjazdu na miasto i sprawdzenia wyglądu stolicy po trzech dniach krwawych zmagania. Ruszyliśmy dopiero koło piętej rano, gdyż zepsuty starter samochodu źle działał. Jechaliśmy do Krakowskiego Przedmieścia i w kierunku Alej Ujazdowskich. Ulice były puste, gdyż normalny dowóz żywności jeszcze się nie rozpoczął po przerwie wywołanej walkami. Jechaliśmy powoli wobec wielu wyrastających nagle przeszkód na jezdni. Powyrywany bruk, poprzewracane tramwaje i samochody, zasieki i barykady na ulicach, ławki porzucone wpoprzek jezdni tworzyły przeszkody dla mającego się rozpocząć na nowo ruchu ulicznego. Zaraz po powrocie do biura, o godzinie szóstej, zatelefonowałem do prezydenta miasta Słomińskiego, prosząc go o zmobilizowanie całego taboru miejskiego celem szybkiego uporządkowania ulic koniecznie jeszcze w dniu dzisiejszym. Przyrzekł zrobić, co możliwe i słowa dotrzymał: w godzinach popołudniowych wszystkie ulice oddane zostały do prowizorycznego użytku. Miało to wielkie znaczenie dla umożliwienia dowozu żywności do wygłodzonej Warszawy. Celem wykluczenia spekulacji towarami poleciłem obowiązkowo otworzyć wszystkie magazyny i sklepy spożywcze oraz hale i targowiska miejskie. Sprzedaż ma się odbywać po cenach sprzed tygodnia. Opornych natychmiast aresztować. Po wydaniu tych wszystkich zarządzeń już koło godziny jedenastej wyjechałem do Komendy Miasta, by dowiedzieć się od mego mocodawcy Gustawa Dreszera jak długo pełnić mam te narzucone mi obowiązki administracyjne. Generał w Komendzie Miasta niestety już nie było. Zaraz po ukończeniu zwycięskich walk Komendant odesłał go do domu, by wypoczął po trzech dniach i nocach prowadzenia operacji bojowych. Pozostałem więc tylko z karteczką nominacyjną, której autor przestał już pełnić związane z jej wystawieniem mocne, ale chwilowe funkcje. Adiutant Komendanta, major Juliusz Ulrych, rozkładał ręce, że Komendant nie może mnie przyjąć, gdyż jest bardzo zajęty. Na moje pytanie, czy Komendant wie przynajmniej, że pełnię funkcje Komisarza Rządu, odpowiedział bez wielkiego przekonania, że przypuszcza iż Komendant o tym wie.

W tej chwili wszedł do poczekalni Komendy miasta wschodbylski Szczapa i ujrawszy mnie zawołał: — Padam do nóg, sługa pana Komisarza! „Pan Komisarz”, co za świetny tytuł i to obojętne policji, czy rządu! Zawsze to komisarz, czyli dostojnik, który załatwia komisje, a czyje komisje nie jest powiadziane, ale powiedziane ogólnie — rządu. I co za awans: z generała choć sanitarnego na pełnowartościowego komisarza! Jedno „ale”. Troszkę mi ten tytuł wschodem załatuje. Leczą co za

wygoda — woła Szczapa, zwracając się do kilku kolegów, obsiadających konapę w poczekalni. — Gdy my tu krwawo walczymy, pan komisarz siedząc wygodnie w stylowym gabinecie, dyktuje swoje rozporządzenia i pochylony nad wybraną maszynistką kontemplanuje budowę kształtnego organizmu piszącej. To żyć nie umierać! A kiedyż będzie załatwiona ważna komisja cylinderka, fraka, garniturka czarnego?! Chcielibyśmy to zobaczyć jak najwcześniej. Pan Komisarz już odchodzi?! Rozumiem, ważne sprawy państwowe i to niecierpiące zwłoki, więc cóż ja Szczapa?! Obywatele! Uczcijmy przez uroczyste powstanie dotychczasowe i przysze sukcesy państwowe naszego drogiego pana Komisarza.

Wróciłem po wysłuchaniu tej przekornej koleżeńskiej gadaniny do biura, nie mogąc niestety złapać jakiejś władzy przełożonej, która by albo zatwierdziła moje stanowisko, albo zwolniła mnie z nowych funkcji. Kiedy w biurze pokazałem moją karteczkę nominacyjną naczelnikowi Świerczewskiemu powiedział, że do tak uproszczonej nominacji trzeba mieć na placu przed biurem poparcie bagnetów. Nie ma ona obecnie już żadnego znaczenia, a formalnie jestem szefem departamentu sanitarnego ministerstwa spraw wojskowych. Mimo to naczelnik Świerczewski oświadczył, że jako odpowiedzialny za spokój i porządek w stolicy muszę zameldować się u zastępującego obecnie Prezydenta Rzeczypospolitej Marszałka Sejmu — Rataja. W myśl tego koło godziny piątej po południu meldowałem się w sejmie u tego mądrego kulturalnego pana, wyglądającego na rasowego arystokratę. Marszałek Rataj wysłuchał mego meldunku o spokoju i zaopatrzeniu w żywność Warszawy, po czym polecił mi dalsze pełnienie funkcji, mówiąc, że w dniu dzisiejszym powstaje już gabinet rządowy profesora posła Kazimierza Bartla. Niezależnie od tego, poleca mi meldowanie sobie bezpośrednio lub telefonem wszelkich spraw, zagrażających spokojowi politycznemu lub zaopatrzeniu w żywność stolicy. Z sejmu wyjechałem prosto do prezydium Rady Ministrów w dalszym poszukiwaniu jakiejś konkretnej władzy. Tą jedyną obecnie, daj Boże, osiągalną dla mnie władzą jest teraz przecież premier Bartel. Zaraz za Bristolem, obok potężnych, uderzających swą bezsporną męskością, na szczęście spoczywających lwów, wjechaliśmy na obszerny dziedziniec pałacu namiestnikowskiego. Przed kolumnadą stało kilka porządných samochodów, przy których „mój” zielony odrapany Austro-Daimler był starym gruchotem. W wielkim ciemnym hallu zapalone już były lampy. Na spotkanie moje wybiegł wysoki tęgą blondyn w letnim mundurze — porucznik Zaćwilichowski i, zapisując mnie rzeczowo do swego bloczku, krzyknął: — Witamy generała-komisarza! — po czym wprowadził do sekretariatu, gdzie już siedziało kilku nieznanych mi starszych panów. Popchnął mnie zlekka na jasno obite stylowe krzesło szepiąc poufale:

— Zaraz generała wpuszczę!

Przez podwójną warstwę wielkich drzwi, które zaraz zamknęły się za mną, wszedłem do dużej oświetlonej wieloramienną

nym zwisającym u sufitu świecznikiem, sklepionej sali. Zza wielkiego biurka, stojącego w rogu obok weneckiego okna, wstał mocno zbudowany, nieco łysiejący mężczyzna i szybko podchodząc do mnie zawołał: — Jakże się cieszę, że generał zgodził się podjąć tej ciężkiej odpowiedzialnej pracy! — Potem wziął mnie za ramię i posadził w fotelu przed biurkiem, sam zajmując pozycję za tym potężnym biurokratycznym bastionem.

— Panie Premierze, otrzymałem rozkaz od generała Dreszera pełnić funkcje komisarza rządu, nie wiem, czy rozkaz ten jest ważny, gdyż formalnie jestem ciągle szefem departamentu sanitarnego.

— Ależ, naturalnie, rozkaz ten jest ważny! — zawołał premier Bartel.

— Tworzę wprawdzie tymczasowy, ale mocny, rewolucyjny gabinet. Jest mi pan, generale, potrzebny i musi pan pracować! Dlatego też przyjmuję pana od razu przed tymi panami w poczekalni, którzy mają dużo czasu i posiedzą chętnie, bo to kandydaci na ministrów!! Ja już jestem pewny swego, choć mam w swoim gabinecie dopiero jednego ministra, ale za to dobrego!! — Gdy milczałem słuchając, wykrzyknął dalej: — Moim ministrem spraw wojskowych jest pan Marszałek!! Rozumie pan więc, że choć podam się do dymisji nowoobranemu krótkie Prezydentowi i przyszłość zawsze jest niepewna, ale dzisiaj czuję się mocno. Więc, generale, musi mi pan pomóc, a wspólnym hasłem naszym będzie stare, dobre: *Kaltes Blut und warme Unterhosen*!!... zimna krew i ciepłe gacie. — Mówiąc to, wypychał mnie, z lekka ściskając rękę, za drzwi do sekretariatu, zagarniając jednocześnie otwartym, mocnym, ślusarsko-profesorskim ramieniem do swego gabinetu jednego z czekających panów. Porucznikowi Zaćwilichowskiemu, który już mię popychał w kierunku hallu, krzyknąłem, że sypiam w biurze, więc jestem stale na końcu telefonu. Na to zarechotał: — Wiemy, wiemy już wszystko. Niewyczerpana tryskająca energia! — Po czym delikatnie wykantował mię skośnie przez drzwi do hallu. Tu woźny ryknął od razu przez otwarte do krużganku drzwi: — Pana komisarza rządu! — Podbiegł mój szofer, rajcujący dotąd z grupą kolegów i zaczął naciskać starter samochodu, gdy ja siedząc z tyłu i znając samochód pochylałem się do przodu do mającego nastąpić nagłego zrywu. Gdy starter jednak nie działał i zaczęło się beznadziejne kręcenie korbą, wysiadłem i poszedłem do biura na piechotę ulicą Trębacką jak pierwszego dnia. Dowiedziawszy się od dyżurnego urzędnika, że na mieście spokój, zasiadłem jeszcze raz do studiowania Dziennika Ustaw, mych praw i obowiązków. Dziwna rzecz, teraz wszystko wydało mi się dużo jaśniejsze i bardziej zrozumiałe. Kładąc się spać, pomyślałem, że nigdy jeszcze jednak nie rozmawiałem z urzędującym premierem i to na tak intymny temat jak ciepłe gacie. No i ten, chociaż stary i zepsuty, ale samochód. Widocznie więc obecna moja praca jest bardziej ważna i życiowa od poprzedniej.

Poczułem się pochwycony w tryby jakiejś pośpieszającej mocnej maszyny. Usnąłem więc, znacznie lepiej usposobiony do nominacji generała Dreszera niż dnia pierwszego w tym biurze. Kiedy chcę, żebym tu pracował, to „pokażemy, że Sarmata...”.

Nazajutrz, 16 maja, zarządziłem stałe codzienne konferencje w moim biurze naczelników wydziału i komendanta policji inspektora Czyniowskiego. Rozpoczął je referat prasowy o godzinie 9-ej rano, a potem omawiane były wszystkie najważniejsze sprawy bieżące. W trakcie konferencji, koło godziny dziesiątej rozległ się dzwonek telefonu, stojącego na biurku. To premier Bartel polecał mi dwie sprawy. W nocy telefonicznie uzyskał zgodę wojewody poleskiego Kazimierza Młodzianowskiego na objęcie resortu ministerstwa spraw wewnętrznych. Minister ma przyjechać dziś po południu, mam więc zająć się tą sprawą i przygotować wszystko w ministerstwie, gdzie jest straszny bałagan. Druga sprawa to jutrzejszy pogrzeb czterystu ofiar wypadków majowych. Wobec pogłosek o przygotowywanych demonstracjach, premier oczekuje ode mnie zabezpieczenia spokoju i porządku w czasie tego wielkiego pogrzebu na cmentarzu wojskowym, na którym będą obecne najwyższe władze państwowe. Przyrzekłem sprawę zbadać i zameldować premierowi po południu. Od razu przystąpiłem do rzeczy. Na moje zasadnicze pytanie zarówno naczelnik Gorzechowski jak i inspektor Czyniowski stwierdzili lojalną gotowość ze strony policji służenia nowemu rządowi. Po konferencji wyjechaliśmy we trzech w okolice cmentarza wojskowego i uzgodniliśmy rozmieszczenie policji w czasie pogrzebu, zarówno w mieście jak i przy cmentarzu. Koło godziny piątej po południu zatelefonowałem do premiera Bartla o uprzedzeniu w ministerstwie radcy Stawickiego co do przyjazdu ministra, oraz zawiadomiłem go o mych zarządzeniach na czas pogrzebu. Naczelnik Świerczewski wyjaśnił, że obowiązany jestem spotkać nowego ministra na mym terenie przy jego wjeździe do Warszawy. Wobec tego wieczorem pojechałem do komisariatu policji na Grochowie, leżącego przy granicy stolicy na szosie prowadzącej do Brześcia. Czas mijął powoli, przestudiowałem już wszystkie książki służbowe i raporty komisariatu policji, potem znudzony oczekiwaniem słuchałem nolens volens rzeczywiście pięknego śpiewu słowików w pobliskim gaju olchowym. Nowy minister nadjechał dopiero koło drugiej w nocy. Zatrzymałem samochód, zameldowałem się i odwoziłem swego przełożonego do pałacu Zamoyskich. W drodze pogawędziliśmy przyjaźnie. Nie widziałem Młodzianowskiego od paru lat. W cywilu i meloniku wyglądał poważnie i dostojnie. W sekretariacie ministerstwa siedział przy biurku radca Stawicki, a naczelnik Zabierzowski czekał na rozkazy ministra. Po ogrzaniu się szklanką bardzo czystej herbaty pojechałem do swego biura. Nazajutrz, w czasie pogrzebu poległych, przyjechali najprzód nowi ministrowie, z których znałem tylko Młodzianowskiego. Później nadjechał premier Bartel z porucznikiem Zaćwilichowskim. Powitałem go i zająłem się nadzorowaniem utrzymania porządku. Wiel-

kie wrażenie robiło składanie do grobów czterystu trumien. Po smutnym obrzędzie spytałem odjeżdżającego premiera, czy nie ma dla mnie rozkazów, na co Bartel opryskliwie odpowiedział: — Obecnie, proszę pana, już żadnych, — wyrażając w ten sposób swoje niezadowolenie za to, że nie towarzyszyłem mu przez cały czas, jak to było w zwyczaju. Wszystkiego człowiek musi się uczyć. Okazuje się, że wojewoda jest nie tylko od pracy, ale i od reprezentacji. Później przekonałem się, że premier Bartel wybuchał często, był wymagający i niecierpliwy, ale za to dbał o istotę służby, sprawiedliwy i na ogół rubaszenie uprzejmy. W tym dniu pogrzebu Komendant wydał Rozkaz do wojska: „Niech Bóg, nad grzechami litościwy, nam odpuści i rękę karzącą odwróci...”

Tak korzył się zwycięzca, obcy pyszałkowatości i triumfowi z odniesionej przewagi, jedynie zatroskany o wyniki przyszłej „pracy, która ziemię naszą wzmacnia i odradza”. Czytając ten wzruszający rozkaz odczułem bardzo brak Komendanta i jednego choćby Jego aprobującego spojrzenia na moją nową, ciężką, odpowiedzialną, nieopanowaną jeszcze pracę. Komendant jednak był daleko i nieuchwytny. Trzeba było niezdarnie kleić nieznaną robotę samemu. A robota nie czekała, była nagła, coraz to nowa, zaskakująca, wymagająca i pilna. Któregoś dnia zaraz po rannej konferencji z naczelnikami wydziałów otrzymałem telefon od pana Balińskiego, prezesa Rady Miejskiej. Mówił, że w poczekalni u niego siedzi delegacja robotników miejskich, która grozi strajkiem o ile nie otrzyma natychmiastowej podwyżki płac, koniecznej wobec narastającej od dłuższego czasu drożyzny. Prezes prosi, bym przyszedł do niego i pomógł mu w tej sprawie. Udałem się krętymi korytarzami pierwszego piętra gmachu ratusza do biura prezesa Rady Miejskiej. Witając mię uprzejmie, powiedział nie bez cienia ironii: — Może pan generał pomoże rozwiązać tę sytuację, w którą postawiły nas najświeższe wypadki. Teraz oni chcą dyktować warunki jako zwycięzcy!

Wyszliśmy do poczekalni, gdzie siedziało kilku przedstawicieli robotników miejskich. Po wysłuchaniu gwałtownych żądań podwyżki, oświadczyłem spokojnie delegacji, że drożyzna nie powstała dzisiaj, ale właśnie wzrastała od dawna. Obecnie nastąpił przewrót i zmiana warunków. Niechże pocierpią jeszcze trochę i poczekają na wyniki pracy rządów Marszałka Piłsudskiego, które na pewno opanują wzrost drożyzny i unormują płace mas pracujących. Jest to w programie nowego rządu, ale sprawa wymaga czasu, współdziałania i cierpliwości ze strony właśnie szerokiej rzeszy naszego społeczeństwa. Po krótkiej wymianie zdań delegaci zgodzili się poczekać jeszcze kilka tygodni i odeszli spokojnie. Gdy wróciliśmy do gabinetu, już rozchmurzonego prezesa Balińskiego, prosiłem go, by uważał ten mój pobyt za wizytę kurtuazyjną złożoną mu jako prezesowi Rady Miejskiej. Zgodził się na to chętnie, ten bardzo miły i kulturalny starszy pan. Rozjaśnił się, gdy mu przypominałem wygłoszoną w świetnej, miejscami archaicznej francuszczyźnie mowę

powitalną dla marszałka Focha w tutejszej sali Rady Miejskiej. Uległ nawrotowi miłych wspomnień i ofiarował się tę małą mi znaną salę szczegółowo pokazać.

— W tym przerobionym pałacu Jabłonowskich — mówił prezes wchodząc ze mną do wielkiej widnej sali — magistrat warszawski urzęduje dopiero od roku 1818, kiedy zburzono dawny ratusz, stojący na środku rynku Starego Miasta, otoczony jeszcze kramami i z pręgierzem przy wejściu. W październiku 1863 roku obecny ratusz spłonął częściowo, a to dla zniszczenia przechowywanych tu aktów Rządu Narodowego, którego członkiem był architekt miejski, Rafał Krajewski. Tu pan generał widzi portrety prezydentów miasta od ubranego do „czarnej procesji” hardego Jana Dekerta do występującego w obcym mundurze ale zacnego Starynkiewicza. Tu niezły portret Stanisława Staszica, a ten oto obok zajmie pana chyba, gdyż to portret najznakomitszego z pańskich poprzedników.

Tu prezes Baliński zatrzymał się przed dużym olejnym portretem, przedstawiającym starszego mężczyznę o bystrych władczych oczach, w peruce, z niebieską szarfą orderową na ceglastym aksamitnym kaftanie, trzymającego w ręku buławę marszałkowską. Podpis na tablicy głosił: „Franciszek Bieliński 1683-1766”.

— Z moich poprzedników znam tylko oberpolicmajstra pułkownika Nelkena, który po rozruchach na placu Grzybowskim, przemawiał do nas w kościele Wszystkich Świętych i kazał sprowadzić na dziedziniec tego ratusza przed odesłaniem na Pawiak — wtrąciłem dość niefortunnie.

— Ten, o którym chcę mówić był lepszy od Nelkena — odparował prezes, nieco niezadowolony z przerwania toku jego mowy.

— Marszałek Wielki Koronny — ciągnął powoli, siadając na połączanym krześle i wskazując mi miejsce obok, mały szlachetka z Rawskiego, wybił się przy dworze obydwu Sasów, a jako czuwający nad bezpieczeństwem i porządkiem stolicy, wykazał dużo inicjatywy i zasług dla miasta. Warszawa wtedy, poza nowo wzniesionymi pięknymi budowlami słynnej Osi Saskiej, Zamkiem, i Starym Miastem, była zabudowana nierównomiernie i bez porządku. Bieliński kazał sporządzić pierwsze nowoczesne plany miasta, a poza tym brukował ulice. Trzeba tu zaznaczyć, że zabrukowanie Nowego Świata zajęło mu trzy lata czasu. Rzemieślników miał dobrych, ale kamienie zdobywał w ten sposób, że każdy chłop wwożący żywność do miasta musiał opłacić rogatkowe przywiezionymi kamieniami. Przeprowadzał regulację nowych ulic, wytyczając przez podarowaną mu wieś Bieliny, pola i ogrody prostą, szeroką arterię, zwaną od jego urzędowania ulicą Marszałkowską. Zaprowadził straż ogniową, zaopatrzoną w nowy sprzęt. Kazał czyścić i zamiatać ulice, unormował ceny artykułów pierwszej potrzeby, zapoczątkował oświetlenie placów i ulic, wprowadził ład, karność i porządek stołeczny. W tym

celu, zamiast starej nielicznej zasiedziałej milicji miejskiej, zaprowadził karny, sprężyste dowodzony pułk straży marszałkowskiej. Niestety, miał, a może by tego dokonać, musiał mieć twardą rękę. Siekł różgami opornych mieszczan i swawolnych studentów i to zarówno pijarskich jak jezuickich. Większe przewinienia karał więzieniem. Tą surowością wywoływał ogólne niezadowolenie i sarkanie. Toteż, choć królowie wysoko go cenili i obdarowywali dobrami i odznaczeniami, nie zdobył sobie miru i szacunku wśród mieszkańców stolicy i nikt go nie żałował, gdy po dwudziestu przeszło latach odszedł od swego urzędu. Mówię to wszystko, kończył śmiejąc się prezes Baliński, by przestrzec jednego z następców marszałka Bielińskiego, którego goszczę w tej chwili w naszym magistracie.

Nim zdobyłem się na odpowiedź, wszedł prezydent miasta Warszawy, inżynier Słomiński. Nieco zaskoczony przywitałem się z nim, oświadczając chęć złożenia mu wizyty. Poszliśmy więc we trzech do gabinetu prezydenta, gdzie podziękowałem za szybkie umożliwienie przejazdu na zniszczonych wulkami ulicach, oraz prosiłem, by pan prezydent nie czuł się dotknięty, gdy niechcący wejść w jego kompetencje. W życiu stolicy nasze obowiązki zajął się tak ściśle i niepostrzeżenie, że trudno jest nieraz nie przekroczyć sztucznych papierowych granic. Umówiliśmy się, że w wypadkach spornych będziemy sprawy kompetencji regulować przez rozmowy osobiste, gdyż współzawodnictwo podwładnych sprawia nieraz duże zadrażnienia dla stron obydwóch. Żegnając się, podziękowałem prezesowi Balińskiemu za tak jasne, barwne i życiowe przedstawienie mi pracy mego poprzednika marszałka Bielińskiego, który będzie dla mnie wzorem decyzji i inicjatywy. — Tylko z tymi mieszkańcami stolicy, a głównie mieszczanami sprawa nie przestała być delikatna — zakończył prezes, śmiejąc się i podając mi rękę. Wróciwszy po tych dwóch niespodziewanych wizytach urzędowych, wezwałem przez telefon naczelnika Świerczewskiego.

— Panie kolego, wie pan, kto był Bieliński? — zacząłem górnio. — Wiem, to dawne dzieje, administrator za czasów saskich.

— Nic nie szkodzi, że to było dawno, zasady administrowania się nie zmieniają. Dzielnym, energicznym Bieliński będzie naszym wzorem i patronem. Proszę pana kolegę kazać wydobyć, co tylko się da o nim, z bibliotek. Będę to studiował jako żywy przykład załatwiania istotnych potrzeb życia, zamiast czytania tych suchych i nudnych ustaw i przepisów.

Odtąd, dzięki pięknej inicjatywie elokwentnego prezesa Balińskiego, studiując wieczorami opis działalności Bielińskiego, utwierdzałem się w konieczności realnego, mocnego, i konsekwentnego załatwiania spraw ogólnych, choćby to miało wywoływać niezadowolenie i sprzeciwy poszczególnych osób prywatnych.

Pierwszą, najbardziej nagłą z tych spraw ogólnych było

ustalenie cen artykułów pierwszej potrzeby. Niepewność jutra, w którą wpędzone zostało społeczeństwo polskie dzięki szalejącej inflacji i związanej z nią zwwyżce cen, była jedną z realnych przyczyn poparcia przewrotu majowego przez masę pracującą. Zaufanie do ubogiego, szlachetnego Józefa Piłsudskiego, który raz już wybawił Polskę od grozy bolszewickiej, nakazało ludziom stanąć w walce po jego stronie. Przyświecała nadzieja, że on tylko zdoła opanować życie nowego państwa i ponad głowami partij zapewnić spokojne dziś i jutro przeciętnemu żyjącemu pracą z dnia na dzień obywatelowi. Przykładem tych nastrojów i czynnego poparcia Komendanta byli kolejarze. Życzliwe ich współdziałanie umożliwiło koncentrację oddziałów Piłsudskiego przed sprowadzeniem do Warszawy wojsk rządowych. Wierzo- no jego słowom, że „nie może być zbyt wiele nieprawości” a co więcej wierzono, że Piłsudski słowa dotrzyma i te nieprawości usunie. Rozumiałem, że tych nastrojów i nadziei ludzi prostych zawieść nie wolno. Postanowiłem więc zapewnić uboższemu war- stwom ludności możliwość nabywania przede wszystkim żywności po cenach stałych i nie wyższych od przedmajowych. Gdy przed- stawiałem te zamiary swym urzędnikom, wyrazili przekonanie, że to się absolutnie nie uda na czas dłuższy. Owszem, parę dni i to z trudem, ceny utrzymać można zarządzeniami administracyj- nymi, ale dalej życie je normuje w sposób decydujący i bezapel-acyjny. Dodali, że na przykład jutro ma być konferencja z pieka- rzami, którzy chcą podwyżki na chleb, w związku z sezonowym wzrostem cen zboża i mąki na rozpoczynającym się przednówku. Moi ekonomiści nie widzą możliwości zasadniczego odmówienia tej podwyżki. Chodzi tylko o to ile ona ma wynieść. Piekarze, ich zdaniem, chcą przy tym zwiększyć swe zyski ponad istotną po- trzebę, przesadzając lekko wysokość poszczególnych pozycji. Następnego dnia siadłem z boku w pokoju urzędnika, by przy- słuchiwać się pertraktacjom z piekarzami. Byli to sympatyczni ludzie, typowi mieszkańcy, o polskim, budzącym zaufa- nie wyglądzie. Po przywitaniu się ze mną i z urzędnikiem, wy- łożyli szczegółowo swoją kalkulację motywując podwyżkę. Mieli ją wypisaną starannie na maszynie w kilku egzemplarzach, z któ- rych jeden otrzymałem do ręki. Przyznam się, że argumenty tych doświadczonych przedsiębiorców wydały mi się dość przekon- ywujące i zbliżone do prawdy. Gdy urzędnik chciał rozpocząć pertraktacje o poszczególne małe mi znane kosztą związane z wypiekiem chleba powiedziałem: — Szanowni panowie. Kal- kulacja wasza na pewno w ogólnych zarysach jest słuszna i spra- wiedliwa, ale zapominają panowie, że żyjemy nie w czasach nor- malnych. Dopiero co zakończony został przewrót, który oby zgo- tował nam warunki spokojnej, owocnej pracy dla całego narodu, a więc i dla panów. Zasadniczym pierwszym z tych warunków jest dobry tani chleb, sprzedawany w wystarczającej ilości. Pa- nowie dobrze wiedzą, że rewolucja w głodującej obecnie Rosji zaczęła się od niewielkiego braku zbyt drogiego chleba. Jeste- cie więc panowie producentami najważniejszego kluczowego pro-

duktu spożywczego. Porządek i spokój w stolicy utrzymany być musi również w interesie spokojnej owocnej pracy panów. W imieniu rządu proszę panów i żądam wstrzymania się z pod- wyżkami co najmniej na pół roku. Wracajcie panowie do waszych warsztatów szczęśliwi, że mimo zmniejszenia waszych dochodów możecie dalej pracować dla dobra ogółu. Tego kategorycznie w imię potrzeb stolicy wymagam.

Rozstaliśmy się oczywista chłodno, a mój urzędnik jako ekonomista był zrozpaczony. Ja odczuwałem również swoje zwycięstwo jako chwilowe, zbliżone do Pyrrusowego, ale innego wyjścia nie widziałem. Pocięsałem się przy tym, że gdy marszałek Bieliński ustalał za czasów saskich ceny żywności, to na pewno również nie wzbudził entuzjazmu kupców i przemysłow- ców. Codziennie rosły nowe trudności w życiu ekonomicznym stolicy. Ledwo uporałem się z piekarzami, urzędnik od cen do- niósł mi, że za parę dni zjawia się w Komisariacie Rządu przed- stawiciele związku mleczarskiego i jajczarskiego z żądaniem podwyżki cen mleka, masła, sera i jajek. Idą sianokosy, później zniwa i wieś wstrzymuje się z dostawami gdyż spożywa więcej produktów przy ciężkiej pracy w polu. Motywy znowu były może słuszne, ale dla mnie już nieprzekonywujące, bo wszystko zawsze u tego urzędnika było umotywowane i w porządku. W godzinę po tym oświadczeniu wybrałem się do prezesa związku jajczarsko- mleczarskiego. Urzędował w jednym ze sklepów spółki przy Nowym Świecie w okolicy ulicy Foksal. Wszedłem do sklepu, przedstawiłem się i spytałem go, czy prawdą jest, że zamierza podnieść ceny artykułów pierwszej potrzeby, gdy ludność nie opanowała jeszcze swego budżetu po przewrocie rewolucyjnym. Oświadczył mi solennie, że nie zamierza podnieść cen. Stwierdzi- łem, że to jest bardzo szczęśliwe dla niego, a także dla całej ludności stolicy i opuściłem sklep. Po tych dwóch prymitywnych i dość brutalnych sposobach załatwienia spraw, zgłoszenia do Komisariatu Rządu o podwyżkę cen produktów ustały. Podob- nie jak moi urzędnicy rozumiałem, że te metody nie mogą być skuteczne na długo. Postanowiłem osiągnąć wpływ na ceny i dobrą jakość produktów spożywczych przez osobisty nadzór. O cenach nie miałem pojęcia, ale z medycyny, szczególnie jako lekarz wojskowy, znałem się na badaniu produktów spożyw- czych i zamyśliłem te swoje skromne wiadomości wykorzystać obecnie celem pokazania handlującemu, że ja się na tym znam. Widziałem bowiem, że papierkami dużo nie osiągnę i że życie trzeba brać za rogi, poza biurem. Zresztą nie byłem jeszcze nominowanym dostojnikiem państwowym — Komisarzem Rządu, ale działałem ciągle jeszcze jedynie na zasadzie rewolucyjnej no- minacji wypisanej na kartce z bloku podręcznego generała Dre- szera. Trzeba więc było pracować wydajnie, a nie odwälć ka- wałki biurokratyczne. Zacząłem od objazdu hal targowych, któ- rych było kilka w Warszawie. Badałem jakość i ceny produk- tów zapisując wszystko w notesie. Już to robiło duże wrażenie zarówno na sprzedających jak i kupującej publiczności. Wieści

o tych inspekcyjnych wyjazdach szybko rozeszły się po całej Warszawie wywołując zdziwienie jednych, oburzenie innych. Gdym raz wysiadł z samochodu obok hal Mirowskich i przepychałem się przez tłum handlarzy na trotuarach, zobaczyłem policjanta spędzającego z ulicy jakieś kobiety z koszykami, które uciekały do bram sąsiednich domów. Podeszedłem z tyłu mówiąc uprzejmie: — Panie, co tu się dzieje?

— Daj mi pan spokój — ryknął policjant. — Za chwilę ma przyjechać Komisarz Rządu, a tu pełno cholernych przekupek, trzeba to wszystko spędzić.

Przedstawiłem mu się, pytając dlaczego spędza biedne kobiety. Wyjaśnił już całkiem innym tonem, że przepukli te nie mają pozwolenia na handel i dlatego odpędza je, bo musi być porządek. Nie umiałem wtedy jeszcze na to znaleźć odpowiedzi. W halach, gdym wszedł, wszyscy sprzedający nakładali czyste fartuchy i białe płócienne przepisowe rękawy na ubrania. Chodziłem jak zwykle od straganu do straganu badając ceny i jakość produktów. Przystojna, pewna siebie panusia o prężnych, rozpychających białych fartuch kształtach, spojrzała na mnie filuternie, wzięła się pod boki i patrząc dosyć zalotnie rąbnęła języczkiem: — A co to pan taki gieroj w południe, wszystko sprawdzać i zamieszanie robić! Pan by tak rano o świcie, jak interes się otwiera zajechał i zobaczył ile to pracy i trudu kosztuje zakupić to i dostawić do straganu. A w południe to każdy mądry — wołała dalej, śmiało patrząc w oczy, widocznie ufna w potęgę swego łagodzącego bogactwa opływowych kształtów. Nie tylko spojrzeń, ale i wyzwanie rzucone przez piękną kupcową zapadły mi w duszę. Zrozumiałem, że trzeba zbadać sposób dostawy produktów do hal oraz wysokość cen w czasie przywozu towarów hurtowych do Warszawy. Koło trzeciej w nocy wyjeżdżałem na szosę w kierunku Błonia, albo Raszyna i tam idąc razem ku miastu dowiadywałem się od wiozących powoli długimi parokonnymi wozami „badylarzy” i „świniarzy” o panujących cenach hurtowych i rozmiarach podaży ich towarów. Podjeżdżałem również pod hale targowe jeszcze przed ich otwarciem i obserwowałem handel hurtowy, który zaczynał się jeszcze przed świtem. Znudzeni stróże nocni przy halach radzi z mego towarzystwa opowiadali mi, między innymi, zajmujące rzeczy o zwyczajach szczurów, zamieszkujących w piwnicach pod halami. Te nieoficjalne dane były bardzo życiowe. Szczury są przyzwyczajone do porządku pracy w halach. Z uderzeniem dzwonka na zamykanie hal wieczorem zaczynają posuwać się w górę po kamiennych schodach, idących z wielkich służących do przechowywania towarów piwnic. Są wtedy po całym dniu postu głodne i niebezpieczne w gromadzie. Najlepsze psy stróżów nocnych — foksteriery woła wtedy ich nie atakować. Są mniej groźne i napastliwe gdy już rozproszą się po halach i zjadają szczątki pozostałe przy szczególnie na noc zamykanych straganach. Z uderzeniem porannego dzwonka na otwarcie hal najedzone szczury leniwie posuwają się w dół po schodach do piwnic, unikają spot-

kania z napastliwymi foksterierami, które właśnie wtedy rzucają się na obżartuchów. Koty podobno zupełnie są bezsilne i uciekają od tej zajadłej gromady szczurzej. Środki odszczurzające, zdaniem stróżów, wystarczają tylko na zahamowanie wzrostu ilości szczurów, całkowicie wytepić ich jednak nie potrafią. Gdy o świcie podjeżdżały wozy dostawców zapisywałem ceny popytu i podaży oraz płacone rzeczywiście i orientowałem się na miejscu w rozmiarach dostaw. W kilka dni później, obchodząc rano stragany, pozdrowiłem grzecznie moją znajomą kupcową, dziękując jej za dobrą radę badania handlu od rana. Była speszona, zła i patrząc porozumiewawczo na swe przyjaciółki zawołała: — A kto mógł wiedzieć, że to tak będzie. Pan chyba diabeł nie człowiek!

Często w godzinach przed i po południowych, w czasie największego obrotu, zwiedzałem sklepy spożywcze. Tu przede wszystkim porównywałem ceny wystawione w oknach. Nieraz zapraszałem właściciela sklepu o cenach wyższych do okna sąsiedniego sklepu tańszego i prosiłem go o wyjaśnienie różnicy cen. Kupcy bardzo nie lubili tych krótkich spacerków w towarzystwie dostojnika państwowego, a to ze względu na kupujących w ich sklepach, patrzących na mnie z wyraźną satysfakcją. Raz przy takim spacerze jakaś panusia, widocznie znajoma właściciela sklepu, zawołała: — Co pan tu przychodzisz? On taki sam dziad jak my. Niech pan idzie do tych Pakulskich tam pan zdzierusów zobaczy! — Przekonałem się, że to był tylko okrzyk zazdrości, a nie racji rzeczywistej. Odwiedzałem nieraz sklepy kolonialne rodzaju „Braci Pakulskich” i stwierdzałem wszędzie porządek i dobre warunki higieniczne. Oczywiście ceny doskonałych zagranicznych produktów były wysokie, ale kalkulacji ich nie badałem, gdyż zadaniem moim było uregulować ceny produktów pierwszej potrzeby. Rzeczy luksusowe oraz ich ceny obchodzą niewielu uprzywilejowanych, za to widok ich budzi zazdrość i niechęć wszystkich niemogących sobie na nie pozwolić. Często zajeżdżałem do piekarń, gdzie rozkrawałem chleb, badając jego jakość, wagę i cenę. Robiło to nie tylko wielkie wrażenie na stojących w ogonku kupujących, ale rzeczywiście unormowało jakość i wagę chleba w stolicy. Te wszystkie podane przeze mnie, naiwne i pierwotne środki, stosowane celem regulacji cen dobrych produktów, doprowadzały do rozpaczki mých solidnych ekonomicznych doradców. Zasadniczo mieli rację: na pewno na długą metę nie mogłyby działać i być skuteczne. Ale na szczęście Opatrzność czuwała nad Polską pod rządami Komendanta. Angielski strajk generalny, a szczególnie węgłowy, zmienił zupełnie warunki naszego eksportu i wywołał związaną z tym zwyżkę, oraz ustalenie naszego złotego. To sprawiło rzeczywiste uregulowanie cen produktów pierwszej potrzeby i zmniejszyło nasze bezrobocie. Wyszedłem więc względnie cało z mých prymitywnych pociągnięć „ekonomicznych”. Mówię względnie cało, gdyż te moje informacyjne inspekcje, mimo iż podczas nich nikt nie został ukarany, zrobiły mi wielu wrogów w sferach przemysło-

wych i handlowych Warszawy. Prasa opozycyjna, naturalnie nie podając mych starań o zapewnienie tanich dobrych produktów dla szerokich mas ubogiej ludności, rzuciła się na mnie za udział w wypadkach majowych. Potępiano uczestniczenie w walkach, choć byłem lekarzem, a więc neutralnym z punktu widzenia konwencji międzynarodowych i mającym leczyć, a nie zadawać rany. Opuściłem rzekomo mych szeregowych w ministerstwie, wycofując się z oficerami, co jest wbrew dobremu obyczajom koleżeństwa bojowego, gdy w rzeczywistości odprowadziłem oficerów do Komendy miasta na rozkaz generała Dreszera. Nawet imię moje chrzestne — Sławoj, za nadanie mi którego nie mogę przecie odpowiadać, uznano jako pełen pretensjonalności pseudonim legionowy, świadczący o mej zarozumiałości i płytcie umysłowej. Wreszcie pisma opozycyjne podnosiły wielką karierę służbową, którą zrobiłem „wyniesiony w górę na falach rewolucji”. Otóż z tą wielką karierą to było bardzo krucho. Przed Majem byłem generałem brygady z dobrym starszeństwem i jako zawodowy byłem ustabilizowany w służbie. Dnia 21 maja 1926 roku, dzięki staraniom ministra Młodzianowskiego, otrzymałem za podpisem marszałka sejmu Rataja nominację na Komisarza Rządu na miasto stołeczne Warszawę, wprowadzie również w czwartym stopniu służbowym, ale nie stałą, obowiązującą tylko do odwołania. A to odwołanie miało nastąpić na trzydzieści dni przed terminem ewentualnego zwolnienia ze służby. W wojsku obecnie byłem już w stanie nieczynnym, a dawne moje miejsce szefa departamentu sanitarnego objął już na stałe miły Stachurek Roupert, były szef sanitarny przy Komendancie w I Brygadzie. Gdzież więc ta wspaniała kariera służbowa, którą wytykały mi pisma opozycyjne? Na razie w porównaniu ze służbą w wojsku byłem stranny. Wręczając mi nominację naczelnik Świerczewski wyraził radość, że przestaję być w Komisariacie Rządu uzurpatorem i że zarządzenia moje, w razie zaskarżenia ich, mają od dziś dopiero moc prawną. Starałem się podzielać tę biurokratyczno-prawniczą radość. Postanowiłem na ataki prasy nie reagować, wychodząc z życiowego założenia, że opozycja jest pobita, a bity ma odwieczne naturalne prawo krzyczeć. Definitywną nominację na Komisarza Rządu otrzymałem dopiero w trzy miesiące później, dnia 23 sierpnia, z podpisem już Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego. Na dni wyborów przez zgromadzenie narodowe Prezydenta Polski, 31 maja i 1 czerwca, zarządziłem specjalne środki bezpieczeństwa. Obejrzałem przedtem z naczelnikiem Gorzechowskim i komendantem policji Czyniowskim najbliższe otoczenie sejmu, który leży w pięknym parku byłego Marijskiego Instytutu dla szlacheckich dzieci za czasów rosyjskich. W czasie wyborów siedziałem na krześle w tylnym rzędzie łoży rządowej dawnej sali sejmowej. W drugim dniu pojechałem z premierem Bartłem przywieźć nowoobranego Prezydenta Mościckiego do sejmu, ale znów zaciął się starter mego samochodu, nie mogłem ruszyć z miejsca za co otrzymałem wymyślenie od premiera. Tegoż dnia odmel-

dowałem się u zastępującego dotąd Prezydenta Rzeczypospolitej marszałka Rataja, który podziękował mi za spokój i zapewnienie aprowizacji stolicy w dniach przełomowych. Służbę pod tym miłym, kulturalnym, myślącym państwowo posłem ludowym będę wspominał zawsze jako pożyteczną i przyjemną. Prezydent Mościcki zamieszkał w dość opuszczonym Zamku, gdzie często meldowałem się, by mu towarzyszyć we wszystkich oficjalnych wystąpieniach na terenie Warszawy. Było to zgodne z tradycją, gdyż niegdyś karetą Marszałka Koronnego Bielińskiego poprzedzała zawsze karetę królewską przy oficjalnych wyjazdach królów Saskich w osiemnastowiecznej Warszawie. Niestety wspaniała postać Bielińskiego trochę przygasła w mych oczach, gdy dowiedziałem się, że w zamku jego, w Starym Otwocku, król Sas naradzał się z Piotrem Wielkim nad rozbiorem Polski!! Ale i słońce ma plamy! Zresztą marszałek Bieliński nie mógł mieć wpływu na te nieczne rozmowy, a prawdopodobnie nie znał ich parszywej treści. Starałem się jak najmniej poświęcać czasu na reprezentację, ale musiałem zameldować się u wszystkich ministrów rządu premiera Bartla. Poza tym przedstawiłem się w pałacu przy ulicy Miodowej mądrymu, godnemu, dostojnemu arcybiskupowi Kakowskiemu. U ministra spraw wewnętrznych Młodzianowskiego meldowałem się co tydzień ze sprawozdaniem całokształtu życia politycznego i gospodarczego stolicy. Bardzo uczynny jest jego sekretarz Stawicki. Zjawiłem się więcej z potrzeby serca u miłego nowego wiceministra spraw wojskowych i szefa administracji armii generała Konarzewskiego. Biadał, że jako dowódca Okręgu Warszawa i wierny żołnierz Komendanta nie był zawiadomiony o przewrocie majowym. Upewniłem go, że nie wiedziałem o tym również. — Toteż ile zniszczeń narobił nam pan generał odchodząc z ministerstwa! — powiedział śmiejąc się ten dobry gospodarz, wskazując na świeżo załatany mur na klatce schodowej. — Ot, przypisać by panu generałowi to wszystko do zwrotu! — zauważył trochę żartobliwie, trochę serio. — Panie generale, jak do zwrotu, to do spółki z pułkownikiem Paszkiewiczem, bo to on rozbił mur swoim działkiem — odparowałem żegnając się. Wkrótce otrzymałem bardzo miłe zaproszenie do Szkoły Podchorążych, która została przeniesiona do Ostrowi Komorowa. Podchorążowie chcieli sobie ze mną przypomnieć niedawne walki. Byłoby przytulnie pogodzić się z moimi przeciwnikami z Maja, ale trzeba w Warszawie porządku i chleba i masła dla stolicy pilnować. Wysłałem depeszę z życzeniami na imię dowódcy pułkownika Paszkiewicza. Komendant, jak zwykle, okazał się wspaniałomyślny dla swych pokonanych przeciwników. Również ministrowie majowego rządu Witosowi wrócili zaraz po zamachu spokojnie do Warszawy. Premier Bartel chcąc okazać swą atencję swemu poprzednikowi Witosowi, kazał mi towarzyszyć mu aż do granic Warszawy, gdy wielki wójt wyjeżdżał samochodem do Wierchosławic. Była godzina trzecia nad ranem i szarżało na niebie, gdy podjechałem pod dom, z którego miał wyjechać były premier. Czekałem

chwilę przy swym samochodzie, nie chcąc wchodzić w nocy do mieszkania. Wkrótce Witos wyszedł z bramy z trzema panami, otulonymi również w wielkie bundy. Zasalutowałem i powiedziałem: — Panie premierze, z polecenia premiera Bartla mam towarzyszyć panu do granic Warszawy!

— A co to, sam nie trafię?! Jedziemy, zaraz świtać będzie a droga daleka! — odpowiedział opryskliwie Witos, wsiadając do samochodu. Odprowadziłem go w swym zepsutym Daimlerze do rogatki Grójeckiej, jak miałem kazane, ale to oddanie honorów odbyło się bez zbytniej satysfakcji dla stron obydwu.

Do moich obowiązków reprezentacyjnych należało też złożenie wizyt przedstawicielom obcych państw. Doświadczony kolega naczelnik Świerczewski poradził mi, by ze wszystkimi ambasadami i posłami poruszyć kwestię bezpieczeństwa, spokoju i wygodę ich siedzib. Zapewnił mnie, że to jest temat, który najwięcej ich zajmuje. Rzeczywiście, na pytanie: — Czy Ekscelencja zadowolony jest z warunków porządku i bezpieczeństwa wokół gmachu ambasady? — ekscelencja ożywała się, stawiała swoje postulaty, lub po prostu dziękowała za mą propozycję załatwiania wszystkich dezyderatów przez telefon sekretarza ambasady do mnie bezpośrednio. Sprytny, lecz zdolny i przyzwrotny ambasador Laroche, udekorował mnie oficerskim krzyżem Legii Honorowej za mą praktykę sanitarną i ewakuację rannych w Maroku. Obfitość wina w czasie tej uroczystości przypominała odbytą niegdyś podróż taktyczną w Szampanii. Naturalnie przed tymi reprezentacyjno-porządkowymi rozmowami w ambasadach przestudiowałem starannie służbę i pracę wszystkich komisariatów policji Warszawy. Zajeżdżałem tam nieraz we dnie i w nocy, by opanować całkowity bieg i wymogi służby policyjnej. Raz, koło szóstej rano, w piękny letni poranek zadzwoniłem z komisariatu naprzeciw kościoła w Czerniakowie do komisariatu Warszawa-Śródmieście mówiąc: — Tu Składkowski, co tam słyhać panie przodowniku? — Chwila brzmiennej ciszy, a potem: — Idź spać stary pijaku, co ci po łbie chodzi Składkowski? We dnie to nas on dusi, ale o tej porze jeszcze nigdy nie dzwonił. Więc idź pijaku, wyśpij się, to ci Składkowski wywietrzeje. — Oddałem słuchawkę stojącemu obok starszemu posterunkowemu, a ten zaśpiewał do telefonu: — Panie przodowniku, melduję posłusznie, to naprawdę pan Komisarz Rządu przy aparacie! — Gdy wziąłem znów telefon i powiedziałem: — Więc, dzień dobry, panie przodowniku, co tam słyhać?! — Otrzymałem solenne: „Wszystko w porządku” i nieporozumienie zakończyło się zapewnieniem obu rozmawiających dostojników o wzajemnym niekłamany szacunku oraz życzliwości służbowej. Wszystkie wyjazdy po Warszawie, zarówno we dnie jak w nocy odbywałem sam jeden z soferem, czasami z którymś z potrzebnych urzędników. Kierowników komisariatów policji brałem do towarzyszenia mi jedynie przy badaniu porządków na mieście. Warszawa przed Majem posiadała,

poczynając od reprezentacyjnego Zamku, domy zarówno od frontu jak i w podwórzach odrapane z tynku, który miejscami odpadał i zagrażał bezpieczeństwu przechodniów. Na wszelkie moje uwagi w tej sprawie odpowiadano: — To tak jeszcze od wojny! To była prawda. Chociaż od wojny minęło już osiem lat, na ścianach domów przy placu Teatralnym widoczne były jeszcze ślady moskiewskich pocisków karabinowych wystrzelonych już z Pragi przy odrocie Rosjan po zdobyciu Warszawy przez Niemców w 1915 roku. W towarzystwie komisarza policji objeżdżałem całe dzielnice, nakazując niezwłoczne remonty kamienic, porządkowanie śmietników i ustępów w podwórzach, asfaltowanie podwórz niebrukowanych lub posiadających kocie łby, które dawały hałas i kurz w przeludnionych domach. Specjalną uwagę zwróciłem na fatalny stan higieniczny i wygląd przedmieść Warszawy, oraz ulic wjazdowych do stolicy państwa. Przy wszystkich głównych arteriach komunikacyjnych najprzód widzieliśmy lepianki z porozwalanymi płotami i ziemianki zbudowane ze starej blachy. Dalej rozpoczynał się, ciągnący bez końca po obu stronach ulicy, dręczący monotony wąż wysokich, zabitych na głucho najtańszymi deskami parkanów. Miało się wrażenie, że to ponury, brudny źle utrzymany wjazd do jakiegoś marnego miasta wschodu. Poleciałem parkany od głównych ulic zastąpić sztachtetami i obsadzić je zielenią. Wywołało to z początku gwałtowną reakcję sprzeciwów, ale później przysięło się i zmieniło wygląd przedmieść stolicy Polski. Zwiedzałem i wymagałem czystości kuchen restauracyjnych, pokoi hotelowych, hal targowych i zajazdów. Wszystkiego tego wymagałem w ramach istniejących jasnych przepisów, które były dawno już wydane, ale dopilnowania których nikt nie chciał wziąć na swoją odpowiedzialność, by nie narazić się właścicielom. Wyraźnie mówiłem policji, że stopień dopilnowania tych niezbędnych dla ogółu porządków będzie u mnie przebieżem ich energii i bezinteresowności w pełnieniu służby. Dało to swoje wyniki w wyglądzie ulic i podwórz, ale wzbudziło szemranie i niezadowolenie właścicieli i nie dziw, gdyż wykonanie tych zarządzeń odbijało się na ich kieszeni. Nie mogło jednak to mnie wstrzymać od wypełniania mego obowiązku i zadania, które sobie postawiłem: podniesienie wyglądu Warszawy z poziomu jednego z najgłodniejszych miast gubernialnych dawnej Rosji do stolicy nowej, odrodzonej Polski. Nie wystarczyła tu jednak poprawa wyglądu ulic i podwórz. Całe życie Warszawy miało na sobie jeszcze ślady *gubińskiego goroda Priwiślinja*, gdzie *kutli* (hulali) książęta rosyjscy i tatarscy, stojący garnizonem w tym ruchliwym zachodnim mieście. Rano życie Warszawy, w porównaniu z Paryżem, Berlinem, Londynem, Poznaniem i Krakowem zaczynało się późno i niemrawo na wzór północnej Semiramidy-Petersburga. Za to wieczory wydłużały się za północ. Restauracje, szczególnie „po pierwszym” każdego miesiąca, samowolnie przedłużały przepisany czas spożywania posiłków i konsumpcji alkoholu. Było to ze szkodą dla spokoju i porządku miasta oraz

budżetu rodzin lekkomyślnych, beztrzesko biesiadujących żywicieli. Miasto nie miało nawet ustalonego jednolitego czasu. Na każdej ulicy i w każdym magazynie zegarmistrzowskim wystawione na widok wielkie gustowne zegary pokazywały każdy inną godzinę. Pan Modro nie był nigdy w zgodzie z panem Wrońskim, nie licząc pomniejszych adeptów urzędów mających wskazywać właśnie ściśle czas. W biurach, w urzędach, w warsztatach, w sklepach, w robotach ranek zaczynał się o godzinę później niż w pracowitym Poznaniu i dostojnym Krakowie. Często osobiście objeżdżałem zapóźnione restauracje i zakłady oczywiście ku oburzeniu zarówno gości jak i właścicieli. Rano kazałem otwierać sklepy ściśle wedle przepisu, a urzędnikom pomagałem w sumiennym, punktualnym przychodzeniu do biura. Chciałem, by Warszawa jak inne stolice miała cechy miasta ludzi pracujących, a nie lekkoduchów. To również robiłem w ramach przypilnowania istniejących przepisów, ale nie ma w Polsce rzeczy bardziej śmiesznej, durnej, niepopularnej, niż właśnie przestrzeganie przepisów! Przez parę miesięcy po Maju panował w stolicy zupełny spokój. Nie mając w tej sprawie doświadczenia, niejednokrotnie zapytywałem naczelnika Gorzechowskiego, czy spokój ten nie jest tylko pozorny. Ponieważ z pogłosek po mieście i wywiadu wynikało, że przeciwnicy polityczni zamierzają odkuć się po porażce majowej nowym zamachem stanu na wzór 19-go roku, wzmocniłem siłę policyjną na wartowni przy pałacu Blanka, a sam znowu sypiałem na sofie w biurze Komisarjatu Rządu. Pewnej nocy o godzinie drugiej zadzwonił telefon na biurko i dyżurny urzędnik doniósł, że chce mówić ze mną w pilnej sprawie redaktor Stroński. — Zaczyna się — pomyślałem, gdyż redaktora Strońskiego znałem jako przeciwnika politycznego, z nieprzebiegających w środkach napaści na Komendanta w czasie wojny z bolszewikami. Poleciałem połączyć mnie z redaktorem. — Panie komisarzu Rządu — krzyczał przez telefon cienki, męski głos, bandyci w oficerskich mundurach napadli przed godziną na mieszkanie ministra Zdziechowskiego i pobili go. Przypuszczam, że pan o tym dobrze wie, ale zwracam się do pana w tej chwili jako do urzędnika państwowego, bo państwo nasze, bądź co bądź, istnieje — o wypełnienie pańskiego obowiązku przez interwencję w tej skandalicznej sprawie!

— Zaraz tam przyjadę — powiedziałem i po otrzymaniu adresu zawiesiłem słuchawkę. Zaalarmowałem śpiącego również w komisariacie rządu szofera i upewniłem się telefonicznie u dyżurnego komisarza policji, że wie również o napadzie i wysyła wywiadowcę na miejsce. Wsiadłem do starego Daimlera, który tym razem jakby czując pośpiech od razu ruszył z miejsca. Brama wskazanego przez redaktora Strońskiego domu była otwarta i oświetlona. Dozorca czuwający w sieni wprowadził mnie na schody. Przeszedłem przez otwarty przedpokój i znalazłem się w dużym słabo oświetlonym gabinecie czy salonie. Mały tegi pan z bródką podbiegł do mnie wołając: — Oto porządek i bezpieczeństwo za pańskich rządów! Bandyci w mundurach oficer-

skich, może pańscy koledzy, napadli oto na ministra i korzystając z przemocy, mimo stawianego oporu, pobili go i zbiegli. — Tu wskazał na siedzącego na kanapie w pidżamie wysokiego postawnego mężczyznę z obandażowaną głową, zachowującego się spokojnie i z godnością. Uwagę moją zwrócił i wzbudził czujność tegi osobnik siedzący przy stole. Na mój widok jednak zerwał się i zameldował jako wywiadowca policji, odsłaniając znak pod kołnierzem marynarki. Redaktor Stroński usiłował dalej mówić podniesionym głosem, ale zaproponowałem stanowczo, by, możliwie mało męcząc cierpiącego, wywiadowca policji, jako fachowiec, zebrał potrzebne dane w mojej obecności. Tętno ministra Zdziechowskiego było bardzo przyspieszone, ale wynikało raczej z przebytych zrozumiących ciężkich emocji. W tym wypadku to przyspieszenie tętna było dodatnim pomyślnym objawem, świadczącym, że prawdopodobnie nie ma wylewu krwi w jamie czaszkowej. Redaktor Stroński chodząc szybko po pokój z początku dorzucał swe zjadliwe uwagi w czasie przesłuchiwania, stopniowo jednak uspokajał się w miarę pisania przez wywiadowcę obiektywnego protokołu zająścia. Po ukończeniu przesłuchania poradziłem wezwanie lekarza specjalisty, celem wykluczenia ewentualnego krwotoku do mózgu lub uszkodzenia opon mózgowych. Wywiadowcy kazałem w dalszym ciągu energicznie prowadzić śledztwo. Opuściłem mieszkanie, traktowany przez poszkodowanego ministra Zdziechowskiego sto razy lepiej niż przez napastliwego, zaczepnego, rzucającego domysłnikami redaktora Strońskiego. Miałem setną ochotę odpowiedzieć mu ostrzej, ale na szczęście zachowałem się obiektywnie, jak nakazywała służba. Widno już było, gdy wróciłem do swego gabinetu w komisariacie rządu i zasnąłem na parę godzin przed rozpoczęciem urzędowania. Spośród prac załatwianych w biurze najwięcej trudu i kłopotów sprawiały mi zarządzenia prasowe, cenzura i konfiskaty. W tych sprawach miałem przekonania bardzo liberalne, gdyż sam uważałem się za piszącego od lat dziesięciu. Jeszcze w 1916 roku drukowałem za pośrednictwem referenta prasowego Brygady, Kadena Bandrowskiego, w półlegalnym „Strzelcu” pracę statystyczno-ideową o stratach 7-go pułku Brygady Piłsudskiego w walkach legionowych. Później pisywałem artykuły korespondencyjne z frontu wojennego przeciw bolszewikom do „Żołnierza Polskiego” który redagowali Kaden i Breiter. Wreszcie z Francji nadsyłałem do „Lekarza Wojskowego” w Warszawie miesięczną korespondencję pt. „Listy lekarza wojskowego”. Poza tym w roku 1923 uczęszczałem na kawy czwartkowe u Kadena przy ulicy Natolińskiej, na których spotykałem plejadę Skamandrytów i pokrewnych: Lechonia, Tuwima, Grydzewskiego, Wierzyńskiego, Goetla, Horzyce, Irzykowskiego, Iwaszkiewicza, Stonimskiego wreszcie Breitera. W czasie tych ożywionych posiedzeń nasłuchiwałem się o głupocie i tępotie znienawidzonych cenzorów, będąc sam całą duszą po stronie nieograniczonej wolności słowa. Nawet obecnie, zostawszy przełożonym cenzora stołecznego, wybrazałem sobie

swoj żal, gniew i wściekłość w razie skonfiskowania lub odrzucenia mej pracy literackiej i to dosyć obojętne, czy przez stupajkowego zaoferowanego cenzora, czy też przez postępowego demokratycznego redaktora. Zelałem więc na razie z konfiskatami, a co do mej osoby zabroniłem konfiskowania czegokolwiek. Uważałem bowiem swe urzędowanie jako sprawę publiczną, sprawę ogółu, o której może wydać sąd każdy obywatel. Cenzor twierdził, że już ten ogólny zakaz jest samowolny, ale jeszcze ujdzie jako sprawa personalna. Natomiast nie mam prawa nie zarządzić konfiskaty w rzeczy, która podpada pod wyraźny paragraf dekretu prasowego. Po Maju rozpoczęły się studia w łonie rządu nad projektem nowej ustawy prasowej, nakładającej surowe kary za szerzenie oszczerstw, krzywdzących plotek i fałszywych alarmów. Cenzor motywował potrzebę tych surowych kar specjalnym zapalnym, skłonny do krytyki charakterem Polaków. W Polsce wiele pism goni za sensacją, przede wszystkim w krytyce rządu. Im ona ostrzejsza, tym pismo bardziej wzięte i poczytniejsze. Egzemplarz pisma skonfiskowanego kupowany jest od roznosicieli za wysoką cenę i rozchwytywany przez wszystkich, nawet przez zwolenników rządu. Pismo, które ocenia pracę rządu obiektywnie, a nie daj Boże, życzliwie, uważane jest za szmatę w najlepszym razie nudną, której nikt nie czyta. Tymczasem krótka przeszłość nasza wykazała, że oszczerstwa rzucane na Naczelnego Wodza w czasie wojny z bolszewikami osłabiały zaufanie do naszego dowództwa. Wielu ludzi wierzyło naprawdę w kradzież klejnotów koronnych, w telefon pod soborem do kwatery bolszewickiej, w zwycięski manewr generała Weyganda, a nie wodza polskiego. Te przykłady, których można przytoczyć wiele, osłabiały wiarę w Polskę, jej siły i możliwości. Państwo musi się temu przeciwstawiać środkami legalnymi. Po namyśle zgodziłem się z tym rozumowaniem jako rzeczą konieczną i podpisałem opinię, popierającą projekt rządowy nowego dekretu prasowego. Tak, niestety znikają iskry złudzeń młodości, gaszone porywami wichru brutalnego życia. W związku z przygotowaniem nowego dekretu prasowego, w teatryku *Qui pro quo* zjawiała się na karuzeli politycznej moja figurka śpiewająca:

*Komisariat, sanitariat,
Olej rycynowy i
Dekret prasowy.*

Święta prawda, trochę mi się to w życiu pomieszało, ale mimo to trzeba iść naprzód. W tej pracy nad poprawą wyglądu szczególnie w północnej części miasta, tak zwanej dzielnicy żydowskiej. Były one tak odrębne i specjalnej natury, że postanowiłem zwrócić się o pomoc do społeczeństwa żydowskiego. I warunków higienicznych Warszawy duże trudności spotykałem. W początkach września zaprosiłem do swego biura zarząd gminy

żydowskiej, związek właścicieli nieruchomości, żydowskich posłów do sejmiku w Warszawie i jeszcze paru wybitnych Żydów. Zjawili się około trzydziestu osób, do których przemówiłem: — Szanowni państwo. Dziękując za łaskawe przybycie na moje zaproszenie, pragnę podzielić się z państwem swoimi troskami, które, mam nadzieję, są również waszymi. Będę dążył do tego, by dzielnica żydowska przestała rzucać się w oczy swą odrębnością. Zamiarem moim jest, by Nalewki przypominały swym wyglądem i czystością ulicę Marszałkowską. Chcę dać dzieciom żydowskim trochę widoku zieleni i świeżego powietrza na podwórzach. Musi zniknąć kurz i hałas tak charakterystyczny dla dzielnicy północnej Warszawy. Dlatego wymagać będę, by właściciele domów pokryli swe podwórza asfaltem lub wybrukowali kostkami granitowymi tam, gdzie są składy towarów, do których zajeżdżają platformy konne i samochody ciężarowe. To znacznie zmniejszy kurz i hałas, szczególnie w wielkich posesjach, liczących po cztery podwórza jedno za drugim. Celem zwiększenia czystości i światła domy zarówno od ulicy jak podwórza mają być otynkowane. Na wszystkich placach wolnych i w środku podwórz mają powstać klomby z trawą i krzewami. Dawne studnie, mające często wodę zakażoną tyfusem muszą być zamknięte. Proszę państwa o zrozumienie moich szczerych intencji i o pomoc z waszej strony. Macie głowy lepsze od mojej, potraficie więc zawiązać jakieś Towarzystwo Przyjaciół Nalewek dla propagowania poruszonych tu myśli i udzielania pożyczek właścicielom domów. Wszystko to chciałbym przeprowadzić za wolą i pomocą państwa. Wolalbym tego nie robić samym nakazem bez waszej współpracy. — Otrzymałem umiarkowane okłaski, po czym zabrał głos znany adwokat, proponując, bym pracował razem z nimi, gdyż było już dużo takich, którzy chcieli kierować sprawami żydowskimi bez Żydów. Rezultaty były zawsze smutne, a chyba o to mi nie chodzi. Poseł żydowski powitał życzliwie moją inicjatywę, ale uważał, iż bierze ona z doli żydowskiej jedynie rzeczy zewnętrzne. Tymczasem od początku niepodległości jest w Polsce pół miliona Żydów, a może nawet więcej, którzy są specjalnie upośledzeni. Nie mają oni obywatelstwa polskiego, gdyż uciekli do Polski z Rosji przed prześladowaniami białych wojsk. Polska dała im schronienie w ucieczce od pewnej śmierci. Ale to przecież nie wszystko. Ci ludzie muszą zostać w Polsce, bo nie mają gdzie iść. Muszą też zarabiać na swoje istnienie. Tymczasem od kilku lat obywateli są meldować się w policji i otrzymywać przepustki na przejazd nawet z powiatu do powiatu. Jeżeli uwzględnimy, że uciekinierzy przeważnie trudnią się handlem, to możemy wyobrazić sobie jakie to są szyskany wobec ludzi, którzy Polsce nic złego nie zrobili. My, Żydzi, mamy nadzieję, że po przewrocie majowym ustanie ta niesprawiedliwość wobec biednych uchodźców z Rosji. Oczekują oni jak najszybszego otrzymania paszportów polskich i praw obywatelskich, za które chcą odpłacić swą pracą. To jest w tej chwili najważniejszy problem Żydów

w Polsce. Poseł podnosi to wobec mnie jako przedstawiciela rządu. Przyrzekłem sprawę tę przedstawić ministrowi spraw wewnętrznych Młodzianowskiemu. Zapewniłem również, że będę współpracować ze społeczeństwem żydowskim przy poprawie warunków higienicznych i estetycznych ich dzielnic. Wkrótce po tym zbraniu zaczęły się prace porządkowe w okolicach Nalewek. Sprawę pół miliona bezpieczeństwa Żydów przedstawiłem przy tygodniowym meldunku ministrowi Młodzianowskiemu. Niestety trafiłem fatalnie. Właśnie minister Młodzianowski i minister oświaty Sujkowski byli pod ostrym ostrzałem prawicy sejmowej z powodu wniesionych do sejmu projektów nadania szerszych praw mniejszości ukraińskiej. Nie było więc ze względów taktycznych możliwe dołączać do tego sprawę bezpieczeństwa Żydów. W kilka dni później, 20 września, byłem w sejmie, gdy przeszedł wniosek nieufności właśnie dla ministrów Sujkowskiego i Młodzianowskiego. Prezydent Mościcki mianował na nowo premierem pośła Bartla i ten sformował rząd w niezmiennym składzie. Gdy jednak w odpowiedzi na to sejm obniżył kwartalne prowizorium budżetowe, drugi rząd Bartla podał się 30 września do dymisji. Wychodząc z sejmu minister Młodzianowski powiedział do mnie: — Mam dosyć tego ministrowania i współpracy z sejmem. Podaję się już nie tylko formalnie, ale rzeczywiście do dymisji i uprzedzam, że będę proponował pana jako swego następcę. Uważam, że daje pan sobie radę w Warszawie, to i w ministerstwie powinno panu pójść. Ja dłużej używać się o rzeczy oczywiście dla Polski potrzebne nie myślę. — W napiętej znowu sytuacji politycznej Prezydent Mościcki powierzył premierostwo nowego rządu Marszałkowi Piłsudskiemu. Pierwszego października w czasie konferencji z naczelnikami wydziałów w moim biurze zadzwonił telefon i usłyszałem: — Tu adiutantura Belwederu. Pan Marszałek prosi pana generała dzisiaj na piątą po południu.

Z trudem opanowałem wzruszenie. Komendanta widziałem od Maja dwa razy na dworcu przy odjeździe do Wilna i Druskienik. Oczywiście zdołałem jedynie się zameldować. Teraz jestem nagle wzywany. Myśl, że to zapowiedziana interwencja Młodzianowskiego przesłonięta została obawą, że Komendant może być niezadowolony z mego rządzenia się w Warszawie i może powie mi: — Co wy tam za kawały wyprawiacie?

Dzień jesienny był piękny, słoneczny, ale bardzo długi. Pięć minut przed piątą samochód mój chrzęszcząc po żwirze zajeżdżał pod wysoki ganek Belwederu. Zostałem zaraz wpuszczony przez adiutanta. Komendant pochylony siedział nad okrągłym stolikiem do pasjansa. Wyglądał dobrze w strzeleckiej kurtce bez odznaczeń. Narożny salon pełen był zachodzącego słońca wpadającego przez drzwi otwarte na taras. Komendant spojrzał na mnie przelotnie, wyciągnął rękę przez stół na powitanie, mówiąc powoli: — No, więc zostaniecie ministrem spraw wewnętrznych, bo Młodzianowski nie chce pracować z tym sejmem. — Na moją uwagę, że nie znam się na polityce Komendant dodał już

żywiej: — Żadnej polityki tu nie potrzeba. Wszyscy mówią, że jesteście administrator, więc zostaniecie ministrem. No do widzenia, zameldujcie się u pana Bartla. — Tu Komendant na chwilę spojrzał mi jasno, pogodnie, prawie łagodnie w oczy i wrócił do pasjansa. Wyszedłem cicho nie chcąc mu przeszkadzać. Premier Bartel i koledzy winszują mi... Moje wrażenie: Z głębokiej wody wołą Komendanta rzucony zostałem w głęboki ukrop.

Sławoj SKŁADKOWSKI

!

DWIE KSIĄŻKI - DWA SUKCESY

Zofia Romanowiczowa

BAŚKA I BARBARA

Cena fr. 500 — sh. 10 — dol. 1.50

Tadeusz Nowakowski

OBÓZ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Cena fr. 850 — sh. 17 — dol. 2.50

LIBELLA

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis-en-l'Île - PARIS-IV
France

WARUNKI SPRZEDAŻY:

Jeżeli ktoś mieszka we: Francji, Belgii, Holandii, Szwajcarii, Szwecji, Austrii, Niemczech, Luksemburgu lub we Włoszech, książkę możemy wysłać za zaliczeniem pocztowym, płatną przy odbiorze listonoszowi.

Jeżeli ktoś mieszka w Stanach Zjednoczonych należność może nam przesłać czekiem swego banku wystawionym w dolarach na „Libella” lub też może przekazać bez trudu za pośrednictwem poczty „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w: Kanadzie, Australii lub Nowej Zelandii należność może nam przekazać za pośrednictwem poczty — „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w innych krajach jak: Brazylia, Venezuela, Congo belgijskie itp. należność może przekazać nam, za pośrednictwem banku.

Jeżeli ktoś mieszka w Polsce, może poprosić swego krewnego lub znajomego mieszkającego zagranicą, aby książkę u nas zakupił i mu wysłał.

Książkę można również zamawiać we wszystkich polskich księgarniach.

Kronika kulturalna

Po śmierci Staffa

Do odczytania nad grobem Leopolda Staffa wybrałbym następujący jego wiersz:

*Nie wierzyłem
Stojąc nad brzegiem rzeki,
Która była szeroka i rwista,
Że przejdę ten most,
Spleciony z cienkiej, kruchej trzciny
Powiązanej lykiem.
Szedłem lekko jak motyl
I ciężko jak słoń,
Szedłem pewnie jak tancerz
I chwiejnie jak ślepiec.
Nie wierzyłem, że przejdę ten most,
I gdy stoję już na drugim brzegu,
Nie wierzę, że go przeszędłem.*

I jeszcze tych kilka linii o ciągłym szukaniu i o złudnej tylko nagrodzie jaką poezja obiecuje najbardziej nawet wytrwałym:

*Dotrzeć do bieguna
Za życia cenę
Przez lód, przez mróz, przez noc,
Przez Erebus i Terror
Ostatkiem sił,
By stwierdzić, że ktoś inny
Już tam był.*

Sądzę, że byłby to najlepszy sposób złożenia pośmiertnego hołdu poecie, który swoje literackie porażki zawsze umiał zamieniać w ludzkie zwycięstwa.

Czesław MIŁOSZ

Z notatek o Conradzie

Kiedy pierwszy raz spotkałem Józefa Conrada w roku 1909 na małej stacji kolejowej w hrabstwie Kent, poznałem go natychmiast, mimo że nigdy przedtem nie widziałem jego podobizny, tak się odcinał polskim wyglądem od stojących na peronie poddanych Edwarda VII. Podeszedłem bez namysłu do tego typowego kresowego szlachcica. Conrad, z którym umówiłem się poprzednio listownie, zaczął do mnie mówić po polsku, ale wkrótce przeszedł na angielski i francuski. Od tego czasu, w ciągu długich lat przyjaźni, mówiliśmy zawsze tymi trzema językami na przemian. Conrad mówił po polsku bardzo swobodnie, z wyraźnym kresowym akcentem, ale nieraz brakowało mu słów.

Conrad opuścił Polskę mając lat 18. Mówił już wtedy doskonale po francusku: służył przecież we francuskiej marynarce handlowej, ale ani słowa po angielsku. Tak jak zwykle bywa z chłopcem w obcym kraju, w pierwszym okresie pobytu zagranicą wiele skorzystał z pomocy rodaków. Gdy wyładował w Marsylii, w dostaniu się na francuski statek pomógł mu Chodźko. Podejrzewam również, że to Chodźko wprowadził młodego Korzeniowskiego w przemysł broni dla Carlistów i że to on wysłał Conrada do Meksyku. Inny Polak, Poradowski, osiadł w Belgii, pomógł mu później wejść do żeglugi na rzece Konga w Kongo Belgijskim, kiedy Conrad musiał się wyrzec dalszych rejsów. Kiedy zaczął służyć na statkach angielskich, Polaków spotykał już tylko przypadkiem i z rzadka, ale zawsze utrzymywał stały kontakt z Chodźkami w Marsylii i z Poradowskimi w Belgii, oraz korespondował regularnie z krewnymi w Polsce — Zagórskimi.

Kiedy przeszedł na emeryturę i osiadł w Anglii, Polaków widywał bardzo rzadko i raczej ich unikał. Jeden z największych antykwariatów londyńskich był wówczas własnością Polaka, Woynicza, którego żona Angielka, była bardzo znaną pisarką, autorką powieści pt. „Gadfly”, dotychczas często cytowanej w Anglii jako ciekawy dokument epoki. Conrad nie lubił Woynicza i starał się go nie spotykać. Od czasu do czasu widywał profesora Lutosławskiego, ale również go nie lubił i ograniczał spotkania z nim jak tylko mógł, starając się jednocześnie nie urazić Lutosławskiego.

Conrad powiedział mi podczas naszych pierwszych spotkań, że właściwie od lat bardzo rzadko mówił po polsku. Ale jego żona Jessie mówiła mi że w chorobie i gorączce Conrad mówił właściwie wyłącznie po polsku, ku jej rozpacz, gdyż nie rozumiała ani słowa. Do polskich krewnych pisał po polsku i bez-

błędnie — widziałem wiele jego listów. Do mnie pisywał — tak jak mówił — w trzech językach.

Wkrótce po naszym spotkaniu zacząłem namawiać Conrada na odwiedzenie Polski. Pomysł ten zarazem go cieszył i niepokoił — z Polski wyjechał tak dawno, że większość jego znajomych, krewnych i przyjaciół już nie żyła. Był on skądinąd bardzo świadomy swej „angielskości” i obawiał się że ta angielska część jego osobistości zareaguje negatywnie na polskie obyczaje i styl życia. Obawiał się wreszcie reakcji żony Angielki i synów, którzy wychowani byli oczywiście już całkowicie po angielsku, obawiał się głównie że możliwa niechęć rodziny do Polski obróci się przeciwko niemu. Wielu Polaków dziwiło się dlaczego najstarszy syn Conrada miał na imię Borys. Zapytałem się go kiedyś jak się to stało że on, tak antyrosyjski, dał synowi właśnie to rosyjskie imię. Conrad odpowiedział mi wówczas że wcale nie zdawał sobie sprawy z tego że imię Borys jest czysto rosyjskie.

Kiedyśmy jednak wreszcie przyjechali do Krakowa i sierpnia 1914 roku, Conrad powiedział do mnie: „Dear Joseph, it is a great happiness to me that at last I have come here with my wife and sons and have show them that, il y a quelque chose derrière moi”. (Drogi Józefie, jest to dla mnie wielkim szczęściem że przyjechałem tu wreszcie z żoną i synami i że pokazałem im że coś poza mną stoi).

Conrad, tak wspaniale posiadający język angielski w piśmie, nieraz w mowie popełniał zadziwiające błędy i fatalnie wymawiał niektóre angielskie wyrazy.

W stylu życia, stosunku do ludzi, jedzeniu nawet, był Conrad bardzo angielski i jego stosunek zarówno do zagadnień życia publicznego, jak do własnych znajomych był stosunkiem Anglika, nie Polaka. Kiedy brytyjska marynarka wojenna prosiła go w czasie wojny o spędzeniu pewnego czasu na okrętach wojennych i opisanie swych wojennych obserwacji, raport jego był typowym raportem Anglika. Również kiedy na moją prośbę napisał podczas wojny kilka memoriałów do angielskiego ministerstwa spraw zagranicznych o sprawach polskich, odzwierciedlały one raczej reakcje Anglika odnoszącego się do Polski z dużą sympatią, niż Polaka anglofila.

W życiu codziennym przywiązywał wielką wagę do tego co można by nazwać angielskim stylem życia. Pamiętał polskie obyczaje, ale zachowywał się zawsze jak typowy Anglik. Przypuszczam że czynił to celowo, nie tyle po to żeby zerwać z Polską, co żeby przekonać się sam że stał się Anglikiem.

Skądinąd, podczas paromiesięcznego pobytu w Polsce, jego zainteresowanie Polską i jej sprawami odżyło całkowicie, do tego stopnia, że przetłumaczył kilka nowel z polskiego na angielski. Jego przyjaźń z kilkoma Polakami — Żeromskim, Koszem, Winawerem — była też polska bardziej niż angielska w stylu. Interesował się na przykład szczegółami życia osobistego znajomych o wiele bardziej niż interesuje się zwykle Anglik życiem nawet bliskich przyjaciół. Jego przyjaźnie z Polakami, chociażby

ze mną, miały zawsze odmienny charakter od jego przyjaźni, nawet najbardziej zażyłych, z Anglikami — choćby chodziło o Johna Galsworthy.

W reakcjach wobec Rosji był Conrad bardzo polski. Nie nawidził wszyściego co rosyjskie. Jego antyrosyjskość była przyczyną poróżnienia jego z Paderewskim, w które ją również byłem zamieszany. Paderewski zapoznał mnie w Paryżu w roku 1915 ze swoim planem wielkiego międzynarodowego funduszu na rzecz polskich ofiar wojennych. Tworzył wówczas narodowe komitety na ten cel w różnych krajach, które zresztą zebrały podczas wojny kilka milionów funtów, głównie w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii i Francji. Oznajmił mi że wkrótce przyjeżdża do Londynu założyć taki właśnie komitet z panną Alma-Tadema, córką Sir Lawrence Alma-Tadema, przyjaciółką Paderewskiego i Polaków.

Wróciłem z Paryża do Londynu i w parę dni później spotkałem tam Paderewskiego, który zaczął mi robić gwałtowne wymówki przypisując mi odpowiedzialność za to że Conrad odmówił udziału w angielskim komitecie pomocy polskim ofiarom wojny. Paderewski zaczął wymachiwać przede mną telegramem od Conrada — wyjąłem mu go z ręki i przeczytałem, że Conrad odmawia udziału w komitecie, którego jednym z honorowych przewodniczących ma być hr. Benckendorff, rosyjski ambasador w Londynie. Odpowiedziałem Paderewskiemu, że Conrada nie widziałem od powrotu z Paryża, że nie wiedziałem nawet o zaproszeniu Benckendorffa do komitetu, ale że się całkowicie zgadzam ze stanowiskiem Conrada. Od tego czasu, moje stosunki z Paderewskim zawsze pozostały chłodne. Z Conradem Paderewski nie spotkał się już nigdy. Z perspektywy czasu nieco inaczej zresztą patrzę na ten epizod. Paderewskiemu chodziło o największą i konkretną pomoc dla Polaków. W chwili gdy cała Anglia uważała próżne obietnice Wielkiego Księcia Mikołaja jako zapowiedź zwrotu rosyjskiej polityki wobec Polski, wobec zresztą wojennego przymierza angielsko-rosyjskiego, trudno byłoby Paderewskiemu uzyskać poparcie angielskiej opinii, nie mówiąc już o brytyjskim rządzie, gdyby był pominął rosyjskiego ambasadora. Poza tym Paderewski liczył na życzliwość ambasadorowej — która była katoliczką.

Stosunek Conrada do Ameryki był, do chwili gdy tam pojechał, typowo angielski. Uważał Amerykę za coś w rodzaju brytyjskiej kolonii. Ale pobyt jego w Stanach zmienił całkowicie ten stosunek. Conrad mówił mi zresztą, że największą jego radością w Nowym Jorku było powitanie go przez grupę młodzieży w polskich strojach narodowych.

W mojej książce o Conradzie i jego współczesnych podkreśliłem, że jego angielski styl miał korzenie nie tylko w glebie angielskiego języka, ale że wiele jego skutecznych pomysłów stylistycznych było transpozycją z polskiego. Kiedy jednak w swych książkach mówił o Polakach, mam zawsze wrażenie, że robił to z punktu widzenia cudzoziemca. Nie widzę śladu polskiego na-

technienia w opisie takich postaci jak Janko w „Amy Foster”, czy polski arystokrata w „Il Conde” (modelem Conrada był tu hr. Szembek, spotykany przez niego w Genewie — nie mogłem sit jednak nigdy dowiedzieć od Conrada który to był Szembek). Kiedy zaś — w jednej ze swych późniejszych powieści — użył pewnych moich przygód jako tła swojej fabuły, nie pozostało w nich już nic polskiego...

Londyn, Maj 1957.

Józef H. RETINGER

Refleksje teatralne

Nie można powiedzieć, aby „Kultura” poświęcała zbyt wiele miejsca fikcji zwanej teatrem zawodowym na emigracji. Raz na kilka lat parę uwag i omówień — to wszystko. I słusznie: dobrze jest pisać o fikcjach artystycznych, lepiej przemilczać je w życiu: niech co udawane wędnie, co zdrowe niech wyrasta. Ale oto zjeżdża do Londynu polski teatr z prawdziwego zdarzenia, chyba więc pora przewietrzyć nieco londyńskie sceny i scenki. Nie cofniemy się zbyt daleko w przeszłość: tylko o ostatnich wydarzeniach.



Dla uczczenia 50-ej rocznicy śmierci Wyspiańskiego tutejszy sanhedryn literacko-teatralny wybrał „Wyzwolenie” — decyzja polityczna, bo uważano, że w Polsce nigdy nie pozwolą na wystawienie tej sztuki (już wiadomo, że będzie grana niebawem i to nawet w dwóch inscenizacjach). Decyzję tę podjęto wbrew kilku bardzo ważnym przesłankom. Zlekceważono fakty: że sztuka należy do najtrudniejszych w spuściźnie Wyspiańskiego, że wymaga olbrzymiej i doskonałej, a tu nieosiągalnej obsady i wielkiej maszyny teatralnej, jakiej nie da się zorganizować w nieodpowiedniej i mało akustycznej sali teatru „Scala”. Rezultat? Mimo spędzenia na chybیکا ponad dwudziestu aktorów, pół tuzina amatorów i z półtuzina statystów, inscenizator dr Leopold Kielanowski zdołał dać tylko namiastkę przedstawienia, ale za to osiągnął deficyt około 250 funtów. Oba przedstawienia tchnęły nudą, budziły smutek prymitywizmem reżyserii i wykonania, i z pewnością — zamiast oddać hołd wielkiemu Poezie — zniechęciły mniej wykształconych widzów do jakichkolwiek kontaktów z dramatem Wyspiańskiego. Większość publiczności wychodziła z przedstawienia z przekonaniem, że Wyspiański przeżył się ostatecznie i nic już nie ma do powiedzenia dzisiejszemu Polakowi. Wkrótce w „Dzienniku Polskim” opublikowano dorywczą „ankietę” potwierdzającą ten pogląd.

Jak widać wynik tej, nie tyle radosnej, co gorączkowej twórczości tea-

tralnej był raczej biedny. Zachodzi jednak pytanie, czy winien tu Wyspiański, czy teatr? Choć uważam, że popełniono wielki błąd wybierając w skromnych warunkach emigracyjnych „Wyzwolenie” zamiast na przykład „Powrotu Odysa” lub „Warszawianki”, nie wydaje mi się aby nawet tej fałszywej decyzji nie można było zrealizować w sposób, jeśli nie lepszy, to przynajmniej ciekawszy. Jest w „Wyzwoleniu” dość elementów ponadczasowych, dość piękności czysto teatralnych i myśli na dzisiaj aktualnych, by zdolny reżyser mógł stworzyć inscenizację zrozumiałą dla współczesnego widza, a — kto wie — może nawet dla Polaka-emigranta wstrząsającą. Ale, chcąc tego dokonać trzeba było zerwać całkowicie z tradycją „Dwudziestolecia”. należało gruntownie przemyśleć tekst, wydobyć odpowiednie akcenty i pokazać dzieło z nowej zupełnie strony. Tego inscenizator Kielanowski nie tylko nie dokonał, ale nawet nie próbował dokonać. Przeciwnie: mając do czynienia z dziełem w zamierzeniu demaskatorskim, reformistycznym i antyhurtapatriotycznym nadal realizując taki kierunek, aby usprawiedliwić przemowę wstępną Nowakowskiego, który — jak zwykle — zagrzmiał przed przedstawieniem w wielki dzwon państwowo-narodowy.

Jeśli chodzi o środki artystyczne inscenizacji, to wątpię, czy puszczenie na scenę Masek w futrach i charakterystycznych kostiumach, oświetlanie Geniusza z góry i z dołu trupiozielonym światłem, albo wyreżyserowanie Blichewicza-Konrada na jednostajny patos, bardzo wątpię czy to wszystko można zaliczyć do pociągnięć celowych i przemawiających do współczesnego widza.

Aktorsko przedstawienie nie było i nie mogło być dobre głównie z powodów biologicznych („gdyby młodość chciała, gdyby starość umiała...”). Obronną ręką wyszli: Wojciech Wojtecki jako Reżyser, Wiesław Mirecki jako Hołysz, Kora Brzezińska (Muza), Romana Pawłowska (Hestia) i Jadwiga Domańska w roli Wróżki. Nie jestem w stanie zdobyć się na superlatywy, na które ci artyści zasługiwaliby, gdyby całość wypadła dobrze. Młody Michał Kiersnowski (jedyne, który chciał) w roli Syna ujmował świeżością i autentycznością przeżycia. W „Zwiastowaniu” Paul Claudela (ostatnia realizacja teatru „Pro arte”) zagrał on świetnie trudną rolę Ucznia Piotra z Craon, co upoważnia do niemalych nadziei na rozwój tego utalentowanego aktora.

Dekoracje p. Haliny Żeleńskiej celowe, proste i estetyczne zepsuło nieco nadużywanie nieodpowiednich efektów świetlnych.



Jako Zastępca Krytyka czułem się tylko w połowie zobowiązany do kurtuazji wobec artystycznego nieladu i dlatego wyszedłem w połowie premiery „Zwiastowania” Paul Claudela w inscenizacji, reżyserii i przekładzie Olgi Żeromskiej (dokonanym przez nią wspólnie ze śp. poetą-powstańcem Zbysławem Wilczyńskim). Lojalność wymagała ode mnie jednak — poza przeczytaniem tekstu — obejrzenia całości tej realizacji. Wybrałem na wszelki wypadek czwarte przedstawienie, na którym posadzano mnie między Litwinem i parą Ukraińców, jak się okazało o wiele lepiej rozumiejących język polski od (ponoć młodocianego) sprawozdawcy (czy sprawozdawczyni — zupełnie nieznane mi nazwisko nie zdradza płci) „Dziennika Polskiego”

Tuż za mną siedziało dwoje Francuzów z tekstem „L'annonce faite à

Marie" w rękę. Zaplecze było polskie i liczne (deficyt — ponoć zero mimo drogiej wystawy i kosztownej sali „Twentieth Century Theatre”).

Głównym bohaterem „Pro-artowskiego” wieczoru (tego czwartego) był niewątpliwie wielki Claudel ze swą żarliwą wiarą, wieczną aktualnością niby średniowiecznych, a tak bliskich dzisiejszemu człowiekowi przeżyć. Nie mam wątpliwości, że młodzi aktorzy Żeromskiej wiedzieli o co chodzi autorowi i starali mu się służyć jak umieli najuczciwiej.

Inscenizacja Olgi Żeromskiej nie budzi żadnych wątpliwości. Zgodnie z instrukcjami autora, o których tylekrotnie mówił i pisał Jean-Louis Barault (ale niestety nieznany mi większości „krytyków” emigracyjnych) kostium i czas fikcyjny dramatów Claudela nie powinny przesłaniać współczesności zagadnień i postaci. Sensem „Zwiastowania” jest zadumanie wierzącego chrześcijanina nad wartością i celem cierpienia, jakim Bóg obdarza, czy raczej ściga wybrane dusze. W ramach tych założeń Żeromska skróciła mniej więcej o jedną czwartą tekst claudelowski i dokonała pewnych przesunięć w rolach, aby między innymi uwypuklić postać Ucznia Piotra z Craon (najlepsza męska kreacja — Michał Kiersnowski), która to rola z reguły wypadła błąd nawet w Comédie Française.

Inscenizacja nie znalazła, niestety, należytego poparcia w dekoracjach Jerzego Facyńskiego. Choć nowoczesnie oszczędne i bardzo funkcjonalne dzięki dobremu wykonaniu (technik teatralny Henryk Lassota), robiły wrażenie niedokomponowanych i niezupełnie stylistycznie związanych. Piękny akcent główny — gotyckie malowidło przedstawiające zwiastowanie pasterzom nie był dostatecznie zestrojony ze słabymi fragmentami architektonicznymi i krajobrazowymi. Doskonale natomiast wspierała inscenizatorkę muzyka, pomysłowo skompilowana przez utalentowanego Walijczyka H.J. Duka (którego współpraca raz jeszcze potwierdza szeroki zasięg kontaktów Grupy „Pro arte” z rówieśnikami różnych narodowości). Wśród utworów nagranych na taśmę magnetofonową (obsługiwaną przez przybyłego ostatnio z Polski młodzieżowego muzyka, wnuka Paderewskiego) rozpoznałem fragmenty Faure’go, Francka obok Bacha i chyba Warlocka. Uwertura była dla mnie zagadką dopóki sąsiad-Ukrainiec nie rozpoznał w niej jednego z utworów Panufnika.

Co do aktorów (na czwartym przedstawieniu), to mężczyźni radzili sobie na dostatecznie z plusem, a architekt Bogusław Topolski (w roli architekta Piotra) nawet z dwoma plusami dzięki bardzo dobremu warunkom głosowym i dużemu odczuciu niełatwej roli. Świetne warunki zewnętrzne obydwóch pozostałych aktorów (Benon Łastowski-Anne Vercors — i Bronisław Kozerski, pierwszy od wielu lat w Londynie prawdziwy amant, w roli Jakuba Hury) pozwalają oczekiwać od nich coraz lepszych rezultatów, o ile będą pracowali i to pracowali solidnie.

Powrót na scenę Olgi Żeromskiej, wychowanki warszawskiego P.I.S.T.-u (po kilkuletniej przerwie) ma w sobie coś szlachetnego i krzepiącego zarazem. Wraca ona na tle zespołu, który stworzyła, pokształciła i który uczciwą, upartą pracą prowadzi od trzech lat drogą ciężką, nieraz ciernistą, ale bez kompromisów i bez najmniejszego zboczenia z kierunku wyrażonego nazwą „Pro arte”. W roli Wiolany Żeromska dała kreację wzruszającą, ciekawą i delikatną. Bardzo zdolna i sumienna p. Szczesna Michałowska zniekształciła, niestety, rolę młodszej siostry Wiolany, Mary, w kierunku starej panny-jędzy, co nie było intencją autora. Wolalem ją w „Balu Złodziei” jako Lady Hurt, Irena Różycka, którą w roli Wiolany widziałem

w pierwszych dwóch aktach na pierwszym przedstawieniu, dała postać żywą i przekonującą, choć nie wiem, czy rola Mary nie byłaby lepsza dla tej pełnej temperamentu brunetki. W każdym razie nie mam wątpliwości, że aktorka ta rozwija się korzystnie. Nora Dreling, znana dotychczas z lepszych ról w rewiach teatru 2 Korpusu, wystąpiła po raz pierwszy w „Pro arte” stwarzając ciepłą postać Matki. Jej też staraniom zawdzięczało „Zwiastowanie” naprawdę piękną oprawę kostiumową.

Trudno mi się zdecydować, czy wystawienie dramatu Claudela można uznać — jak twierdzą niektórzy — za najlepsze z dotychczasowych osiągnięć „Pro arte”. Podejrzewam, że „Przedziwna Szewcowa” Lorci wypadła lepiej. Jestem jednak pewien, że Claudel był najciekawszą, bo najambitniejszą premierą. Szkoda, że względy organizacyjne nie pozwoliły na jej przedstawienie. Myślę, że „Zwiastowanie” należało wznowić na jesieni, zwłaszcza jeśli do tego czasu uda się przeorganizować ten teatr na nowych, bardziej samodzielnych i samowystarczalnych zasadach. Jak mnie informowano miałyby to być teatr klubowy, utrzymywany przez własną stałą publiczność, którą „Pro arte” zdobyło swą dotychczasową uczciwą pracą.



Przykro jest (pisze znów Krytyk) przechodzić od sztuk z najwyższego repertuaru do zjeżdżających ochłapów teatralnych w rodzaju „Trafiki Pani Generalowej”, którą dyrektor i reżyser Wojciech Wojtecki uznał za właściwe wywlec z teatralnego lamusu. Nie potrzeba chyba przypominać czytelnikom „Kultury”, że „Trafika” (jak większość sztuk węgierskiego dostawcy towaru bulwarowego sprzed trzydziestu laty) jest płaska niby deska, a na dobitkę zawiera tylko kilka znośnych dowcipów — stanowczo za mało, aby tę komedijską-farsę traktować choćby jako sposób zabicia dwóch godzin czasu, z którym człowiek wydrążony londyńską nudą nie wie co począć.

Grzech główny wyboru złej sztuki powiększył Wojtecki wielokrotnie złym wyreżyserowaniem młodej i miłej (a przy tym bardzo ładnej) adeptki teatralnej z Krakowa, panny Barbary Galicówny. Bogu ducha winne stworzenie wyuczył reżyser swej własnej maniery akcentowania ostatnich sylab wyrazów. W rezultacie Galicówna (grająca w „Trafice” rolę młodszej córki Generalowej) tylko przez zapomnienie wymawiała swe kwestie normalną polszczyzną, co — w ramach emigracyjnych fikcji — nie przeszkodziło uznaniu jej przez tutejszych „krytyków” niemal za objawienie talentu (bo po wielu latach zobaczyli na scenie coś nowego, bardzo młodego i ładnego). Ale to nie koniec. Figlarz Wojtecki, jakby na kpiny, właśnie w tym przedstawieniu wyrzekł się swej wstrętnej maniery i zagrał rolę młodsze go hrabiego doskonale, wymawiając wyrazy zgodnie z najprawidłowszą fonetyką polskiego języka. Gdybym był Galicówną, obraziłbym się za ten okrutny reżyserski eksperyment. Z pozostałej obsady wymienię Romanę Pawłowską, jak zawsze bardzo dobrą. Ponadto zadziwił mnie p. Kostrzewski, który w tej sztuce zagrał siebie aż dwa razy, na szczęście za drugim razem (starszy hrabia Otto) całkiem wyraźnie i bez zjadania słów. Dekoracje dobre, bo stały. A było ich dużo, bardzo dużo: aż dwa komplety kieszonkowych salonów dla ubogich plus tabaczkowa trafika pani generalowej — na niby.

Książki

Poezja prosta

Spotkałem niedawno Edmunda Humeau, którego nie widziałem od kilku miesięcy i — jak to często bywa — po zapytaniu o losy wspólnych znajomych, o prace i projekty na przyszłość — rozmowa zesłała na poezję. Należy on prawie do tej samej generacji co ja, chociaż nasza twórczość poszła odmiennymi drogami. W przeciwieństwie do większości poetów francuskich nie zdaje się on całkowicie na własny instynkt, ale świadomie szuka celu swej poezji i dróg, którymi należy doń zmierzać. Byliśmy obydwaj zgodni co do tego, że epoka zapoczątkowana przed laty przez ruchy awangardowe dobiega do końca i zmienia się zasadniczo sposób pisania, co może stać się punktem wyjścia nowej poezji, odmiennej od dotychczasowej. W trakcie rozmowy uderzyło mnie jedno doskonałe sformułowanie Humeau, który powiedział, że najtrudniejszym zadaniem dla młodych poetów będzie obecnie nieprzekroczenie granicy, poza którą słowo przestaje się określać poetycko.

W kilka dni później byłem w teatrze na przedstawieniu pantominy Becketta, którą pozwolę sobie streścić w kilku zdaniach: człowiek samotny, zgubiony w pejzażu rudymmentarnie przywodzącym na myśl pustynię, pragnie wyjść z zamkniętego koła i za każdym razem, gdy chce opuścić scenę jakaś nieokreślona siła brutalnie go rzuca z powrotem w miejsce, z którego wyszedł. Wtedy z góry opuszcza się karafka wody, która pozostaje jednak zbyt wysoko by można ją dosięgnąć. Człowiek usiłuje posłużyć się dużym sześcianem, aby uchwycić karafkę. Na próżno. Jest ona zawieszona zbyt wysoko, sześcian nie wystarcza, podobnie dwa sześciany, a w momencie gdy można by ją było dosięgnąć — karafka wznosi się do góry. Wreszcie pantomina kończy się tym, że karafka opada prawie na wysokość leżącego człowieka, ale nie ma on już dość siły, ani ochoty, by ponowić próby.

Te dwie dygresje są tylko pozornie bez związku z tematem artykułu. Nie wiem dokładnie, co Beckett chciał przez to powiedzieć, ale przez cały czas, z nieprzepartą siłą, narzucała mi się myśl, że obraz ten mógłby wyrażać dążenie do poezji. W chwili gdy zdajemy się do niej docierać — cała konstrukcja załamuje się, jak sześciany w pantominie Becketta, trzeba zaczynać od nowa i okazuje się, że cel jest nieosiągalny. Ani zwyczajną drogą, podnosząc punkt wyjścia przez przesunięcie sześcianu, ani posługując się mniej lub więcej bezsensownym układem, gdy chce się jak aktor w pantominie położyć ogromny sześcian na malutkiej kostce, która nie może go utrzymać. Ani przez logikę, ani przez nonsens — nie można doń dotrzeć.

W pierwszej połowie XX wieku doszliśmy do przekonania, że droga poetycka prowadzi poprzez odrealnienie, poprzez wprowadzenie pewnej dozy nonsensu, bo środki opierające się na logice okazały się niewystarczające. Obecnie widzimy, że pozwoliło to na zobaczenie jednego tylko aspektu zagadnienia. Dzisiaj próbuje się jeszcze uchwycić karafkę z wodą stojącą na malutkich kostkach, ale cały układ się rozsypuje. Może trzeba znów zmienić metodę i powrócić do punktu wyjścia? Czy w ten sposób zdołamy się przybliżyć do nieosiągalnego? Oczywiście, nie potrafimy ująć w ręce karafki, byłoby to zbyt proste — ale może uda się nam jednak zobaczyć drugą stronę naczynia. Wielki symbol wyrażony przez zwyczajny przedmiot codziennego użytku. I pamięć o tym, przestroga, że po przekroczeniu pewnej granicy karafka może przestać być symbolem, by znowu stać się tylko — karafką.

Te rozważania staną się bardziej zrozumiałe, gdy przyjrzymy się bliżej obecnym tendencjom młodej poezji i będziemy się starać określić czym różni się ona od okresu poprzedzającego. Pominę tu milczeniem poetów, którzy wyrazili się już w poprzedniej epoce, wielu z nich nie zakończyło wprawdzie swego cyklu rozwojowego, ale mimo to związani są oni jednak raczej z okresem poprzedzającym wojnę i korzeniami tkwiącymi jeszcze w dwudziestoleciu. Ostatnio, pojawili się jednak młodzi poeci, którzy zdają się wyrastać z chwili obecnej i ich twórczość biegnie odmiennymi drogami. Dlatego zasługują oni na uwagę, tym bacniejszą, że zaczęli swą działalność, w kraju — po „zejściu do piekieł” w okresie realizmu socjalistycznego, a na emigracji — po wyschnięciu post-skamandryzmu i patriotycznego wspominkarstwa.

Młodzi poeci mają dzisiaj o wiele większe możliwości drukowania niż ci, którzy stawiali pierwsze kroki w okresie dwudziestolecia. To stwierdzenie dotyczy zarówno poetów w kraju, jak na emigracji. Nawet przedwojenne „Wiadomości”, chociaż wtedy nazywały się literackimi, poświęcały poezji niewiele miejsca, podczas gdy w obecnych, co tydzień kilka wierszy figuruje na pierwszej stronie każdego numeru. Niewątpliwie, młody debiutant znajduje się teraz w lepszym położeniu niż dawniej i to za-

ważyło na linii rozwojowej poezji: możliwość drukowania skłaniała raczej do przystosowania się do ogólnych wymagań i nie zachęcała do ryzykownych poszukiwań. Dlatego produkcja poetycka była ilościowa bardzo duża, ale jej ciężar gatunkowy był stosunkowo niewielki. W kraju pisywano w myśl recept „społecznych”, na emigracji — zgodnie z wymaganiami innego oportunizmu, którego kierunek można by określić przez symbole kolumny Zygmunta i białego dworku z kolumnienkami. Wiersze te, mowa tu zwłaszcza o tych, które powstały na emigracji, miały raczej wartość osobistego przeżycia dostarczając zadowolenia autorowi, ale zazwyczaj pozbawione były trwałych wartości komunikatywnych. Nie znaczy to, by były one obojętne dla czytelników. Wręcz przeciwnie. Często wywoływały tęsknotę za krajem przywołując na myśl wspomnienia stron rodzinnych, a więc obracały się w sferze faktów i obrazów, które budziły silne echa u większej liczby osób. Mimo to książki się nie sprzedawały, a pisma polskie — nie zajmowały się nimi. Ta rozbieżność między ilością poetów i wierszy drukowanych — a rozchodzeniem się tomików, jest zjawiskiem socjologicznym bardzo charakterystycznym, które kiedyś zostanie może zbadane przy pomocy metod naukowych, jakie mamy obecnie do dyspozycji. Na razie zmuszeni jesteśmy ograniczyć się do przypuszczeń. Jest prawdopodobne, że przyczyną tego był osobisty charakter przeżycia, które wyrażane przez człowieka zazwyczaj nie piszącego przybierało formę mało komunikatywną. Istniała potrzeba pisania wierszy, nie było natomiast potrzeby — ich czytania. Wiersze te cechowała poza tym wiotkość intelektualna i standaryzacja formy. Ich wartość literacka mogłaby być podawana w wątpliwość i prawdopodobnie nie przejdą one do literatury. Przeciwnie temu twierdzeniu zdaje się jednak przemawiać fakt, że bezsprzecznie większość ich jest pod względem formalnym prawie bez zarzutu. Są one zazwyczaj pisane pod przeważającym wpływem „Skamandra”, jest to swoisty „post-skamandryzm”, nad którym unoszą się emigracyjne kompleksy „kolumny Zygmunta i białego dworku”. Młodzi i starsi poeci (zazwyczaj starsi), szybko osiągnęli dużą zręczność i umiejętność posługiwania się asonansami, wiersze zawierały pewną (umiarkowaną) ilość metafor (umiarkowanie śmiałych). W rezultacie wydało to poezję dobrze uczesaną i dobrze umytą, jak grzeczny chłopczyk w odświeżonym ubranku, ale odchylenia od ogólnego tonu zdarzały się rzadko. W ciągu piętnastu lat pojawiło się wprawdzie kilka talentów, ale po bliższym zbadaniu okazuje się, że zadebiutowali oni już przed wojną (Sulkowski, Iwaniuk, Przyłuski, Pietrkiewicz i inni).

Podobnie działo się w kraju. Kompleksy emigracyjne zostały zastąpione oportunizmem politycznym, wiersze pisane były w myśl tego samego schematu, mimo iż istniało kilka wzorców. Przez długi czas były one raczej na niższym poziomie niż twórczość emigracyjna, potem — nastąpiło znaczne polepszenie.

Dopiero ostatnie dwa-trzy lata przyniosły dużą zmianę. Na emigracji wytworzył się wyłom we froncie „post-skamandryckim”, młodzi zaczęli szukać innej poezji. W kraju rozluźnienie rygorów politycznych otworzyło nowe możliwości rozwojowe. Rzecz charakterystyczna, nowe tendencje, mimo różnicy w sposobie ekspresji, pojawiły się równocześnie w kraju i na emigracji i mają wiele wspólnych cech.

Młodzi poeci w Londynie i w kraju obracają się w sferze nowej fenomenologii, w której fakty, przedmioty i doznania zmysłowe występują w formie niezależnych elementów. Jest to poezja drobnych zjawisk życia codziennego nie otoczonych żadnymi mitami i w stanie surowym przeniesionych do wiersza. Otaczająca nas rzeczywistość rozbita jest na poszczególne człony i jej punktem wyjścia jest albo nagi fakt, albo rzecz sama w sobie, nieprzekształcona poetycko. Wzajemne stosunki istniejące między tymi realiami wytwarzają pewien ładunek uczuciowy, ale w przeciwieństwie do nadrealizmu opierającego się na pomieszaniu elementów zaczerpniętych z różnych rzeczywistości lub z odmiennych układów zjawisk — tutaj występują one w stanie pierwotnej, nieprzetopionej rudy. Często jest to nawet „poezja naga”, zbudowana ze słów prostych i oparta na narracji.

„Zeście do piekieł” w okresie „soc-realistycznym” było mniej katastrofalne w zakresie poezji, niż w dziedzinie prozy. Wprawdzie obniżyło to ogólny poziom poetycki przez szereg lat, ale, wraz z elementami dawniejszej poezji wyplewiono również wiele chwastów. Zniszczono język poetycki poprzedniej epoki, ale wartości zastępcze były tak nikłe, że powstała *tabula rasa*, która stanowiła pomyślny teren do wytworzenia się nowej mowy. Przez szereg lat fala prozy zalała poezję, ale mimo spowodowanych szkód miało to w sobie coś z wylewów Nilu, które przez naniesiony namul użyźniając okoliczne pola.

Na skutek tego młoda poezja polska — nie ma prawie nic wspólnego z przedwojennymi skamandrytami. W ogromnej większości jest jej też prawie obojętna — poetyka awangardy. Cechuje ją zazwyczaj nawrót do życia, do elementów prostych, często nawet brutalnych, do ironii lub groteski. Wśród poetów generacji powojennej — jeśli pominiemy rymopisów kontynuujących „soc-realizm” — istnieje tendencja do szukania własnych dróg przez stworzenie nowej fenomenologii poetyckiej. Rolę którą dawniej spełniała metafora, zaskakując czytelnika łączeniem bardzo odległych członów porównania, przejęło u tych poetów deformujące uproszczenie i zwężenie treści słów, które ulegają odbarwieńiu i na skutek tego nabierają odmiennego ładunku uczuciowego. W ten sposób wytwarza się nowa konwencja pozornego realizmu, która często przechodzi nawet, w niemniej pozorny, naturalizm, noszący również cechy umowności. Realizm poety nie pokrywa się więc z życiem, dzięki tym szparom i niedociągnięciom wyczuwa się jego odmiennność. Można by to powiedzieć o wierszach Białoszewskiego, Herberta, Harasymowicza, częściowo także Jachimowicza i Karpowicza, ale u każdego z tych poetów wy-

stępują elementy edmiennego świata wyobrazonego. To nie-przystawanie realności i poezji widoczne jest również, choć w nieco mniejszym stopniu u niektórych „londyńczyków” (Czaykowski, Czerniawski, Sito).

Do innej grupy należałoby zaliczyć poetów hyperrealizmu, którego najbardziej typowym przykładem jest Bohdan Drozdowski. Zamiast skrótów i stylu eliptycznego, tak częstego w dwudziestolecie — występuje tu skłonność do drobiazgowości narracyjnej, do jak najdalej idącego odpoetyzowania języka, który często przechodzi w prozę. Na emigracji tego rodzaju tendencje można by dostrzec w wierszach Taborskiego.



W pierwszych latach powojennych jedyną wybitniejszą indywidualnością poetycką wśród młodych był Tadeusz Różewicz. Uważa się często, że wyrósł on z poezji awangardowej. Nie wiem, w jakiej mierze to mniemanie jest słuszne, bo nie znam całokształtu twórczości Różewicza, co nie pozwala mi na odtworzenie jego linii rozwojowej. „Zjawisko Różewicz” jest niewątpliwie zbyt skomplikowane, by można je wyczerpać w jednym określeniu, wiersze jego są dość różnorodne, ale sądzę, że najbardziej zaważyła na jego twórczości chęć przeciwstawienia się rymopisom z okresu „soc-realistycznego”; w porównaniu z nimi jego twórczość wydawała się więc „awangardowa”, bo szukała własnych form wyrazu, a nie ograniczała się tylko do wypracowań na zadane tematy. Poezja ta zawiera zresztą sprzeczne elementy: opiera się na realności życiowej, ale równocześnie rozluźnia i przeciwstawia składowe części, powraca nieraz do okropności życia okupacyjnego, ale także — nie gardzi uśmiechem, ironią, a nawet — dość tanim humorem. Współistnieje ona w nocy „soc-realistycznej”, a po wyjściu z niej — okazuje się zgodna z duchem poezji nadchodzącej. Ale chronologicznie — należy do innego okresu, związana jest raczej z pierwszymi latami powojennymi. Różewicz był out-siderem, jego poezja znajdowała się zawsze na uboczu, z dala od ogólnego nurtu. Między nim a młodą generacją poetycką w kraju istnieje różnica dziesięciu lat, jest on od niej o dziesięć lat starszy, jeśli nie wiekiem — to datą literackiego debiutu.

Najwybitniejszym poetą wśród młodych jest niewątpliwie Białoszewski (1). Jego poezja jest najbardziej odkrywczą i zadziwia swą różnorodnością. Najlepiej czuje się on jednak w świecie rzeczy, gdy pisze o stole, szafie lub „łyżce durszłakowej”, a i

„Piec też jest piękny
ma kafle i szpary”.

(1) Miron Białoszewski, *Obroty rzeczy*, P.I.W., Warszawa, 1956.

chętnie pokazuje „ściany, plazmę życia”, drzwi, kredens, nadając przedmiotom pewne przesunięcia, które określa ich istnienie poetyckie. Jest to swoisty egzystencjalizm rzeczy, który po obrocie o 90° lub o 180° pozwala na ich nowe określenie.

„A gdy nic nie wiem o tobie
ani o robaku mikropustki
który cię gryzie
ani o nazwaniu cię śniegiem
krańcem miasteczka
spodem miesięcznej nocy

możesz mi zagrać
najpiękniejszą część niepokoju”.

Tych kilka linii może najlepiej charakteryzuje poezję Białoszewskiego: stara się on możliwie prosto nazwać rzeczy po imieniu, ale okazuje się, że zamiast do martwych przedmiotów dociera do niepokoju metafizycznego poety. Jego przedmioty przypominają często malarstwo purystyczne, są „oczyszczone” pozbawione perspektywy i głębi, odrealnione, sprowadzone do formy geometrycznego pojęcia lub do definicji układu, do którego należą.

W cyklu „Pokrewieństwa” ma on skłonność do „dokładania słów” jak kostek domina, do ustawiania ich na mocy podobieństw, w małe zamknięte systemy, które mimo podobieństwa dźwiękowego są nie tyle aliteracją wyrazów lub sylab, ale raczej aliteracją obrazów lub układów obrazowych, a czasem nawet pojawia się coś, co można by nazwać aliteracją rytmu np.:

„Wiśniowe woły
wiśniowe woły
nad wołami
twarde anioły”.

Oczywiście woły nie są wiśniowe, i wiemy, że postać anioła łączy się raczej z pojęciem miękkości, jest to więc życiowo biorąc nonsens, obraz „twardych aniołów nad wiśniowymi wołami” nie ma w sobie nic pięknego, a jednak wiersz ten nie razi, wręcz przeciwnie posiada nawet pewien urok, którego należy szukać w repetycji rytmicznej z dominantą jednej spółgłoski.

W zakończeniu jednego z wierszy Białoszewski stawia pytanie:

„którędy wyjść ze słowa?”

nie dając na nie odpowiedzi, gdyż sam idzie w różnych kierunkach: nie tylko do nominalizmu przedmiotów, ale także do „dokładania słów” i do groteski, której poświęcony jest końcowy cykl tomu.

Do groteski zwraca się zresztą wielu poetów. Cechowała ona również twórczość Różewicza, a wśród młodych spotyka się ją często u Herberta, a zwłaszcza Harasymowicza (2), który ucieka „do kraju łagodności”, nad Poprad, ożywiając figury podkarpackich świątków, św. Janów Chrzcicieli lub św. Florianów. Fantastyka Harasymowicza posiada znaczną siłę atrakcyjną, chociaż jego najpiękniejsze strofy rodzą się z uczuć raczej prostych:

*„Już i na błębitnych, ogromnych gromnicach jodeł
niedługo śniegu nawisy narosną,
jak czarne oczka foki w białym puchu, tak wioska kryje się cała
a ja nie mam do kogo iść, ani teraz, ani latem, ani wiosną”.*

W odrębnym kręgu obraca się poezja Mariana Jachimowicza (3), który pragnie dotrzeć „do oczu, w których świat patrzy nie zatara”. Jest w niej wiele metafizycznego niepokoju:

*„A człowiek leżący nad myślą swych rzeką
śnił sen.
I widział olbrzymie miasta jak cieką
i rdzewiejące u brzegu swój cień”.*

Jego poezja jest „jak płyta nagrana świerszczami”, jest w niej dużo pięknych obrazów, ale stanowią one integralną część wiersza i służą do uwypuklenia lirycznego wzruszenia wyrażonego przez poetę:

*„A nie wiem, czy był kto kiedy szczęśliwszy ode mnie
i bardziej rozgalęziony w sobie i innych*

i tak rozerwany jak grzybnia gdy wypowie swój owoc”.

Różnorodności i intensywności wizji poetyckiej — towarzyszy u Jachimowicza skłonność do podkreślania uczuciowych point środkami stosunkowo prostymi, bezpośrednio do nas przemawiającymi. Wiersze jego zawierają wiele prawdziwej poezji, ale jest on dość odosobniony, gdyż odbiega znacznie od ogólnego nurtu.

Twórczość Tymoteusza Karpowicza (4) znajduje się na pograniczu między poezją rzeczywistości przetworzonej lub opartej na konwencji, reprezentuje ją Białoszewski, Herbert, Harasymowicz, a częściowo także Jachimowicz —

(2) Jerzy Harasymowicz, *Powrót do kraju łagodności*, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1957.

(3) Marian Jachimowicz, *Ścieżką konieczną*, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1957.

(4) Tymoteusz Karpowicz, *Gorzkie źródła*, Nakładem Związku Zawodowego Literatów, Oddział we Wrocławiu, Wrocław, 1957.

a poezją „nagą”, której najbardziej charakterystycznym przedstawicielem jest Drozdowski. Karpowicz chętnie „demaskuje wzniosłość”, po dużej kondensacji lirycznej — spotykamy zazwyczaj zgrzyt przypominający o istnieniu rzeczywistości, o tym, że „jesteśmy przestarzałym biletem do kina”, że życiowy mechanizm nie działa sprawnie:

*„Jestem śmiertelnie chory
Przytrafił mi się
Robak w zegarze”.*

Ostatnie wiersze Karpowicza zdają się wskazywać jednak, że przechodzi on ewolucję, są one bardziej długofalowe i o głębszym oddechu, jest prawdopodobne, że poeta pójdzie w innym niż dotychczas kierunku.

Wielu poetów w kraju dąży obecnie do uproszczenia języka. Można by tu wymienić kilka nazwisk: Mieczysława Buczkówna, Tadeusz Nowak, Anna Kamińska i inni, ale najdalej niewątpliwie poszedł Bohdan Drozdowski (5), który jeden ze swych wierszy programowo kończy następującymi słowy:

*„Ślawię wartość użytkową
gwiazd”.*

Jest w tym niewątpliwie pewien akcent futurystyczny, gwiazdy zostały „odpoetyczone”, sprowadzone do roli zwyczajnego sprzętu codziennego użytku.

W innym wierszu tego poety czytamy:

*„Wziąłem ją
poszliśmy
Zarabia na pocztę 400 złotych
nylony kosztują 200
emerytura ojca 120
jak żyć
więc powiedziała
pójde z tobą”.*

A oto inny strzęp życia, wiersz „W cukierni”:

*„Przychodził do cukierni co dzień
syn trzymał go za wskazujący palec
syn synek czteroletni
w czerwonej czapeczce z pomponem*

(5) Bohdan Drozdowski, *Jest takie drzewo*, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1957.

*Pochylał się nad nim
ojciec
No powiedz synku co chciałeś*

*Ach proszę pani mój synek
się wstydzi
proszę czekoladową „Danusie”
za trzy dwadzieścia pięć*

*Przychodził do cukierni co dzień
i mówił ach proszę pani
mój synek się wstydzi
a jeszcze po drodze przyrzekał
że poprosi pięknie*

Sprzedawczyni zawijała „Danusie”

Chłopiec był niemowcą”.

Na czym polega oddziaływanie tego wiersza? Właściwie — nie ma w nim poezji. Jest tylko bezpośredni apel do uczuć czytelnika lub słuchacza, najpierw — by obudzić sympatię, a potem — by wzruszyć i wywołać litość. Są to słowa odarte z jakichkolwiek ozdób, nie towarzyszą im żadne elementy modyfikujące pierwotne znaczenie wyrazu. Obrazek, prozaiczny wycinek z życia, podniesiony do godności poezji.

Niewątpliwie nacisk rzeczywistości życiowej, „sorealizm” i celowe wyrzeczenie się wszystkiego co poetyckie, chęć usunięcia tego, co bezpośrednio nie wynika z życia, wszelkich uczuć uważanych za mało ważne — odegrały dużą rolę w tworzeniu się tego rodzaju czysto semantycznego podejścia do poezji. Nie tłumaczy to jednak wszystkiego. Poezja ta jest związana z kształtowaniem się nowej mentalności i nowych form życiowych, wpływa z dążenia do sprowadzenia psychologii do czynników pierwszych i wyeliminowania wszystkiego co skomplikowane, czego nie da się zawrzeć w ramach formuł uproszczonych.

Podobny typ umysłowości, mimo przeciwieństw ustrojowych i politycznych, wytworzył się na drugiej półkuli i mniej lub więcej zawilutymi drogami oddziałał na najmłodszą generację poetów polskich żyjących w Anglii (Czaykowski, Czerniawski, Sito, Taborski i inni). Oczywiście tego rodzaju próby istniały przedtem, ale miały one charakter raczej sporadyczny. O ile pamiętam spotkałem takie usiłowania w poezji francuskiej (u Cendrarsa i Maxa Jacoba), sam tego także próbowałem, bardzo już dawno (w tomie „Na Katodzie” zamieściłem wiersz pt. „Walka policji z bandytami”, który robił wrażenie wyciętego z kroniki policyjnej dziennika, a później w stanie mniej surowym

wykorzystałem analogiczny temat w wierszu „Dramat w willi Daisy”), ale obecnie, zjawisko to ma charakter masowy. W kraju, tego rodzaju poezja jest jednak produktem wtórnym rzeczywistości życiowej i społecznej, podczas gdy na emigracji występuje to w nieco odmiennie, bardziej przesublimowanej formie. Przekona nas o tym na przykład początek wiersza Czerniawskiego (6):

*„Stąpając lekko po grzywach fal
był już jak punkt na tle horyzontu
owity chmurą niebieskich liści —
a za nim stado psów i myśliwych
brnęło hulaśliwą zgrają trąb
uginając się w błotach i bujnych wąwozach.*

*W zażarwionych jego oczach
odbijały się żyły morskiego wiatru.*

*Było 37 myśliwych
psów najlepszego chowu 31*

*fakty powyższe spisano w urzędzie powiatowym
w obecności licznych świadków
ale brak nam jeszcze danych
by ustalić czemu równa się x”.*

Pierwsze sześć wierszy owianych jest poezją, przypominają się opisy dawnych polowań z „Pana Tadeusza” lub reprodukcje obrazów rozwieszone w przedpokojach naszego dzieciństwa i nagle, w tę atmosferę nasyconą romantyzmem wdzierają się brutalnie cyfra „37 myśliwych” i „psów najlepszego chowu 31”. Więcej, mamy wrażenie, że jesteśmy świadkami spisywania protokołu. I znowu w tym suchym wyliczaniu, znajdujemy literę x, symbol niewiadomej w równaniu, które należałoby rozwiązać.

Podobnie w zakończeniu tego wiersza, po poetyckiej frazie:

*„I tak w dzień ciepły odszedł zachód
fala błękitnego wiatru”*

poeta brutalnie kładzie ostatni akord, finał, jakby wyjęty z protokołu sądowego:

„lecz dokładnych danych wciąż nam brak”.

Poezję Czerniawskiego doskonale charakteryzuje zakończenie jednego z wierszy:

(6) Adam Czerniawski, *Polowanie na Jednorożca*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1956.

„Zdejmuję szkła
by lepiej przyrzeć się
rozbitej butelce na piasku
która krystalizuje promienie
w pryzmat tęczy”.

Tutaj, wspomniany kontrast występuje na przestrzeni pięciu wierszy zaczynając się od prozaizmu (rozbitej butelki), a kończąc — na elemencie poetyckim (pryzmat tęczy).

Zacytujmy teraz początek wiersza innego poety „londyńskiego” Bogdana Czaykowskiego (7):

„nie ma nie ma dla mnie miejsca
miejsca
ni tu ni tam
tu wolność
w pustce ryba na piasku
tam mnie klatka czeka w rogu obfitości
między widownią a sceną
to ja jestem żelazną kurtyną
dzielę dwie niedorzeczywistości”.

Wiersz ten składa się ze zdań prostych, jakby wyjętych z prowadzonej rozmowy. Od czasu do czasu występują zahamowania, repetycje służą do przerwania rytmu, wiersz napotyka na przeszkodę, długo waha się, trzeba powtórzyć ostatnie słowo, jest w tym coś z zacięcia się jakąś, który nie może wymówić jakiegoś wyrazu i nagle, nie wiadomo dlaczego zatrzymuje się, by potem znowu gładko wypowiedzieć kilka zdań. Klatka w rogu obfitości, ryba na piasku, obrazy prawie banalne w niczym nie odbiegające od mowy potocznej, której monotonię zamąci dopiero neologizm ostatniego wiersza pierwotnej strofki:

„dzieli dwie niedorzeczywistości”.

Neologizm szczęśliwie ukuty, który jest jakby zbitką trzech słów: rzeczywistości — niereczywistości i przyminka „do”. Daje to wrażenie nienasycenia rzeczywistości i niereczywistości, czegoś, co należy dopełnić.

Czaykowski odbiega nieco od innych poetów londyńskich, jest tym, który najbardziej opornie sięga do konkretów życiowych, jest raczej odosobniony, podobnie jak w kraju samotny jest jeden z najciekawszych poetów dwunastolecia, Marian Jachimowicz.

Młodzi chętnie „demaskują” wzniosłość odżegnywują się od tego, co dawniej było uważane za piękne:

(7) Bogdan Czaykowski, *Trzciny czcione*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1957.

„A laur oskubany do szczytu na wieńce
Przez poetów statecznie mu ukłon oddaje”

(Bolesław Taborski, „Czasy mijania”) (8)

Poeta „zbankrutowany bankier wyobraźni” pisze:

„małe wiersze o wielkim Cezarze
któremu, gdy udo obgryzał indyjsce
doniósł wywiad po dłuższych pomiarach,
że strumyk przypadkiem przekroczony wczoraj
sowie się Rubikonem”.

Do wierszy tych wdzierają się brutalnie życie zmieniając elementy dawnego piękna poetyckiego w „kałuże wody” i „indyjsce uda”, uwypuklając kontrasty, chętnie posługując się ironią lub groteską...

Taborski jest najbardziej „bezpośredni” z poetów londyńskich i najwięcej zbliża się do piszących w kraju.

Na twórczości młodej generacji poetyckiej, zarówno w kraju, jak i na emigracji, zaciążyła niewątpliwie literatura amerykańska. Piszę — literatura, bo wydaje mi się, że większy wpływ wywarł Hemingway lub Faulkner, niż poeci amerykańscy, którzy są prawie nieznani w Polsce, a mało czytani w Londynie. Może nie przeszedł bez śladu Eliot, a z poetów francuskich Eluard. Czasem można by się doszukać pewnych ech Norwida, zwłaszcza u „londyńczyków”, którzy również lubują się w zapytaniach, kontrastach i w pewnej, zamierzonej, prozaicznej niezręczności.

Młodzi poeci, zarówno w kraju, jak na emigracji doszli jednak do własnych środków ekspresji. Po raz pierwszy od wybuchu wojny stoimy wobec poezji odmiennej, znaleźć w niej można zapowiedzi wskazujące drogi, jakimi ona może potoczyć się w najbliższych latach. Siła oddziaływania niektórych wierszy tkwi właśnie w ich niepoetyckości, jest wynikiem wprowadzenia elementów związanych z prozą lub z językiem życia codziennego. Nie ma w niej „piękna”, którego zazwyczaj szukaliśmy, za to często występuje kontrast i zostają wprowadzone elementy a-poetyckie. W wielu wypadkach język dochodzi do takiej nagiętości, że ztraca zazwyczaj przyjęte wartości umowne. Po zrównaniu wszystkiego „ad tabula rasa”, po zupełnej puryfikacji i odrzuceniu wszystkich naleciałości wtórnych przywrócono słowu pierwotne granice semantyczne, istnieje ono w stanie surowym, pozbawionym ładunków uczuciowych modyfikujących jego znaczenie w mniej lub więcej określonym sensie. Zbliżyliśmy się do mowy używanej w życiu codziennym, odchodząc od tego

(8) Nakładem Drukarni Polskiej, White Eagle Press, Londyn, 1957.

co zazwyczaj uważaliśmy za poezję, a nawet — opierając się na tym, co dotychczas było jej przeciwieństwem. Anty-teatrem nazywano sztuki Jonesco i Becketta; Sartre w przedmowie do „Le portrait de l'inconnu” Nathalie Sarraute określa tę powieść jako „anty-powieść”. Można by ukuć analogiczny termin w odniesieniu do poezji mówiąc, że weszliśmy w okres „anty-poezji” i eksplorowania antypoetyckości.

Tutaj należałoby powrócić do początku tego artykułu, do słów Humeau o konieczności nieprzekraczania granicy, poza którą słowo przestaje się określać poetycko. Na ogół, zarówno poeci w kraju jak i w Londynie, zdołali zwycięsko wyjść z tej próby. Dotyczy to nawet tych, których poezja była najbardziej „naga”. Okazała się ona niewątpliwie koniecznym, ale przejściowym etapem i obecnie mnożą się symptomy świadczące o przechodzeniu do bardziej konstruktywnej pracy. Anty-poezja przejawiała się zresztą rzadko i tylko w niektórych utworach; zazwyczaj dotarło tylko do poezji uproszczonej, która zawiera o wiele większe i bardziej realne możliwości. Stoimy na progu nowej epoki. Wierzę, iż młodzi poeci znajdą w nich klucz, który otworzy wrota przyszłości.

Jan BRZEKOWSKI

Nowe przekłady z hiszpańskiego

CZĘŚĆ PIERWSZA: ŻŁOTY WIEK

Polska literatura przekładowa jest wcale bogata i wstydzę się jej nie potrzebujemy. Jeżeli przejrzymy statystyki, stwierdzimy z łatwością, że należymy do narodów które dużo tłumaczą. Nie znaczy to, że sytuacja w tej dziedzinie jest wzorowa. Z pewnych literatur posiadamy liczne i dobre przekłady, inne reprezentowane są o wiele skromniej. Wbrew wszelkim pozorom do tej drugiej kategorii trzeba zaliczyć wielką literaturę hiszpańską. Cały szereg najcenniejszych dzieł wciąż jeszcze czeka na przyswojenie literaturze polskiej.

W niniejszym szkicu pragnę krótko omówić jedenaście przekładów klasyków hiszpańskich z ostatnich lat reprezentujących za wyjątkiem Łazika z Tormesu siedemnasty wiek. Ograniczam się do rozpatrzenia ich stosunku do oryginalnych tekstów, wychodząc z założenia, że nie robi się tego dość często ze szkoda dla tłumaczy i czytelników. O wartości jaką przekłady stanowią

same w sobie, można bowiem mówić bez znajomości języka oryginału i czytelnik może na ten temat wyrobić sobie zdanie. W drugiej części spróbuję w podobny sposób ocenić powojenne przekłady hiszpańskich pisarzy nowożytnych.



Jedną z najdotkliwszych zaległości odrobił Maurycy Mann dając polskiemu czytelnikowi bodajże pierwszy przekład prototypu powieści łotzykowskiej *Łazika z Tormesu* (1). J. Morawski w swej *Historii literatury hiszpańskiej* mówi wprawdzie o jakimś polskim przekładzie wcześniejszym, ale trudno dociec na jakiej podstawie twierdzenie swoje opiera.

Łazik straciwszy wcześniej ojca wychowywany jest przez matkę, która, powodowana nędzą, oddaje go na służbę ślepemu żebrakowi. Chłopiec zasnął u niego wiele biedy ale nauczył się przebiegłości i filuctwa. Rzuciwszy okrutnego ślepcę wpada z deszczu pod rynnę do księdza-sknery, który go głodzi. Trzeci pan, szlachcic-hołyś, obchodzi się z nim po ludzku ale sam przymiera głodem więc odjada swego chłopca z wyżebranych prowiątów. Ucieka w końcu przed gospodarzem domu, któremu nie płaci i przed Łazikiem. Nasz bohater z kolei szuka szczęścia na służbie u oszusta-sprzedawcy bull odpustowych, u malarza, wozi wodę u kapelana a wreszcie zostaje woźnym magistrackim. Ta nadzwyczaj popularna książeczka jest przede wszystkim świetnym obrazem obyczajów Hiszpanii pierwszej połowy szesnastego wieku. Barwne życie największej potęgi świata przesłania jeszcze zarysowujące się początki katastrofy, o których anonimowy autor pisze z pobłażaniem. Bo są to dopiero lata Karola V i Filipa II. Za ich następców obraz epoki stanie się bardziej ponury a Łazik, szelma i chytrek w gruncie człowiek dobry, który musi się od najwcześniejszych lat borykać z nędzą, dochodzący po latach, dzięki swojej przemyślności, do względnego dobrobytu i urzędu, przekształca się w tchórza i nicponia, żerującego na swych bliźnich, jak na przykład Estebanillo González.

Tłumacz wywiązał się wzorowo ze swojego zadania. Widać wielką dbałość o wierność tekstu. Mimo zapewnień, że „musiał zachować język pospolity”, zdarza mu się stchórzyć jak na przykład kiedy mówi: „Ty synu ladacznicy”. W przypiskach Mann wymienia znaną powieść łotzykowską Quevedo *El Buscón*. Idąc za Morawskim i niemieckimi historykami literatury nazywa on ją *El gran tacaño*. Jest to nieporozumienie. Oryginalny tytuł utworu brzmi: *Historia de la vida del Buscón llamado don Pablos ejemplo de vagamundos y espejo de tacaños*. Nie można też mówić o żywocie „Pawła sknery”, bo *tacaño* ma tu znaczenie łotra, szalbierza, oszusta.

(1) Anonim XVI w. *Żywot Łazika z Tormesu*. Tłumaczył i wstępem opatrzył Maurycy Mann. Wyd. Wiedza, Warszawa 1948.

Ilustracje są bez polotu a szkoda, gdyż stracono okazję, żeby czytelnikowi polskiemu pokazać świetne rysunki wydań zagranicznych.

Spod pióra Zdzisława Milnera wyszedł przekład *Nowel przykładowych* Cervantesa (2). Składają się nań trzy opowiadania: „Cyganeczka”, „Rinconete y Cortadillo” oraz „Zazdrosny Estremadurczyk”.

Największą trudność tłumacz napotkał przy przekładaniu uroczej sielanki jaką jest rzecz o Cyganeczce, jedynej córce koregidora Murcji. Urowadzona przez starą cyganicę wyrosła na piękną młodkę o niepospolitym rozumie. Z miłości dla niej kawaler ze znakomitego rodu staje się Cyganem. Uderzony przez żołnierza zapomina się i zabija go. Czyn ten nieomal życiem przypłacił ale w końcu uzyskał nie tylko wolność ale i rękę Cyganeczki, która w sędzi odnalazła rodzica. Nie nadążając za stylem Cervantesa tłumacz raz po raz oddaje tekst słabo a nawet wręcz fatalnie. I tak mówi o „szlachetnej nauce Cacusy” (s. 13), o tym, że wdzieczna Cyganeczka „posiadała krztę bezczelności” (13), o mozołe „własnych szponów” (14), tłumaczy „sławę uczciwości” (37) zamiast „chciwości”. Także polskie „nie wie lewica, co czyni prawica” nie jest tym samym co „koń myśli o jednym a ten co go siodła o czym innym” (42). Wprowadza tułumbas zamiast prostego tamburyna. Na str. 47 jest mowa o *tormento de toca*. Milner tłumaczy „trudy życia koczowniczego”. Chodzi o próbę, której poddawano nowicjuszy a polegającej na połknięciu gałganów. Nieco dalej mowa jest o mule młodym, który nie ma jeszcze wszystkich zębów (*aún no cerrado*). Milner pisze „jeszcze nie przemęczone”. Nie dostrzegł także gry słów i dowcipu, kiedy przełożył „wolimy być męczennikami niż spowiednikami”. *Confesor* znaczy tu „wyznawca”. Wypuścił również słynne powiedzenie hiszpańskie *Iglesia, o mar, o casa real* na oznaczenie trzech dopuszczalnych dla szlachcica hiszpańskiego karier: Kościół, morze i dwór królewski. Dąb korkowy (*alcornoque* (71), ni stąd ni zowąd stał się morelą. Mylnie podaje rozważania Andrzeja na str. 75. Chce on uciec od Janiny Carducha, gdyż... „w oczach dziewczyny wyczytał, że bez więzów małżeńskich się nie obejdzie, jeśliby chciał narzucić jej swoją wolę...”. Zupełnie inaczej pisze Cervantes: „wyraźnie w oczach Carduchy czytał, że bez więzów małżeńskich byłaby mu powolna”. *Justicia* (78) znaczy po prostu policja, *cañas* to nie rzucanie oszczepem ale igrzyska konne, licencjat — magister, *simpleza* — nie prostota ale prostactwo (98). Na placu św. Salwatora? Na placu Zbawiciela! Na str. 117 tłumacz niejasno pisze, że Guzman el Bueno „rzucił miecz w obóz najeźdźców godząc na życie jedy-

(2) Cervantes (Miguel de). *Nowele przykładowe*. Przekład Zdzisława Milnera. Wyd. Książka i Wiedza, Warszawa, 1949.

nego syna” — zamiast „rzucił z murów Tarify miecz wrogom, żeby ścięli jedyne go syna”. *Cuchillada de a catorce* nie znaczy „rozprawa nożowa na czternaście cięć”. Przekład całej tej sceny oparty jest na nieporozumieniu. Chodzi bowiem o dużą ranę ciętą na czternaście szwów.

Jak na niewielką książkę usterek jest zbyt wiele. Tłumacz powinien nie tylko obłożyć się najlepszymi słownikami ale także przekładami na inne języki, żeby nie było żadnych wątpliwości co do tekstu. Sądzę, że bez pomocy obyć się nie sposób. Zawsze lepiej zapytać kogoś zamiast brnąć po omacku. Nie znaczy to jednak, że należy bezkrytycznie przejmować dodatki tłumacza, z którego się korzysta, jak to się zdarzyło Z. Milnerowi, kiedy nazwę miejscowości położonej w centrum Hiszpanii, Peña de Francia, przełożył jako „La Roche we Francji”. Szkoda, że brak jest wstępu. No i wypadało zaznaczyć, że *Nowele przykładowe* to tylko trzy z dwunastu!

Brak dobrego polskiego przekładu *Don Kichota* natchnął trzy próby przyswojenia całości hiszpańskiego arcydzieła w naszym wieku. Przed wojną ukazał się przekład Edwarda Boyego (niedawno przedrukowano poprawioną wersję). Partie przekładu ogłosiła Ciesielska-Borkowska. Wreszcie Anna i Zygmunt Czerny wydali najnowszy przekład pod tytułem *Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manczy* (3).

Cervantes nie ma u Polaków szczęścia. Na pierwszy przekład swojego eposu musiał czekać nieomal trzysta lat. Ogółem doczekał się tuzina polskich opracowań całości i wyborów na setkę niemieckich czy bez mała trzysta francuskich. Choćby dlatego pojawienie się dwutomowego tłumaczenia jest dla czytelnika polskiego wielkim wydarzeniem.

Już samo porwanie się i uporanie z dziełem tej miary jest osiągnięciem niełada. W porównaniu z ostatnim przekładem, Boyego, wersja Czernego jest pewniejsza. Prawie zawsze można zaufać jej realiom tak często przez Boyego, a szczególnie Zakrzewskiego, po macoszemu traktowanym. Znać sumienne wążenie tekstu i posługiwanie się dobrze komentowanymi wydaniami. Stąd pomocne przypisy aczkolwiek mam drobne zastrzeżenie co do celowości na przykład objaśnienia w przypisach że *Santa Hermandad* znaczy tyle co Święte Bractwo, organizacja pilnująca ładu, i używanie odtąd w tekście odmienniej Świętej Hermandady. Nie godzę się na nazywanie „autos” misteriami. Należy chyba tłumaczyć moralitety Eucharystyczne.

Mimo słusznych postulatów, jak używanie współczesnego języka z drobnym tylko archaizowaniem, przekładu nie czyta się

(3) Cervantes (Miguel de). *Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manczy*. Przełożyli Anna Ludwika Czerny i Zygmunt Czerny. Wyd. P.I.W., Warszawa, 1955.

łatwo. Tłumacze zbyt sztywno potraktowali tekst, tak że zamierzona wierność formy stała się ciężarem przytłaczającym książkę. Wiele usterek w realiach w porównaniu z poprzednimi przekładami znikło. Natomiast zachowała się jakimś trafem dziwna pisownia imion własnych: Xenofont (I, 15), Morze Oceanne (I, 18), Ciceron (I, 19). Oczywiście musimy przełknąć niecodzienną odmianę: Don Kichote, Don Kichota. Czerny również lubi „plecyma” a ze słownictwa lubuje się w wyrażeniach rzadkich i niekiedy pretensjonalnych jak fiołka (I, 48), diuk (I, 153), przeszkoczek (częste), lub wręcz archaicznych: chyla (I, 44 zamiast chata), świerzopa (I, 127) zwurdziały mózg (?). Archaizowanie, aczkolwiek jedynie dla kolorytu epoki wprowadzone (jak mówi tłumacz), nie zawsze wypadło szczęśliwie. Będziemy tam mieć ludzi „nędznej kondycji” (I, 127) obok „krom tych trzech strof” (I, 242), „nie lza mi było dobywać oręża” (I, 128), „są to bez ochyby korsarze” (I, 424). Wyrażenia sztuczne jak „prosić Pana Boga, aby nas rychło z licznych obietży wytargnął” obok „wypalił również swą mowę” (I, 282) i wulgaryzmu współczesnego „prosząc Mahometa... aby nas... wykończył” (I, 421). Gra słów: *truchuela* — *trucha* Czernemu nie wyszła. Zamiast zostać blisko oryginału i spróbować powiedzieć gry słów „rybka-ryba”, ucieka się on do nieznanego „maciorki-maciory”. Efekt jest chybiony. Za taką cenę gry słów zachowywać nie należy.

Jak sztucznie brzmią passusy dosadne zarówno u Boyego jak i u Czernego zilustruje następujący przykład:

— to wy macie pusty łeb i omyleniecie jesteście, ja zaś mam pełniejszy niż żywot najgorszej sukincórki ladacznicy, która cię zrodziła!

(Czerny, I, 508)

To ty masz łeb pusty i rozumu pozbawiony, podczas gdy ja pełniejszy nim jestem i bardziej ciężarny niż lajdaczka córka lajdaczki, która cię na świat wydała!

(Boye, I, 487)

W. Borowy od ciężkiego tłumaczenia Boyego wolał płynne choć sarmackie przekładanie Zakrzewskiego sprzed stu lat. Styl obu tłumaczy porównywał na następującej wypowiedzi Sancza:

— Hej, na mą grzeszną duszę, nie o to tu wcale rzecz idzie! — odparł Sancho — jestem jeno przekonany i upewniony, że ta dama, mieniąca się królową Mikonikomu, jest zaprawdę taką monarchinią, jak moja matka.

(Boye, II, 249)

— E do kaduka, komu tam to w głowie, tu nie o to idzie — rzekł Szanszo — ani się nawet do tego ochapiał; ale w tym sek, że ta pani, co się udaje za królową wielkiego królestwa Mikonikon, to ona, jak mi Bóg miły, taka królowa jak moja nieboszczka babka...

(Zakrzewski, III, 119)

Ustęp ten w przekładzie Czernego brzmi:

— Nie w tym rzecz, grzesznik ja przed Bogiem — odpowiedział Sancho — ale wiem pewnie i niezbiecie, że ta pani, która podaje się za królową (sic!) wielkiego królestwa Micomikon, jest nią tak jak moja matka;

(Czerny, I, 466)

O ile mimo tych wszystkich zastrzeżeń należy się przekładowi uznanie, to posłowie zakwalifikowało się do curiosów hispanistyki polskiej. Prof. Czerny usiłuje zrobić z Cervantesa pisarza postępowego, nieortodoksyjnego, nieomal reformatora a zarazem karierowicza. Jednocześnie zdobywa sobie wątpliwą wartość zasługę wprowadzenia do hispanistyki polskiej — marksistowskiej interpretacji *Don Kichota*:

„Toteż Don Kichote jest pierwszą w literaturze powszechnej epopeją gminu. Nie tylko chłop jest jednym z dwu równorzędnych bohaterów, ale autor pokazuje go jako nosiciela walorów przyszłości wobec skazanej na zagładę klasy feudalnej. Szlachcie Don Kichote musi umrzeć — oznaką nowych czasów — chłop Sancho Pansa doskonali się i będzie żył wolny od ciężaru tradycyjnych wad i braków, które pognębiły warstwę feudalną, a będzie żył dlatego, że przewyciężywszy szumne rojenia, nierobstwo i włośćę powróci do codziennej pracy. Jakże głęboki sens” (II, 564-565)..

Wprawdzie gdzie indziej słyszeliśmy, że uśmiercając swojego bohatera Cervantes chciał uniemożliwić kontynuację plagiatów... Tłumacz — o zgrozo — usiłuje nawet usprawiedliwiać Cervantesa, który jako rasowy pisarz nie tworzył postaci szablonowych, dwuwymiarowych:

„Ale relatywizm i idąca z nim w parze ironia powodują, że w Don Kichocie ciemność barw w obrazie warstw uprzywilejowanych nie jest pozbawiona światła, a oczywista przychylność Cervantesa dla warstw ludowych nie obywa się bez cieni” (Ibid.).

Oliśniony swoim bohaterem, pisze tłumacz na końcu:

„Genialnie w dzieło sztuki zakłętą hasła nieodwracalnego postępu, wiary w człowieka i prawdę, wolności i protestu przeciw uciskowi. ‘Golebie serce’ ożywione światłą miłością ludzkości. Najdoskonalej stosowany imperializm, nieugiętość w walce ze złościami reakcji zapewniają Cervantesowi wieczność, tę samą aktualność co za życia, lecz nieporównanie większy jeszcze zasięg i sławę” (II, 568).

Po usunięciu niedociągnięć stylistycznych i usterek (Długa listę wypisała K. Niklewiczówna w *Kwartalniku Neofilologicznym*, 4, 1956, ss. 275-278), i odrzuceniu tendencyjnego posłowie, przekład będzie mógł reprezentować epopeję Cervantesa u współczesnego czytelnika polskiego. Doskonałym pomysłem są reprodukcje ilustracji z wydania „Don Kichota” przez Hiszpańską Akademię Królewską z 1780 roku.

Wydanie na emigracji, po polsku, hiszpańskiego dzieła jest jednym z owych nieprawdopodobnych objawów nieobliczalności naszego życia kulturalnego. Wstyd długich stuleci zaniedbania potrafi przekreślić jedno nonszalanckie pociągnięcie w rodzaju pełnego samozaparcia i pietyzmu wydania przez Bohdana Gajewicza *Brewiarza dyplomatycznego* jezuitę, Baltazara Gracjana (4).. Jakże wzruszający jest ten akt hołdu jednostki w braku zrozumienia u ziomków geniuszu pisarza sprzed trzystu lat.

Niestety, jak to z miłością bywa, jest ona również nieco ślepa. Dając literaturze polskiej trzeci przekład tego dzieła, Bohdan Gajewicz jak obaj jego poprzednicy, tłumaczy z wersji francuskiej. Wprawdzie ks. A. Brodowski przekładał z O. Courbeville'a ale już ks. W. Sierakowski z Amelota de la Houssaie choć pominął przypisy Francuza. Wersję tę z przypisami przetłumaczył Gajewicz zafascynowany przypadkowym znalezieniem starego wydania francuskiego z 1692 roku. Niemniej wciąż jeszcze nie mamy przekładu z oryginału.

Wydawać by się mogło, że postulat taki nie jest ważny, bo można zaufać Amelotowi. A jednak przekład dzieła filozoficznego musi nade wszystko odznaczać się precyzją języka. Odcień właściwy znaczenia będzie tu grał ogromną rolę. Jeżeli tłumacz francuski nie wszędzie znalazł najcelniejszy odpowiednik i równoważył niedociągnięcie dodatkami dyktowanymi wymogami francuszczyzny, to istnieje obawa że następny tłumacz jeszcze dalej odsunie się od tekstu oryginału. I istotnie, takim drobnym przesunięciem już w pierwszej z trzystu maksym jest użycie słowa „nieszczęśliwiec” w miejsce *necio*, czyli „głupi”. Zanika czasami lapidarność Gracjana. Maksyma 5: „Nie ten robi bóstwo, kto je pozłaca ale ten co je czci”. Gajewicz: „Istnienie Boga nie jest dziełem rąk pozłotnika: Bóg istnieje w świadomości swych wielbicieli”.

Zauważyłem także następującą pomyłkę w interpretacji: „Nie powinno się jednak popadać w przesadę uporczywego milczenia i sprawić przez to zawód innym, ani też dopuszczać do tego, by cudze nieszczęście stało się nie do naprawienia. Nie leży to w naszym własnym interesie”. Zamiast: „Nie powinno się jednak milczenia doprowadzić do przesady, tak iżbyśmy w błąd popadli lub dla własnego interesu wyrządzili bliźniemu szkody nie do naprawienia”. W Maksymie 6 brak ostatniego zdania, zaś w 10 przekład jest zbyt krótki i dlatego mylny: „Sława idzie w parze z wielkością. Towarzyszą jej zwykle oklaski i zlorzeczenia”. Gracjan pisze: „Sława była i jest siostrzenicą olbrzymów; zawsze w skrajność popada: to potwory (rodzi) to dziwy dla których mamy odrazę albo uwielbienie”. Już te roz-

(4) Gracjan (Baltazar). *Brewiarz dyplomatyczny*. Z 3-go wydania francuskiego (1692) z przypisami A.M. Amelot de la Houssaie, przełożył, wstępem i końcowymi przypisami opatrzył Bohdan Gajewicz, Paryż, 1949.

bieżności wskazują na konieczność przekładania z oryginału. Zdarzają się też Gajewiczowi niezręczności jak: „O wielu ludziach nikt by nic nie wiedział, gdyby się przedtem nie zawalili” (M. 169); „wyciśniętą cytrynę (w oryg.: „pomarańczę”) rzuca się po prostu” (M. 5).

Książeczka przygotowana i wydana ze smakiem i wielkim entuzjazmem. Temu ostatniemu pewnie zawdzięczamy, że w skorowidzu znalazła się Ewa („biblijna matka rodzaju ludzkiego”) oraz „Michał de Cervantes”.



Biblioteka Narodowa sięgnęła po raz pierwszy do Hiszpanii dając nam *Owce Źródło* w przekładzie Ludwika Hieronima Morstina i opracowaniu dr M. Strzałkowej. Sztuka ta jest chyba najbardziej znanym utworem Lope de Vegi (5). Opiewa ona samosąd mieszkańców osady Fuenteovejuna na panu zwierzchnim i komandorze zakonu rycerskiego Kalatrawy, Fernanie Gómezie de Guzman w 1475 roku.

Zwycięski komandor wraca do swoich włości, gdzie go lud podejmuje ucztą. Przyjawszy od rajców wyrazy hołdownicze zamysła zdradziecko jakby w swoje ręce dostać dumną Laurencję, córkę alkada. Zasadzka na nią zastawiona nie powiodła się ale niedługo potem chciał przypadek, że Laurencja prała w polu bieleźne i tam ją naszedł komandor polujący z kuszą w okolicy. Przy dziewczynie był jej narzeczony Frondoso, który skrył się na widok pana. Chępiąc się sukcesami miłosnymi Gómez bez ogródek przypuszcza szturm a kiedy dziewczyna opiera się, chce ją siłą zniewolić. Na jej krzyki wybiega Frondoso i podejmując z ziemi kuszę zmusza komandora do poniesienia narzeczonej. Laurencja ucieka, komandor poprzysięga krwawą zemstę. Frondoso musi uchodzić zaś nadciągające wojska królewskie przynoszą ulgę osadzie o tyle, że komandor wyrusza przeciwko nim. Nie obeszło się bez gwałtu, gdyż przed odjazdem uprowadził kobietę a starca, który ośmielił się stanąć w jej obronie, kazał skatować. Pod nieobecność tyrana Frondoso postanowił poślubić Laurencję. W czasie wesela śpiewają pieśń o dziewczynie ściganej przez rycerza, kiedy wpada wracający z wojny orszak komandora. Żołnierze ujmują Frondosa, alkad, ojciec Laurencji grozi odwołaniem się do króla. Wściekły komandor odbiera mu urząd i uderza na oczach wszystkich. Laurencję każe pojmać i zaprowadzić na zamek. Nieszczęśliwi mieszkańcy zbierają się na naradę, jedni chcą posłów posłać do króla, inni radzą opuścić osadę. Pada hasło: śmierć tyranom. W tym momencie nadchodzi shańbiona i zbита Laurencja. Wysztycha tchórzostwo mężczyzn, którzy nie stają w obronie swoich kobiet. Jeżeli nie pójdą jej

(5) Lope de Vega. *Owce Źródło*. Przełożył Ludwik H. Morstin. Opracowała dr Maria Strzałkowa. Wyd. Ossolineum, Wrocław, 1954.

pomścić, to ona, kobieta, pokaże im jak postępować. Cały tłum idzie za nią. Dla załagodzenia buntu komandor wypuszcza Frondosa. Ale jest już za późno: tłum rozbija bramy, wpada do wnętrza zamku i zabija ciemieźcę i jego siepaczy. Kobiety są w zemście równie okrutne jak mężczyźni. Odniesione zwycięstwo nie długo każe czekać na przyjazd komisji królewskiej dla zbadania zajścia. Sędzia bez skutku próbuje dowiedzieć się, kto zamordował komandora. Poddaje wreszcie ludność torturom, ale nawet męki nie załamują wspaniałej postawy nie tylko mężczyzn ale i kobiet i dzieci. Na pytanie, kto zabił komandora, odpowiadają zgodnie: *Fuenteovejuna todos a una*.

Nic dziwnego, że ta sztuka o tematyce społecznej weszła do żelaznego repertuaru teatru rewolucyjnej Rosji. Jako sztuka na czasie była mile widziana także w Polsce, choć wielkie jej walory artystyczne musiały ją wyodrębnić od drętwej twórczości okresu socrealizmu.

Osobiście wątpię, czy utwierdza ona widza w walce klasowej. Nie jest wcale apoteozą buntu ludu przeciwko panu feudalnemu jakby to niektórzy chcieli sobie uprościć. Jest to rzecz o zakłóceniu harmonii i ładu przez dwie zbrodnie: zdradę i gwałt. Złamane zasady moralne, których stróżami są: król na ziemi a Bóg w niebie, muszą zostać naprawione. Czy okrzyk: „Naszym władcą jest tylko nasz król i niebios! ale nie barbarzyńscy, nie-ludscy tyrani” nie jest krzykiem wszelkiego buntu przeciwko uciskowi zarówno arystokracji, jak i tyranii tak zwanych trybunów ludu? Tego aspektu nie podkreśliła autorka obszernego wstępu, zawierającego obfitość wiadomości o Lopem. Tym, który się zbuntował przeciwko łaadowi społecznemu był komandor. Przez swoje zbrodnie zakłócił porządek rzeczy i z jego śmiercią zapanuje znowu harmonia w miłości, jak uprzednio z nienawiści wyniknął dysonans.

Ludwik H. Morstin doskonale dramat przełożył nierymowanym ośmiozłogówcem. Niedociągnięcia są nader rzadkie: „Więc nie ufajmy mężczyźnie”, druga odpowiada: „Wiesz, że myślałam już o tym”. Nie uwydatnił także gry słów zawartej w użyciu słowa *calabaza* — „dynia, głupota”, wszak co znaczy „ale dynie prawdziwe to są właśnie oni”? *Gallina* — „kura” znaczy także „tchórz”. Nie wiem, czy wystarczy powiedzieć „kwoka” skoro jest ona wcale wojownicza. Regidor występuje raz jako „obywatel” a krótkie zawołanie: „Los reyes nuestros señores vivan” stało się:

*Naszymi panami króle
Izabella i Ferdynand!
Niechaj żyje król Kastyli!*

W sumie bardzo udany „hiszpański” debiut Biblioteki Narodowej. Nie wiem, czy trzeba było tłumaczyć nazwę miasteczka *Fuenteovejuna* na Owcze Źródło.

Czytelnik polski spotkał się po raz pierwszy z uroczą komedią *Dziewczyna z dzbankiem* Lope de Vegi w dobrym tłumaczeniu Aleksandra Maliszewskiego (6). Piękna i dumna donia Maria zasztyletowała don Diega, który ubiegał się o jej rękę, mszcząc się w ten sposób za to, że spoliczkował jej ojca. W przebraniu ucieka następnie do Madrytu, gdzie idzie na służbę do bogatego emigranta z Ameryki. Jej uroda i charakter zwracają uwagę don Juana. Donia Maria, której dorodny młodzian nie jest obojętny, wypróbowuje go zarzucając mu niską chęć pobawienia się z biedną służącą. Jest ponadto zazdrosna, gdyż dowiedziała się, że w Juanie kocha się donia Anna. Postanawia nawet więcej się z nim nie widywać. Straciwszy jednak pracę godzi się na służbę do doni Anny. Tam spotyka ją po pewnym czasie don Juan, który przychodzi do doni Anny w imieniu swego przyjaciela, Hrabiego. Niezadługo po tym, na weselu przyjaciółki doni Marii, don Juan oświadcza, że pragnie ją poślubić. Hrabia i donia Anna są zgorszani i chcą Marię przemocą usunąć. Don Juan staje w jej obronie, ale ona odkrywa swoje prawdziwe nazwisko a ponieważ król czyn jej darował, wszystko kończy się szczęśliwie.

Przekład Maliszewskiego jest gładki. Sądzę, że równie dobrze brzmi on na scenie. Pewne skróty nie ujmują niczego a usterek jest niewiele. Do nich trzeba zaliczyć mylnie tłumaczone zaimki: „ją” zamiast „go” (s. 33), „mnie” zamiast „jego” (s. 111). *Jugar cañas* to nie „karuzela” ale turniej konny. Szkoda, że bezbarwnie wypadło tłumaczenie *acabóseme el asno* jako „osioł zrzucił mnie” (s. 128). *Amor: si en esta mujer wino*, moim zdaniem, brzmieć „Miłości” zamiast „Amorze” (s. 145). Nie wiem, co znaczy czuć „splendor” dla kogoś (s. 141). Zdarza się też, że Maliszewski przerysowuje wyrażenia i używa dosadnych słów tam, gdzie ich nie ma. Brak fachowego wstępu.



Komedia *Młyn* (7) jest apoteozą pięknej, zakochanej kobiety, która potrafi wszystkich zwieść i osiągnąć swój cel. Celia z powodzeniem odpiera zaloty króla i infanta Arystypa. Ten ostatni, starłszy się z hr. Prospero, ukochanym Celi, poprzysiął mu zemstę. Za namową Celi Prospero uchodzi na wieś i przyjmuje pracę w młynie, należącym do swojej ukochanej. W ten sposób uchodzi wściekłości infanta a równocześnie, przywołując Celią mękę, może ją odwieść. Z okazji ślubu córki młynarza król i Celia zjeżdżają do młyna. Sam król łączy młodą parę a następnie drugą, młodego młynarczyka i zawaalowaną damę. Po skończonej ceremonii tajemniczą damą okazuje się Celia, a młynarczykiem — Prospero.

(6) Lope de Vega. *Dziewczyna z dzbankiem*. Przełożył Aleksander Maliszewski. Wyd. P.I.W., Warszawa, 1954.

(7) Lope de Vega. *Młyn*. Przełożył Juliusz Żuławski. Wyd. P.I.W., Warszawa, 1954.

Juliusz Żuławski jest autorem tego pierwszego polskiego przekładu. Idąc śladem innych tłumaczy używa białego ośmiozłotkowca. Rym pojawia się jedynie tam, gdzie spełnia jakąś funkcję, na przykład na zakończenie sceny. Zdarza się, że tłumacz zbyt po macoszemu obchodzi się w tekstem: „A związana jestem z tobą/ Tak jak matka z dzieckiem w łonie”, ma odpowiadać ośmiu wierszom hiszpańskim:

*Que como claro se infiere,
que el hijo que no ha nacido,
muere en el vientre escondido,
si acaso la madre muere,
asi matando su vida,
quedara el cuerpo deshecho
de la que tengo en mi pecho,
y moriran de una herida.*

Dość niespodziewanie tłumaczy Żuławski pytanie na str. 68. Chodzi o oliwki. Leridano pyta: *Has la cogido?* (Uzbierałeś je?) a tłumacz polski: „Z targu?”. Laura nie ma szczęścia u mężczyzn. Oto drugi wybrany serca nie odwzajemnie uczucia. Mówi: „Ja — po dwóch już mężach wdowa —/ Pierwsza pójde do ołtarza!” Winno być: „Jeszcze przed zamążpójściem dwukrotnie owdowiała”. Znać też lęk tłumacza przed konsekwentnym spolszczeniem konceptu młynarz-kochanek (s. 100). Nie zauważył też Żuławski, że *la joya de mayor precio* to nie „Życie/ ten najdroższy skarb człowieka?” (s. 128) ale „(oprócz życia) najdroższy skarb człowieka” (czyli duszę)!

Repertuar scen polskich wzbogaciła jeszcze jedna świetna komedia wielkiego Hiszpana.

Stare przysłowie „Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada” mogłoby posłużyć za motto komedii *Wędką Feniksany* (8). Na Sycylii, w Palermo, mieszka piękna zwodnica, polująca na bogatych kupców. W jej sieci, czy raczej na jej haczyk, łapie się Lucindo, kupiec z Walencji, przybyły z ładunkiem płótna i atlasu. Zmylony wspaniałomyślnością uroczej Feniksany pożyczka jej dwa tysiące dukatów, kiedy ona symuluje ciężką potrzebę. Złamany Hiszpan odpływa do domu, ale po pewnym czasie wraca i wieść o ogromnych bogactwach, które z sobą przywiózł przykuwa uwagę Feniksany. Stara się go udobruchać udając, że jego odjazd nie pozwolił jej oddać pieniędzy, które trzyma dla niego. Lucindo odpowiada, że o pieniądze nie dba i że to jej niewierność go zabolala. Upewniwszy się, że istotnie zdeklarował w porcie towary na ogromną sumę, zaofiarowała mu pożyczkę na

(8) Lope de Vega. *Wędką Feniksany*. Przekład Juliusz Żuławski. Wyd. P.I.W., Warszawa, 1956.

lichwiarski procent do czasu sprzedania przywiezionego ładunku. Kupiec bierze od niej trzy tysiące dukatów i uchodzi do Hiszpanii.

Komedię przełożył przyjemnie, białym wierszem, Juliusz Żuławski, który w krótkiej nocy wzmiankuje o nie wydanym dotychczas przekładzie sztuki *Kochać nie wiedząc kogo*. Przekład nie zaczyna się najszcześliwiej bo od watowania i tłumaczenia *letra* jako list. Na str. 15 nota objaśniająca jest mylna, bo nie o złoto Inków w sztuce chodzi, ale o srebro z kopalni w Potosi, w Boliwii. Większe skróty zanotowałem w 3 scenie II aktu. Wreszcie na str. 192 Żuławski pisze: „Jej honoru będę bronił/ Życiem. Skrycie wywieziona/ Nie wróciła do Sewilli”. Winno być: „I bez niej albo bez życia tego, co ją uprowadził, nie powrócę do Sewilli”.

Jeszcze jedna cenna pozycja Lopego w szacie polskiej. Również brak fachowego wprowadzenia.

Piątą sztukę Lope de Vega ogłoszoną drukiem po wojnie jest *Pies ogrodnika* (9). Treścią uroczej komedii są dzieje miłości hrabiny i człowieka z ludu. Diana, piękna i rozumna arystokratka, zakochana w swoim sekretarzu, odrzuca wysokourodzonych zalotników. Honor jednakże nie pozwala jej uczucia swego wyznać otwarcie. Dwuznaczne pociągnięcia hrabiny wtrącają nieszczonego Teodora, jej sekretarza, w rozterkę. Kiedy już zaczyna wierzyć w niepojęte szczęście, udana oschłość jego pani pograża go w rozpacz. Wreszcie chce kres położyć cierpieniom i ożenić się z dwórką hrabiny, ale na małżeństwo nie zgadza się Diana, jak ów pies ogrodnika, co położył się w żłobie na sianie i sam nie je, ale i innym nie pozwala. W końcu służący Teodora znajduje sposób: oto wmawia hr. Ludwikowi, że Teodor jest jego zaginionym przed laty synem. Hrabia wierzy opowieści i uznaje Teodora. Teraz nie ma już żadnych przeszkód na drodze do szczęścia. Teodor jest niepocięszony, kiedy się dowiaduje, że wszystko to jest wymysłem. Wyznaje Dianie całą prawdę ale ona każe mu milczeć. Pokochała człowieka a nie tytuł ale skoro i konwenansowi staje się zadość — tym lepiej.

Tłumaczem jest Tadeusz Peiper, który jak inni, przekłada nierymowanym ośmiozłotkowcem. Przekład jest poprawny, uchybień niewiele. Do nich zaliczyć należy minimalne skróty lub pomyłki w interpretacji. Tak na przykład nieporozumieniem jest tłumaczenie: „Tak; to, to jest cel, takie małżeństwo/ uczciwe, białe miłością”. *Blanco* Lope tutaj użył w znaczeniu białego centrum tarczy, celu. Brzydko brzmi: „U twych stóp twój twór” (s. 30). Nie rozumiem dlaczego *a los primeros pasos de aurora* ma znaczyć „do chłodnych chust pierwszej aurory”. Tristan tłumaczy, że jest sługą tylko, jakoby paznokciem u palca. Jeśli go

(9) Lope de Vega. *Pies ogrodnika*. Tłumaczył Tadeusz Peiper. Wyd. P.I.W., Warszawa, 1956.

obciąć, to nie będzie z palcem miał wiele wspólnego (s. 83),
Peiper :

Tu małeńka komplikacja:
gdy m n i e jego palec drapie,
on mi mówi: „sam się drapiesz”;
więc twierdzić nie myślę wcale,
żem jest w zgodzie z jego palcem. (S. 83)

Opowieść Tristana (s. 158) tłumacz pomylił i bez powodu upstrzył absurdalnymi, derywacyjnymi imionami.

Brak rzetelnej przedmowy zastępuje informacyjne wprowadzenia tłumacza. Pisz on między innymi, że zawartość dramatów Lope de Vegi „nie oczekiwała się dotąd należytych określeń, bo mogłyby one wyjść wyłącznie z Hiszpanii, a tam, stały temu na przeszkodzie polityczne warunki życia”. Nie wydaje mi się, aby Peiper utrafił w sedno rzeczy. Podobnie jak nasz Kraszewski, Lope de Vega samym ogromem dzieła odstrasza krytyka, który chciałby się pokusić o ogarnięcie całokształtu tak bogatej twórczości. Pisarzom i krytykom hiszpańskim nigdy cywilnej odwagi nie brakowało.



Calderon, którego sztuki w dziewiętnastym wieku dość często tłumaczono na polski, a którego *Księcia niezłomnego* Słowacki odtworzył kongenialnie, obecnie oddaje pierwszeństwo Lope de Vedze. Ale i jego dzieła doczekały się dwu nowych spolszczeń, a mianowicie *Alkad z Zalamei* oraz *Życie snem*.

Alkad z Zalamei (10) należy do najcelniejszych utworów Calderona. Dramat ten, osnuty na prawdziwym zdarzeniu, zupełnie przyćmił i puścił w zapomnienie sztukę Lopego pod tym samym tytułem. W czasie przemarszu wojsk królewskich do Portugalii, kapitan jednego z oddziałów hiszpańskich siłą wprowadził i uwiódł córkę Crespa sołtysa miejscowości Zalamea. Zrozpaczony ojciec na kolanach błaga winowajcę o naprawienie krzywdy przez poślubienie pohańbionej córki. Kiedy po dobroci niczego wskórać nie może, każe kapitanu uwięzić. Gromadzki sąd skazuje złoczyncę na śmierć i wyrok zostaje niezwłocznie wykonany. Władze wojskowe upominają się o zatrzymanego oficera i już ma dojść do rozlewu krwi, kiedy zajeżdża król. Alkad Crespo ukazuje zdumionemu monarsze zwłoki kapitanu. Król uznaje wyrok i mianuje Crespa sołtysiem dożywotnim.

Jarosław Iwaszkiewicz w przedmowie węszy natychmiast walkę klas. Calderon „na malowniczym tle zapadłej wioski pokazał walkę charakterów, odślonił brutalnie drapieżny egoizm feudalów, korzystających ze wszystkich przywilejów, stwarzających dla siebie kodeks praw, a raczej nadużyć”. A dalej pisze :

10. Calderon (Pedro de). *Alkad z Zalamei*. Tłumaczył Ludwik H. Morstin. Wstępem opatrzył Jarosław Iwaszkiewicz. Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1954.

„Dzisiaj bez wątpienia bliższy nam jest *Alkad z Zalamei*, chłop nieugięty i twardy, w którego spracowanych dłoniach gnę się grzeszna pycha występnego feudała”. Jak chybiają celu wyżej przytoczone frazesy, bez trudu dostrzeże każdy kto zna sztukę. Czy polski czytelnik i widz będzie się dziwił, jak chce Iwaszkiewicz, wyuzdaniu kapitanu „feudała”, czy też będzie zdumiony, że chłop miał ongiś tak rozległą władzę i sam mógł dochodzić krzywdy a nawet gardłem karać.

Morstinowi trzeba pogratulować świetnego przekładu. Ośmiozłotkowiec, miejscami rymowany, jest żywy i bardzo wierny. Uchybień niewiele. Są to przede wszystkim zwroty przysłowiowe. Moim zdaniem tłumacz zupełnie niepotrzebnie uciekał się do przeciwieństwa dla oddania zaklęć don Lopego :

*Viven los cielos, que eres
corona de las mujeres!*

*Więc niech piekła mnie pochłoną —
tyś jest wszystkich bab koroną.* (s. 16).

Podobnie w następujących przykładach :

que estoy voto a Dios, cansado,
.....

pues des cansad voto a Dios.

*A zatem się położę,
niech szlag trafi.*
.....

*Bierz go diabli.
Niech pan idzie spać.* (s. 56).
Vive Dios, como los he dicho

Nie pomoże nawet piekło. (s. 136).

Mylnie natomiast tłumaczy Morstin :

*Por Dios, aunque no llegara,
no tenia remedio ya.*

*Gdyby nie jego przybycie,
Sprawa byłaby zawila.* (s. 145).

Winno być: „Nawet gdyby się nie zjawił, sprawa była przesądzona”. Słotice nazwał Calderon *el mayor planeta*, czy należało przekładać „dnia jasnego oko”? Izabela skarży się, że ongiś była jak *clara luna limpia*. Morstin pisze „mej cnoty jasny kryształ”. Zatraca się aluzja do księżycy a więc do Diany, czystej dziewicy.

Pięknie wydaną książkę zdobi dwanaście ładnych rysunków Ottona Axera.

Biblioteka Narodowa pokusiła się o wydanie *Życia snem* dla dwu powodów (11). Po *Owczym Źródle* Lope de Vega należało zaprezentować jego młodszego rodaka. Wybór padł na dramat filozoficzny, będący trwałym osiągnięciem wielkiej ery teatru hiszpańskiego. Drugą przyczyną było chyba to, że akcja rozgrywa się w Polsce. Królewicz Zygmunt, urodzony pod złymi auspicjami, zostaje osadzony w samotnej wieży. Kiedy dorasta w ustroniu, król — nie doczekawszy się innego potomka — postanawia wypróbować Zygmunta i w tym celu każe go sprowadzić na dwór. Uśpionego królewicza zawożą na zamek i otaczają zbytkiem. Niestety, gwiazdy mówiły prawdę o Zigmuncie, gdyż skoro tylko się przebudził i zobaczył w tak odmiennym położeniu, zaczął sobie zrażać wszystkich dokoła swoją gwałtownością. Zaalarmowany jego zachowaniem ojciec każe go wtrącić na powrót do wieży. Zygmunt zasypia, aby przebudzić się znowu w odosobnieniu więzienia. Przejęcia poprzedniego dnia wydają mu się snem, ale Klotald, sługa królewski opiekujący się Zigmunt, przestrzega go aby nawet we śnie postępował godnie, gdyż może nastąpić przebudzenie. Zygmunt bierze sobie do serca jego przestrogi i kiedy bunt wojska powołuje go na wakujący tron okazuje się wspaniałomyślnym zwycięzcą nie tylko nad siłami przeciwnego obozu ale przede wszystkim nad samym sobą.

Tekst przekładu pochodzi z puścizny zmarłego w czasie wojny E. Boyego. W odróżnieniu od wcześniejszego tłumaczenia J. Szujskiego przekład Boyego stara się naśladować formę wiersza oryginału. Postulat ten sprawił, że zamiast kusawej wersji Szujskiego otrzymaliśmy obfitą, powłóczystą szatę, która nie tylko Calderona skrywa ale i tłumacza. Watowanie i ciągnięcie rymów za włosy spotyka się, niestety, na każdym kroku. Pyszny, barokowy, ale mimo wszystko precyzyjny wiersz często brzmi fatalnie u tłumacza: „Gdyż narodziny to błąd, / Jaki nam spełnić kazano” (s. 10); zamiast zwięzłego „Tylko za to, żeś mnie słyszał, rozedrzeć cię muszę na ćwierci”, Boye pisze: „To dosyć by spadła twa głowa, / Byś w ramion schwycony mych kleszcze/ śmiertelne odczuwał dreszcze (s. 13)! Wypowiedź Rozaury: *Mayor fué el agravio mio* oddano jako: „Obrazy szukać potrzeba/ W głębszych powodach i głębiej w serca zstępować otlchanie (s. 46)! Boye jest tak zakochany w grandiloquencji że używa jej bez najmniejszego powodu:

*W ten sposób, że wasze sciencje
Daly mi poznać z korzeni i różnych ziół ingredientje,
Z których stworzyłem miksturę o mocy nadprzyrodzonej.
Władza owego napoju ludziom rabuje ich zmysły,
Pełta i obezwładnia, i w trupy żyjące ich zmienia,
Tak iż człek każdy w uśpieniu, od tej trucizny zawisły,*

(11) Calderon (Pedro de). *Życie snem*. Przełożył Edward Boyé. Wstępem i komentarzem opatrzyła Maria Strzałkowa. Wyd. Ossolineum, Wrocław, 1956.

*Traci swą wolę, myśl, uczucie, instynkty oraz pragnienia.
Nie trzeba składać dowodów, iż tak istotnie być może,
Gdyż eksperjencja nam mówi o cudach tajemnych natury,
Wiążących się z medycyną. Każda roślina, glaz, zwierzę
Ma własność swą przyrodzoną, skąd nasza złośliwość bierze
Tysiące jądów i trucizn, co śmiercią gwałtowną darzą
Lub też, pomierne użyte, snem twardym morzą jedynie.*
(s. 48-49)

Sądzę, że przytoczony ustęp sam mówi za siebie i obnaża aż nadto braki przekładu. Nawet stary Szujski, którego przekład nie grzeszy ani pięknem ani wiernością wydaje się jaśniejszy:

*Nie powtarzać po dwa razy
Jakim cudem — medycyna;
Jak przyrody każde ciało,
Każdy kamień, zwierz, roślina
Utajone ma przymioty,
Jakie grozy ma i cnoty.
Jeśli ludzka złość dobyła
Tysiąc trucizn z ziemi łona,
Czemuż moc ich złagodzona
Narkotykiem by nie była,
Co miast śmierci — sen sprowadza?*

(s. 116)

Takie wyrażenia jak „Więc niech Waś za próbę nie wini” (s. 68), *Por Dios, que lo he de probar!* czy tłumaczenie *Cayó del balcón al mar. / Vive Dios, que pudo ser!* jako „Ach, na dno morskiej pustyni/ Spadł z ganku ku mej radości!” (s. 69) świadczą o niebezpieczeństwie, jakie grozi niewolniczymu trzymaniu się formy. A i sens nierzadko bywa wypaczony na dodatek. Jak chybione jest powiedzenie „z ostrożna” w kontekście: „Teraz spróbuję z ostrożna”, / Czy honor paniński z okna także wyrzucić można?” (s. 83) albo proste *veré, dándote muerte,* / *si es sueño o si es verdad* — „Obaczmy — gdy wydrę ci życie — / Czy śniłem, czy też na jawie trwałem, jak teraz, nie-zbicie” (s. 83). *Yo tuya? Villano, mientes.* — „Twoja?... Ach, w słów twoich treści/ Brzmi tylko straszna obluda (s. 96)! Król przychodzi oglądać triumf swojego syna nad wyrokami gwiazd a tłumacz każe mu mówić: „Że gwiazdy na wysokości/ Triumfem twym zajaśnieją” (s. 70). Boye również nie zdaje się wy-czuwać pointy powtarzającego się konceptu snu. Tyrada Zygmunta zakończona mocno i jednoznacznie:

*Para mí na hay fingimientos;
Que, desengañado ya,
Sé bien que la vida est sueno.*

U polskiego tłumacza sens tych kapitalnych słów rozwiął się w rozgadany:

*Życie na ziemi jest śnieniem. Uwolnion od wszelkich miraży,
Wyrywany ze złudzeń — te słowa uznałem za prawdę mą główną!*

Do tego wiersz Boyego przeważnie trąci prozą. Kłotałd przyrównał Zygmunta do orla ale ponieważ *aguila* jest w języku hiszpańskim rodzaju żeńskiego, tłumacz pisze o orlicy, królowej ptaków (s. 50).

Część usterek próbowała usunąć dr M. Strzałkowa podając w odnośnikach brzmienie oryginału i dosłowne tłumaczenie. Na s. 43 podaje jednak mylnie grę słów *beso - viso* jako „całuję - depczę”, zdaje mi się, że winno być „oglądam, stwierdzam”. Zaś na s. 105 redaktorka błędnie tłumaczy *todavia* — „na całe życie” zamiast „w dalszym ciągu, nadal”. Szwankują akcenty w cytatach hiszpańskich.

Dr Maria Strzałkowa jest także autorką obszernego, bo ponad sto stron liczącego, wstępu. W warunkach polskich nie łatwo o dzieła z hispanistyki, stąd wzięta pod uwagę bibliografia jest skromna i przedawniona. Choć wstęp mówi dużo o epoce i o samym autorze, pobieżnie traktuje interpretacje dzieła, którym tyle prac na Zachodzie poświęcają uczeni. Nie wiem, czy można mówić, że moralitet Eucharystyczny *Zycie snem* jest przeróbką dramatu o tej samej nazwie (s. XLIX). W tymże wstępie jest mowa o umyślnej niejasności Góngory. Jak wiadomo poezja jego przeżywa obecnie renesans dzięki wysiłkom wybitnych hispanistów z Hiszpanem, Damaso Alonsem, na czele. Chociaż nikt nie twierdzi, że poezja Góngory jest łatwa, odrzuca się niemniej tezę o zamierzonej niejasności.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ogłoszenie drukiem przekładu Boyego nie należy do najszcześliwszych pociągnięć Biblioteki Narodowej. Należało się rozejrzeć za lepszym przekładem. (Wiadomo mi, że Józef Łobodowski od lat ma gotowy przekład i chociaż go nie czytałem to znając tłumacza ośmielał się sądzić, że bije Boyego o całe niebo). Przekład zaprezentowany nam przez znane i zasłużone wydawnictwo trudno czytać. Z pewnością nie łatwiej słuchać tegoż tekstu w teatrze.



Mimo ukazania się tych cennych pozycji, trzeba będzie jeszcze wielu lat wytężonego wysiłku, żeby nadrobić zaległości. Dla tego żywe zainteresowanie książką hiszpańską w Polsce od zakończenia wojny powinno stać się początkiem wielkiego, skoordynowanego wysiłku przekładowego celem uprzywilejowania polskiemu czytelnikowi wszystkiego co piękne i ważne w literaturze hiszpańskiej. W wysiłku tym niech nie zabraknie tłumaczy żyjących na emigracji. Ich znajomość języka i wkład pracy nie powinni iść na marne. Jeżeli już trzeba pisać do szuflady, to tłumaczyć należy do druku. Inaczej, a także z braku porozumienia między tłumaczami, trwać będzie niezdrowa sytuacja polegająca na tym, że nad jednym dziełem pracuje jednocześnie kilka osób a inne, godne uwagi pozycje, leżą odłogiem. Wydawcy niech unikają rozrzutnej gospodarki przez osiągnięcie języka u tu-

maczy, szczególnie jeżeli tekst, który zamierzają opublikować nie jest mocny.

Ponieważ pracę hispanistów polskich i tłumaczy utrudnia brak podstawowej bibliografii polskich hispaników, od szeregu lat gromadzę wszelkie dane z tej dziedziny i wdzięczny będę za najdrobniejsze nawet informacje odnośnie książek, artykułów, drobiazgów drukowanych w czasopiśmie oraz przedstawień teatralnych, szczególnie sztuk których teksty nie zostały ogłoszone drukiem. Mój adres: 28 Elfort Rd., London, N. 5. Chciałbym również przy tej okazji zaapelować do wydawców i autorów, żeby przesyłali swoje książki wielkim bibliotekom na Zachodzie, które polskich tłumaczeń z hiszpańskiego prawie zupełnie nie mają. Dla przykładu biblioteka British Museum posiada z *Lope de Vega* tylko *Owce Źródło*, a „polski” *Lorka* wcale nie jest reprezentowany choć oprócz szeregu wydań krajowych ukazał się na emigracji, w *Oficynie Poetów* i *Malarzy*, wybór jego wierszy. Musimy pamiętać, że bibliografie na Zachodzie w praktyce kompiluje się na podstawie stanów bibliotek.

Florian ŚMIEJA

Wolny od łzy

Przerzucając „*Tropic of Capricorn*” Henry Millera który wyszedł w roku 1938 i jest książką zabronioną w Ameryce. Nie dziwię się — bo są tam rzeczy niebywale jako słownictwo i sytuacje, rzeczy zresztą moim zdaniem należące do całości i w tej rozpaczliwej całości niezbędne jak świntuszenia Rabelais. „*Capricorn*” to obsesja paskudalizmu, i tę obsesję trudno by wyrazić inaczej niż przez te słowa i obrazy. Czytając to myślałem sobie jak bardzo jestem różny od tego co uchodzi od dawna za nasz czas, za świat współczesny, prawdziwy. Ani Céline, ani Uniłowski, ani ów Miller (chwilami tegi pisarz) nie znają za to mojego świata, świata moich rodziców, moich marzeń, świata pełnego dramatów, nieszczęść, zawiedzionych miłości — ale zupełnie innych niż tamte. Ile razy czytam tych albo takich pisarzy myślę że naprawdę jestem bliższy Klementyny Hoffmanowej a już na pewno Orzeszkowej — niż Céline’a i Joyce’a. I z całą pokorą wynaję to.

(J. Lechoń, *Kartki z dziennika*, „Wiadomości” nr 16/17 1957).

... I sen ujawnia cały idiotyzm owego żądania, stawianego sztuce przez poniektóre nazbyt klasycyzujące umysły, że ona powinna być „jasna”. Jasność? Jej jasność jest jasnością nocy, nie dnia. Jej jasność jest akurat taka, jak latarki elektrycznej, która wydobywa z mroku jeden przedmiot, grząc resztę w jeszcze bezdenniejszej ciemności. Powinna być — poza granicami swojego światła — ciemna, jak

orzeczenie Pytii, o twarzy zasłoniętej welonem, niedopowiedziana, mieniąca się wielością sensów i obszerniejsza od sensu.

(W. Gombrowicz, *Fragmenty z dziennika*, „Kultura”, nr 4, 1956).

Jak ma nie wzdychać pisarz polski na widok zachodu słońca? Jak ma nie rzygać nienawistnym atramentem pisarz polski, gdy chce wziąć odwet za krzywdy poniesione od Niemców i Rosjan? Nie czas pamiętać o sztuce, gdy polskie pióro dotyka cierpień narodu.

Leo Lipski sprzeniewierzył się tak pojmomu pisarstwu. Przerażającemu materiałowi, dziejom ludzkiej nędzy i zapomnienia, nie tylko nie przyznał prawa do samostnego, polskiego cierpienia, ale ośmielił się posłużyć tymże cierpieniem jako *podtekstem*, całą swą pasję tworząc skupiwszy wyłącznie na wyrażeniu siebie poprzez słowo.

Dzień i Noc (*) Lipskiego jest więc książką świadomie anty-realistyczną i przez to samo zjawiskiem arcyzadkim w naszej literaturze współczesnej. Dotychczas bowiem, jeżeli mowa o ostatnim dziesięcioleciu, proza polska była niemal wyłącznie wehikułem bądź relacji uczestników wielkich wydarzeń, uromansowaną na smak, bądź tak zwanym „oreżem w walce o”. Prozy po prostu, układanej sobie na sławę i bez myśli o działwie i narodzie prawie że nie było (**).

Pisarze przedstawiali goya'owskie okropności okupacji i obozów w przekonaniu, że i tym razem „zachód słońca”, oprawiony przez introligatora, będzie znaczyć jako dzieło, jako kształt artystyczny. Nawet pisarze najbardziej świadomi uważali, że *nie wolno* pominąć tematu narodowego i boleść tamtych czasów zawarli w tekstach-dokumentach, załedwie tu i ówdzie dotkniętych pracą odinniania. Wiedzieli że wstrząs będzie i tak zapewniony.

Istotnie, literatura ta — od łzawocierpiętniczej aż po obiektywne i lapidarne relacje — zmuszała i zmuszać będzie czytelnika polskiego do odpowiedzi emocjonalnej. Oburza, „mobilizuje”, uczy nienawiści, bądź przebaczenia — w każdym wypadku porusza sprawy, ustawia i utrwala historię. Proponowane przez nią wzruszenia układają się wzdłuż linii Podziemie-Oświęcim, jeśli chodzi o książki drukowane w Kraju. Na Emigracji dochodzi inny wektor narodowego wzruszenia, łagry.

Wszyscy pisarze polscy uznali prymat narodowego faktu dziejowego nad aktem twórczym. Cierpienie narodu znaczyło w ich oczach więcej niż sztuka.

Dlatego też książka Lipskiego jest aktem odwagi ze strony pisarza polskiego, jest gestem wyzwalającym artystę z kręgu prowincjonalnie pojmovanego pisarstwa. Opowiadania Lipskiego są jednak przede wszystkim sprawą eksperymentowania polszczyzny literackiej. Autor świadomie rezygnuje z powszechnie przyjętych matryc piękna, i można by powiedzieć, że właśnie owo burzenie gipsów i gładkich marmurów jest podstawową robotą twórczą Lipskiego.

(*) *Dzień i Noc* (opowiadania), str. 56, Biblioteka „Kultury”, Tom XVI. Paryż, 1957. Nagroda „Kultury”, za rok 1955.

(**) Wyjątek stanowią niektóre utwory, jak np. A. Rudnickiego *Autoportret z dwoma kilogramami złota*, Tad. Nowakowskiego *Dwa dni* i Tad. Borowskiego *Dzień na Harmenzach*. Nie mówiąc oczywiście o całym Gombrowiczu.

skiego. W miejsce „harmonii” i gam tradycyjnych polszczyzny — ćwierćtony i dysonanse. Nowoczesność tego „pisma” (*écriture*) nie jest zastosowana, lecz wynika z wewnętrznego musu. O ile ostrość rysunku przywodzi czasem na myśl Borowskiego, o ile odsensownione, wzbogacone o magię absurdu słowo dowodzić może znajomości Gombrowicza — o tyle zasadnicza cecha prozy Lipskiego jest niewątpliwą własnością autora *Dnia i Nocy*. Mam na myśli aurę bliską halucynacji, która ogarnia nas niskim, spoconym oddechem i więzi do końca, aż po ostatnie słowo i zdanie. Wszystko składa się na nią, i krótkie, rąbane zdania, i słowa po męsku gwałtowne, a i zmysłowość przenikająca ludzi i rzeczy.

Spośród trzech opowiadań najcelniejszym pod tym względem wydaje mi się środkowe, *Waadi*. Tu Lipskiemu udało się najlepiej — chciałoby się rzec bez reszty — wpisać wydarzenia w kształt drzący od upału i umierania. Zamiast prowadzić czytelnika środkiem anegdoty, po nici jakiejś logiki, czy uludy, autor przesuwą go po powierzchni wydarzeń, między nimi a kształtem literackim. Stąd też pochodzi owo amoralne światło, którym promieniuje *Dzień i Noc* i w którym porusza się pokryty czarną gęstwą much dogniwający żywot człowieka.

Gesty godności i miłości, gesty przywiązania, grzęzną w śniegu sowieckim, grzęzną w lepkich od potu i kału nocach Uzbekistanu. Za sprawą pisarza larwa ludzka doczołgała się na skraj tej książki, nie przyodziana współczuciem, nie zakłamana leściem wstydu.

Książka ta przejdzie bez echa w Kraju, gdzie znana wszystkim prawda nie może być wspomniana pełnym głosem. Nie sięgnie też po nią czytelnik emigracyjny, karmiony „Macusiem na szaro” i mądrością wiejącą z kart tragicomicznej cioty, Lechonia.

Może i lepiej. Książce Lipskiego nie potrzeba przyjaciół. Stworzył ją człowiek samotny w imię pięknego egoizmu pisania inaczej. Wskażmy go palcem. Rzućmy za nim kamieniem. Polacy nie potrzebują literatury pisanej bez łez i bez serca.

M. PANKOWSKI

“ Historia Joela Branda ”

We wstępie do książki Aleksandra Weissberg-Cybulskiego *Der Hexensabbat* (1) (w tłumaczeniu francuskim *L'Accusé* (2) A. Koestler maluje nam autora, a swego przyjaciela tak jak go poznał w 1930 roku. Weissberg, młody wtedy inżynier, wyglądał na zamożnego i jowialnego przemysłowca o twarzy okrągłej i okrągłych ruchach. W dyskusji jednak wykazywał od razu rzadkie zdolności dialektyczne, przygważdżając oponenta bezbłędną logiką swego rozumowania. Obaj przyjaciele byli marksistami, obaj należeli do Partii Komunistycznej.

(1) Frankfurter Hefte, Frankfurt/a/M., 1951, str. 716.

(2) Fasquelle Ed., Paris, 1953, str. 590.

W 1931 Weissberg osiadł na stałe w Rosji, przydzielony jako naukowiec-specjalista do Ukraińskiego Instytutu techniczno-fizycznego, jednej z najlepiej wyposażonych centrali naukowych tego typu w Europie. W 1937, w okresie wielkiej czystki stalinowskiej, został aresztowany, oskarżony, jak inni, o zdradę stanu, poddany długotrwałym torturom, wreszcie po trzech latach wydany przez N.K.W.D. wraz z innymi komunistami niemieckimi i austriackimi hitlerowskiej Gestapo na moście na Bugu.

Ten pierwszy okres swoich przeżyć i prób opisał Weissberg w książce wyżej wzmiankowanej, uznanej przez krytykę zachodnio-europejską za bezcenny w swojej aktualności dokument, wyjątkowe świadectwo obserwatora wielkiej miary. Ostatnie lata wojny spędził Weissberg-Cybulski w Polsce w organizacjach polsko-żydowskiego podziemia, jako wciąż tropiony zbieg więzień i obozów.

Ostatnia książka Weissberga (3) dotyczy jednego z dramatycznych rozdziałów ubiegłej wojny, rozdziałów na którego przemilczeniu zależałoby dotychczas wielu ludziom i to nie tylko zachowanym przy życiu i zamieszanym w tę sprawę mordercom. Zależałoby też angielskiemu wywiadowi (Secret Service), w dużej mierze odpowiedzialnemu za klęskę misji Joela Branda, a także niejednemu przedstawicielowi światowych żydowskich organizacji, ludzi będących wtedy poza niebezpieczeństwem, nie zdających sobie sprawy z grozy sytuacji i nieistotności względów honoru czy godności osobistej wobec zagrożenia setek tysięcy ludzkich istnień.

Treść książki, napisanej w pierwszej osobie przez A. Weissberg-Cybulskiego, w ścisłej współpracy z Joelem Brandem, na podstawie relacji tego ostatniego, zachowanych dokumentów i dodatkowych, moźolnie odnalezionych informacji, stanowi przebieg zmagania żydowskiej organizacji w Budapeszcie, zwanej *Waada Ezra we Hazalah* (Rada Pomocy i Ratunku) powstałej w końcu 1941 roku. Rada miała na celu ratowanie Żydów węgierskich i tych, którzy z sąsiednich krajów zdolali przedostać się na teren aż do 1944 mniej zagrożonych Węgier. Chodziło o pomoc w wykradaniu ich z gheft i obozów, o ich wykup, wymianę czy „przehandlowanie” na jakikolwiek poszukiwany przez Niemców towar; chodziło o pomieszczenie zbiegów w Budapeszcie, o wyrobienie dla nich fałszywych dowodów osobistych, uzyskanie wiz zagranicznych, przetrzymanie do krajów niezagrażonych itp.

W 1943-1944 chodziło jeszcze o ratowanie tego co pozostawało do uratowania z wymordowanego narodu, osiadłego od wieków w Polsce, Rumunii, Ukrainie, Słowacji, na Węgrzech, zachowanie chociaż częściowe tego rezerwatu wszechświatowego Żydostwa.

Ludzie, którzy się tej akcji na terenie Węgier podjęli, nawiązując w nieustannym zagrożeniu nici porozumienia od Warszawy aż po Wiedeń, Genewę, Konstantynopol, Jerozolimę — musieli dla swoich celów wejść w kontakt z wrogiem, szukać wśród agentów niemieckiego wywiadu i kontr-wywiadu sprzymierzeńców lub chociażby rozmówców i pośredników z najwyższymi władzami hitlerowskimi oraz żydowskimi organizacjami w krajach alianckich;

(3) *Die Geschichte von Joel Brand*, Kiepenheuer und Witsch, Koeln-Berlin, 1956.

„Die Geschichte von Joel Brand” ukazała się w Izraelu nakładem Firmy Ajanoth, pt. *Biszlichut Nidonium-Lemaweth* (W imieniu poświęconych śmierci).

musieli obiecywać i ludzić, zwlekać i zwodzić byle na kilka dni, tygodni czy miesięcy zahamować akcję eksterminacyjną. Na to wszystko trzeba było pieniędzy, ogromnych pieniędzy dla nienasyconej chciwości hitlerowskich kontrahentów wszelkich kategorii; trzeba było konferować z mordercami, pić z nimi, grać o śmierć lub życie, nie tracąc głowy, panując nad każdym słowem, odruchem, byle się posunąć o krok. Na podobny kompromis poszli Polacy, podejmując się w obozach koncentracyjnych tak zwanych „funkcji” dla ratowania współwięźniów, podobnie rozumował inżynier Czerniakow, prezes warszawskiej Rady Żydowskiej. Czerniakow, który skończył samobójstwem w dzień zarządzenia akcji eksterminacyjnej w ghetcie warszawskim.

Nie wielu było takich jak Joel Brand jako męstwo, przytomność umysłu, zimna rozważa i całkowite oddanie sprawie, którzy by mogli podjąć się podobnej misji. Była to „najbrudniejsza jaka istnieje robota, a jednocześnie największa”, jak to określił jeden z przyjaciół Branda, zaklinając go do wytrwania.

Bieg wypadków i prób porozumienia, targów i przetargów idących w miliony dolarów dla wykupienia ostatniego miliona Żydów europejskich, zachowanych w ghettach węgierskich, drużynach pracy i obozach koncentracyjnych, groza sytuacji po zajęciu Węgier przez Niemców w początkach 1944 roku, pośpiech, którego żądali hitlerowcy wobec zbliżającej się klęski — to wszystko śledzi czytelnik w „Historii Joela Branda” z natężoną uwagą i bijącym sercem. Propozycje Oberstumbannführera kierownika 4-go Oddziału B. Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Reichu w Berlinie, Adolfa Eichmanna, fanatycznego wyznawcy rasizmu, streszczały się lapidarnie w słowach „Towar za krew, krew za towar”. Z chwilą podjęcia targów z Eichmannem w początkach 1944 roku, cztery piąte Żydów europejskich było już zgładzonych w komorach gazowych Oświęcimia, Majdanka i Treblinki; Eichmann godził się wymienić ostatni milion na dziesięć tysięcy ciężarówek z przyczepkami, zastosowanymi do użytku zimowego („Jedna ciężarówka na stu ludzi — przyznaj pan, że to nie dużo?” — zagadywał Eichmann), z dodatkiem kilkuset ton herbaty, kawy, czekolady, mydła i tym podobnych produktów. Uzyskanie dziesięciu tysięcy fabrycznie nowych ciężarówek w okresie wojennym — jakim sposobem? — pytał Brand.

„Wóz albo przewóz!” — oświadczył cynicznie Eichmann. — „Wykzystajcie wasze wszechświatowe wpływy i zasoby; ciężarówki będą użyte wyłącznie na froncie wschodnim, za to mogę ręczyć. Dobje pan targu, a komory gazowe Oświęcimia będą wysadzone w powietrze, nie dobieje pan — a transporty śmierci ruszą do pieców w przyspieszonym tempie z węgierskich gheft, za to również mogę ręczyć. Los tych ludzi jest w pana ręku. A śpiesz się pan, bo ze mną nie ma żartów”.

Czy Brand mógł przypuszczać, że w czasie trwania wojny uda mu się uzyskać od aliantów sprzęt wojenny na użytek nieprzyjaciela? Chyba nie; ale odmawiać pośrednictwa nie chciał, choćby była jedna szansa na tysiąc nawiązania pertraktacji, uzyskania tej obiecannej przez Eichmanna „zaliczki” stu tysięcy Żydów odstawionych do granicy hiszpańskiej. Katastrofa zbliżała się, nawiązane pertraktacje można by było przeciągać, „towar” zamienić na pieniądze, zwlekać, obiecywać, byle zyskać na czasie. Wszystko polegało w pierwszym rzędzie na najściślejszej tajemnicy.

Joel Brand wysłany przez Eichmanna pod fałszywym nazwiskiem, niemieckim samolotem kurierskim do Konstantynopola, w maju 1944 roku, nie

dobił targu. Żydzi oczywiście nie ufali obietnicom hitlerowców, sprzeciali się o wysokość sumy, którą by można zaofiarować, układali o jej wypłatę po wojnie, na co się znów Eichmann nie godził. Terminy zostały przekroczone. Brand wciągnięty w pułapkę, trafił zamiast do Izraela do Kairu, przytrzymany tam miesiącami przez wywiad angielski, poddany długotrwałemu, jałowemu śledztwu, odcięty od kraju w którym toczyła się walka o życie tego ostatniego miliona jego współbraci, na próżno usiłował rozerwać sieć w którą go omotano. 20 lipca, w sam dzień zamachu na Hitlera, ukazał się w „Times” artykuł pt. *A monstrous „Offer” - Bartering Jews for Munition* (Żydzi na wymianę sprzętu wojennego). Treścią artykułu była dokładnie wyłożona oferta Eichmanna i misja Branda (bez wymienienia ich nazwisk), dziennikarz angielski uznawał tę ofertę za bezwstydną szantaż, na który się nie daje żadnej odpowiedzi. Sprawa nawiązania jakichkolwiek pertraktacji z aliantami tą drogą, upadła.

Akcja eksterminacyjna przez kilka tygodni wstrzymana, akcja zwana w duchu wagnerowskim *Nacht und Nebel* (Noc i Mgła), została wznowiona w przyspieszonym tempie.

Do wagonów zasypanych wapnem wrzucano kobiety w pólgu, nowonarodzone dzieci, konających starców podobnie jak mężczyzn zdolnych do pracy — wszystkich; wieziono ich w nieznanym kierunku „na osiedlenie”. Akcja musiała do końca pozostać tajna — *Nacht und Nebel*. Na stacjach przeładunkowych zaplombowane wagony krzyczały i błagały zmłówania.



Jedną z groźnych przeszkód w akcji ratowniczej Budapeszteńskiego Komitetu Pomocy było stanowisko samych Żydów prowincjonalnych miast i wsi: bierność z jaką dawali się gromadzić w ghettach w obawie rozproszenia, wydarcia ze swoich siedzib i rodzin, oraz oporne stanowisko ortodoksyjnych zgromadzeń wobec prób projektowanej konspiracji, lub przygotowań do zbrojnego oporu. Ortodoksyjni Żydzi nie chcieli dać wiary w ostateczne zagrożenie narodu.

„Nie słuchajcie go!” — wybuchnął przewodniczący Stowarzyszenia „Ostatnia Pomoc” w Klausenburgu do zgromadzonych współwyznawców. — „Nie wiercie przedstawicielowi Waady! To bluźnierca. Powiada że Bóg mógłby dopuścić aby nasze święte zgromadzenia, które tylu ubogim przyszło z pomocą, mogło być zniszczone! Nie słuchajcie ani jego, ani jego przedłożenia! Niech się dzieje Wola Wszechmocnego! Módlcie się. Jeden Pan jest naszą ostoją!”.

Żydzi węgierscy byli ostatnimi ofiarami pieców Oświęcimia.



W projektowanym porozumieniu i misji zleconej Brandowi sprawa żydowska była prawdopodobnie dla Niemców, jak to wynika z pewnych okoliczności, obiektem drugorzędnym; chodziło przede wszystkim o dogadanie się z kimś po tamtej stronie za pośrednictwem Żydów, których wszechświatową potęgę hitlerowcy przeceniali. Przed odlotem do Turcji jeden z SS-ów przekazał na ręce Branda listę Niemców, zajmujących niejednokrotnie wysokie stanowiska czy to w wojsku, czy w aparacie administracyjnym Reichu, jako

ludzi godnych zaufania, nadających się do pertraktacji. Dopiero po zamachu na Hitlera z 20 lipca 1944 roku przekonał się Brand, że większość wymienionych w tym spisie nazwisk to byli ludzie należący do antyhitlerowskiej organizacji i którzy wszyscy przypłacili to życiu.



Wypadki opisane w drugiej części książki dotyczą dalszego ciągu prac Waady po wyjeździe Branda i są spisane z relacji szeregu osób, które nie odstąpiły od akcji ratunkowej, mimo nasilenia terroru w przeddzień ostatecznej klęski nazizmu. Na czele organizacji stanął wówczas Kastner. Pertraktacje na granicy szwajcarskiej z przedstawicielem Jointu Sally Meyerem, obywatel szwajcarskim, ograniczonym legalistą, a wysłannikiem Himmlera, SS-em Becherem zostały nawiązane dopiero w końcu sierpnia 1944 i z winy Meyera nie doprowadziły do pożądanego rezultatu. Klęska, którą poniósł Joel Brand w spodziewanym zachowaniu przy życiu około miliona Żydów europejskich nie powinna zasłaniać faktu, że blisko czwarta część Żydów węgierskich przetrwała wojnę, fenomen nie spotykany w żadnym kraju Europy Wschodniej i że do tego rezultatu, w znacznej mierze, przyczynił się uparty i ofiarny trud Budapeszteńskiego Komitetu Ratunku, *Waada Ezra we Hazalah*.

Poza wartością polityczną i dokumentarną tej *Historii*, stanowiącej w jednym wypadku rewelacyjną nowość, podkreślić należy wartości literackie książki. Żywość i bezpośredniość relacji zawdzięczamy formie opowiadania w pierwszej osobie oraz swobodnej rekonstrukcji rozmów i dysput osób działających. Dar obserwacyjny Joela Branda pozwolił Weissbergowi nakreślić szereg żywych i niezapomnianych sylwetek tak z żydowsko-węgierskiej strony jak i niemieckiej, Żydów z Konstantynopola, jak i Żydów z Izraela, a także oficerów wywiadu angielskiego. Doświadczenia Weissberga, jego gorące serce, poczucie solidarności z narodem wyniszczonym, nadają tej książce, która mogła być być jedynie rzeczowym sprawozdaniem pewnego zespołu faktów — akcenty przejmujące ludzkiego zeznania.

„Historię Joela Branda” będą zmuszeni wziąć pod uwagę wszyscy historycy Drugiej Wojny Światowej, naświetla bowiem szereg aspektów przemilczanych przez głośniejszych pamiętnikarzy tej epoki, ujawniając samo jądro najokrutniejszej zbrodni naszych czasów.

Maria CZAPSKA

Czerwony organista

Życie ludzkie, zarówno indywidualne jak zbiorowe, jest zjawiskiem skomplikowanym, różnorodnym, pełnym sprzeczności, bogatym. Jest w nim miejsce na różne subiektywne prawdy, do których różne zmierzają drogi. Każdy człowiek myślący badawczo, starający się zrozumieć zjawiska na które patrzy, lub

poznać ich przebieg z kart historii, napotyka na ich złożoność, na rozmaitość prądów myśli i dążeń, które istnieją obok siebie, ścierają się lub dopełniają. Jednych rozmaitość ta właśnie pociąga, mimo trudności jakie następcza odnalezienie ładu i pragmatyki w przebiegu działań oraz w obiektywnej ocenie ich konsekwencji, wypływającej z różnych założeń ideologicznych. Inni stosują drogę odmienną: drogę uproszczeń, sprowadzania całego bogactwa zjawisk życiowych do jednej formułki, w którą starają się wcisnąć ludzi, fakty i dążenia; wcisnąć *par force*, obcinając bezlitośnie lub ignorując wszystko, co się w tej formułce nie mieści. Jeśli chodzi o badanie zagadnień polityczno-społecznych — ciekawa jest zbieżność, z jaką ta ostatnia metoda występuje na przeciwnych skrzydłach polskiego życia politycznego: skrajnego wsteczństwa z jednej strony, zaś komunizmu z drugiej.

Znałem kiedyś w zapadłym kącie Mazowsza organistę wiejskiego, który odznaczał się zarówno zainteresowaniem dla zagadnień politycznych, jak i szczególną metodą ich pojmowania. Lubił on wyciągać mnie, wówczas młodego studenta, przybywającego na wakacje z zagranicy, na rozmowy polityczne; lubił dopytywać się co się dzieje na szerokim świecie. Ale naprawdę słuchał tego co mu mówiłem z pozorną tylko ciekawością. Jego konkluzja była zawsze jednakowa: „To wszystko, panie dziejku, jest bałamucenie prostego narodu. Te wszystkie rządy, parlamenty, to szopka i tyle. Te wszystkie premiery, kanclerze, prezydenty, Francuzi, Angliki czy Amerykanie, to — panie dziejku — figurki na sznurkach, tak skaczą jak im każą. A kto za sznurek ciągnie? Mędrcy Sjonu. Zbiera się tajny Synhedrion i uradza co Żydom potrzebne na całym świecie i co który rząd ma robić. I szlus, panie dziejku”. Tu potrzasał jakąś sfatygowaną broszurką, zwąca się, o ile pamiętam: „Tajemnice Mędrców Sjonu”.

Ten człowiek był szczęśliwy ze swoją formułą dla wszystkich komplikacji świata i byłoby rzeczą beznadziejną próbować z nim dyskusji.

Przypomniał mi się mój organista, gdy wziąłem do ręki świeżo wydaną w Warszawie książkę p. Tadeusza Reka, pt. „Pierwsze lata dyktatury Piłsudskiego” (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956). Zabrałem się do niej z największym zainteresowaniem, tym bardziej że przerzucając kartki spostrzegłem mnóstwo odnośników, powołujących się na stenogramy obrad sejmowych, zaś w przedmowie znalazłem informację, że autor książki ukończył wyższe studia i to prawnicze. Ale już po przeczytaniu kilku stron pozbyłem się złudzeń. Wyjrzało z nich wąsate oblicze starego organisty, przemalowanego tylko na czerwono. To samo „ułatwione” podejście do rzeczy; ta sama prosta — powiedzmy szczerze, prostacka — formuła, dzieląca ludzkość na dwie kategorie. Jedna — to komuniści, sól ziemi; druga, czyli cała reszta w czambuł to — „agenci”. Cały świat podzielony z równą łatwością: Rosja Sowiecka — raj wolności,

sprawiedliwości, ostoja pokoju światowego; zaś reszta, z Polską w awangardzie, to nieustający spisek przeciwko bezpieczeństwu tegoż raju, zmierzający do odebrania ziemi wolnym i szczęśliwym chłopom sowieckim i do rozpętania rzezi światowej w interesie kapitału amerykańskiego i imperializmu angielskiego. Rządy, parlamenty, narody, partie, socjaliści, ludowcy — to wszystkie figurki tańczące na sznurkach, pociąganych przez jakiś tajny Synhedrion mędrców kapitalistycznych.

W przedmowie do swej książki p. Rek zaznacza, że wprawdzie ludzie mogą pamiętać czasy przezeń opisywane, ale tylko urywkowo, fragmentarycznie, a więc zadaniem jego jest przedstawić całokształt obrazu, tym bardziej, że młodsze pokolenie nie orientuje się zupełnie.

Przyjrzyjmy się tedy, jaki to całokształt buduje praca p. Reka i czego młodsze pokolenie może się z niej dowiedzieć, gdy chodzi o historię lat 1926-1930.

A więc — przewrót majowy 1926 roku — jego geneza: Imperialiści anglo-amerykańscy postanowili podporządkować swym planom Polskę. Nie mogli się oprzeć na Narodowej Demokracji, ponieważ wykazała zbyt wielką słabość wobec mas pracujących i zbyt liberalizm. „W tych warunkach wybór padł na Piłsudskiego”. Walka między Endecją a Piłsudskim — to wszystko komedia i pozory. Tako rzecz p. Rek na str. 12.

Pierwsza zbrodnia, popełniona przez rządy Piłsudskiego, to amerykańska pożyczka stabilizacyjna, która zaprzedała — jego zdaniem — Polskę imperialistom anglo-saskim i pozbawiła ją suwerenności; dowodem czego jest wybór do Rady Nadzorczej Banku Polskiego p. Deweya, „który stał się dyktatorem polityki finansowej i gospodarczej państwa polskiego” (str. 181).

Ale, jak się okazuje, nie tylko politykę gospodarczą i finansową, ale i zagraniczną zaprzedał Piłsudski obcym mocarstwom. Bo oto, mówi p. Rek, bądź ustami własnymi, bądź cytując posła komunistycznego Sochackiego „faszystowska dyktatura Piłsudskiego jawnie wciągała Polskę do imperialistycznego obozu, gotującego się do wojny przeciw Związkowi Radzieckiemu...”. „Dyktator Piłsudski utrzymuje pogotowie wojskowe na sowieckiej i litewskiej granicy, gdzie osobiście nawet kieruje przygotowaniem wojennymi... Trzyma on w pogotowiu Bałahowców, Petlurowców i inne płatne bandy kontrrewolucyjne, gotowe do walki na jego skinienie. W tym celu Piłsudski przeprowadza cichą mobilizację wiernego sobie Strzelca...” (str. 111).

Piłsudski w swych planach imperialistycznej wojny i zaborczej napaści nie jest osamotniony; ma sprzymierzeńca, którego niedyskretnie demaskuje p. Rek. Jest nim St. Stroński, zwany „kapitalistą Strońskim”, lub „reakcjonistą Strońskim”. Obawiając się, że czytelnik mi nie uwierzy, cytuję: „Równocześnie poseł Stroński w imieniu endeckiego Klubu Narodowego nie tylko chwalił faszystowską dyktaturę Piłsudskiego ale także zgłosił pretensję do dalszych ziem ukraińskich i białorus-

kich. Reakcjonista Stroński zgłaszał zapotrzebowanie na dalsze ziemie białoruskie i ukraińskie o dodatkowym obszarze 375 tysięcy kilometrów kwadratowych" (str. 239).

Jeśli chodzi o stosunki wewnętrzne Polska w okresie 1926-1930 jest oczywiście krajem strasznego terroru i niebывałych okrucieństw. Na dowód tego przytacza p. Rek przemówienia posłów komunistycznych, którzy nie żałują krwawych barw, ale to mu nie wystarcza. Upiększa je własnymi dodatkami. Tak więc, gdy cytuje opisy rozruchów i manifestacji antyukraińskich we Lwowie w roku 1928, dodaje od siebie: „Bandy sanacyjno-endeckie zaatakowały również Akademicki Dom Ukraiński we Lwowie i w oblężeniu pomagało im wojsko, oddając salwy artyleryjskie w stronę tego domu” (str. 237).

Najwidoczniej p. Rek uważa rok 1928 za tak odległą datę, że można już tak niesłychane brednie ludziom opowiadać.

W obrazie rysowanym przez p. Reka, dość ciekawe jest powierzenie właśnie posłom komunistycznym roli obrońców parlamentaryzmu i wolności słowa. Kilkakrotnie cytuje on ich przemówienia, na przykład z powodu reformy konstytucyjnej w 1926 roku, która dała Prezydentowi Rzeczypospolitej prawo rozwiązywania izb parlamentarnych, co posłowie ci uważają za niebывały krok, pozbawiający Parlament wszelkiego znaczenia. Albo też z powodu odrzucenia przez rząd, jako sprzecznego z konstytucją, wniosku aby komisje sejmowe mogły obradować, gdy sesja parlamentarna jest zamknięta. Oczywiście to stanowisko rządu było najzupełniej zgodne z praktyką konstytucyjną i parlamentarną wszystkich państw europejskich, ale w ustach komunistów spotkało się z oburzeniem i napiętnowaniem, jako rzekome naruszenie najświętszych praw Parlamentu. Trudno doprawdy nie zadać pytania, jak to godzi się ze znaną chyba autorowi praktyką w stosunku do Parlamentu i wolności słowa zarówno w Rosji Sowieckiej, jak, niedaleko szukając, z praktyką komunistycznej Polski w ciągu ostatniego dziesięciolecia.

Zbyt szanuję czytelników „Kultury”, aby ich obarczać dyskusją z powyższymi próbkami „historii”. Chcę ich tylko zapewnić, że zarówno moje streszczenia, jak i wybrane przeze mnie cytaty, są ściśle i rzetelne.

Muszę jeszcze zwrócić uwagę na metodę pracy autora i na zdumiewający anachronizm, że tak powiem, jego książki. Metoda pracy jest nieporządną i niesumienną, mimo że ma on do dyspozycji archiwę i stenogramy parlamentarne, z których obficie korzysta. Ale czyni to tak: tylko przemówienia posłów komunistycznych i krypto-komunistycznych cytowane są starannie całymi zdaniem i okresami; natomiast odpowiedzi strony przeciwnej bądź nie są podawane wcale, bądź — co gorsza — podawane w formie bigosu z powyrywanych zdań i słów posklejanych tak, że zwykle dają sens, o którym się danemu mówcy nie śniło, ale który p. Rekowski jest wygodny. Czasem posuwa się on tak daleko, że nawet podając tylko jedno zdanie z czyje-

goś przemówienia, cytuje kilka słów początkowych i kilka końcowych, zaś środek zdania „streszcza” własnymi słowami. I streszcza wręcz fałszywie.

Z personaliami obchodzi się p. Rek zgoła samowolnie, nie kępując się rzeczywistością: J. Moraczewski wstępuje do B.B.W.R. i to jako jeden z pierwszych; J. Woźnicki jest „kadzichłopem” i to naczelnym; gdy dodamy St. Strońskiego jako chwalcę Piłsudskiego i zaborcę ziem rosyjskich, zaś pocztowego Dewey’a jako dyktatora gospodarczego Rzeczypospolitej — *sapienti sat*.

P. T. Rek cytując ze stenogramów sejmowych poglądy posłów komunistycznych (podciągając pod to miano zgodnie z ujawnieniem tego faktu przez p. Reka w książce omawianej, szereg posłów z różnych ugrupowań, którzy się wówczas przynależności do partii komunistycznej wypierali), przytacza wielokrotnie przemówienia polskich posłów komunistycznych, Wojewódzkiego, A. Warskiego-Warszawskiego i J. Sochackiego — tego ostatniego aż osiemnaście razy. Każde ich słowo jest podawane do wierzenia jak ewangelia. Ciekawość mnie ogarnia, jak godzi on swą wiarę w autorytatywność tych przedstawicieli rewolucyjnego proletariatu z faktem, który przecież musi mu być od dawna znany, że zostali oni straceni w Moskwie jako „agenci Piłsudskiego, polskiej dwójki i międzynarodowego imperializmu”. Ale zdaje się, że takie drobiazgi jak to, że albo polska partia komunistyczna była w parlamencie polskim reprezentowana przez agentów dwójki i kapitału międzynarodowego, albo też — jeśli nie — wybitni i ideowi przedstawiciele tej partii zostali niewinnie i haniebnie zamordowani przez rząd i partię komunistyczną sowiecką — nie zakłócają mu spokoju.

Przy tej sposobności poruszę szersze zagadnienie ze sprawą Sochackiego i Wojewódzkiego związane. Książka p. Reka jest przepełniona oskarżeniami rządów Polski Niepodległej o straszliwy terror i niesłychane okrucieństwa — od rządu Moraczewskiego (tak) poczynając. Tymczasem faktem jest, że wszyscy wybitni przywódcy polskiej partii komunistycznej aresztowani w Polsce w czasie wojny 1920 roku, bądź też skazani przez sądy już po wojnie, prędzej czy później w drodze ucieczki lub wymiany znaleźli się w „ojczyźnie proletariatu całego świata”, w raju wolności i sprawiedliwości — Rosji Sowieckiej; i że ze strasznego terroru polskiego wyszli z życiem i zdrowiem. P. Rek musi też wiedzieć, co się tam z nimi stało, że mianowicie zostali niemal co do nogi wymordowani w piwnicach Łubianki, lub w łagrach i więzieniach sowieckich, tak samo jak Sochacki i Wojewódzki. Wymieńmy dla przykładu Wróblewskiego, Werę Kostrzewę, Leńskiego-Leszczyńskiego i tylu tylu innych. Do dziś znajdujemy w „Trybunie Ludu” nekrologi komunistów polskich, którzy po lat dwadzieścia, aż do roku 1956, byli więzieni w Sowietach.

Czyż więc nie jest anachronizmem dziś — gdy to wszystko jest powszechnie wiadome — nawet komunistom polskim, którzy

jak ten zdradzony mąż, dowiedzieli się na ostatku — wydawać książki o antykomunistycznym terrorze w Polsce? Dziś, po rewelacjach Chruszczowa? Doprawdy lepiej byłoby nie mówić tak dużo o sznurze w domu powieszono, czy też w domu kata...

Anachronizm następny: Rozumiemy, że różni półanalfabeci komunistyczni z ówczesnego sejmu mogli powtarzać, jak za panią matką pacierz, wypociny politgramoty sowieckiej o angielsko-polskich planach napaści na Rosję Sowiecką w 1926 roku lub o zagrożeniu pokoju światowego i bezpieczeństwa Imperium Sowieckiego przez Piłsudskiego w drodze „cichej mobilizacji strzelców” w tymże roku. Ale gdy w roku 1956 człowiek z wyższym wykształceniem powtarza bezkrytycznie te brechty aby nauczyć historii młode pokolenie — to już doprawdy za dużo. Gdy p. Rek, streszczając po swojemu, nie do poznania, mowę Daszyńskiego w dziesięciolecie Sejmu Polskiego w roku 1929, występuje z pretensją że Daszyński — wicepremier rządu Obrony Narodowej w roku 1920 — nie dziękował Rosji za niepodległość Polski — to też grubo za dużo jak na książkę wydaną w 1956 roku przez autora, który nie może nie wiedzieć nie tylko o odezwie Tuchaczewskiego, ale i o układzie o nieagresji i jego złamaniu; o pakcie Ribbentrop-Mołotow, o tajnym układzie rozbioru Polski; o historii Powstania Warszawskiego wreszcie.

Lata, którym omawiana książka jest poświęcona — od przełamania potęgi narodowej demokracji przez Piłsudskiego w roku 1926, do jego tragicznego konfliktu z lewicą w roku 1930 — są niezmiernie ciekawe i warte opracowania. Opracowania rzetelnego. Przebieg wypadków, motywy postępowania ścieraających się stron — wszystko to można i trzeba prześledzić, wyjaśnić, ułożyć w historycznym porządku pod warunkiem, że nie przystępuje się do dzieła z ciasną i tępą formułą; że szuka się prawdziwych pobudek i celów działania ludzi oraz stronnictw i nie wprowadza się politowania godnych fikcji w rodzaju robienia z Piłsudskiego agenta obcych mocarstw, zaś z przebiegu wypadków i starć ideologicznych w Polsce — kabalistycznej szachownicy, na której poruszają się konwencjonalne marionetki przez demoniczne super-potęgi kupione lub ogłupione.

Książka p. T. Reka jest to gruby tom o 320 stronach. Niestety — szkoda papieru, który poszedł na jej druk i szkoda czasu na jej czytanie.

A. S.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

W czerwcowym numerze „Kultury”, w wywiadzie udzielonym Panu przez St. Kisielewskiego, posła obecnego sejmu w Warszawie, uważał Pan za stosowne powtórzyć w druku jego następujące słowa:

„Mam do was zarzut personalny: że drukujecie Józefa Mackiewicza, który zarówno ze względu na swą okupacyjną przeszłość jak i na swe sprzeczne z polską racją stanu poglądy, moim zdaniem, drukowany u was być nie powinien”.

Nie od dziś się zdarza, że znajomi zapytują mnie dlaczego nie zabiorę głosu, aby raz wreszcie odeprzeć powtarzane wciąż na nowo pod moim adresem „zarzuty”? Odpowiem:

Oszczercza nagonka zainaugurowana została gdzieś w okresie „roku katyńskiego” 1943, notatką zamieszczoną w podziemnej wileńskiej „Niepodległości”, a napisaną przez niejakiego Wrońskiego, eksprovokatora sanacyjnego ZZZ, agenta bolszewickiego, współpracownika sowieckiej „Prawdy Wileńskiej” w latach 1940-1941, a w dobie okupacji niemieckiej — sekretarza redakcji „Niepodległość”... I od tego czasu poszło i pooszło! Roztrąbiane przez wszystkich komu na tym zależało, a wobec mego nieprzejednanego stanowiska do komunizmu w ogóle, a taktycznego bratania się z nim w szczególności — zależało bardzo wielu. Oczywiście ani sprostować, ani odpowiedzieć pod własnym imieniem w warunkach ówczesnej konspiracji, i do niej nie należąc, było rzeczą fizycznie niedostępną, niemożliwą. Niestety, w warunkach emigracyjnych sytuacja dla mnie osobiście, jako jednostki wyłamującej się z totalizmu polskiej myśli politycznej, nie uległa zmianie. W uniformizmie obowiązującego „polrealizmu”, nie istnieje pismo polskie, które by się zgodziło zamieścić napisaną przeze mnie, nie „merytoryczną obronę” ale *odprawę* tym „zarzutem”, w analogicznej treści i formie w jakiej są mnie stawiane, w treści i formie w jakiej ja chcę odpowiedzieć, a w nie w jakiej cenzura redakcyjna mi odpowiedzieć zezwoli, w obawie, aby nie „szargać różnych autorytetów i świętości narodowych”, za autorytety i świętości uznane przez obowiązujący „polrealizm” (w rodzaju Korbońskich, AK, etc., etc.).

W obliczu tej nierówności, jaka zachodzi pomiędzy jednostką a kolektywem narodowym, któremu wolno szkalować moją osobę jak chce, a mnie odpowiadać tylko w granicach „merytorycznych”, zmuszony jestem milczeć.

Być może „Kultura”, z której obecnym, politycznym kierunkiem jak najbardziej się nie zgadzam, ale która słynęła do tychczas ze wspaniałego nieraz liberalizmu (za jedyną czarną pod tym względem plamę uważam „sprawę” Malewskiej), pozwoli mi na taką, moją, bez skrótów i skreśleń, wypowiedź?

Mam jednak nadzieję, że już teraz nie odmówi mi następującego komentarza wyjaśniającego: Po wojnie oddałem „sprawę” do Sądu Koleżeńskiego Syndykatu Dziennikarzy przy 2-gim Korpusie, który mnie, po rozpatrzeniu tego splotu oszczerczych plotek i bzdurnych „zarzutów”, od nich uniewinnił. Był to poważny błąd z mojej strony i powtarzać go nie mam więcej zamiaru. Albowiem wyrok sądu w niczym nagonki nie zahamował, ja zaś dobrowolnie zgodziłem się na rolę „oskarżonego”, na którą nie powinienem był nigdy się zgodzić, nie tylko ze względu na to, że *qui s'excuse s'accuse*, ale przede wszystkim na mój stosunek do „oskarżycieli”. Byłem bowiem i pozostałem tego przekonania, że sojusznikiem Sowietów w ostatniej wojnie mogły być de jure i de facto tylko wielkie mocarstwa zachodnie. Polska natomiast (ze względu na swą słabość, położenie geograficzne, konstelację polityczną etc., etc.) mogła być „sojusznikiem” wyłącznie de jure, *de facto* zaś sprowadzała sama siebie do roli kolaboranta z sowieckim najeźdźcą. Wszystkie tedy czynności i akcje wykonywane w bezpośrednim lub pośrednim sojuszu z Sowietami na terenie kraju, były *de facto* kolaboracją z armią czerwoną, kolaborantstwem (jakkolwiek przyznaję, że w masach narodowych, karmionych radiem londyńskim — nieświadomym) z międzynarodowym komunizmem, co wynik ostatniej wojny i historia — potwierdziły. A czego dodatkowym i logicznym dowodem jest od kilku lat podjęta i przeprowadzona przez komunistów warszawskich „rehabilitacja” AK. Jasną jest więc rzeczą, że JA, KTÓRY NIGDY, NIGDZIE I NICZYIM KOLABORANTEM NIE BYŁEM, nie mogę się usprawiedliwić przed tymi, których sam *za kolaborantów sowieckiego najeźdźcy uważam*.

Do tego dochodzi jeszcze aspekt specjalny: p. Kisielewski raczył wspomnieć o „mojej okupacyjnej przeszłości” (nie mając poza furą plotek, żadnych konkretnych danych, bo ich mieć nie może), w sposób, jak wynika w kontekście rozmowy, ujemny. Ma rację, choć nie z tej strony. I ja się też wstydzę mojej „okupacyjnej przeszłości”. Gdy z perspektywy patrzę na to co się stało, *dziś* wstydzę się i żałuję, ale nie tego, że nie znalazłem się po stronie tych, którzy w roku 1944 Wilno dla bolszewików pomagali zdobywać, lecz tego, że nie znalazłem się po stronie tamtych, którzy go przed bolszewikami bronili. Tak, jak bronili swej ziemi przed bolszewikami w ostatniej wojnie cała wschodnia Europa, z wyłączeniem Polski i Czech. Jak bronili

swejej ziemi przed bolszewikami Finowie, Estończycy, Łotysze, Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Kozacy i znaczna część Rosjan, z których *ówczesnym* stanowiskiem *dziś* wielokrotnie bardziej się solidaryzuję, niż z zarówno *ówczesnym* jak *dzisiejszym* „realizmem politycznym” panów Kisielewskich.

P. Kisielewski w rozmowie z redaktorem „Kultury”, jak sam powiada: „ma przyjemność należeć do sejmu, który jest”, jak stwierdza, „ciałem tylko doradczym”... Biura Politycznego Kompartii; i z tego to swego stanowiska poucza emigrację, i kwalifikuje to co ja piszę, jako „niezgodne z polską racją stanu”. Jestem za wolnością słowa, i naturalnie wolno mu mówić, jeżeli go kto chce słuchać... A kto nie chce? Tego, p. Kisielewski doradza aby nie drukować. Doradza aby takiemu pisarzowi zamknąć usta. Zapewne w imię tak przez niego pojętej „demokratyzacji”, której jest w kraju najbardziej sztandarowym przedstawicielem! — Oto jak wygląda dzisiaj ta polska rzeczywistość, przed którą musiałbym się „rehabilitować”, aby zostać do niej włączony...

Nie. Ja nie chcę.

Józef MACKIEWICZ

P.S. — Nie mogę się powstrzymać od zacytowania, przy okazji, jakiegoś pięknego zdania, które wyczytałem w tym samym numerze „Kultury” w artykule Miłosza: „Kiedy jeden człowiek ma przeciwko sobie tysiąc wrogów, kiedy ci rozporządzają wszelkimi środkami zniesławiania drukiem i bardziej jeszcze zabójczą bronią — kawiarnianym grymasem — samo poczucie przyzwyczajenia narzuca stosunek do takiego pojedynku, czy *raczej obywateli*”... (podkreślenie moje)

J. M.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Pozwalam sobie uprzejmie prosić Pana Redaktora o łaskawe zamieszczenie odpisu niniejszego listu, którego niemiecki tekst w oryginalnym brzmieniu załączam:

20 kwiecień 1957.

WPan Edmund Gordon
Naczelny Redaktor Czasopisma
„Der Europäische Osten”
München 13
Adalbertstrasse 96/I

München, 6 czerwiec 1957.

Szanowny Panie, uprzejmie proszę o zamieszczenie w Pańskim poczytnym piśmie poniższego listu:

Z największym zdumieniem przeczytałem swoje nazwisko pod artykułem zamieszczonym w nr. 4 z kwietnia rb. w „Der Europäische Osten”. Ani tytuł, ani podtytuł, ani treść tego artykułu, ani jego styl nie są bowiem

mego pióra. Jest to zaledwie luźne i zupełnie dowolne streszczenie mego artykułu pt. „Tak zwany Wschód Europejski”, przy tym w niektórych miejscach dodane są zdania (jak np. O „Prawdzie” etc.) — których w moim artykule nie było. Skróć wypacza w wielu miejscach moją intencję, przenosi nacisk na inne rzeczy niż te, na które leżało w moim zamiarze nacisk położyć. W ten sposób zmienia całe jego oblicze.

Odczuwając głęboką przykrość z tego powodu, wyrażam tym większe zdumienie, gdyż naczelnemu redaktorowi „Der Europäische Osten” oświadczyłem kilkakrotnie ustnie oraz dwukrotnie pisemnie, że niestety nie będę się mógł zgodzić na skrócenie artykułu, jaki przedstawiam mu do ewentualnego wyzyskania, na jego prośbę. Ze swej strony prosząc go, że o ile z jakichkolwiek względów nie będzie mógł mego artykułu zamieścić w całości, aby zechciał łaskawie mi go odesłać z powrotem. Natomiast zastrzegłem się wyraźnie przeciwko skrótom, a tym bardziej dowolnemu korzystaniu z tekstu, czy też z jakiegokolwiek dowolnego streszczaniu.

W nadziei, że zechce Pan niniejszy mój list zamieścić w całości pozostaje z poważaniem — Józef Mackiewicz.



Prośbę moją do „Kultury” o łaskawe opublikowanie niniejszego odpisu motywuję tym, niestety, przykrym faktem, że redakcja „Der Europäische Osten”, wbrew powszechnie przyjętym zwyczajom, nie uznała za stosowne listu mego zamieścić.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Józef MACKIEWICZ



La Combe de Lancey (Francja), 11. VI. 1957.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Gdyby na wzór flaubertowskiego istniał emigracyjny *Dictionnaire des idées reçues*, to honorowe miejsce musiałoby w nim zajmować słowo „niepodległościowiec” (definicja: niepodległościowcami jesteśmy my, nie są niepodległościowcami nasi przeciwnicy; przykład: „Kto wyraża pogląd, że nasze ziemie wschodnie winny należeć do Rosji, nie jest niepodległościowcem”). Niewątpliwie istnieją dziś niepodległościowcy 100-procentowi i niepodległościowcy częściowi. Niepodległościowcem 100-procentowym łatwiej jest być na emigracji niż w Polsce, która cieszy się chwilowo niepodległością częściową. Gdyby jednak Gomułka zażądał nagle zwrotu Wilna i Lwowa, to nie byłby niepodległościowcem tylko szaleńcem. Za 48 godzin nie byłoby ani Gomułki ani niepodległości nawet częściowej. Można więc rzec się części terytorium i pozostać niepodległościowcem. Tymczasem p. Mieroszewski pisze w ostatnim numerze „Kultury” że ten kto wyraża pogląd, że „nasze ziemie zachodnie winny należeć do Niemiec” nie jest dla niego niepodległościowcem. P. Mieroszewski mieszka tu, podobnie jak cytowany powyżej hipotetyczny 100-procentowy niepodległościowiec, pojęcie całości z niepodległością. Ustąpienie części terytorium może niepodległości nie tylko nie zagrażać, ale nawet ją wzmocnić czy nawet uratować (jak powyżej).

Bo jakie jest jedyne państwo, które zagraża dziś niepodległości Polski? Nie Niemcy przecież, tylko Związek Radziecki. Kto jest jedynym gwa-

rantem granicy na Odrze i Nysie? Związek Radziecki. A więc do kogo przykuwa dziś Polskę ta granica? Tylko do Związku Radzieckiego. Dopóki Niemcy zachodnie jej nie uznają jest ona w rękach Sowietów stałym środkiem szantażu wobec Polski, pchającym nas z powrotem w objęcia bloku sowieckiego. Tylko dobrowolnie przez obie strony wytyczona i dobrowolnie przez Niemcy uznana granica wytraciłaby Sowietom tę broń z ręki. Gdyby więc jutro — np. na skutek neutralizacji Europy środkowo-wschodniej i zjednoczenia Niemiec — udało się za cenę zwrotu części tych ziem zyskać gwarancję lub nawet pomoc N.R.F. i w konsekwencji zmniejszenie zależności od Rosji, to czy byłoby to wzmocnieniem czy osłabieniem niepodległości? To oczywiście hipoteza, chodzi mi tylko o to, że to hipoteza w stronę zwiększenia niepodległości.

Przyznam, że napisałem ten list nietylko z zainteresowania polityką, ile ze wstępu do tak zwanej drętwej mowy, wszystko jedno emigracyjnej czy krajowej, której słowo „niepodległościowiec” jest jednym z przykładów. Zerwanie z drętwą mową, czyli odkłamanie rzeczy zakłamyanych, było jedną z piękniejszych cech polskiego pałdźnika. Zadaniem emigracji byłoby odkłamać w tymże duchu takie zwroty jak „nasze ziemie zachodnie” i „Ziemie Odzyskane”. Jakie to nasze ziemie których nie potrafiliśmy zasiedlić i zagospodarować w ciągu dwunastu lat i które Rosja może w każdej chwili podarować w całości Niemcom sowieckim? Odzyskuje się zaś zazwyczaj coś, co się legalnie posiadało. Ale i w prawie istnieje pojęcie przedawnienia: nie odzyskuje się majątku po trzystu latach. Dolny Śląsk ma za sobą co najmniej pięć wieków nieprzerwanego niemieckiej historii, rzekł się go w dobrowolnym i legalnym traktacie Kazimierz Wielki przed sześciuset laty. A Pomorze niemieckie na dobrą sprawę nigdy do Polski nie należało. Pomorzenie, zresztą dawno wymarli, nigdy nie byli Polakami. Równie poważnie można by twierdzić, że Anglia ma prawo do Paryża (XV wiek) a Grecja do Konstantynopola. W rzeczywistości mamy do tych ziem takie samo prawo jak Rosja do Wilna i Lwowa to jest prawo siły. Z tą różnicą, że trzymamy je nie siłami własnymi a sowieckimi. Innymi słowy, silni mogą sobie pozwolić na lekceważenie prawdy i prawa, ale słabi muszą bronić prawa, bo tylko prawo ich broni.

A wreszcie inny problem, który trzeba będzie prędzej czy później poruszyć, a który celowo odłożyłem na koniec: problem moralny, a więc związany z zakłamyaniem czy odkłamyaniem. Chodzi mi o wysiedlenia Niemców z tych ziem. Chyba nikt dziś nie zaprzeczy, że była to jedna z typowo stalinowskich zbrodni. Zapewne znajdują się hurra-patrioci, którzy powiedzą, że lepiej o tym nie mówić ze względu na tak zwane echa, albo — co gorzej — że wysiedlenia były usprawiedliwione zbrodniami niemieckimi. Jasne, że żadna, największa nawet zbrodnia nie usprawiedliwia innej zbrodni, nawet najmniejszej. Nie myślę porównywać potwornego mordu sześciu milionów Żydów z naszymi wysiedleniami (bądź co bądź nie na Syberię tylko do Niemiec Zachodnich), ale dopóki nie potępimy tych wysiedleń, to będziemy za nie współwinni i, co gorsze, umożliwimy niemieckim z kolei hurra-patriotom analogiczną argumentację: „wysiedlenia są usprawiedliwieniem niemieckich zbrodni wojennych” (zwłaszcza że te w czasie wojny i rzekomo z konieczności wojkowej, a polskie podczas pokoju i „tylko” z zemsty). Jeżeli my potępimy wysiedlenia, to odbierzemy jedyny argument niemieckim szowinistom, a dopomóżemy tej szlachetnej części niemieckiej opinii publicznej, która potępia zbrodnie hitlerowskie. Dopóki tego nie uczyniliśmy, jesteśmy współwinnikami Stalina.

Zechce Pan przyjąć, Wielce Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku.

Andrzej VINCENT

Londyn, kwiecień 1957.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listem p. T. Felsztyna („Kultura” Nr 3/13), chciałbym zakończyć dyskusję w sprawie „propagandy komunistycznej” rzekomo prowadzonej przez Związek Nauczycielstwa Polskiego przed drugą wojną światową; komunikuję co następuje:

1) Z całą pokorą przyznaję, że do dnia dzisiejszego nie przeczytałem żadnego numeru „Ogonioku” i tego wcale nie żałuję.

2) Natomiast przytaczam wyjątki wspomnień p. Haliny Pilichowskiej z artykułu opublikowanego przez nią w „Robotniku Polskim” (New York, 3 października 1943, Nr 40, str. 3) pt. „Metamorfozy Pani Wandy Wasilewskiej”:

„Wasilewska w Polsce nigdy komunistką nie była... Nie pozbawiony swoistej pikanterii jest fakt, że ta rzekomo tak straszliwie przez władze polskie prześladowana Wasilewska tuż przed wojną, na zamówienie polskiego Ministerstwa Spraw Wojskowych napisała aż siedem popularnych broszur, uzasadniających nasze prawa do morza, do niepodległości, do integralności Rzeczypospolitej... Zobowiązawszy się w sierpniu 1939 roku do pracy w Wojskowym Instytucie Naukowo-Oświatowym (W.I.N.O.) w dziale propagandy antyhitlerowskiej oświadczyła (aprobuując stanowisko zajęte przeze mnie w rozmowie z Mjr. N.) gotowość prowadzenia w razie potrzeby — również propagandy antysowieckiej. Rozumiała bowiem wówczas, że stosunek socjalistów do Rosji Sowieckiej musi być funkcją stosunku Sowietów do Polski”.

Dalej opowiada p. Pilichowska o pierwszych dniach pobytu w Chelmie: „Z tym to niezapomnianym majorem dr. O. podjęła Wasilewska wraz ze mną i paru innymi towarzyszami podróży próbę utworzenia ‘republik chelmskiej’ — ośrodka oporu przeciw obu najeźdźcom...” Gdy wkroczyli bolszewicy do Chelma poszły panie na przedstawienie wojskowego teatru bolszewickiego i wtedy: „... Odśpiewano między innymi kantatę ku czci Stalina. Siedzący obok nas znajomy Polak chciał odruchowo wraz z resztą sali — samymi żołnierzami Czerwonej Armii — wstać z krzesła. Wasilewska powstrzymała go gwałtownym gestem. ‘Jak ci nie wstyd’ — strofowała niefortunnego Filipa z Konopi”. No dość cytata.

Z powyższego wynika, że p. Malanowiczowa, oświadczając p. Felsztynowi w dniu strajku ZNP, że Wasilewska nie była wtedy komunistką, mówiła prawdę.

Naturalnie nie jest rzeczą przyjemną ani dla mnie, ani dla oficera mjr. N., który angażował się w imieniu Ministerstwa Spraw Wojskowych przypomnienie, że osoba taka jak Wasilewska zmieniła swe poglądy. Wydaje mi się, że mamy tu do czynienia z częstym u neofitów zjawiskiem, że stają się bardziej papiescy niż sam papież. W tym wypadku „nawrócona” na komunizm Wasilewska stała się bardziej komunistyczna niż sam Stalin.

W czasie pobytu Wasilewskiej we Lwowie 1939 roku mówiono, że dopiero wtedy wstąpiła ona do partii komunistycznej. W jej życiorysie, podanym na stronie 886 książki jej „Pieśń nad wodami” (po rosyjsku), Moskwa 1951, podano, że Wasilewska wstąpiła do partii w 1941 roku. Nie wierzę danym biograficznym sowieckich uczonych, gdyż jak to wiemy z dzieł poszczególnych tomów Encyklopedii sowieckiej, często życiorysy te się tam zmieniają, zależnie od chwilowych potrzeb partii komunistycznej, i dlatego sądzę, że prawdopodobniejszą jest data 1939 roku jako rok wstąpienia Wasilewskiej do partii.

Problem „Wanda Wasilewska” nie jest istotnym zagadnieniem w dyskusji między mną a p. T. Felsztynem.

3) Istotnym zagadnieniem w sprawie rzekomej „propagandy komunistycznej” uprawianej przez Związek Nauczycielstwa Polskiego jest wzajemny stosunek rządu premiera gen. Sławoj-Skłodkowskiego i Zarządu Głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego. By ten stosunek zrozumieć, należy przyrzeć się stosunkom między ZNP a kolejnymi rządami polskimi w okresie niepodległości.

Początkowo do przewrotu majowego, ZNP starał się mieć w swym gronie posłów na Sejm RP z różnych stronnictw politycznych, by w ten sposób móc mieć wpływ na ustawodawstwo dotyczące spraw szkolnictwa. Po przewrocie majowym ZNP oddał się całkowicie na usługi Piłsudskiego. W okresie BBWR służył tej niby „nie-partii” całym swym autorytetem i członkowie ZNP kandydowali z listy BBWR. Okazało się to jednak niezbyt szczęśliwym posunięciem.

Około 1931 roku (daty dokładnej nie pamiętam) wysunął ZNP projekt uzgodnienia i uzupełnienia dwu ustaw: o przymusowym obowiązku szkolnym młodzieży do 14-go roku życia oraz ustawy o wstępowaniu do przemysłu, rzemiosła itp. młodzieży dopiero od 15-go roku życia (ukończonego). W związku z tym, by absolwent szkoły powszechnej, nie mający zamiaru dalej się kształcić, przez rok „nie był wychowywany przez ulicę”, ZNP wysunął projekt zmiany szkoły siedmioletniej na dziesięcioletnią. W sferach rządowych projekt ten spotkał się z negatywnym przyjęciem, a część prasy z ilustrowanym Kurierem Codziennym w Krakowie, posądziła ZNP o naśladowanie Sowietów.

W tym też czasie ZNP wystąpił przeciw wydawaniu przez koncern Kuriera, „Tajnego detektywa”. Naturalnie to wystąpienie spowodowało wrogi stosunek Kuriera do ZNP. Nawiasem dodam, że usiłowania ZNP o uzyskanie zakazu wydawania Tajnego Detektywa nie odniosły skutku, i dopiero wystąpienie polskiego episkopatu spowodowało, że tygodnik ten przestał się ukazywać.

Widząc, że pełne oddanie się BBWRowi nie daje szkolnictwu korzyści, ZNP postanowił „odpolitycznić” Związek i rozpoczął w 1933 roku prace nad zmianą statutu Związku. Projekty te szły w następującym kierunku: a) członkowie ZNP przechodzący chwilowo czy na stałe ze szkoły do administracji szkolnej, samorządowej czy też ogólnej otrzymują urlop ze Związku, bez prawa zabierania głosu na zjazdach nauczycielskich; b) członkowie ZNP którzy uzyskają mandat poselski do Sejmu czy Senatu RP, otrzymują także urlop ze Związku bez prawa czynnego i biernego zwykłego członka ZNP, na czas trwania swego mandatu. W ten sposób chciano oddać się od wpływów politycznych na ZNP. Projekty te spotkały się z bardzo wielkim niezadowoleniem ze strony sfer nie tylko ministerstwa WR i OP (Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego) ale także i w sferach innych resortów rządowych a zwłaszcza w kołach przywódczych BBWRu. Statut zmieniono w 1935 roku.

Na posiedzeniu Państwowej Rady Oświecenia Publicznego w dniu 29 listopada 1934 roku członek tej Rady a zarazem członek Zarządu Głównego ZNP w dyskusji nad pierwszym punktem tego posiedzenia „Sprawozdanie o ogólnym stanie oświaty i wychowania w ostatnim roku oraz zamierzeniach na przyszłość”, mówiąc o stanie szkolnictwa i nauczycielstwa, zapelował do przewodniczącego zebrania tego ministra J. Jędrzejewicza, by wpłynął na administrację ogólną i na BBWR, by nie posilkowały się nauczycielstwem zwłaszcza w agitacji wyborczej, przy czym mówca ten przytoczył szereg wypadków, kiedy to nauczyciele biorący udział w agitacji wyborczej zostali nie tylko pobici ale i poważnie kosami poranieni. Naturalnie występ ten nie przypadł do smaku władzom administracyjnym i zaczęło się już na dobre okazywanie niechęci.

Rozpoczęło się przenoszenie nauczycieli należących do Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie” i nawet były wypadki, kiedy dla „dobrej służby” przenoszono nauczyciela w ciągu roku dwa razy, a o jednym wypadku wiem, że w ciągu roku nauczyciel, mający rodzinę, był aż trzy razy przenoszony. Później (niestety daty nie pamiętam) obowiązywał kuratorów szkólnych okólnik (czy też może rozporządzenie), na mocy którego, gdy władza drugiej instancji zażądała zwolnienia nauczyciela, czy też przeniesienia go, kurator bez podania motywów zwalniał czy też przenosił nauczyciela. Z tych czasów przytoczę następujący fakt: nauczycielka na Wołyniu, Ukrainka ze Lwowa, została zwolniona. Gdy jako prezes Okręgu Wołyńskiego ZNP udałem się do kuratora o wyjaśnienie dlaczego ją zwolniono, otrzymałem odpowiedź, że na żądanie wojewody Józewskiego. Pojechałem do wojewody, który naturalnie o niczym nie wiedział. Zawezwał naczelnika wydziału bezpieczeństwa, ten poszedł po akta sprawy i przyniósłszy je wojewodzie oświadczył, że otrzymał takie polecenie z Lublina. — Brat zwolnionej nauczycielki, Polak (małżeństwa mieszane w byłej Galicji: córki dziedziczyły wiarę matki, synowie ojców), sierżant zawodowy WP., zapewniał mnie, że siostra jego nie była zamieszana w żadne polityczne kombinacje. Przypadkowo spotkawszy właścicielkę majątku K. w powiecie rowieńskim, zapytałem ją co wie w sprawie tej nauczycielki. Powiedziała mi, że nauczycielka ta nie tylko nie chciała się oddać pewnemu osobnikowi, ale gdy przyszedł do niej w stanie nietrzeźwym, dała mu po twarzy i z pomocą sąsiadów, u których mieszkała, wyrzuciła go z mieszkania. To było powodem, że nauczycielkę tę oskarżono przed odpowiednimi władzami, iż jest „nacjonalistką ukraińską i zarazem komunistką”. Naturalnie zrobiłem z tego odpowiedni użytek, przeprowadzono dochodzenie, które stwierdziło prawdę tego, co powiedziała mi właścicielka K., nauczycielkę z powrotem przyjęto do szkoły ale już do innej miejscowości.

Gdy tworzono Obóz Zjednoczenia Narodowego, w którym zaczęli dochodzić do głosu członkowie O.N.R. i Falangi osławionego dzisiaj B. Piaseckiego, ostatnio twórcy „reżymowych katolików”, ZNP nie okazywał wcale sympatii OZNowi. Dalej, gdy OZN i władze wywierały nacisk na ZNP, by przyłączył się do OZNu, ZNP odpowiadał zdecydowanie odmownie. To było powodem, że sfery rządowe, wykorzystywały jeden chybiony numer „Płomyka”, zawiesiły Zarząd Główny ZNP w czynnościach a ustanowiły komisaryczny zarząd z ONRowcem Musiołem na czele w jesieni 1937 roku. Cała ta sprawa była niefortunna, czego dowodem zezwolenie rządu na odbycie z początkiem 1938 roku Walnego Zjazdu ZNP, na którym ponownie wybrano dotychczasowego prezesa kol. Kolanek. Kolanek podziękował za wybór i zarazem zrezygnował z zaszczytu prezesowania, wobec czego wybrano dotychczasowego wiceprezesa Józefa Nowickiego. Zaznaczyć z naciskiem należy, że żadnego członka Zarządu Głównego nie postawiono przed sądem o „propagandę komunistyczną” ani nawet nie zesłano do Berezy, z której usług wcale chętnie sfery rządowe korzystały.

4) W związku z powyższym muszę zwrócić uwagę na zagadnienie to, przedstawione przez p. Wł. Pobóg-Malinowskiego w II tomie jego „Najnowszej historii politycznej Polski”. Stwierdzam, że autor ten bez najmniejszego uzasadnienia mówi o „Komunistycznym Związku Nauczycielskim” (str. 602), powiada, że W. Wasilewska to „główna wtyczka komunistyczna w Centrali Wydawnictw” (str. 639, przyp. 99), a przecież tę Wasilewską władze wojskowe w dwa lata po aferze ze Związkiem Nauczycielskim zaangażowały do propagandy wojskowej (więc chyba wtedy już nie była komunistką ani wtyczką komunistyczną w propagandzie wojskowej, tylko uprzednio w ZNP?), wspomina o „kierowaniu do Berezy działaczy radykalnych, którzy wciskali się do Związku Nauczycielskiego” (str. 646, przyp.

3), mimo że członkiem BNP mógł być tylko czynny nauczyciel a nikt nie będący czynnym nauczycielem nie mógł zostać członkiem ZNP.

Muszę stwierdzić, że p. Pobóg-Malinowski w swej Historii całkiem świadomie nie chce wiązać faktów przez siebie w tej książce podanych, ani z nich wyprowadzać wniosków gdy mu to jego tezie nie odpowiada. Podam tylko z odcinka ZNP przykłady, a takich można z jego dzieła przytoczyć wiele: na str. 583 przyp. 14 powiada o „perspektywie pochwytnia władzy przez gangsterów z ONR, nie tyle naśladujących, co małpujących Hitlera”, a przecież ci z ONRu wcisnęli się do OZNu i tam nawet uzyskali jakby przewagę. ZNP zaś nie miał wcale ochoty „małpować” Hitlera. Że wówczas jednak pewne decydujące sfery popierały tę organizację O.N.R., małpującą Hitlera, dowodzi, iż komisarycznym prezesem zarządu w działaniu Zarządu Głównego ZNP został nie kto inny jak wieszony w działaniu Zarządu Głównego ZNP został nie kto inny jak właśnie O.N.Rowiec Musioł. Łączności między tymi faktami p. Pobóg-Malinowski nie chce widzieć. No trudno taki widzieć z niego jakiś dziwny historyk, który pisze (str. 639, przyp. 100): „... rząd ... pod naciskiem Koca, raczej stojącego za Kocem B. Piaseckiego, powołując na kuratora Związku Nauczycielskiego Pawła Musioła, śląskiego działacza z O.N.R. Co prawda — minister oświaty W. Świątosławski bardzo szybko Musioła usunął”. Wcale natomiast ten historyk nie pisze o nowych wyborach na Walnym Zjeździe Związku w Krakowie. Bardzo to dziwne przedstawiona „historia” a inne ciekawostki podobne znajdują się też w tej historii. Miałem nosa, że nie zaprenumerowałem tej „historii”.

5) Kogo dzisiaj winić za to, że w 1937 roku zrobiono taką krzywdę Związkowi Nauczycielskiemu? Okazuje się przecież, że tę Wandę Wasilewską zaangażowało wojsko do pracy w swym ośrodku propagandowym a wojsko to miało „dobry wywiad”, więc chyba Wasilewska nie była wtedy komunistką. Dalej, ONR małpujący, jak się wyraża Pobóg-Malinowski, Hitlera, uzyskał przewagę ideową w OZN, który miał poparcie czynników rządowych a nie znalazł go w Związku Nauczycielskim, któremu na prezesa komisarycznego narzucono ONRowca Musioła. Teoretycznie odpowiadać winien za to wszystkim premier rządu Sławoj-Składkowski. Aliści znowu od p. Pobóg-Malinowskiego dowiadujemy się (str. 645), że „Premier musiał zrezygnować ze swoich praw i obowiązków; nie mógł ani ‘ustalać ogólnych zasad polityki państwowej’, ani ‘kierować pracami rządu’. ... Rydz-Śmigły, wówczas już marszałek i „druga osoba po Prezydencie Rzeczypospolitej”, też nie panował nad sytuacją, gdyż „dowódcy najposłuszniej wysłuchali rozkazu najwyższego swego zwierzchnika, po powrocie jednak na swój teren akcję prowadzili dalej, nacisk bowiem lokalnej opinii polskiej, wywindowanej na szczyt szowinistycznej psychozy, okazywał się nie tylko tarczą obronną, ale i siłą większą od obaw przed skutkami nieposłuszeństwa” (str. 637), a „aż nazbyt gorliwym sojusznikiem wojska było Ministerstwo Sprawiedliwości Grabowskiego” (str. 635). Widzimy, że nie ma odpowiedzialnego za ówczesny stan rzeczy w Polsce, nie tylko zresztą na odcinku ZNP, bo ani premier, ani marszałek Rydz-Śmigły, ani minister sprawiedliwości.

Wyjaśnić zupełnie sprawę mógłby najprawdopodobniej jeden tylko człowiek, który wówczas był „pars magna fuit” to jest p. Świątek-Miedziński, gdyby chciał odpowiedzieć na następujące pytania (naturalnie nie bawiąc się w bajeczki o „komunistycznym Związku”): a) kto wpadł na myśl i podsunął sferom rządowym projekt zwalczania Związku Nauczycielskiego i w jakim celu (dobór środków zwalczania jest w tym wypadku rzeczą drugorzędną, gdyż jeśli nie komunizm, można byłoby wyszukać inny pretekst); b) czy był rzeczywisty plan jakiś, i w jakich ośrodkach, zniszczenia w ogóle związków zawodowych w Polsce; czy też w rozmowie ze mną marszałek

Rydz-Śmigły sam, w braku jakiegos przekonywującego argumentu, użył tego argumentu uzasadniając decyzję walki ze Związkiem Nauczycielskim.

Szanowny Panie Redaktorze, bardzo przepraszam, że tak dużo miejsca zająłem w „Kulturze” przez Niego redagowanej, ale wydaje mi się, że sprawa ta nadal jest aktualna i warto ją wyjaśnić.

Racz Pan, Panie Redaktorze, przyjąć wyrazy wysokiego poważania i szacunku.

J. HOFFMAN

Nowy, Jork, maj, 1951.

Poznałem Leona Kozłowskiego w więzieniu warszawskim. Było to dawno... na schyłku roku 1909-go. Zamknięty był za niepodległościową propagandę z parunastoma kolegami stołecznymi średnich uczelni. Wyróżniał się temperamentem, inteligencją i... beztroską. Za tę ostatnią, przy bliskich świętach, dostał od kolegów na gwiazdkę... więziennego „koca”. Później — na wolności, we dwu z nim kopaliśmy polską ziemię z sumptu jego wuja, socjologa E. Majewskiego, wykrywając w niej ślady pobytu naszych praojców sprzed wieków.

Byliśmy jednej wiary i czas jakiś razem mieszkaliśmy.

Dalej, po latach — zesłaliśmy się w I-ej Brygadzie w jednym pułku, 1-szym ułanów Leg. Beliny. Baków żeśmy nie zbijali. Pełniliśmy twardą służbę szeregowych. Byliśmy oczarowani w końcu zdobyczą: na imię jej było... niepodległość. Staliśmy w jej obronie w latach 1919 i 1920. Za czasów krótkiego jej życia z oczuśmy się nie stracili — po dawnemu często widywaliśmy się z sobą. W rzeczach głównych Polski Niepodległej Leon Kozłowski był nieugięty, jak skała...

W Rosji przy praktykach NKWD pozbył się oka. W Berlinie, jak twierdził Tomasz, brat jego, z rąk Gestapo... życia. Tomasz,łożył na jego utrzymanie w Berlinie od początków.

Z rodziny Kozłowskich z Przybysławic nikt bodaj nie został przy życiu. Leon zginął w sposób tajemniczy w Berlinie; Tomasz, jak się dowiedziałem przed pięcioma laty w Stanach, utonął w morzu pod Gdynią w roku 1946 przy próbie ratunku topiącego się jakiegos osobnika; brat najmłodszy był rozstrzelany na ulicy w Krakowie przez Niemców. Rodzina jest pośmertnie pod pręgierzem.

W marcu 1944 roku, Tomasz Kozłowski zgłosił się do mnie, że Leon Kozłowski gotuje ucieczkę z Berlina do Kraju. Szło, przy wiszącym nad nim wyroku, o swego rodzaju azyl dlań ze strony kolegów. Rozmowa toczyła się w obecności trzeciego, wspólnego nam dwum, przyjaciela, pozostającego stale do dziś w Warszawie. Skwapliwie na azyl my dwaj przystaliśmy. Nadmieniam o wciągnięciu do sekretu przywódców konwentu i O.P.W. (Obóz Polski Walczącej). Uwagi swej dokonałem w ciągu dziesięciu dni, o czym zawiadomiłem Tomasza, udającego się po pobycie w Warszawie do swych Przybysławic pod Miechowem, gdzie już był zagrożony. Do 1-go maja 1944 roku nie dawał znaku życia. W dniu 1-ym maja przybył do Warszawy; nie zdołał się ze mną zobaczyć, widział się jedynie ze wspólnym naszym przyjacielem i świadkiem naszej rozmowy o ucieczce Leona do Warszawy. Obwieścił nam, że z projektów Leona nic nie wyszło, bowiem zginął. W dniu 8 maja 1944 roku w kościele mokotowskim ma się odbyć za jego duszę msza, na którą nas prosi. Był na niej wspólny nasz z To-

maszem druh; ja byłem nieobecny, bo w tym dniu byłem służbowo poza Warszawą. Już się więcej z bratem Leona nie widziałem. Wpadłem niebawem w łapy Gestapo.

Jest na świecie zdeponowany pamiętnik Leona doprowadzony do roku, bodaj, 1943. Leon pisał w Berlinie książkę z dziedziny archeologii. Niemcy zaofiarowali mu pomoc w jej wydaniu, co autor z miejsca odrzucił.

Przed siedmioma laty w Londynie żołnierskie koło 1 p. ul. Leg. Beliny podjęło próbę rewizji wyroku na Leona Kozłowskiego. Wybrany delegat, zaopatrzony faktami, był u Prezydenta Rzeczypospolitej i postawił sprawę rewizji. Pan Prezydent zesłał się na zdekompletowanie instytucji sądowych. Delegat udał się do gen. Władysława Andersa, podpisanego na wyroku; wywiódł, że Leon Kozłowski nie był przyjęty do wojsk generała, bo był fizycznie niezdolny do służby liniowej, zaś do innej — choćby do intendury, jego zgłoszenie, ówczesny jej szef, płk. Staszewski, w Buzuluku — odrzucił. Generał Anders podzielił stanowisko żołnierzy 1 p. ul. leg. Beliny, że podstępny nie mógł być sądzony za dezercję. Dodał do rozmowy z delegatem, że proces był polityczny, w odwet za przeszłość. Sam Stalin był osobą Leona Kozłowskiego zainteresowany i żądał skazania, co polski sąd w Rosji potulnie spełnił, wydając hańbiący wyrok. Generał złożył obietnicę, że sprawę tę wznowi, gdy przyjdzie właściwa godzina...

Moim zdaniem, właściwa godzina dawno wybiła...

Stanisław KLEPACZ, płk.

Sao Paulo, 15. V. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

Zamieszczony w dziale „Najnowsza historia Polski” Nr 4/114 artykuł p. Benedykta Heydenkorna pt. „O rehabilitację Leona Kozłowskiego” jest ciekawy tak pod względem treści jak i zagadnienia, które poruszył autor. Interesuje mnie to tym bardziej, że byłem w tym czasie w Armii Polskiej w Z.S.S.R. Oczywiście całą sprawę najlepiej może wyjaśnić b. Dowództwo 2 Korpusu, jednak już sam autor wyraźnie podaje, że: „Sąd wojenny polskich suwerennych sił zbrojnych w Z.S.S.R. skazał zaocznie na karę śmierci por. rez. prof. dr. Leona Kozłowskiego za dezercję z szeregów wojskowych”. To chyba wystarczy, we wszystkich bowiem armiach całego świata dezercja czyli samowolne opuszczenie szeregów wojskowych jest karane śmiercią, zwłaszcza w czasie wojny. W wyroku tym nie ma ani słowa o współpracy L. Kozłowskiego z Niemcami i, o ile pamiętam, nie się o tym u nas nie mówiło, poza tym że się przypuszczało, iż Niemcy będą próbowali wykorzystać osobę L. Kozłowskiego dla utworzenia rządu quislingowskiego. Były to jedynie supozycje. Nie rozumiem więc dobrze w jaki sposób autor artykułu chciałby umotywować rehabilitację dezertera, niezależnie od tego jakie były motywy tego czynu?

Byłem w więzieniu w Łubiance w tym samym czasie co L. Kozłowski, nie w tej samej, co prawda, celi, ale koledzy moi więzienni siedzieli prześciowo z nim razem i wbrew opinii p. P. Sz. nie byli nim, jako współwięźniem zachwyceni. Przeciwnie, inni byli premier Aleksander Prystor, z którym przebywałem w jednej celi więzienia Butyrki około 10 dni przed ewakuacją moskiewskich więzień na Wschód, po ataku Hitlera na Sowietów,

cieszył się niesłychanym szacunkiem współwięźniów wszystkich narodowości, którzy wyręczali go we wszystkich pracach w celi, dokarmiali a nawet, co jest zupełnym wyjątkiem w warunkach skrajnej nędzy w Rosji, nie tylko w więzieniach, obdarowali go ciepłą odzieżą, gdyż aresztowany w lecie w Kownie, miał tylko jedyne letnie ubranie. Zachowanie jego zarówno wobec władz więziennych jak i kolegów było pełne godności i powagi. Już od chwili wyjazdu z Z.S.S.R. miałem zamiar, w którymś z naszych pism umieścić wspomnienia o tych ostatnich dniach życia A. Prystora, zarówno z podanych wyżej względów, jak też i dlatego, że był jednym z premierów okresu naszej niepodległości i współpracownikiem najbliższym marsz. Piłsudskiego, zasługuje więc na to, niezależnie od sympatii lub antypatii politycznych do jego osoby. Niestety, tak się składało, że dotychczas nie mogłem urzeczywistnić tego zamiaru.

Łączę wyrazy poważania.

Jerzy POMIAN

Caracas, 31 maja 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z listu p. Westfala umieszczonego w „Kulturze” Nr 115 wynika, że nie ma w języku polskim odpowiedniego wyrazu na angielskie słowo *slang*. Słownik angielsko-polski J. Stanisławskiego, lektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, podaje cztery terminy odpowiadające *slang*owi a mianowicie: szwargot, żargon, narzeczce i gwara. Według opinii Henryka Ułaszyńskiego, którą p. Westfal podziela, dwa pierwsze wyrazy w ogóle nie powinny być używane.

O gwarze i narzeczcu, dwóch pozostałych terminach, p. Westfal pisze: „Swoją własną pogląd na różnicę między gwarą a narzeczem sformułowałem na str. 53-4 *Rzeczy o polszczyźnie*”.

Przecież mnie nie chodziło o różnicę istniejącą między tymi wyrazami, lecz o najwłaściwsze polskie określenie „*slang*u”. Nic więc dziwnego, że po przeczytaniu wyjaśnienia p. Westfala, odniosłem wrażenie, że *slang* pozostał niezwykły i nawet używanie tego słowa w polskiej formie przymiotnikowej uważa p. Westfal za właściwe i usprawiedliwione.

P. Westfal jest i pozostanie wielce cenionym autorytetem w językoznawstwie polskim, tym niemniej nie mogę zrozumieć dlaczego nie chce używać słowa „gwara” zamiast *slang*u.

Nie znam książki Richarda Katza pt. „*Włóczęga dookoła świata*” tłumaczonej przez Z. Petersowa, ale nawet gdybym ją czytał i znalazłbym na str. 320 lub 328 termin „drapacz nieba” pozostałbym w dalszym ciągu przy nazwie — drapacz chmur. Kopa siana, po wetknięciu w nią igły — kopa siana pozostanie.

P. Westfal „skarcił” mnie za nieuważne czytanie, twierdząc że na str. 77 (Kultura, Nr 108) napisał jedynie: „Ponoć w ostatnich czasach” twór wieżowiec stał się synonimem drapacza”.

Kwestionując nazwę „drapacza nieba” zrobiłem to po „uważnym” przeczytaniu tego, co było napisane na str. 77 9-ty wiersz od dołu: „Ponoć w ostatnich czasach słowo (wieżowiec — dop. mój) stało się synonimem drapacza nieba. Drapacza nieba, z ang. sky-scrapers, oczywiście „niebo drapież” tylko przenośnie”. Uwaga o nieuważnym czytaniu jest niesłuszna, natomiast ja posądzam p. Westfala o lekkie roztargnienie.

Wyraz wydzźwięk będę dalej używał bez względu na to, że Eugeniusz Słusiewicz „źle się wyraża o osobach używających słowa wydzźwięk”.

Łączę serdeczne pozdrowienia i wyrazy poważania.

R. WALEWICZ

Waszyngton, 4. VI. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule pt. „Przerwana struna” p. Bohdan Osadczyk na str. 76 „Kultury” z maja 1957, oskarża polskich delegatów do tzw. Zgromadzenia Narodów Ujarmionych o „sacro egoismo” w stosunku do kołaczących bezowocnie Ukraińców. Zarzut ten jest całkowicie bezpodstawny. Zgromadzenie Europejskich Narodów Ujarmionych (Assembly of Captive European Nations) jest organizacją opartą o tzw. zasadę państwowości i członkami jego mogą być emigracyjne reprezentacje tylko tych krajów, które przed wybuchem Drugiej Wojny Światowej były suwerennymi państwami. Z tego wyłącznie, a nie z innych względów, a najmniej z powodu polityki polskich delegatów, emigracyjna reprezentacja Ukrainy, która wchodziła i wchodzi w skład Z.S.S.R., nie może zostać członkiem Zgromadzenia. To samo odnosiłoby się do emigracji białoruskiej i każdej innej z krajów, które wchodziły i wchodzi w skład obecnego Związku Sowieckiego.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Stefan KORBOŃSKI,
Przew. polskiej delegacji do ACEN.

Paryż, 19. VI. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o zamieszczenie na łamach Pańskiego miesięcznika kopii treści listu jaki wysłałem do redakcji „Dookoła Świata” w Warszawie.

Łączę wyrazy głębokiego poważania i szacunku

M. JÓŹWIAK

Do naczelnego redaktora
„Dookoła Świata”
Warszawa, ul. Smolna 30.

Szanowny Panie Redaktorze,

Ze zdziwieniem zauważyłem w numerze 16-ym „Dookoła Świata” z dnia 21 kwietnia br. przedruk mego artykułu który ukazał się 12 stycznia br. w „Dzienniku Polskim” w Londynie.

Stwierdzam, że przedruk tego artykułu, który nota bene zawiera ekskluzywny wywiad z piłkarzem Cisowskim z Francji, nastąpił bez porozumienia ani zgody „Dziennika Polskiego” i mojej jako autora artykułu. Tego rodzaju proceder uważam za sprzeczny z powszechnie przyjętymi zasadami obowiązującymi w świecie dziennikarskim.

Wobec powyższego proszę Pana Redaktora o umieszczenie odpowiedniego sprostowania w Pańskim piśmie oraz o przekazanie należnego mi honorarium według stawek krajowych na rzecz Ogólnopolskiego Komitetu Pomocy Repatriantom z Rosji, w Warszawie.

Wyrazy poważania łączę

M. JÓZWIAK

Paryż, 19. 6. 1957.



POMOC RODZINIE W KRAJU
I ZA LINIĄ CURZONA

Przodująca polska firma wysyłkowa

LAMPERT & POLIMEX Co

45, Cromwell Rd., London, S.W.7, England



SPROWADZANIE RODZIN — EMIGRACJA
BILETY LOTNICZE, MORSKIE I KOLEJOWE
Z POLSKI I DO POLSKI

BILETY LOTNICZE I MORSKIE
DO U.S.A. — KANADY I AUSTRALII
WAKACJE I WYJAZDY NA KONTYNENT

Polskie Biuro Podróży **FREGATA**

122 WARDOUR STREET — LONDON — W. 1, ENGLAND

PREUVES

publie, sous la direction de F. Bondy
dans son numéro de JUILLET

Jean BLOCH-MICHEL : La discipline des généraux; Wladimir WEIDLE : Sur l'idée d'Europe; Pierre SCHNEIDER : Nadar au zénith; Robert CAMPBELL : Folie et grandeur chez Jules Leguier; Pierre LOCHAK : Les petits procès de Moscou.

Chroniques de :

Denis de ROUGEMONT, Bertrand de JOUVENEL,
Thierry MAULNIER, Marc BERNARD, Ignace LEPP, etc.

PREUVES, 23, rue de la Pépinière, Paris (8°)

Le numéro de 96 pages ill. : 200 fr. - C.C.P. : 178-00 Paris

Zapowiedzi wydawnicze

TOM XXII

Biblioteki "KULTURY"

PAWEŁ ZAREMBA

Historia Stanów Zjednoczonych

Biblioteka „Kultury” zrealizuje niebawem jedno z najważniejszych przedsięwzięć wydawniczych o znaczeniu ogólnopolskim. Będzie nim wydanie wyczerpującej „Historii Stanów Zjednoczonych”. Jest to owoc kilkunastoletniej pracy i studiów Pawła Zaremby, historyka i publicysty.

Książka Zaremby obejmować będzie ogółem około 600 stron druku. Podzielona jest na sześć części i piętnaście rozdziałów, przy czym każda część posiada krótką syntezę omawianego w niej okresu historii Stanów Zjednoczonych, podkreślającą znaczenie zjawisk społecznych i kulturalnych. Części noszą następujące tytuły: Rewolucja, Federacja, Dom Podzielony, Kontynent, Mocarstwo Światowe i Cywilizacja. Cennym uzupełnieniem pracy jest: pierwszy pełny i dosłowny przekład Konstytucji Stanów Zjednoczonych oraz wykazy synchronistyczne. Indeks rzeczowy dawac będzie czytelnikowi łatwość orientacji w bogatym materiale.

BIBLIOTEKA "KULTURY"

- Tom I Witold GOMBROWICZ
TRANS-ATLANTYK i ŚLUB
Cena 600 frs (12 sh., \$ 2.00)
- Tom II George ORWELL
ROK 1984
Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,75)
- Tom III Czesław MIŁOSZ
ZNIEWOLONY UMYŚŁ
Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,75)
- Tom IV James BURNHAM
BIERNY OPÓR CZY WYZWOLENIE ?
Cena 600 frs. (12 sh., \$ 2.00)
- Tom V Czesław MIŁOSZ
ŚWIATŁO DZIENNE (Poezje)
Cena 350 frs. (7 sh., \$ 1,00)
- Tom VI Czesław STRASZEWICZ
TURYŚCI Z BOCIANICH GNIAZD
Cena 650 frs. (13 sh., \$ 2,00)
- Tom VII Stefan KORBOŃSKI
W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ
(wyczerpane) Cena 1.250 frs. (25 sh., \$ 3,50)
- Tom VIII Józef ŁOBODOWSKI
ZŁOTA HRAMOTA (Poezje)
Cena 700 frs. (14 sh., \$ 2,00)
- Tom IX Czesław MIŁOSZ
ZDOBYCIE WŁADZY
Cena 650 frs (13 sh., \$ 2.00)
- Tom X Czesław MIŁOSZ
DOLINA ISSY
Cena 700 frs (14 sh., \$ 2.00)

BIBLIOTEKA "KULTURY"

- Tom XI Marian PANKOWSKI
SMAGŁA SWOBODA
Cena 350 frs (7 sh., \$ 1.00)
- Tom XII Teodor PARNICKI
KONIEC „ZGODY NARODÓW”
Cena 1.500 (30 sh., \$ 4.50)
- Tom XIII Stefan KORBOŃSKI
W IMIENIU KREMLA
(Cena 1.000 frs. (20 sh., \$ 3,00)
- Tom XIV Raymond ARON
KONIEC WIEKU IDEOLOGII
(Cena 750 frs. (15 sh., \$ 2,25)
- Tom XV Graham GREENE
MOC I CHWAŁA
(Cena 650 frs. (13 sh., 2 dol.)
- Tom XVI Leo LIPSKI
DZIEŃ I NOC
Cena : 350 fr. (7 sh., 1,00 dol.)
- Tom XVII Andrzej CHCIUK
SMUTNY UŚMIECH
Cena 350 fr. (7 sh., 1.00 dol.)
- Tom XVIII Jeanne HERSCH
POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ
Cena 700 fr. (14 sh., 2.00 dol.)
- Tom XIX Czesław MIŁOSZ
TRAKTAT POETYCKI
Cena 350 fr. (7 sh., 1.00 dol.)
- Tom XX Józef MACKIEWICZ
KONTRA
Cena 700 fr. (14 sh., 2.00 dol.)
- Tom XXI Witold GOMBROWICZ
DZIENNIK (1953-1956)
Cena 850 fr. (17 sh., 2.50 dol.)

Zapowiedzi wydawnicze

TOM XXIV

Biblioteki "KULTURY"

ALEKSANDER HERTZ

Amerykańskie Stronnictwa Polityczne

(Mechanizm demokracji)

NIECO HISTORII — AMERYKAŃSKIE FILOZOFIE POLITYCZNE — STANY ZJEDNOCZONE JAKO SCENA DZIAŁALNOŚCI PARTYJNEJ — SYSTEM DWUPARTYJNY — PARTIE W LICZBACH I FAKTACH — INTERESY I POLITYKA — APARAT WIELKIEJ ROZGRYWKI — WIELKA ROZGRYWKA — DEMOKRACJA PRZEZWYCIEŻA SWE KRYZYSY

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 3^e Trimestre 1957

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji:

91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Telefon: Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15 th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, «Libreria Polaca», Serrano 2076, Buenos Aires	17 peso	102 peso	204 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botânico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Hanna Lekszycka, r. Guira 139, vila Pompeia, Sao Paulo ..	40 cruz.	200 cruz.	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganika, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya ..	3 sh. 9 d. 180 fr.	21 sh. 900 fr. 120 peset	42 sh. 1.800 fr. 240 peset
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-4			
HISZPANIA: Wl. Pajor, Paseo de los Olivos 93, Madrid			
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: M. Jaxa-Debicka, 220 Howard Park Ave, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; St. L. Lemanski, 472 Aikins St., Winnipeg/Man.; H.R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel.: HY-0829; «Związkowiec», 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanislawski, Apartado Postal 294, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», Mannheim-Schoenau, Lillenthalstr. 301; St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM 3 sh 9 d.	13,50 DM 21 sh.	25 DM 42 sh.
NORWEGIA: Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2			
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève. Tel.: 32-32-92. Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25,00 fr. s.
SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A.: W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1471 Lakeland Ave., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 183 Chancellor Ave, Newark 8, N.J.; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

TOM XXI - Biblioteki "Kultury"

WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK

(1953-1956)

JUŻ JEST W SPRZEDAŻY

Cena 850 fr. (17 sh., 2,50 dol.)

DOSKONAŁY BRYTYJSKI WARSZTAT DZIEWIARSKI
do robienia swetrów, pończoch i wszelkich trykotaży

SUPER *Knitmaster*

wyróżniony przez Brytyjski Instytut Wzorowego Gospodarstwa,

**MOŻE UTRZYMAĆ CAŁĄ
RODZINĘ W POLSCE.**

Posiada on wzmocnione wstawkami
stalowymi, niełamujące się
łożyska igielne.

12-MIESIĘCZNA GWARANCJA

Cena za model SUPER 3500 wraz
z licznikiem i dostawą DO DOMU
w Polsce — \$ 69, za mo-
del SUPER 4500 wraz z
licznikiem i dostawą jak
wyżej — \$ 84. Części za-
nienne dostarczamy na-
tychmiast na żądanie. Za-
mówienia indywidualne prosimy kie-
rować do nas.

**JAKO WYŁĄCZNYCH
PRZEDSTAWICIELI FABRYKI**
na Polskę, Rosję, Czechosłowację, Węgry, Bułgarię i Rumunię

WINTREX & Co Ltd - 51 Brompton Road
LONDON SW3, England

Zamówienia z Francji do SICOMEX, 20, rue Royale,
Paris (8).

